

S.E.Lynes

Oszłamiająca historia toksycznych kobiecych
przyjaźni, poczucia winy i kłamstw.

PRAWDZIWE PRZYJACIÓŁKI

A mobile hanging from a crib with sheep, stars, and a crescent moon.

FILIA

S.E.Lynes

**PRAWDZIWE
PRZYJACIÓŁKI**

Przełożyła
Klaudia Wyrwińska

FILIA

Moim przyjaciołom, każdemu doskonałemu i odważnemu na swój sposób.

PROLOG

Wimham Times Online, 8 maja 2019

TRÓJKA RANNYCH W WYNIKU POTRĄCENIA NA PRZEDMIEŚCIACH. SPRAWCA UCIEKŁ; ŚWIADKOWIE ZDARZENIA „ZSZOKOWANI I PRZERAŻENI”

Dwie kobiety oraz mężczyzna zostali przyjęci do szpitala Kingston wskutek potrącenia na Wimham High Street. Do zdarzenia doszło wczoraj około 19:30. Z naszych informacji wynika, że wszystkie ofiary są w wieku około trzydziestu lat. Jak dotąd nie znamy nazwisk tych osób, ale policja potwierdziła, że świadkowie widzieli, jak czarny jaguar I-PACE poruszał się niebezpiecznie szybko i potrącił dwoje pieszych idących chodnikiem. Kierowca nie zatrzymał się, a niedługo potem wjechał w znajdującą się niedaleko miejsca zdarzenia francuską restaurację L'Auberge.

– Samochód wyjechał stamtąd, zza kawiarni – powiedziała Cara Mathers, która widziała całe zajście. – A potem popędził... jechał tak szybko. Szliśmy do Starego Niedźwiedzia, moja przyjaciółka zaczęła krzyczeć. Usłyszeliśmy ten przeraźliwy huk, ale auto pędziło jak wyścigówka. Jakby nic się nie stało. Nie mogliśmy uwierzyć w to, na co patrzyliśmy. To było przerażające.

Niedługo po tym samochód wjechał w słupek blisko świateł na Broadway Road. Osoba kierująca pojazdem straciła panowanie nad wozem, ten przeleciał przez pas zieleni i wbił się w jedno z okien L'Auberge.

– Zamawialiśmy drinki i właśnie patrzyliśmy na menu, gdy dookoła eksplodowało szkło – powiedział Thomas Weaver. – To cud, że nikt nie zginął.

Policja została wezwana na miejsce około godziny 19:35. Wysłano tam trzy jednostki ratunkowe oraz dwa ambulanse, wraz ze śmigłowcem. Dwie ofiary zostały zabrane śmigłowcem do szpitala Kingston, trzecią zabrała karetka. Cztery osoby, które doznały niewielkich ran oraz szoku, opatrzone na miejscu zdarzenia.

Nadkomisarz Brian Kirby z londyńskiej policji opisał ten wypadek jako „doprawdy szokujący”. Kordon policyjny pozostaje na Wimham High Street, na wysokości od Broadway do Church Road.

– To zielona okolica, na Boga – powiedziała Victoria Sarti, przebywająca w czasie zdarzenia w L’Auberge. – Ludzie sprowadzają się tu, by wychowywać dzieci. To powinno być bezpieczne miejsce. Przyjechaliśmy tu, by tak właśnie się czuć.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Szpital

Maj

Głosy. Pod moimi powiekami rozbłyska różowe światło.

Obudź się. Obudź się.

Mrugam. Za jasno, za jasno. Tutaj jest za jasno.

Zamknij oczy, kochanie.

Mamo? Czy to ty?

To nie mama. To nikt. Oczywiście, że nikogo tu nie ma. Nigdy nie ma.

Zamykam bolące oczy.

Wiem, że jestem w szpitalu. Wszędzie rozpoznałabym ten zapach, środek do czyszczenia, którego używają w szpitalach i więzieniach. *Ona* też tu będzie, o ile żyje. Jeśli umarła, będzie w piwnicy, w kostnicy, ułożona w metalowej szufladzie. Mam nadzieję, że właśnie tak jest. Przykro mi, ale taka prawda. W końcu ukradła mi życie. Jestem miłą osobą, nie życzyłabym nikomu śmierci, ale ludzie kradną nie tylko życia, ale też to, co dobre i miłe.

Próbuję podnieść głowę. Nie mogę. Nogami też nie jestem w stanie poruszyć. Jestem przykuta do tego miejsca. Przynajmniej takie odnoszę wrażenie. Czuję się jak Frankenstein. To boli. Wszystko boli.

Otwieram oczy, tylko odrobinę. Przez kurtynę rzes błyska białe światło. Kolejny milimetr, dwa. Czuję, jak mięśnie szyi się rozluźniają. Przechyliłam głowę w lewą, potem w prawą stronę. Boli, ale nie jest aż tak źle. Nic tam nie zламаłam. Nadal jednak nie jestem w stanie poruszyć nogami. Co to by była za ironia, gdybym po tych wszystkich latach, gdy musiałam sama ustać na nogach, skończyła bez możliwości chodzenia?

Po drugiej stronie widzę rząd łóżek, wszystkie są zajęte. *Ona* nie leży na żadnym z nich. Gdybym ją zobaczyła, w tej chwili rzuciłabym się z łóżka, doczołgała się do niej z pomocą rąk i nóg. Wykończyłabym ją. Toksyczna. Jest toksyczna.

Zastanawiam się, gdzie jest Frankie. Boże, proszę, niech on przeżyje. Jeśli jest ciężko ranny, nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale najbardziej chcę do mamy.

To zabawne, że po tym wszystkim nadal chcę mieć ją przy sobie.

Ale jej tu nie ma. Nie ma nikogo. Nikt przy mnie nie trwa, tutaj nie zaszła żadna zmiana.

To nie moja wina. Nie jestem skłonna do przemocy. Nienawidzę jej. Ale gdzie leży granica? Każdy kiedyś dociera do momentu, gdy łańcuch się napina. Każdy ma swoje limity. I właśnie to robią ludzie jej pokroju: popychają cię aż do granic wytrzymałości. Okradają cię z życia, a gdy przystępujesz do kontraktaku, to co, wtedy ty jesteś tą złą?

Ta kobieta wywróciła moje życie do góry nogami, ukradła moich przyjaciół, mój los, wszystko wzięła dla siebie. Bo tak właśnie postępują tacy ludzie.

Staram się wysunąć język z ust, tylko koniuszek. Jeszcze raz, a potem znowu, zbieram ślinę. Czuję ciężkość w lewej nodze. Krzywię się i zerkam w dół – widzę spuchnięte niebieskie palce, gips. Złamana noga – super, po prostu świetnie. Jestem na oddziale, nie na OIOM-ie. Przynajmniej nie umrę. Nie ma takiej opcji, żebym umarła. Jedyłą osobą, która dokona dzisiaj żywota, jest ona.

Na samym końcu sali widzę ubranego w niebieski fartuch pielęgniarza, który idzie gdzieś w pośpiechu, jakby to było ważne. Dzięki piankowej podeszwie białych butów praktycznie nie słychać jego kroków.

Panie pielęgniarzu? Halo, panie pielęgniarzu?

Nie odezwałam się. Nic dziwnego, że się nie zatrzymał. Jedyne, co zrobiłam, to wydałam z siebie dziwny dźwięk przez usta zaciśnięte jak odbyt kota. Nie mógł mnie usłyszeć. Poza tym gdzieś tam ktoś jęczał jak zombie. Zamknij się. *Zamknij się.* Mam wrażenie, jakby ktoś zalał mi oczy klejem. Muszę je przemyć wodą. Muszę umyć twarz. Boże, poczułabym ogromną ulgę, gdybym nie była taka lepiąca. Moja *głowa*. Moje *gardło*. Moje *plecy*. Na samym dole, blisko kości ogonowej. Ten tępy ból w lewej nodze. Pod palcami czuję miękki, lekko włochaty koc.

Ona. Na samą myśl o niej moje serce bije szybciej. Tutaj jestem wystawiona na atak, z tą nogą w gipsie. Jestem siedzącym celem. Muszę się ruszyć.

Rozglądam się na boki. Nie ma nikogo. Nikogo ze mną nie ma. Zawsze jestem sama. Czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Gdy je zamykam, łzy spływają po skroniach we włosy. Tak naprawdę nie jestem silna. Udaję, ale nie jestem. Ludzie nigdy nie widzą tego, co skrywa się za uśmiechem. Nigdy nie widzą nic więcej, tylko to, co pokazuję światu.

To ostre światło jest oślepiające. Zamykam oczy, jak dziecko, jakby w ten sposób nikt nie mógł mnie zobaczyć. *Nie pozwól, żeby ktoś zobaczył cię w tym*

stanie. Nikomu nie dawaj tej satysfakcji.

Główna ulica.

Samochód.

Uderzenie.

Potłuczone szkło.

O Boże. O Boże, o Boże, o Boże.

Wreszcie rozwieram usta. Rozciągam je na tyle, by zawołać:

– Poproszę pielęgniarka! – Z mojego gardła wydobywa się zaledwie schrypnięty szept. A teraz płaczę. Jezu Chryste. Podnoszę ręce, poruszam palcami, zaciskam je w pięści. Nic nie jest złamane. Ale nie ocieram łez. Dają ukojenie, niczym niespodziewany letni deszcz, w czasie którego podnosisz twarz ku niebu. Moje usta są takie, takie... Ten smak... jak siano, jak ten zapach siana – drażniący, suchy.

Frankie, gdzie jesteś?

Żyjesz?

Przepraszam, kochanie. Tak bardzo przepraszam, że do tego doszło.

Zrobił się z tego straszny bałagan. Ale to nie moja wina. To wszystko nie jest moja wina. Jestem dobrym człowiekiem. Cóż, byłam. Ale wtedy ona zrujnowała mi życie.

Gdzieś po lewej słyhać dźwięk nalewania wody. Potem pojawia się jego twarz. Pielęgniarka.

– Proszę, weź to. – Głos ma śpiewny, jakbyśmy wszyscy byli szczęśliwi. Jakbyśmy byli kochani. – Lepiej? – pyta uprzejmie, podnosząc z końca łóżka moją kartę.

– Tak – chrypię, odchrząkuję, po czym piję jeszcze trochę. – Dziękuję.

– Jeśli czegoś będziesz potrzebować, mam na imię Kevin – mówi. – Jak nic nie będziesz potrzebować, nadal będę Kevinem. – Śmieje się. Podejrzewam, że nie pierwszy raz wyskakuje z tym żartem. – Teraz muszę dostać od ciebie kilka informacji, dobrze? Wczoraj wieczorem podano ci środek uspokajający, czego możesz nie pamiętać.

Kręcę głową. Rzeczywiście, nie pamiętam.

– Miałaś atak paniki. – Uśmiecha się ze współczuciem. Ma ładne zęby, równe i białe.

Staram się myśleć. Pamiętam, że trzymano mnie za ramiona. Pamiętam, że byłam popychana, może na krzesło.

– Nie pamiętam – mówię.

– To nic takiego, nie martw się. Muszę tylko zadać kilka pytań, okej?

Kiwam głową.

– Pewnie.

– Okej, super. – Przygląda się mojej karcie i podnosi wzrok. Napotyka moje spojrzenie. Znowu się uśmiecha. – Okej, czy możesz podać mi swoje imię?

Przyglądam mu się chwilę, temu Kevinowi. Jest uprzejmy i miły. Żartuje i oferuje wsparcie. Jest miłą osobą, tak jak ja kiedyś byłam.

– Jestem Jane – szepczę. – Jane Reece.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jane

Luty

Kawiarnia Jane, o czym sama by ci powiedziała, jest typową gwarną kawiarnią położoną na głównej ulicy niegdyś zaniedbanego przedmieścia południowego Londynu, które stało się elegancką dzielnicą. Odkąd przeprowadziła się tutaj z Frankiem sześć albo siedem lat temu, na własne oczy widziała zachodzące dookoła zmiany: coraz więcej koszy na śmieci, nowy oddział M&S Simply Food w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się całodobowy Wimham Store. Paradygmat, elegancki salon fryzjerski dla mężczyzn, zajął miejsce starego salonu Cedrica z biało-czerwonym słupkiem oraz żółknącymi czarno-białymi zdjęciami wiszącymi w oknach. Gentryfikacja: miasto rozciągało się coraz bardziej, niczym plama po kawie wylanej na papierową serwetkę. Gdyby razem z Frankiem nie zamieszkali tu wcześniej, nie byłoby ich stać na przeprowadzkę w tę okolicę. Ale wie, że ona jest częścią tej zmiany. Często śmieje się, że ceny domów co jakiś czas wzrastają o wartość jednej sojowej latte. Jej kawiarnia jest kolejną rzeczą, na którą nie byłoby jej stać. Nazwa, *Palone Ziarna*, była ukłonem w stronę starych nazw małych biznesów, które tak uwielbiała. *Fładra z Frytkami*, *Ogrody Asa Pik*, *Cięcie ponad Stylistów*... tego już nie było.

Po kawę do Jane przychodzi nowy rodzaj mieszkańców. Lubią wspierać, a raczej uchodzić za wspierających małe firmy, a przynajmniej wtedy, gdy czekają na przesyłki z Amazona. Chude matki po trzydziestce w zawrotnie drogich ubraniach do ćwiczeń, manewrujące dookoła stolików trzykołowymi wózkami przystosowanymi do ćwiczeń (nie można marnować nawet chwili!) w drodze na cotygodniowe ploteczki z innymi mamami. Pozostający w domu metroseksualni ojcowie, popijający espresso macchiato, wpatrujący się w swoje wymuskane laptopy. Pod stołami czekają maty do jogi, a panowie, których garnitury świecą tak, jak powinny – nie dlatego, że są tanie – rozmawiają głośno o sprawach biznesowych, z wciśniętymi w uszy białymi bezprzewodowymi słuchawkami. Oni wszyscy przychodzą do Jane. Mleko

migdałowe. Cappuccino na mleku owsianym. Kawa w kubkach wielokrotnego użytku dla osób, które dbają o środowisko. Wegańskie bułeczki dla milionerów. To naprawdę totalne przeciwieństwo położonego na północy miasta przemysłowego, w którym dorastała. Znajdowała się daleko od domu pod każdym możliwym względem.

Ale właśnie o to chodziło.

Zresztą banały zdarzają się w życiu wszędzie, niezależnie od tego, kim się jest i gdzie się żyje. Tak przynajmniej uważa Jane. Każda społeczność wygląda z zewnątrz jednolicie. Ludzie to ludzie, w większości są dobrzy. Jane stara się nigdy o tym nie zapominać. A kiedy miało się taką matkę jak ona, stało się to wręcz filozofią. Nawet więcej, sztuką przetrwania.

Ludzie w większości są dobrzy, ludzie w większości są dobrzy, ludzie w większości są dobrzy.

To *ludzie* mówią Jane, że jest szczęściarą, bo ma swój tak dobrze prosperujący biznes, że klienci na przestrzeni lat stali się stałymi bywalcami lokalu, a nawet przyjaciółmi. Ma to znaczenie, zwłaszcza odkąd po drugiej stronie ulicy otworzył się Starbucks. To *ludzie* mówią jej, że ma spokojną pracę. Pracę, którą łatwo godzi się z życiem. A do tego cała ta kawa. Jane zawsze odpowiada: *Dziękuję, tak, jest świetnie. Tak, tak, poszczęściło mi się.* Hasztag *szczęściara*. Hasztag *kochajswojezycie*. Przygotowuje zamówienia i podaje je z uśmiechem, który nigdy nie znika z jej twarzy.

Tylko ci, którzy znają ją naprawdę, wiedzą, jaka to była harówka, jak ciężko musieli pracować z Frankiem, żeby spłacać raty za dom, kredyt na firmę, opłacać rachunki. Kath, Hils i Sophie, koleżanki, z którymi ćwiczy we wtorkowe wieczory z grupą Runner Beans, wiedzą niemal o wszystkim. Znają się, odkąd rzuciła pracę biurową, wzięła kredyt i kupiła podupadający biznes przejęty przez bank. Wcześniej w lokalu sprzedawano kurczaki z różną, firma była nieubezpieczona – jeśli wierzyć plotkom, poprzedni właściciele wynieśli się w środku nocy. Przykrywka dla dziupli narkotykowej, która należała do miejscowego gangu – kolejna z plotek. Trudno było znaleźć przymiotnik na opisanie tego, jak wyglądało wewnątrz, ale do przesadnie szykownych nie należało. Potrzebowali całego roku, żeby pozbyć się zapachu spalenizny wżartego w deski i wiszącego w powietrzu smrodu starego tłuszczu zwierzęcego. Wiele podstawowych prac wykonała sama, z czego była bardzo zadowolona.

Chodzi o to, że *ludzie* nie wiedzą, dlaczego. Po co rezygnować z bezpieczeństwa na rzecz ryzyka? *Ludzie* nie mają pojęcia, że kredyt, stres

i harówka były formą terapii. Nie tylko dla niej, ale też dla Frankiego. To stało się ich tratwą, jedyną rzeczą, która powstrzymała ich przed pójściem na dno. Frankie wykonał wszystkie prace hydrauliczne, zrobił większość elektryki, sam wymierzył kuchnię. Powiedział, że potem Jane „wkroczyła ze swoimi artystycznymi akcentami”. Kocha, gdy ją tak drażni, zwłaszcza że miała przecież obawy, by to, co się stało – a raczej *nie* stało – nie zabrało im tego, co zbliżyło ich do siebie – zdolności do śmiania się z życia. Ale nie, kawiarnia pomogła im poradzić sobie z ostatnią nieudaną próbą *in vitro* oraz pogodzić się z bolesną decyzją, że trzeba zaprzestać prób.

Drzwi do kawiarni otwierają się, a do środka wpada podmuch zimnego powietrza, podążając za jej przyjaciółką, Sophie. Zatrzymała się tu w drodze do domu, jak zawsze we wtorki. Przychodzi po szybki zastrzyk kofeiny przed ich treningiem z Runner Beans, klubem dla biegaczy, do którego obie należą. Klub dla biegaczy w jej słowniku można znaleźć pod hasłem *Regeneracja*: powolne odzwyczajanie się od citalopramu, który tłumiał ból, ale sprawiał, że była senna. Drugim hasłem jest *Utrata wagi*, bo musi pozbyć się tej dodatkowej oponki, będącej kolejną gorzką pigułką do przełknięcia. Kiedyś wciągała całą paczkę chipsów w mgnieniu oka, teraz tyje od samego patrzenia na słone przekąski.

Dzisiaj Sophie zamawia herbatę miętową, co jest nadzwyczajne.

– Trochę za bardzo w stylu generacji Z, nie sądzisz? – Jane ledwie unosi przy tym brew, po czym wskazuje na krzesło, sugerując przyjaciółce, żeby ta usiadła. Zalewa wrzątkiem torebkę wypełnioną liśćmi zebranych na zboczu góry w Dordogne – chyba – a sobie nalewa wody z kranu.

– Dajesz radę? – pyta swoją popołudniową asystentkę. Córka Kath, Scarlett, pracuje u niej codziennie po szkole, a zapracowała sobie na tę fuchę, gdy kilka miesięcy temu przyniosła domowej roboty biscotti i oznajmiła, że chce zacząć piec, dlatego szuka pracy, żeby mieć na to pieniądze. Zapytała, czy Jane chce w to zainwestować. Stłumiła wtedy chichot, ale Scarlett była tak niesamowicie poważna, a ciastka tak przepyszne, że nie tylko pozwoliła jej pracować dwie godzinny dziennie, ale też zgodziła się sprzedawać w kawiarni jej wypieki. Tego nie można robić w Starbucksie, co nie? Teraz Scarlett raz w tygodniu realizuje zamówienie na sześćdziesiąt biscotti – zawsze pamięta o osobach z alergią na orzechy – co musi jej przynosić niezłe zyski. Przynajmniej tak uważa Jane, bo podejrzewa, że mąka, cukier, jajka i morele pochodzą z zakupów robionych przez Kath.

Zamiast odpowiedzieć, Scarlett nasuwa okulary wyżej na nos, po czym schyla się, żeby opróżnić zmywarę. Jane zastanawia się, czy ktokolwiek inny był tak

sumienny w wieku czternastu lat – sama jako nastolatka upijała się cydrem ukradzionym matce, ale to kolejna historia, której miejsce znajduje się w pudełku podpisanym *Nie otwierać*.

– Powinnam dać Scarlett podwyżkę – mówi i dołącza do Sophie, zajmując miejsce przy stoliku. – Dałaby radę prowadzić kawiarnię bez mojej pomocy.

Sophie uśmiecha się tak, że Jane nie ma pewności, czy przyjaciółka cokolwiek usłyszała. Dmucha na zaparzoną miętę, ale jej nie pije.

– Zmieniasz nawyki? – zagaduje Jane, wskazując brodą na kubek Sophie. Jej przyjaciółka wygląda dzisiaj wyjątkowo ładnie – nie chodzi o to, że zwykle nie jest ładna, a o to, że Jane już przywykła do jej urody i nie czuje się nią onieśmielona. Tak, dzisiaj jej oczy są wyjątkowo pełne blasku, brązowe włosy niezwykle połyskują i są ściągnięte w kucyk. – Co z podwójnym espresso z dwiema łyżeczkami cukru? – dodaje z odrobiną podejrzliwości w głosie. – Normalnie drwiłabyś z każdego, kto pije cokolwiek herbacianego.

Sophie, podobnie jak Jane, dorastała w czasach, gdy puby nie były zaliczane do gastronomii, a w małych sklepach spożywczych na półkach stało mnóstwo zakurzonych puszek z malinami w syropie, i tak samo nieobca jest jej przyjemność płynąca ze zjedzenia całej pizzy wypiekanej na kamieniu albo znakomitych meze, gdy tylko nachodzi ją na to ochota. Jej późne popołudniowe wtorkowe espresso to coś, co robią biegacze. Kofeina zaczyna działać tuż przed treningiem, około osiemnastej trzydzieści, ale pozbywa się jej z organizmu, zanim idzie spać. Dlatego Jane zastanawia się: dlaczego mięta?

Sophie nie myśli o herbacie. Albo o bieganiu. Czy kawie. Oczy ma błyszczące, a uśmiech tak rozmarzony, że wygląda, jakby się zjarła. Policzki pokrywa rumieniec. Rowek między piersiami wygląda na głębszy niż normalnie.

– Na razie nie będę pić kawy – mówi, ostrożnie odstawiając kubek na stół i skupiając wzrok na Jane.

Właśnie w tej chwili Jane dodaje dwa do dwóch, a wynik równania uderza ją prosto w brzuch.

– Jesteś... Czy ty... Jesteś w ciąży? – Czuje uderzenie gorąca, nagłą i przytłaczającą potrzebę, by się rozplakać. Ale udaje jej się – ledwo – zebrać do kupy i odwzajemnić pełen ekscytacji uśmiech przyjaciółki. Jest nawet w stanie przez chwilę popatrzeć jej w oczy, ale szybko spuszcza głowę pod pretekstem sięgnięcia po jej rękę. Jej oczy żyją swoim życiem. Nie jest w stanie powstrzymać napływających do nich łez. Ale to nic. Przyjaciółki wzruszają się, słysząc o dobrych wieściach od tej drugiej, prawda? A ona naprawdę jest szczęśliwa. To cudowna wiadomość. *Podnieś wzrok, Jane. Podnieś wzrok.*

Mruga szybko, zmusza się do uśmiechu. I w końcu patrzy na Sophie.

– O mój Boże!

– Tak. – Sophie emanuje radością, rumieni się uroczo. Po czym odwraca wzrok, jakby była zawstydzona.

Jane wie, że powinna jej pogratulować – że musi zachować się lepiej, że powinna pogratulować już pięć sekund temu, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia. I nie chodzi o to, że nie chce, bo bardzo pragnie złożyć jej gratulacje. Chodzi o to, że ma zaciśnięte gardło i jeśli otworzy teraz usta, boi się – nie, ona to *wie* – że wybuchnie płaczem tak jak ostatnim razem. To się nie może zdarzyć. Po prostu nie może. Tu nie chodzi o nią. A jednak chodzi, nic nie może na to poradzić. Tylko tyle jest w stanie zdziałać bieganiami, żartami i pracą. Życiowa tratwa nie jest całkowicie wodoszczelna.

Zęby ma zaciśnięte i modli się, żeby łzy nie popłynęły i pozostały lśniąca powłoką, która równie dobrze może oznaczać radość, nic poza tym. Tylko że z Sophie jest to bardziej skomplikowane, bo ona wie. Właśnie dlatego przyszła tu dzisiaj, żeby poinformować Jane na osobności, a to z jakiegoś powodu wszystko pogarsza.

Mijają kolejne sekundy. Sophie przechyla nieznacznie głowę, a gardło Jane pozostaje zaciśnięte, dlatego nie jest w stanie złożyć gratulacji. W ogóle nic nie może powiedzieć, w dodatku nie może powstrzymać przyjaciółki od zadania pytania, które padnie za jedną, dwie...

– Wszystko w porządku? – Sophie ściska jej dłoń, uśmiechając się przy tym ze współczuciem. W tym właśnie tkwi problem z prawdziwymi przyjaciółmi; widzą wszystko, czy tego chcesz, czy nie. Jesteś dla nich otwartą księgą. W dodatku Sophie jest nie tylko bardzo zabawna i wspaniałomyślna, ale też empatyczna. – Chciałam ci powiedzieć o tym twarzą w twarz, bez innych. Jeszcze przez jakiś czas nie będziemy nic mówić o ciąży. Chciałam się tylko upewnić, że nie usłyszysz od kogoś innego.

W tej chwili – bardziej niż kiedykolwiek – Jane żałuje, że powiedziała o tym Sophie. Zrobiła to, zanim naprawdę ją poznała, zanim Sophie była w ciąży z Kyle'em. Nie miała wtedy pojęcia, jak cholernie okropne będzie czyjeś współczucie, jak każda jej reakcja na jakąkolwiek informację na temat dziecka będzie analizowana pod kątem cierpienia lub, co gorsza, zazdrości. Cieszy się, że nie powiedziała nikomu innemu. Kath i Hils zawsze były cudowne, ale wolałyby, żeby te przyjaźnie pozostały takie, jakie są. Wie, że ma przez to na myśli *równe*.

Wyciąga z kieszeni fartucha chustkę z haftem *Palone Ziarna* w kącie i wydmuchuje nos.

– To chyba katar sienny – mówi. *Genialne, Jane, mamy luty.* – Gratuluję, kochana. Tak się cieszę. – Ścisła mocno rękę przyjaciółki i dla dodatkowego efektu lekko nią potrząsa.

– Dziękuję!

Puszcza rękę Sophie i sięga po szklankę. Pije. Opróżnia naczynie.

– Chciało mi się pić bardziej, niż myślałam – mówi, choć nie ma pojęcia po co. – Aj, poważnie. Gratuluję, stara. To świetne wieści. – Bierze głęboki oddech.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

– Tak! Oczywiście, że tak! Dlaczego miałyby nie być? Jestem zachwycona! Kompletnie! Niesamowicie zachwycona! No! Kyle będzie miał młodsze rodzeństwo, to cudownie! – Unosi lekko rękę w powietrze. – Masz już jakieś zachcianki? – Jest lepiej. Czuje, że bierze się w garść.

– Jeszcze nie. – Niebieskie oczy Sophie otwierają się nieco szerzej. Robi śmieszny minę. – Pewnie truskawka albo wanilia.

– Czy w dzisiejszych czasach da się zgadnąć? W sensie, może tym razem padnie na pistację. Ale się cieszę. Masz już listę imion?

– Jeszcze nie. Dopiero miałam pierwsze USG. Chcesz zobaczyć?

Boże, nie.

Przez jedną przerażającą chwilę Jane myśli, że wypowiedziała te słowa na głos. Ale Sophie już grzebie w swojej nowej torebce. Jest ogromna – ciemna skóra ugina się pod złotym zapięciem z inicjałami CD. Sophie jest bogata. Ma męża, Carla, który w zeszłym roku sprzedał swoją firmę za trzy miliony funtów i zostało mu jeszcze tylko półtora roku okresu przejściowego. Ona pracuje dwa razy w tygodniu u radcy prawnego w Norbiton, „żeby wyjść z domu”.

– Oczywiście, że chcę! – Na linii włosów zbiera jej się pot. – To rodzeństwo mojego chrześniaka, na Boga. Należy do arystokracji.

Myślała, że z czasem będzie jej łatwiej, ale wcale tak nie jest, mimo że od diagnozy minęło sześć lat. O ironio, myślała wtedy, że jest w ciąży. To dlatego poszła do lekarza. Zawsze miała nieregularne miesiączki, ale gdy okres nie pojawił się trzy miesiące z rzędu, a z jakiegoś powodu dzinsy stały się za ciasne, zebrała to wszystko do kupy. Miała wtedy nudności, dlatego uznała, że to ciąża. Była szczęśliwa, tak samo jak Frankie. Starali się przez rok, na zasadzie *odstawmy antykoncepcję i zobaczymy, jak to się potoczy.*

Ale ku ich zaskoczeniu, trzy testy wykonane w domu wyszły negatywne.

– Czy wie pani, czym jest FSH? – zapytał lekarz pierwszego kontaktu po wielu badaniach. Rozmawiali przez telefon.

Kto by pomyślał, że w dwie minuty można komuś zrujnować życie?

– FSH? Nie, nie mam pojęcia.

– To folitropina, taki hormon. Pani jajniki szwankują, bo zaczyna pani wczesną menopauzę.

Jane zjeżył się włos na głowie, zmroziło ją do kości. Informacja przekazana tak zwyczajnie brzmiała po prostu wrednie.

– *Słucham?*

– Okrucieństwem przedwczesnej menopauzy – powiedział lekarz, tym razem łagodniej – jest to, że daje objawy podobne do ciąży. Może pani próbować zapłodnienia pozaustrojowego, ale przy niedoborze jajeczek obawiam się, że będzie to tylko strata czasu.

Jane miała dwadzieścia siedem lat. Była młodą kobietą. Wciąż jest młoda.

Sophie postawiła największą torbę na świecie na stole.

– Ładna torebka – mówi Jane.

– Dzięki, to od... To prezent. Ale nie jest prawdziwa.

– Wow. A wygląda, jakby naprawdę była torebką.

Sophie chichocze.

– Chodzi mi o to, że to podróbka Diora, głupku. CD?

– Płyta CD?

– Boże, Christian Dior? Co z tobą?

Jane śmieje się.

– Wybacz. Mimo wszystko jest ładna.

Sophie już zapomniała o torbie. Z jej przestrzennego wnętrza wyciąga papier i wręcza go z szerokim uśmiechem Jane, która wpatruje się w niego jak zahipnotyzowana. Patrzy na tę szarą plamkę na ciemnym tle w kształcie wachlarza. Wygląda trochę jak sękaty kamyk, jak te, które czasami widuje się na plażach, poobijane przez inne, twardsze kamienie.

Oczywiście wie, że to nie kamyk. Nie może tego schrzanić. Nie może sprawić, żeby zrobiło się tak dziwnie, jak za pierwszym razem.

– Ooo – mówi. Dodaje: – Wygląda jak Carl.

Sophie chichocze i przekrzywia głowę, jakby doszukiwała się tego podobieństwa.

– Wiem. Wielkie czarne oczy i małe rączki. Zdjęcia z USG są dziwne, nie? Chyba urodzę krewetkę.

Jane robi śmieszny minę.

– Sądząc po ustach, stawiałabym na karpia. Co myślisz?

Sophie jęczy. Obie wybuchają śmiechem i na szczęście mija panujące między nimi napięcie.

– Lepiej wróć do pracy – mówi Jane i wstaje. – Nie chcę, żeby Kath pozwała mnie za wykorzystywanie dzieci w pracy – wiesz, jaka potrafi być. Widzimy się później? Nadal możesz biegać, prawda?

– Oczywiście! Nie jestem *chora*. – Sophie wstaje, prawie nie tknąwszy herbaty, i zarzuca nową torebkę na ramię. – Możliwe, że poznasz dzisiaj Lexie. Spotkałam ją na dniu otwartym na siłowni, kilka tygodni temu. – Marszczy brwi i patrzy na Jane. – Pracowałaś wtedy.

– Przecież możemy widywać się z innymi ludźmi. – Jane robi dziwną minę. – Nie wsadzę chomika Kyle’a do mikrofali ani nic takiego.

Sophie wybucha śmiechem. Ten przyjemny dla ucha dźwięk to jeden z powodów, dla których się zaprzyjaźniły. Chodziło o to, jak obie potrafiły się rozśmieszać.

– Lexie podarowała mi tę torbę. Ta dziewczyna wydaje się naprawdę miła. Jest tu nowa i wspomniała, że nikogo nie zna, więc powiedziałam jej, że Runner Beans to superekipa i powinna wpaść.

– Świetnie – odpowiada Jane, myśląc, że to typowa Sophie, która bierze kogoś pod swoje skrzydła, tak jak kiedyś zrobiła z Jane. – Jak się nazywa?

– Lexie Lane.

– Trochę w stylu Supermana.

– Myli ci się z Lois.

– Może i tak.

Przytulają się na pożegnanie – to mocny i długi uścisk, którym Jane chce przekazać przyjaciółce, że życzy jej wszystkiego, co najlepsze, że nic jej nie jest i że przy tej ciąży będzie lepiej.

Odsuwają się od siebie.

Sophie wychodzi, pasek od płaszcza zwisa luźno po jej bokach, a kucyk kołysze przy każdym kroku. Jane macha jej na pożegnanie, po czym chwytą kubek oraz szklanę i patrzy, jakby z oddali, jak te wyslizgują się z jej dłoni i rozbijają o podłogę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jane

Na widok vana Frankiego stojącego tuż obok ich małego domku w stylu wiktoriańskim Jane czuje, jak z jej klatki piersiowej uchodzi napięcie. Jest w domu i zawsze w nim był, odkąd przyszedł do jej okropnego mieszkania na trzecim piętrze w Southall, żeby naprawić prysznic, zapuszczony przez właściciela do granic możliwości. Wykonał tę okropną pracę, umył ręce płynem do naczyń w jej kuchni i powiedział, że może mu zapłacić następnym razem, a najlepiej, jakby postawiła mu piwo. Od razu wiedziała, że to dobry człowiek, że w ogóle nie przypomina mężczyzn, których mama przyprowadzała do domu. Są ze sobą od jedenastu lat, co jednocześnie zdumiewa ją i zachwyca. Jedyne, czego teraz chce, to wtulić się w jego ramiona i obejrzeć coś na Netflixie, może zamówić jedzenie na wynos. Nie ma szans, żeby zdołała pojawić się na treningu Runner Beans – wiedziała to od chwili, gdy Sophie wyszła z kawiarni.

Zsiada z roweru, a gdy dociera do drzwi, wyciąga z kieszeni telefon. Przez chwilę się waha i myśli, żeby jednak pójść. Nie chce, żeby Sophie myślała, że jej unika albo że coś jest nie tak. Nie chce odbierać przyjaciółce radości. Z drugiej strony, naprawdę potrzebuje trochę czasu, żeby przetrwać tę informację. Chwilę przerwy, żeby zebrać się z powrotem do kupy.

Hej, stara, pisze. Nie dam dzisiaj rady, sorki – dopadł mnie straszny ból głowy. Baw się dobrze i jeszcze raz gratuluję! Xx

Sophie odpowiada niemal od razu. *Och, biedna! Widzimy się w piątek? Xx*

Jane otwiera drzwi i wprowadza rower do środka. Myśli o tym, że przyjaźń nie zawsze opiera się na szczerości. Czasami dobrze jest wiedzieć i dać przyjaciółce wykręcić się beznadziejnym kłamstwem. Pamięta, jak Sophie zabrała ją raz na zakupy do miasta i namówiła, żeby przymierzyła bardzo designerski top, którego cena zdecydowanie przekraczała jej budżet. Musiała go odwieźć i powiedzieć, że nie jest pewna, że się zastanowi i może zamówi go przez internet. Potem, również za namową Sophie, wybrały się na lunch do Selfridges, gdzie usiadły na wysokich stołkach i zjadły sushi. Przyjaciółka zamówiła butelkę szampana, a gdy Jane poszła do toalety, zapłaciła za

wszystko. Gdy Jane się dowiedziała, zaczęła protestować, a Sophie odpowiedziała, że prawie dwa lata temu dostała voucher do tej restauracji i miał stracić ważność, a Jane wyświadczyła jej tylko przysługę. Jane udawała, że jej wierzy, tak jak Sophie udawała w sprawie bluzki i teraz po odczytaniu wiadomości.

Oczywiście, odpisuje, pełna wdzięczności. Pozdrów dziewczyny. Powiedz Hils, żeby porządnie się rozgrzała. Do zobaczenia w piątek. X

Tydzień albo dwa po tym wypadzie na zakupy były urodziny Jane. Sophie wróciła do miasta, kupiła bluzkę i podarowała jej w prezencie, zarzekając się, że była na wyprzedaży. To kolejne kłamstwo, choć obie udawały, że w nie wierzą. Jane uśmiecha się na wspomnienie lekkiego przerażenia mieszącego się z wniebowzięciem na myśl o tym, jak Sophie postarała się z prezentem.

Korytarzem drepcze w jej stronę Des, jego pazury stukają o zniszczoną laminowaną podłogę. Merda ogonem jak szalony.

– Cześć, Dezzie. – Opiera rower o ścianę, po czym kuca, żeby podrapać go pod brodą. Uśmiecha się na dziwne zawrodozenie, jakie wydaje z siebie pies po tym, jak nie widział jej cały dzień. – Cześć, chłopaku. Witaj, mój ty futrzaku.

Frankie siedzi w kuchni, przy wyspie kuchennej, zwrócony plecami do Jane. Wzrok ma skupiony na telefonie.

– Cześć – wita ją, rozkojarzony.

Obejmuje go w pasie i wtula policzek w miękki materiał jego koszuli w kratę. Czuje lekki zapach jego potu i kurzu, wonie z domów innych ludzi. Zawsze jest taki ciepły, a przytulanie go koi po jeździe w mżawce.

– Wróciłeś – mówi. – Ale super!

– Niestety, nie na długo. W Balham przecieka łazienka, woda leje się do salonu.

Jane opiera się o niego i jęczy.

Mąż odkłada telefon na blat, odwraca się i obejmuje ją, a twarz wtula w jej klatkę piersiową. Przesuwa rękami po jego głowie, zamyka oczy pod wpływem kojącego dotyku i oddechu, który owiewa jej brzuch. Pozostają w tej pozycji w milczeniu.

– Wszystko w porządku? – pyta Frankie po długiej chwili.

– Sophie jest w kolejnej ciąży – mówi bardzo cicho.

– Mój Boże. – Wstaje, przytula ją mocno i kołysze się na boki. Całuje w policzek, w czubek głowy. – Ale beznadziejnie. Cóż, tak naprawdę to świetna wiadomość, ale wiesz, co mam na myśli. Przykro mi, kochanie.

– Nie twoja wina. To niczyja wina. A dla nich informacja jest wspaniała. Czy ktoś nie może zrobić za ciebie tego zlecenia? Co z Robem?

– Jadę po niego, ale nie ma szans, żeby poradził sobie sam. Ciągłe się uczy. – Obejmuje ją jeszcze mocniej i wspiera brodę o czubek jej głowy. – Poza tym, to zawsze kolejna kwota do skarbonki, prawda?

„Skarbonka” to ich konto oszczędnościowe, z którego środki mają zostać przeznaczone na podróż dookoła świata. Oczywiście przybywa ich z prędkością lodowca sunącego pod górę. Kolejna rzecz, której nie widzą *ludzie*, gdy patrzą na jej kawiarnię jak na Central Perk z *Przyjaciół*, to to, że ledwie wiążą koniec z końcem. Gdyby nie kupiła lokalu, musiałaby już zamknąć interes. Rosnące z zawrotną prędkością czynsze za lokale użytkowe sprawiły, że trzech jej znajomi prowadzący biznesy poszli na dno. Jane musi teraz jeździć do Staines, żeby strzyc Desa, a Frankie znalazł fryzjera w Hounslow, bo „za cholere” nie będzie płacił „trzydziestu pięciu funtów za przycięcie boków”. Dzięki Bogu za jego firmę. Nikt nie może podnieść czynszu za furgonetkę i świetną reputację, a Frankie ma jedno i drugie.

– Wykręciłam się z biegania – mówi. – Nie dam rady. Wezmę Desa na spacer, żeby trochę się poruszać.

– Nie zapomnij piłki.

– Oczywiście.

– Na pewno nic ci nie będzie, jeśli zostaniesz na trochę sama?

Kiwa głową.

– Dam sobie radę. Po prostu muszę to sobie poukładać w głowie.

– Źle mi z tym, że cię zostawiam.

Całuje ją w czubek głowy. Rozluźnia uścisk, opuszcza ręce. Idzie na korytarz, gdzie zakłada buty robocze. Widzi, jak bardzo jest zmartwiony. Mówi, że wróci najszybciej, jak to możliwe. Jane odpowiada, żeby się nie martwił. Nie może zawieść klienta. Zresztą to praca po godzinach, a wszystkie dodatkowe środki trafiają do skarbonki. Mówi, że zostawi mu coś do jedzenia.

Po jego wyjściu czyta wiadomości na iPadzie, a potem sprawdza konto oszczędnościowe w aplikacji Santander: 3058,00 funtów. Daleko do dziesięciu tysięcy, ale małymi krokami na pewno im się uda.

Po trzech nieudanych próbach *in vitro* to Frankie wziął ją za rękę, popatrzył głęboko w oczy i powiedział – teraz to rozumie – coś, co musiała wtedy usłyszeć: „Lekarz ma rację, kochanie. To się nam nie uda. Nie możemy sobie tego ciągle robić”.

Tak zaczęła się długa rozmowa, która trwała cały wieczór, a potem noc, aż wzeszło słońce, a ich oczy wypełniły się łzami. Wtedy zapadła decyzja. Nie polecą do Chorwacji, gdzie czekała na nich dawczyni jajeczek. Nie złożą papierów o adopcję. Będą żyli tak, jak przed tym całym koszmarem... a przynajmniej spróbują wrócić do tego, kim wtedy byli. Będą się kochać wtedy, kiedy najdzie ich na to ochota, ponownie spróbują sobie przypomnieć, jak to jest cieszyć się sobą nawzajem bez siedzącego z tyłu głowy procesu złożonego z badań krwi, USG, iniekcji, termometrów i ciągłego lęku. Nie mając innego wyjścia, w tę nową podróż zabrali ze sobą złamane serca.

To Frankie namówił ją, żeby rzuciła pracę i wzięła pożyczkę, to Frankie powiedział, że będzie pracował do upadłego, byle tylko spełnić jej marzenie o prowadzeniu kawiarni, to Frankie wpadł na pomysł ze skarbonką.

– To zawsze coś, na czym będziemy mogli się skupić, prawda? – powiedział. – I zrobimy to razem.

W ciągu pięciu lat planowali wynająć dom – jeśli uda im się go odnowić – oraz zatrudnić managera, by zarządzał kawiarnią, a potem... wyjechać. Czasami jednak nie może opędzić się od myśli, że tak naprawdę nie udało im się wrócić do tego, kim byli. Nie do końca. To nigdy nie będzie możliwe. Głębsze rozmowy, które kiedyś odbywali, zostały zakryte, zabandażowane niczym rana, taka, która boli przy każdym szturchnięciu.

Przebiera się w legginsy, zakłada buty do biegania i zapina Desowi smycz. Gdy dociera do parku, biega w tę i z powrotem, rozciąga się, robi kilka długości sprintem. Des chodzi za nią, przekrzywiając głowę i szykując się na to, aż rzuci mu piłkę. Frankie żartował, mówiąc, żeby o niej nie zapomniiała. Tak naprawdę piłka nie istnieje. Poddali się z ich używaniem. Mnóstwo sztuk już zgubili, a ponadto zdali sobie sprawę, że Dezzie jest tak durny, tak głupi, że przebiegnie kilkanaście metrów, pędząc za niewidzialną piłką, jeśli tylko umie się wiarygodnie udawać, że się nią rzuca. Najbardziej w tym wszystkim bawi Jane to, że z nią nie biegnie tak daleko, jak podczas zabawy z Frankiem.

Bo wie, że ona nie jest w stanie tak daleko rzucić piłki.

Około dwudziestej drugiej Jane wyleguje się w wannie. Nagle dzwoni jej telefon, który wibruje, oparty o butelkę płynu do kąpieli, która stoi na wyszczerbionej półce.

Na ekranie pojawia się SOPHIE BIEGACZKA. Zapamiętuje, żeby zmienić jej imię po prostu na SOPHIE.

Przez chwilę rozważa zignorowanie telefonu, ale odbiera po czterech dzwonekach.

– To ja – mówi Sophie.

– Wiem. Twoje imię pojawiło się na moim zaawansowanym technologicznie telefonie.

Słyszysz parsknięcie.

– Jak głowa?

– Lepiej. Potrzebowałam odgrzewanego w mikrofalce curry i kąpieli.

– Strasznie dużo pracujesz. Przepracowujesz się.

Nie wszyscy mają małżonków milionerów... a nawet wtedy...

– Nic mi nie jest – odpowiada Jane. – Przecież wiesz, że kocham moją kawiarnię.

– Wiem.

Przerwa, jaka po tym następuje, jest o ułamek sekundy za długa. Obie wiedzą, że Jane nie czuje się dobrze, ale wcale nie chodzi o ból głowy. Sophie na pewno ma świadomość, że nie będzie chciała rozmawiać z nią o uczuciach, które jej towarzyszyły, odkąd dowiedziała się o ciąży przyjaciółki. Zresztą rozmawianie o czymkolwiek nigdy nie było mocną stroną Jane, która zawsze zbywała to żartami o tym, że pochodzi z północy albo że to przez to, że pracuje w służbach specjalnych. *Nigdy nie pozwól, żeby ktokolwiek zobaczył twoje łzy.* Tak brzmiała mantra jej matki. *Trzymaj głowę wysoko.* Może byłyby to mądre słowa, gdyby, o ironio, nie wypowiadała ich osoba, która najczęściej doprowadzała Jane do płaczu, która sprawiła, że musiała odejść. Osoba, której zachowanie powodowało, że czasami najłatwiej było po prostu wbić wzrok w ziemię. Może powinna porozmawiać z Sophie, ale ta nie ma pojęcia, jak to jest, gdy nie w każdej rozmowie można uczestniczyć, gdy nie do każdego klubu można należeć. Nie wie, że z każdym rokiem to wszystko staje się trudniejsze, że przemilczane pytania są nawet gorsze niż te wypowiedziane na głos. Czasami widzi je w oczach ludzi: po trzydziestce, po ślubie, stabilna finansowo... dlaczego nie ma dzieci?

Ale dzisiaj chodzi o wspaniałą informację, jaką przekazała Sophie. Zepsucie jej tego byłoby totalnie nie na miejscu.

– Lexie przyszła. – Sophie przerywa ciszę. – Naprawdę dobrze biegała. A reszta chyba ją polubiła.

– To fantastycznie! – Z jakiegoś powodu Jane czuje się niepewnie na myśl, że nowa przyjaciółka Sophie poznała ekipę pod jej nieobecność. Zastanawia się, co Kath i Hils pomyślały o tej Lexie, ale szybko odpycha od siebie tę myśl. Zachowuje się nierozsądnie. Nie są w szkole, gdzie składało się przysięgi krwi i zapisywało tajemnice w różowych dzienniczkach z beznadziejnymi kłódkami.

Sama myśl o posiadaniu najlepszych przyjaciół zdaje się dziecinna, gdy jest się po trzydziestce.

– Och, skoro o tym mowa – dodaje Sophie, ale to w ogóle nie brzmi jak myśl, która nagle wpadła jej do głowy. – Zaprosiłam Lexie na piątkowe drinki.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Frankie

Dla Frankiego wszystko zaczęło się od zegarka.

Jest idiotą, nikt nie wie tego lepiej niż on sam. Nie miałby z tym problemu, ale on nawet nie interesował się gadżetami. Jane, jego firma, kawiarnia, ich wspólne życie, dla niego to było wystarczające – to było więcej, niż oczekiwał od życia. Jedzenie na wynos w weekend, oszczędzanie na wielką podróż – to wystarczało. Dziecko stanowiłoby wisienkę na torcie, ale nie było im pisane.

Wracając do zegarka.

W sumie, to się chyba zaczyna od wanny. Kto płaci trzydzieści tysięcy za wannę? Frankie ledwie rozpoznaje to miejsce. Urodzony i wychowany w tej okolicy, teraz czuje się tu jak outsider. Gdy zaczynał, współpracował z ojcem i zajmowali się głównie naprawami: zatkane odpływy, przeciekające brodziki. Teraz mniej w tym wszystkim roboty i naprawiania, a więcej kupowania nowych rzeczy i wydawania pieniędzy. Frankie wypełnił w swojej pracy więcej kontenerów, niż było ludzi, którzy dostali ciepłe jedzenie z Deliveroo.

Montuje wannę. Znajduje się w Norbiton – wielki okrągły podjazd, żywopłot przywodzący na myśl zaczarowany las, białe filary przed wejściem do domu. Korytarz jest większy niż salon w domu jego i Jane. Mieszkająca w nim para jest naprawdę miła. Żona robi mu prawdziwą kawę, nie rozpuszczalną, jak większość jego klientów. Rozmawia z nim jak z człowiekiem, nie udaje zaskoczonej, gdy mówi, że z wykształcenia jest księgowym. Ale trzydzieści tysięcy za wannę! Może jest zmęczony czy coś, może cała ta sytuacja z dzieckiem daje mu się we znaki bardziej niż zwykle. Tego dnia po prostu go to wkurza.

Gdy zbiera się do domu, potrzebuje trzech prób, żeby odpalić samochód. Zaczyna myśleć o nowiuteńkim range roverze evoque Simona. Rozwodnik, dwa domy, dwójka dzieci w prywatnych szkołach, a on kupuje evoque'a, na Boga.

Zatrzymuje się po olej napędowy na stacji koło ronda. Płaci za paliwo i kupuje trzy zdrapki (nadal nie potrafi zrozumieć, co go podkusiło). A to, że

wygrywa w jednej z nich trzy tysiące funtów... do tej pory nie jest w stanie w to uwierzyć.

– To ci dopiero... – mruczy z niedowierzaniem, wychodząc chwiejnym krokiem z małego kiosku, który znajduje się tuż przy dystrybutorach. – Cholera jasna.

Na początku myśli, że to oszustwo. Ale nie. Zdrapka jest prawdziwa.

W tym miejscu pojawia się zegarek. Już ma otwarty link do sklepu w przeglądarce telefonu: Breitling. Otwierał ją i zamykał przez lata, odkąd razem z Jane postanowili nie lecieć do Chorwacji, odkąd zrezygnowali z adopcji i postanowili żyć dalej swoim starym życiem. Tylko ją przegląda, tak po prostu. Nie wie nawet dlaczego. Przecież nie kręcą go drogie gadżety. Rzecz w tym, że dookoła niego znajduje się tyle rzeczy, bez przerwy. Odnowione domy, samochody, wakacje za granicą, ubrania i tak, zegarki też. Simon ma tag heuera, może dlatego. Ma go od lat, jeszcze z czasów, zanim kupił motocykl. Carl nosi zegarek z Sectora. Pete jeden z modeli od Armaniego. Ale żaden z nich nie ma breitlinga.

No właśnie.

Frankie kupuje zegarek. Kupuje go za pieniądze, które wygrywa, myśląc, że przecież to nie są pieniądze, które zarobił, prawda? Jane nie musi wiedzieć. To nie tak, że zabrał środki z ich oszczędności, nie zapłacił też swoimi pieniędzmi. Nie spóźnią się przez to z ratą za hipotekę. A gdyby zatrudnili fachowca, żeby przerobił sklep z kurczakami z różna na kawiarnię, zapłaciliby więcej niż trzy tysiące. Ale Frankie zrobił wszystko sam.

Dlatego go kupuje: Breitling Superocean Automatic 44. Tarcza w kolorze musztardowym i silikonowy czarny pasek. Przód jest zrobiony z szafirowego szkła, a Frankie powtarza te dwa słowa pod nosem. Nieodbijający światła. Dwa tysiące dziewięćset pięćdziesiąt funtów. Gdy dostaje informację o tym, że zegarek zostaje wysłany, robi sobie rano wolne, żeby odebrać paczkę. Na myśl o tym, że Jane by go zobaczyła, płoną mu czubki uszu.

Rozpakowuje go z fantastycznego ozdobnego pudełka, w którym znajduje się też malutka broszurka. Kiedy wyciąga go i zakłada na nadgarstek, czuje, jak jego bezsilność, wszystko to, czego nie może naprawić i czego nie może dać swojej odważnej i cudownej żonie, odpływa niczym przez świeżo przeczyszczoną rurę. Przez ten zegarek na rękę... czuje się sztywnie. Czuje, że jest niewyciężony.

Wie, że nigdy nie może go pokazać Jane. Wie, że to wszystko czyni go kretynem. Nie wie tylko, że ten zegarek zrujnuje mu życie. Bo gdyby nie nosił

tego zegarka, nigdy nie musiałby rozmawiać z Natashą.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jane

W piątkowy wieczór to Jane pierwsza pojawia się w Starym Niedźwiedziu. Zamawia butelkę prosecco i zabiera ją razem ze srebrnym wiaderkiem wypełnionym lodem oraz czterema wysokimi kieliszkami do stołu na tyłach lokalu. Ostatnio puby są naprawdę dobrze zaopatrzone w wiaderka z lodem. I prosecco.

Cholera, myśli, gdy dociera do stolika. Lexie. Jane nie wie, co kobieta pije, ale cztery kieliszki mogą wyglądać źle, dlatego wraca do baru i bierze kolejny. Czuje ucisk w żołądku wywołany zaniepokojeniem. Zwykle byłaby podekscytowana. Piątki to zawsze zwieńczenie tygodnia, szereg opowieści, zwierzeń, wsparcia, czasami smutku, plotek i wszystkiego, czym dzielą się te wspaniałe kobiety, gdy są razem. Już od kilku lat spotyka się w piątki z Kath, Hils i Sophie. Zbliżyły się do siebie coraz bardziej, odkąd zaczęły razem ćwiczyć w Runner Beans i uczęszczać na sobotnie spotkania z innymi grupami, na których Jane pojawia się, jeśli ma wolną sobotę, co zdarza się bardzo rzadko. To naprawdę cudowna grupa – dziewczyny są zabawne, dobre i wyjątkowe. Kath i Hils są po czterdziestce, trochę starsze, rozsądniejsze, ale i bardziej optymistycznie podchodzą do wszystkiego, co według Jane udowadnia pewną równowagę w ich życiu. To, że ich czwórka zaczęła trzymać się ze sobą dzięki wspólnemu hobby, że dzieci Kath i Hils są starsze niż syn Sophie, oraz to, że Jane nie ma dzieci, w jakiś sposób umieszcza je na oddzielnych orbitach i sprawia, że nie pojawia się między nimi potrzeba rywalizacji na płaszczyźnie rodzicielskiej, co niestety zdarza jej się słyszeć w kawiarni, gdy do jej uszu docierają rozmowy niektórych rodziców.

– Hej.

Podnosi wzrok i widzi Sophie, która stoi ramię w ramię z wysoką kobietą o długich karmelowych włosach z idealnie prostą grzywką, lśniących jakby ktoś nasmarował je olejem. Jej makijaż na pewno jest z tych najbardziej na topie. Przynajmniej tak uważa Jane. Ma wyglądać – tak wynika z informacji, które zebrała – jakby wcale nie była pomalowana, ma emanować ulepszoną

naturalnością, o ile można tak powiedzieć. Niektóre klientki Jane właśnie tak wyglądają: idealnie wyregulowane brwi, gęste sztuczne rzęsy, pełne usta, które zdają się wilgotne, skóra nieskazitelna i lekko opalona, a do tego zaróżowione policzki. Kobieta ma na sobie czerwoną jedwabną sukienkę i czarne skórzane buty na obcasie. Długie paznokcie są pomalowane na metaliczny szary kolor. Wygląda, jakby wyszła prosto z czasopisma modowego. Wszystko to Jane rejestruje w ułamek sekundy, jednocześnie żałując, że sama zdecydowała się na czarne obcisłe spodnie i kowbojki, które kupiła w lumpeksie w Brick Lane. Przynajmniej założyła błyszczący top, przebierając się ze znoszonej, ale mięciutkiej koszulki zespołu Pretenders. Szkoda, że nie pomalowała rzęs albo chociaż nie pociągnęła ust błyszczakiem.

– Lexie, to Jane – mówi Sophie. – Jane, poznaj Lexie.

Jane wstaje, niemal przewracając stolik, poprawia go, i prostuje się.

– Cześć. – Wita się i wyciąga przed siebie rękę, wprowadzając jeszcze bardziej niezręczną atmosferę. *To nie jest posiedzenie zarządu, Jane. Uspokój się.*

Lexie zerka na Sophie, jakby chciała coś uzgodnić, a potem chichocze i nie ściska jej ręki, tylko same koniuszki palców.

– Miło mi cię poznać – mówi, uginając nieznacznie kolana. Takiego powitania można się spodziewać po bardzo uprzejmym dziecku. – Sophie bardzo dużo mi o tobie opowiadała.

Jane zabiera rękę, opuszcza ją, a potem chwyta się za kark. Z jakiegoś powodu jest zawstydzona, co ją dezorientuje. Siada, po czym unosi się lekko.

– Zamówiłam prosecco – informuje dziwnym, nazbyt entuzjastycznym tonem, którego nie poznaje. – Nie byłam pewna, co pijesz, Lexie, ale w razie czego wzięłam też kieliszek dla ciebie.

Lexie marszczy nos tkliwie, a jednocześnie z obrzydzeniem, o ile to w ogóle możliwe.

– Szczerze, to pijam raczej gin z tonikiem.

Jane zrywa się na nogi.

– Okej. Wybacz, ja... w takim razie gin z tonikiem?

– Jak miło z twojej strony! Poproszę sipsmith i dietetyczny fever-tree, jeśli go tu mają. – Jakimś cudem uśmiech widać tylko w jej oczach, bo usta ma wykrzywione w grymasie, jakby zniknęło rozbawienie po profesjonalnym przywitaniu przez Jane. – Nie za dużo lodu – dodaje, wraca jej chichot. Jane myśli o tym, że słyszy w jej wymowie naleciałość z północy, choć może się mylić.

Właśnie ma odejść, ale Lexie podnosi palec wskazujący. – I czy mogłabyś przynieść tonik oddzielnie? Lubię nalewać go sama. Bardzo ci dziękuję.

Sophie wybucha śmiechem, pochyła się w stronę Lexie i klepie ją po ramieniu.

– Mój Boże, co z tobą? Jesteś strasznie wymagająca.

To dogryzki rzucające w kierunku kogoś, kogo zna się bardzo dobrze. Sophie zwraca się w ten sposób do Jane, która w tej chwili nienawidzi siebie za to, że w ogóle to zauważyła.

Lexie wznosi spojrzenie w górę i wzrusza uroczo ramionami.

– Po prostu wiem, czego chcę, to tyle. A jeśli o to nie poprosisz, to tego nie dostaniesz. Zresztą, ostatnio nie narzekałaś, prawda? – Śmieje się i przenosi spojrzenie na Jane. – Po raz pierwszy piła koktajl z szampanem. Spiłaś się niesamowicie, prawda, kochana?

Policzki Sophie różowieją. Patrzy kątem oka na nową przyjaciółkę z takim uwielbieniem, że Jane aż skręca w żołądku. Sophie nie wspomniała, że razem wychodziły – powiedziała tylko, że poznały się na siłowni. Ma prawo spotykać się z tą kobietą, oczywiście, że tak. Ale dlaczego zachowała to w tajemnicy? Dlaczego traktuje Jane jak zazdrosną kochankę? To dziwne, prawda?

– Brzmi fantastycznie – odpowiada Jane. Wie, że powinna iść do baru, ale nie jest w stanie przestać patrzeć, jak te dwie siedzą blisko siebie, jakby przyjaźniły się od lat. W sumie, gdy przygląda się bliżej swojej przyjaciółce, dostrzega, że brwi Sophie są ciemniejsze i grubsze niż zazwyczaj, a cień na powiekach jest brązowy i połyskujący. Nigdy go u niej nie widziała. Usta pociągnęła błyszczkiem. Dokładnie tak jak Lexie.

Bierze się w garść, odwraca i idzie w stronę baru, jakby brnęła przez piasek. Dociera do niej, że gdyby Sophie z nią teraz szła, obie wyśmiałyby to niedorzeczne zamówienie ginu z tonikiem. Ale oczywiście Sophie z nią nie ma. Siedzi ze swoją nową przyjaciółką.

Jane, przestań. Zachowujesz się niedorzecznie.

Kolejka do baru jest długa. Patrząc ponad głowami, widzi Sophie i Lexie pochylone ku sobie, jakby patrzyły na coś na kolanach Sophie. Może Lexie jest zdenerwowana. Może dlatego tak się zachowuje. Spotkanie z tak zgraną i zżytą grupą musi być ciężkie. Przecież Jane sama czułaby się niepewnie, gdyby miała poznać taką ekipę. A całe to strojenie się, cóż, to zbroja dla... chyba *wielu* kobiet, prawda? To tak mierzą się ze światem – z namalowanym uśmiechem na twarzy. Czy nie to samo robiła Jane przez ostatnie lata? Może nie chowała się

za makijażem, ale za uśmiechem. W pracy zdarzały się dni, gdy umierała od środka, a jednak pozostawała uprzejma i pogodna.

– Jane. – Lexie staje obok niej.

– Hej. – Jane musi podnieść wzrok, żeby na nią spojrzeć. – Cześć.

Lexie znowu marszczy nos.

– Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli nie mają sipsmitha, to czy możesz wziąć tanqueray? Nie zamawiaj gordona, jest obrzydliwy. – Chichocze. – I czy mógłby być podwójny? Nie będzie z tym problemu? Wiesz, pojedynczego nawet nie poczujesz. – Unosi brwi. – A może chcesz, żebym ja zamówiła? Z jakiegoś powodu zawsze szybko mnie obsługują. – Robi poufałą minę, jakby mówiła o czymś, o czym wiedzą tylko one.

Jane nie jest pewna, co to takiego, ale na sto procent nie została wtajemniczona.

– W porządku. Ja...

– Och! A Sofes poprosiła o wodę z limonką. Wcześniej chyba zapomniała o... wiesz. – Lexie otwiera szerzej zielone oczy i przekrzywia głowę. Wzrusza ramieniem, uśmiecha się nieznacznie.

Sofes.

– Ja... – Jane zacina się. Docierają do niej słowa Lexie. Czy ona zrobiła aluzję do ciąży? Sophie mówiła, że nie chce jeszcze nikogo informować. Na pewno nie powiedziała...

– Jakoś tak się złożyło, że zdradziła mi to w zeszłą niedzielę. – Lexie kontynuuje, jakby dzieliły sekret. – Świetnie się bawiłyśmy, nie byłyśmy w stanie przestać się śmiać. Znasz to uczucie, gdy ludzie po prostu się ze sobą dogadują? I tak jakoś mi powiedziała. – Kładzie rękę na brzuchu, jakby ze zrozumieniem. – Chyba miała poczucie winy, że wypiła kilka koktajli, ale powiedziałam jej, żeby się nie martwiła. Przecież jeszcze nie wiedziała, prawda? Och, to taka cudowna wiadomość, czyż nie? Szkoda, że nie widziałaś jej miny, gdy wróciła z toalety. Wiedziałam, zanim się odezwała. – Wzdycha. – Jest cudowną mamą. Kylee ma z nią raj na ziemi.

– Kylie[1] to chyba australijska gwiazda popu – mówi Jane, zanim jest w stanie się powstrzymać.

Lexie rzędzie mina.

– Słucham?

– Wybacz, to... żartowałam. Tylko żartowałam. Sophie mówi na niego Kyle, nie Kylee, nie żeby to miało znaczenie. – Jane czuje, że się rumieni. W barze

jest za gorąco. Boże, żeby to nie było uderzenie gorąca, bo to ostatnie, czego teraz potrzebowała.

Ale Lexie nawet jej nie słucha. Przepchnęła się do przodu, zostawiając Jane za przysadzistym mężczyzną w za ciasnej koszulce.

– Tak się upiłyśmy, że przenocowałam u Sofes – mówi ponad głową stojącego między nimi faceta.

– No tak. – Jane uśmiecha się, kiwa głową, przetrawia informację.

– I była tak uprzejma, wiesz, jaka ona jest, że praktycznie *zmusiła* mnie, żebym została na niedzielny obiad.

– Och, tak, to takie w jej stylu. – Jane musi niemal krzyknąć. Czuje pulsowanie w głowie i musi powstrzymać się od dodania, że była u Sophie na niedzielnym obiedzie wiele razy. Pamięta, jak przyjaciółka zaprosiła ją i Frankiego po raz pierwszy, niedługo po tym jak się poznali. Nie mogła wtedy wyjść z podziwu, jak hojnymi gospodarzami byli Sophie i Carl, jaką klasę mieli, a jednocześnie jak stylowy był ich dom, z zapachowymi świeczkami i idealnie dobranymi kolorami ścian, z kominkiem, otwartą kuchnią i przestronnym ogrodem. Czuła się wtedy taką szczęściarą, że została wybrana przez kogoś takiego jak Sophie.

– Powiedziałam, że powinna dzisiaj poinformować dziewczyny. – Lexie przekrzykuje hałas. – W sensie, jesteście wszystkie blisko, tak? Czuję się naprawdę bardzo źle z tym, że wiem, a one nie, wiesz, o czym mówię? – Robi minę, jakby było to dla niej naprawdę nieznośne, w co Jane naprawdę bardzo wątpi. – Wiem, że powiedziała ci dopiero we wtorek, a ja ochrzaniłam ją za to, dlatego myślę, że dzisiaj powie im. – Zaciska rękę w pięść i przykłada ją do piersi, a zęby szczyrzy w szerokim uśmiechu. Wygląda jak Wallace. Albo Gromit. Nie pamięta już, który był psem.

– Racja – mówi Jane, kiwając głową zbyt energicznie. Jest lekko zdezorientowana. – Dziewczyny będą...

Ale Lexie już się odwróciła i teraz przeciska się przez tłum ludzi, przepaszając i puszczając oczka, z jedną ręką lekko uniesioną. Chwilę później do Jane dociera jej głos.

– Cześć, przepraszam, czy mogę prosić o podwójnego sipsmitha z trzema kostkami lodu i plasterkiem limonki? Do tego oddzielnie dietetyczny fever-slim i lemoniada z dużą ilością lodu. – Lexie unosi wysoko ramiona, po czym je opuszcza. – Och, i czy mogłabym jeszcze poprosić o jakieś chrupiące przekąski, orzechy, tego typu rzeczy... solone, z pieprzem, kilka z tajskim chili i do tego jeszcze ta ostra mieszanka w małych słoiczkach? Dzięki. – Odwraca się

i podchodzi do Jane, jakimś cudem sprawia, że ludzie ustępują jej z drogi zaledwie po jednym machnięciu ręką.

Zarumieniona z gorąca, ze wzrokiem wbitym w czubki butów, Jane pochyla się lekko do przodu.

Lexie dotyka przelotnie jej ramienia i wyprowadza z tłumu niczym bezbronną pensjonarkę.

– Zaniesiesz wszystko do stolika, prawda? Muszę iść do łazienki.

Barman stawia szklanki i stertę przekąsek na tacy. Gdy podaje jej kwotę, Jane musi poprosić o jej powtórzenie, a potem chowa gotówkę do kieszeni i zamiast tego sięga po kartę płatniczą.

– Twoja koleżanka – mówi barman, wskazując w stronę toalet. – Możesz podać mi jej numer telefonu?

[1] Kylee i Kylie wymawia się tak samo (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jane

Gdy Jane wraca do stolika, reszta dziewczyn już przysła, a pot na jej szyi zaczyna wysychać. Lexie chyba wciąż jest w łazience.

– Dzięki za pierwszą postawioną butelkę – mówi Kath, unosząc kieliszek w górę i uśmiechając się do niej. – Za chwilę pójde po kolejną. Tę już prawie wyżłopałyśmy.

Jane boli twarz od uśmiechu, który do niej przykleiła. Dociera do niej, że to grymas wyćwiczony na potrzeby pracy, a nie prawdziwy uśmiech. Nagle zdaje sobie sprawę, że chce wracać do domu. Nie chce tu być, gdy Lexie spędza z nimi czas. To szokujące, jak szybko do tego doszło – wystarczyło kilka minut, może nawet sekund, a Lexie to tylko jedna osoba.

Sophie – *Sofes* – sięga po szklankę ze swoim napojem, ale zanim ich spojrzenia mają możliwość się spotkać, odwraca się w stronę ich przyjaciółek.

– Zapalenie pęcherza – mówi, krzywiąc się komicznie. – Biorę antybiotyk.

– O, stara! – mówi Hils, przerażona. – Za dużo seksu, dobrze ci tak.

Reszta towarzystwa wybucha śmiechem.

– U mnie nie ma szans na zapalenie pęcherza – kontynuuje Hils z mocnym północno-wschodnim akcentem. – Mówiąc szczerze, zarosłam tam kompletnie.

– Porządna depilacja zrobiłaby z tym porządek – wtrąca Kath, źle interpretując słowa koleżanki.

Dziewczyny wybuchają śmiechem. Rozmowa schodzi na sposoby dbania o strefę bikini, co skutkuje jeszcze większą wesołością. Hils zaczyna opowiadać anegdotę o strasznym w skutkach woskowaniu u kosmetyczki w centrum.

– Szczerze – ledwie duka, bo tak bardzo śmieje się z własnej historii – zostawiła mi tam malutki kwadracik. Wyglądałam jak Adolf Hitler.

Kath parska śmiechem tam mocno, że prosecco tryska jej nosem. Przy stoliku panuje chaos.

– Twój Frankie dzisiaj wychodzi? – pyta Hils, gdy wszystkie dochodzą do siebie.

– Z tego, co wiem, tak.

– W zeszłym tygodniu spotkanie go ominęło, prawda? Pracował?

– Chyba dotarł na sam koniec. – Jane popija drinka i czuje, że trochę się uspokoiła.

– Dotarł, dotarł – wtrąca Kath. – Pete powiedział, że kupił sobie nowy zegarek.

Jane marszczy brwi.

– Nowy zegarek? Nie sądzę, żeby coś ostatnio kupował.

Kath kręci głową.

– Nie? Typowy Pete, jak zwykle w błędzie. – Odwraca się do Hils. – Powiedział, że Frankie odwoził twojego Simona do domu.

– To nie jest mój Simon! Już nie!

– Wiem, ale wiesz, o co mi chodzi. Frank chyba wszystkich poodwoził?

– Tę część Pete zapamiętał dobrze – odpowiada Jane, przypominając sobie, że Frankie wrócił wtedy bardzo późno i skomentował, że skończył jako taksówkarz. – Powiedziałam mu, że daje się wykorzystywać.

Nie dodaje, że Frankie musiał zabrać kluczyki Simonowi, bo ten chciał prowadzić samochód, mimo że wypił zdecydowanie za dużo. Simon to idiota.

– Co mnie ominęło? – Lexie wróciła. Jej włosy błyszczą bardziej, oczy są zieleniejsze, a zęby porcelanowo białe.

– Och, nic, gadamy o głupotach. – Kath śmieje się i popija drinka.

Lexie siada obok Sophie i przesuwa się na sam koniec siedzenia.

– Zdrowie – mówi, podnosząc oszronioną szklankę.

– Zdrowie – odpowiada cała grupa.

Popijają drinki. Rozmowa się uspokaja. Kath i Hils znowu wyglądają na świadome otoczenia, jakby nagle zdały sobie sprawę, że zapomniały, jak zachowywać się przyzwoicie w obecności nowej osoby. Do Jane dociera, jak wspaniałe są te kobiety, czuje łączącą ich głęboką więź, którą zbudowały przez lata, tak wolno, że nie ma pojęcia, kiedy dokładnie stały się dla niej jak rodzina. Zrobiły to, po prostu będąc ze sobą, dzień po dniu. Żadnych serduszek i kwiatków, żadnych dramatów, po prostu spędzały razem czas, były wobec siebie lojalne, czasami dawały sobie przestrzeń, płakały razem... i śmiały się, tak, często razem się śmiały. Ich czwórka przeszła wspólnie przez rozwód Hils, walkę syna Kath, Joego, z chorobą Crohna, narodziny dziecka Sophie i powstawanie kawiarni Jane. To wszystko i wiele innych ważnych chwil.

Patrzy na Sophie, która stuka się szklankami z Lexie. Kobiety wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Hils i Kath nie wiedzą o ciąży Sophie. Nie

istnieją żadne zasady, oczywiście, że nie, i może Jane wyolbrzymia, ale to, że Lexie wie, a one nie... To wydaje się niewłaściwe.

Jane popija swoje prosecco. Lexie i Sophie szepczą, niemal stykają się czołami. Hils i Kath rozmawiają o wtorkowym treningu i biegu na dziesięć kilometrów, który ma się odbyć w następną niedzielę. Jane zdaje sobie sprawę, że nie jest w stanie się skupić, siedzieć prosto, w ogóle nie czuje się tutaj na miejscu. Dopada ją uczucie braku przynależności. Czuje się, jakby dryfowała.

– Pójdę do łazienki – mówi i kieruje się do toalet.

Zamyka się w kabinie, siada, chowa głowę między nogi i zaczyna głęboko oddychać. Nauczyła się tej techniki podczas sześciu sesji terapeutycznych, które odbyła po in vitro. Jej serce bije wolniej.

Niesamowicie wyolbrzymia, wie, że właśnie to się dzieje. Ciąża Sophie wyciągnęła wszystko na powierzchnię – jej żal i może wspomnienie tego, jak dziwnie zrobiło się między nimi podczas pierwszej ciąży przyjaciółki. Nigdy się nie kłóciły, nigdy nic na ten temat nie mówiły, ale obie to czuły i wiedziały, że ta druga też to czuje. Powinny były porozmawiać, ale co się mówi w takiej sytuacji? To wszystko było za trudne, po prostu. Dla Jane sprawa była zbyt świeża.

Patrząc na to z perspektywy czasu, Sophie czuła pewnie, że nie ma w niej właściwego wparcia, choć powinna rozumieć powód. A Jane odrobiła to wszystko z nawiązką. Gdy Sophie przyprowadza Kyle'a do kawiarni, Jane zawsze przygotowuje mu jego ulubioną gorącą czekoladę z bitą śmietaną i małymi piankami. Nigdy nie zapomina o jego urodzinach. Obie z Sophie pozwoliły, żeby czas zrobił swoje, i tak się stało, ale...

Nie. Wszystko jest między nimi w porządku. Stres związany z udawaniem zachwyty wykończył ją psychicznie. Lexie jest nowa w okolicy. To naprawdę miłe ze strony Sophie, że zaprosiła ją z nimi do baru i pomogła poznać nowych ludzi, tak samo jak wiele lat temu zrobiła z Jane. Okej, Lexie zostawiła Jane przy barze, żeby ta zapłaciła za zamówienie, do którego bez pytania domówiła sporo rzeczy, i owszem, było to trochę irytujące, ale to przecież nic takiego. Sophie widocznie uważa, że Lexie jest super, dlatego Jane musi dać jej szansę. Nawet jeśli Lexie jest trochę nachalna, co z tego? Może musi być tak bezpośrednia, żeby przetrwać. Jeśli ktokolwiek wie coś o przetrwaniu, jest to właśnie Jane – i nie każdy podchodzi do tematu tak samo. I nawet jeśli Sophie wymuszyła się informacja o ciąży, gdy spotkała się z Lexie, to co z tego? Przecież nie popełniła żadnej zbrodni, prawda? Ich ekipa z Runner Beans zawsze z całych sił unikała tyranii w żeńskich grupach, o których Jane słyszała

– wystawne przyjęcia urodzinowe, łączone wakacje, wszystkie te grupy na WhatsAppie. Jane zachowuje się dziecinnie. Sophie do niej nie należy. To dorosła kobieta, z własną rodziną, tak samo jak Jane. Jeśli liczyć Desa.

Bierze trzy głębokie oddechy, nabierając powietrze przez cztery sekundy. Na pięć je wypuszcza, w głowie powtarza sobie „odpuść, odpuść”.

Gdy wstaje, czuje ciężkość w dole brzucha. Tak, zdecydowanie, czuje tępy ból. Teraz, gdy o tym myśli, nie miała miesiączki od... cóż, ostatnią miała przed świętami Bożego Narodzenia. W dodatku jej piersi są obolałe. Rano, gdy się ubierała, stanik był ciasny – tak, zdecydowanie ciasny.

Mimo że wie, że lepiej nie poddawać się temu uczuciu, nadzieja sprawia, że czuje łaskotanie w klatce piersiowej. W domu ma jeden test ciąży, nie licząc wszystkich użytych i negatywnych, które z jakiegoś powodu, o którym już zapomniała, trzyma w pudełku pod łóżkiem. Czuje się trochę przygnębiona. I nie wydaje jej się, żeby ten większy brzuch to był tłuszcz. Podbrzusze ma twardsze. Nabrzmiałe. Czuje się... nabrzmiała.

To nie jest niemożliwe. Prawda? Niedostatek jajeczek to nie to samo, co brak jajeczek, prawda?

Jane wraca do stołu. Kath zdążyła zamówić następną kolejkę. Zaabsorbowana tym, co może się stać, Jane rozmyśla, czy powinna się wymknąć i zrobić ten test, byle tylko mieć to z głowy i doświadczyć nieuniknionego zawodu, ale ledwie siada na swoim miejscu, Lexie wstaje i stuka plastikowym mieszadłem o swoją szklanę.

Przy stoliku zapada cisza.

Kath zerka na Jane i pyta bezgłośnie: *O co chodzi?* Jane wzrusza ramionami.

– Wybaczcie. – Lexie mruga szybko, rękę kładzie płasko na obojczyku, paznokcie są ciemne i błyszczące. – Chciałam wam bardzo, ale to bardzo podziękować za dzisiejsze zaproszenie. Jak wiecie, jestem tu nowa.

– Nie bądź głupia – mówi Hils w tym samym czasie, gdy Kath kręci głową i parska w stylu „daj spokój, to nic takiego”.

Jane zastanawia się, czy tak samo jak ona uważają tę zalatującą gałą oscarową przemowę za lekką przesadę.

– Naprawdę – kontynuuje Lexie. – Przed wyjściem powiedziałam Steve’owi, że to takie miłe z waszej strony. Naprawdę, poznałam w swoim życiu wiele podłych suk, nie uwierzycie, jak okropne były.

Jane tłumi sapnięcie i ma nadzieję, że Lexie nigdy więcej nie użyje tego słowa. To nie jest zwrot, jakim opisują w towarzystwie inne kobiety.

– To nie wszystko – kontynuuje Lexie, ale wygląda, jakby przez chwilę się wahała. – *Ktoś* ma coś *bardzo* ważnego do powiedzenia. – Unosi swoje idealnie wyregulowane brwi, a jej usta rozciągają się w szelmowskim uśmiechu. Podnosi lekko ramiona i zerka na Sophie, która rumieni się i uśmiecha.

Przyjaciółka spogląda na nie wszystkie z zawstydzieniem i kaszle w zaciśniętą dłoń.

– Eee... Nie jestem na antybiotyku.

– O mój Boże – mówi Hils. – Jesteś w ciąży, prawda? Jasna cholera, kobieto! – Śmieje się.

Sophie otwiera szeroko oczy i pochyla się w jej stronę.

– Cicho!

– Przepraszam. – Hils mówi teraz głośnym szeptem. – Tak myślałam, że twoje cycki zdawały się większe, powinnam była się domyślić! – Zasłania usta teatralnym gestem i nagle wszystkie zaczynają gratulować Sophie i przytulać siebie nawzajem.

Jane ma świadomość, że jest przytulana i że odwzajemnia te uściski. Wpatruje się w swój napój, w którym bąbelki unoszą się ku górze. Czuje, jak pasek dzinsów wżyna się w jej brzuch. Ma lekką ochotę na papierosa. Gdyby wciąż paliła, wyszłaby teraz na dwór. Ale nie, musi zostać. Musi się odpowiednio zachować i musi to zrobić teraz.

Gdy mija zamieszanie, unosi kieliszek.

– Za Sophie – mówi. Ku własnemu przerażeniu czuje, jak do oczu napływają jej łzy.

Wszyscy idą za jej przykładem i unoszą swoje szklanki i kieliszki, by wznieść toast. Ponad głowami przyjaciółek Jane dostrzega spojrzenie Lexie i niesamowicie zbija ją to z tropu. Kobieta łypie na nią złowrogo. Nie jest w stanie inaczej tego określić. Gapi się na nią, jakby zrobiła coś złego.

Jane zerka na przyjaciółki, lekko zdezorientowana, ale te nic nie zauważyły. W oczach kobiety widziała furję.

Pytanie brzmi: dlaczego?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Szpital

Po co w ogóle istnieją te głupie przyciski wzywające pomoc? Wcisnęłam go wieki temu. A gdybym tu umierała? Mogłabym walczyć o oddech i nikogo to nie obchodzi. Mogłabym mieć zawał. Zator. Przysięgam na Boga, jeśli ktoś tu nie przyjdzie za pięć sekund...

To co zrobisz?

Nic nie zrobię, prawda? *Nie mogę* nic zrobić. Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi wstać. Muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest, i dostać się do niej, zanim ona dopadnie mnie, nawet jeśli będę musiała spaść z tego cholernego łóżka i czołgać się do niej, aż moje łokcie zaczną krwawić. Tylko jedna z nas może opuścić ten szpital na dwóch nogach i dopilnuję, żebym była to ja. Nadszedł czas, żebym wzięła sprawy w swoje ręce. Za długo byłam potulna.

Może poczekam, aż się ściemni. Pielęgniarski powiedział, że zostanę jeszcze jedną dobę. Chociaż to wydaje się zbyt ryzykowne. I spowolniąoby całą akcję. To musi się stać wcześniej niż później. Muszę dowiedzieć się, gdzie ona jest, ale nie mogę o to tu zapytać; muszę dostać się na recepcję. Gdybym tylko mogła chodzić... Ale tak się składa, że nie mogę, prawda? Nie ze złamaną nogą. Gdybym zdołała dokuśtykać na jej oddział, gdybym mogła to dobrze ustawić w czasie i zrobić tak, żeby nikt mnie nie zobaczył, mogłabym zaciągnąć zasłonę, uśmiechając się szeroko, i bingo! Poduszka na twarzy zrobiłaby robotę, wszystko poszłoby sprawnie, a pielęgniarki w tym czasie siedziałyby gdzieś, odpoczywając, albo plotkowały, albo jadły, co zdają się robić cały dzień. To by była zapobiegawcza samoobrona, nic więcej. Przecież sama zrobiłaby mi to samo, teraz chodzi tylko o to, która szybciej wykona ruch. O ile już nie umarła. Jeśli nie, to z odrobiną szczęścia szybko to zmienię.

A potem znajdę Frankiego. Och, Frankie, jesteś takim dobrym człowiekiem, zbyt łagodnym. Nie obchodzi mnie już wszystko inne – to pozostanie w przeszłości. Moje priorytety przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny uległy zmianie. Nie potrzebujemy dziecka, żeby być szczęśliwi. Możemy być tylko we dwoje, to wystarczy.

Odwiedza mnie doktor. Jego ton jest nieco wyniosły, jakbym nie należała do najbystrzejszych osób. Mówi, że mam złamaną kość piszczelową, co oznacza uszkodzony goleń. Mówi mi, że miałam szczęście.

– To prawda – odpowiadam z uśmiechem, mimo że usta mam suche jak pieprz i spękane. – Taka ze mnie szczęściara. Czy ma pan jakieś informacje na temat Franka Reece’a? To mój mąż. Jest ofiarą tego samego wypadku. Chcę tylko wiedzieć, czy wszystko z nim w porządku.

Kiwa głową, zapisuje coś w karcie.

– Postaram się dowiedzieć.

– Bardzo dziękuję.

Kładę się na wznak, zamykam oczy. Zastanawiam się, czy dałabym radę przerzucić nogi przez krawędź łóżka, wstać ostrożnie i wyjść stąd. Nie sądzę. Będę potrzebować kul. Poproszę o nie którąś z pielęgniarek, o ile ktoś w końcu zareaguje na to, że wcisnęłam ten cholerny guzik.

Znikąd znowu pojawiają się łzy. Zrobił się z tego straszny bajzel. W dodatku to wszystko nie jest moją winą. To nie moja wina, że w wieku trzynastu lat musiałam robić zakupy, gotować, sprzątać, słuchać płaczu mojej matki. To, że nie pozwalałam, by inni widzieli moje łzy, nie oznacza, że nie płaczę. Że nie cierpię. Bo cierpię! Cierpię cały czas, każdego dnia. To, że nie mówię o tym każdemu, nie oznacza, że nie idę przez życie poraniona, szlochając w samotności. Zawsze w samotności. Teraz do mnie dociera, że przecież miałam wszystko. Miałam przyjaciół, po raz pierwszy, odkąd skończyłam szkołę, dopóki nie nastawiła ich wszystkich przeciwko mnie.

A teraz jestem sama – znowu.

Ale właśnie tak to muszę zrobić – sama. Sama muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest. Jeśli o to zapytam, ściągnę na siebie uwagę, zmarnuję szansę. Potrzebuję mój telefon i grupę *Piątkowe Drinki* na WhatsAppie. Możliwe, że już wiedzą o wypadku. Może uda mi się dowiedzieć, na jakim leży oddziale, w której sali.

– Wszystko w porządku?

Jezu Chryste, no tak, zakradaj się do mnie. Typowe. Nie przychodź, gdy cię potrzebuję, tylko wtedy, gdy muszę być sama.

– Tak, dziękuję.

– Potrzebuje pani czegoś? – Pielęgniarka jest starsza. Poradziłabym z nią sobie, mimo niesprawnej nogi.

– Czy mogłaby mi pani pomóc wstać z łóżka? – pytam. – Muszę skorzystać z toalety.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jane

Gdy mija ekscytacja, znowu panuje spokój. A Lexie mówi. Mówi i mówi, i mówi. Opowiada im, jak cudowny jest jej chłopak, Steve, i jak wiele cudownych rzeczy dla niej zrobił albo jej kupił. Mówi też o tym, jaką suką była jego eks – Jane znowu się krzywi i zastanawia się, czy reszcie dziewczyn też to nie odpowiada i co w ogóle o tym myślą. Lexie opowiada, że mama Steve’a jest jeszcze gorszą suką niż jego siostra, a nawet jego była. Wygląda na to, że jest najgorsza ze wszystkich... Jane zaczyna rozumieć. Tamte kobiety po prostu nie są tak wspaniałe jak Lexie. A Lexie martwi się, że czasami Steve stawia ją na piedestale i któregoś dnia z niego spadnie.

Biedactwo.

Hils próbuje dwa albo trzy razy zmienić temat na cokolwiek innego, żeby ożywić rozmowę jakąś anegdotą, ale Lexie nie dopuszcza jej do słowa. Ostatecznie przyjaciółka odpuszcza i idzie do łazienki, pewnie żeby odsapnąć. Kath pyta cicho Jane, co u niej.

– Cóż – szepcze. – Nie jest najgorzej, a...

– Kath – woła Lexie, zwracając na siebie uwagę kobiety, niczym nauczycielka, która przywołuje ucznia do porządku. – Słuchaj tego!

Wyjście staje się niemożliwe. Za bardzo rzucałoby się w oczy. Ciało Jane zaczyna sztywnieć, ramiona się napinają. Całą sobą pragnie się stamtąd wynosić. Sophie wygląda na zachwyconą, ale Kath i Hils są nienaturalnie milczące, uśmiechają się łagodnie i uprzejmie. To. Takie. Nudne. Jane nie jest w stanie czytać im w myślach, ale wyglądają na tak samo otępiałe, jak ona się czuje. Cokolwiek sobie myślą, jedno jest pewne. Atmosfera typowego piątkowego wieczoru zgasła niczym zapałka ściśnięta między dwoma wilgotnymi palcami.

– ...a potem zabrał mnie do tej restauracji z ostrygami w Covent Garden, a gdy dotarliśmy na miejsce, na stole już stał szampan. Niespodzianka! On to wszystko *zaplanował*...

– To takie słodkie – mówi Sophie, przykładając ręce do piersi.

– Och, jak słodko.

– Ależ to słodkie.

Dobry Boże. Jane wyciąga telefon z torebki, trzymając ręce pod stołem. Otwiera konwersację z mężem i już ma do niego napisać *Zadzwoń do mnie*, bo ma nadzieję, że dzięki temu uda jej się stąd wyjść pod pretekstem jakiejś losowej sytuacji, ale zanim jest w stanie napisać chociaż jedną literę...

– Muszę iść. – Lexie przykłada telefon do piersi. – Tak mi przykro, dziewczyny! Steve za mną tęskni. Słodziak! – Śmieje się i przewraca oczami na jego szczenięce oddanie. Wstaje i zdejmuje z oparcia krzesła swój brązowy płaszcz.

Jane stara się nie dostrzegać tego, że żadna nie prosi jej, żeby została, udaje, że tego nie zauważyła i że wcale nie poczuła odrobiny zadowolenia.

– Wszystko w porządku, kochana? – Sophie pyta Lexie ze zmartwieniem na twarzy.

Uśmiech Lexie jest obrzydliwie słodki.

– Po prostu chce się do mnie przytulić, nic poza tym.

Jane powstrzymuje się od wykonania gestu sugerującego, że chce jej się rzygać. Na pewno nie otrzymałaby po tym tytułu dyplomatki roku, ale dużo wypła i naprawdę strasznie ją kusi. Gdy Lexie tuli mocno „Sofes” i wydaje z siebie ten okropny świński pisk, Jane wpatruje się w swojego drinka. Podnosi wzrok akurat w chwili, gdy Lexie wyciąga do niej ramiona.

– Pa Janie-Jane – mówi. – Niesamowicie się cieszę, że cię poznałam.

– Wzajemnie! Do zobaczenia wkrótce. – Jane macha jej lekko. Nie otwiera przed nią ramion. Nie wstaje. W tej chwili czuje, że jest to fizycznie niemożliwe.

Lexie zabiera ręce, jakby coś oparzyło ją w palce. Odsuwa się i macha energicznie, po czym przykłada telefon do ucha i wychodzi z pubu.

Jane czuje się beznadziejnie, bo dociera do niej, że chce, żeby wszystkie odwróciły się do Sophie i zapytały: *Co to miało być, do cholery?*

Chodzi o to, że to nie jest po prostu spotkanie na drinka, to *piątkowe drinki* i teraz, gdy Lexie została zaproszona raz, ciężko będzie nie zaprosić jej na kolejne spotkania. A jeśli któraś zasugeruje, żeby widywały się tylko we czwórkę, zostanie tą nieprzyjemną.

Ale żadna nie pyta o to, co się stało. Hils zastanawia się, czy powinny kupić kolejną butelkę. Sophie oferuje, że postawi następną kolejkę, ale Kath mówi, żeby się nie wygłupiała, przecież nawet nie pije. Jane myśli o tym, że teraz miała być kolej Lexie, ale nie zamierza się na ten temat nawet zająknąć, bo zabrzmiałaby, jakby wyliczała, co kto kupił, czego przecież nie robi... Okej,

dokładnie to robi. Och, tak bardzo chciałaby umieć czytać w myślach Hils i Kath.

– Ja też muszę się zbierać – mówi, nagle świadoma tego, że jeśli jej symptomy naprawdę świadczą o tym, o czym teraz myśli – choć na pewno tak nie jest – to nie powinna była pić. Wlała w siebie więcej niż zwykle – nie dlatego, że atmosfera była super, lecz po to, żeby przetrwać stresujący i nudny wieczór. – Pracuję jutro – dodaje. – Nie chcę, żeby klienci czuli ode mnie alkohol.

– Ja bym się nie martwiła, dziewczyno – mówi Hils. – Połowa miasta będzie jutro ziać oparami alkoholowymi. Co ja mówię, połowa kraju. Taka już jest nasza brytyjska kultura, czyż nie?

– To prawda – odpowiada Jane, ale już założyła płaszcz.

– Wpadnę jutro do ciebie, jeśli uda mi się wyrwać na chwilę – oznajmia Hils i dodaje to, co zawsze: – U ciebie jest o wiele taniej niż w Starbucksie!

– Ha! – Jane szczyrzy zęby w uśmiechu. – Gratuluję raz jeszcze, kochana – zwraca się do swojej najbliższej przyjaciółki, po czym tuli je wszystkie mocniej i dłużej niż zwykle. Macha im na pożegnanie i wychodzi z lokalu.

Zrobiła to za wcześnie. Lexie ciągle stoi na zewnątrz, na przystanku autobusowym. Jane ma przez chwilę ochotę uciec z powrotem do baru, ale to by było śmieszne. Poza tym Lexie już ją zobaczyła. Znowu ma tę dziwną minę, gdzie uśmiechają się jej oczy, a nie usta. Czy nie powinno być odwrotnie?

– Czekam na ubera – mówi kobieta, unosząc telefon na wysokość twarzy.

– Okej. Do zobaczenia. Dobrej nocy! – Machając na pożegnanie, Jane odwraca się na pięcie i rusza do domu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jane

W domu jest zimno i pali się tylko lampka na końcu korytarza. Des drepcze radośnie, a ogonem merda tak mocno, że wali nim o szafkę pod schodami. Frankie ciągle jest z chłopkami. Jane wiedziała, że tak będzie, a jednak czuje zawód. Nalewa sobie szklankę wody i siada na kanapie z psem, który kładzie jej głowę na kolanach, jakby chciał powiedzieć „Nie martw się, kocham cię”. Dochodzi jedenasta – bardzo, bardzo wczesna godzina jak na piątek.

Pochyla się, żeby sięgnąć po pilota. Dżinsy wpijają się w jej brzuch. Odpina górny guzik, zaczyna wsłuchiwać się w swoje ciało. Boli ją głowa – *to akurat wina za dużej ilości prosecco, idiotko*. Piersi ma obolałe, a stanik jest ciaśniejszy niż zazwyczaj. Rozpina go pod bluzką i wyciąga przez rękawy. Gdy zrobiła to po raz pierwszy przy Frankiem, uznał to za zachwycające. Tak jakby nigdy wcześniej nie widział takiej sztuczki. Gdy już jest wolna od stanika, czuje ulgę. Ujmuje swoje piersi w dłonie. Czy zdają się cięższe? Może. Nie powinna była wracać do picia po tym, jak miała taką długą przerwę. Ale nie mogła się zrobić większa od jednego wieczora z alkoholem, prawda? I już dawno przestała podjadać, odkąd nauczyła się codziennie przygotowywać pojemnik z resztą ciasta i kanapek, który jest zabierany do przytułku dla bezdomnych. Sama musi przyznać, to było jak złapanie dwóch srok za ogon. Przesuwa jedną rękę na brzuch. Jest twardy, nie obwisły. Opuchnięty.

Macica? Czy gazy?

– Zejdz, Des – mówi, delikatnie zsuwając głowę psa z kolan. Na górze znajduje ostatni test ciążowy, który wsadziła na sam tył szuflady szafki nocnej. To istny masochizm. Przecież nie jest w ciąży. Nie powinna tego robić. Poza tym rano działają lepiej. Poza tym obiecała Frankiemu: koniec z testami.

Ale pragnienie jest zbyt mocne, dlatego piętnaście minut później ciągle wpatruje się w pojedynczą kreskę w najmniejszym na świecie okienku. Czuje się pusta w środku. Czterdzieści pięć minut później Frankie znajduje ją śpiącą w pozycji embrionalnej z dłonią wciąż zaciśniętą na teście. Dociera to do niej dopiero, gdy ją budzi.

– Kochanie – szepcze, potrząsając nią delikatnie. – Kochanie. Hej. Chodź, zamarniesz tutaj.

Nie płakała na widok jednej kreski, ale teraz, gdy widzi swojego męża, z jej gardła wyrывa się szloch. Frankie siada obok niej i okrywa ją swoim szlafrokiem, po czym przyciąga do siebie.

– Tak bardzo cię przepraszam. – Złamała kolejną obietnicę: miała przestać przepraszać. Musiała nauczyć się nie obwiniać, nie obarczać siebie odpowiedzialnością, ale nadal czuje się winna. Tak ciężko jest nie czuć się jak porażka, jakby zawodziła Frankiego, gdy oboje dobrze wiedzą, że mógłby mieć dzieci z kimś innym.

– Tym razem czułam to inaczej, naprawdę. Byłam przekonana. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Po prostu nienawidzę patrzeć, jak samą siebie krzywdzisz. Skąd w ogóle miałaś test? Myślałam, że wszystkie wyrzuciłaś?

Pociąga głośno nosem.

– Jeden mi został. Pomyślałam, że w razie czego go zostawię, wiesz? I może wynik jest fałszywy, tak naprawdę powinno się je robić rano.

Jej mąż milczy przez chwilę i głaszcze ją okrężnymi ruchami po plecach. Jest taki cierpliwy. Byłby cudownym ojcem. Jane czuje jeszcze więcej łez pod powiekami.

– Musisz przestać to sobie robić – mówi łagodnie Frankie i nawet nie podejmuje tematu fałszywie negatywnego tekstu, bo tak jak ona wie, że test pokazał prawdę.

– Przepraszam. Przepraszam za to, że przepraszam. Za dużo wypiałam.

– Informacja o ciąży Sophie dała ci się po prostu we znaki.

– Czy Carl coś o tym mówił?

Zaciska mocno usta, marszczy czoło. Wzrusza ramionami.

– Tak.

– Wszystko w porządku? – pyta go. – Było dziwnie?

– Dlaczego miało być dziwnie? Nie wiedzą o nas... cóż, może Carl wie przez Sophie, ale nigdy nic mi nie powiedział, a reszta nie wie, nie sądzę, żeby wiedzieli. Było okej. Trochę się ponabijaliśmy z Carla, a potem wróciliśmy do zwykłej rozmowy.

– O czym rozmawialiście?

– Och, no wiesz. Uczucia, związki.

Uśmiecha się.

– To co, piłka nożna? Konta oszczędnościowe? Samochody? Myślisz, że powinniśmy im powiedzieć? A jeśli zaczną pytać? Niedługo to się stanie

oczywiste. Wszyscy się starzejemy.

– To nie jest niczyja sprawa, tak? A jeśli zaczną pytać, to będzie bardzo nieuprzejme. To prywatna sprawa. Wiele osób nie chce mieć dzieci, z wielu powodów. To ważna decyzja. Sama powiedziałaś, że żałujesz, że zwierzyłaś się Sophie. Jeśli powiesz wszystkim, wtedy nie tylko ona będzie ci współczuć, prawda?

– Już tego nie robi. – Wtula się w męża, przypomina sobie wielkie, pełne współczucia oczy Sophie, gdy Jane odwiedzała ją po narodzinach Kyle’a. Gdy pytała ją, czy chce potrzymać małego, w jej głosie zawsze słyszała zbyt silną nutę zmartwienia, jakby to, że nie może mieć dzieci, oznaczało, że nie może przebywać za blisko maluchów... choć to nie było tak dalekie od prawdy. – Cóż – dodaje. – Była pełna współczucia, gdy mi powiedziała o ciąży, ale to trudna informacja do przekazania, prawda? Ale masz rację, całe to „och, biedactwo” byłoby nie do zniesienia. Nie kupię kolejnego testu. Obiecuję.

Czuje wibracje telefonu. Ignoruje go.

– Co powiesz na tosta z marmoladą i herbatę? – sugeruje Frankie. – W łóżku?

Całuje go.

– Jesteś prawdziwym aniołem. Bezkofeinową poproszę. Powinnam spać, ale jestem zbyt nakręcona. Jutro w pracy będę padnięta.

Frankie idzie na dół do kuchni. Jane sięga po telefon i widzi, że Lexie Lane została dodana do grupy *Piątkowe Drinki* na WhatsAppie.

Co?

Na miniaturce zdjęcia widzi Lexie z ustami ułożonymi w lekki dziubek, z głową zwróconą w bok, wpatrzoną w dal niczym modelka. Już napisała do nich wiadomość:

Naprawdę miło było mi Was poznać i jeszcze raz dziękuję za dzisiaj! W drodze do domu pomyślałam, że powinnyśmy urządzić bociankowe dla Sofes! Możemy porozmawiać o tym przy następnym spotkaniu! Buziaczki! L xxx

Bociankowe? Buziaczki? Dobry Boże.

Frankie wraca do sypialni jedzeniem i herbatą. Gdy staje w drzwiach, przez chwilę się waha.

– O co chodzi? Coś się stało?

Piektło, ma ochotę powiedzieć. *Trafiłam do piekła. A to piekło nazywa się Lexie Lane.*

Ale jego twarz jest wykrzywiona ze zmartwienia. Pracuje tak długo, żeby sfinansować ich marzenie. Podejrzewa, że właśnie w ten sposób, zawalając się

pracą, walczy z własnym bólem. Nie przestawaj, nie wąż się przestawać, bo gdy zatrzymasz się chociaż na chwilę, zaczniesz myśleć. Informacja o ciąży Sophie również jemu dała się mocno we znaki, a teraz stoi z tacą w rękach, przygotował im tosty i herbatę. Jest jej bezpieczną przystanią. To zawsze on składa ją do kupy i trzyma mocno, czekając, aż wyschnie klej, nigdy na odwrót. A przynajmniej tak to teraz wygląda.

W tej chwili postanawia, że jeśli Lexie dostanie to, czego chce – a wygląda, że umie dopiąć swego – i skłoni je do zorganizowania przyjęcia dla Sophie, sama sobie z tym poradzi. Dla dobra Frankiego.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Frankie

Tamtego piątku dociera do pubu spóźniony. Pojawiłby się na czas, gdyby nie ten ostatni telefon od kobiety, której w mieszkaniu zapchał się odpływ. Wystarczyło przepchać go spiralą – zarząd budynku mógł to zrobić, serio – ale wyglądała na tak spłukaną, że nawet jej za to nie policzył.

Dlatego dociera spóźniony. Zwykle nie włókłby się tam po szesnastogodzinnej zmianie, ale jeśli ma być szczery, chce założyć zegarek.

Zrzuca ciuchy robocze, bierze szybki prysznic, zakłada koszulę Bena Shermana i dzinsy, które Jane kupiła mu na święta, i rusza do Białego Lwa.

Zanim dociera na miejsce, Carla już nie ma, ale pozostali są na dobrej drodze do spicia się. Frankie kiwa głową i uśmiecha się, przechodząc standardową rundkę przytyków, ale tym razem, gdy Pete klepie go po nadgarstku i pyta, co to za godzina na pojawienie się na spotkaniu, Frankie podnosi rękę, odsłania swojego breitlinga i odpowiada:

– Myślę, że dotarłem idealnie na ostatnie zamówienie.

W tej chwili chłopaki zaczynają gadać jeden przez drugiego, zachwycając się i ciągnąc jego rękę we wszystkie strony.

– Stary – mówi Simon. – To. To czyste piękno. Ile cię za niego skasowali?

– Co ty, na loterii wygrałeś? – dodaje Pete, nieświadomy tego, jak bliski jest prawdy.

– Nie wasz zakichany interes – mówi ze śmiechem Frankie. Wszyscy się śmieją, tyle że Frankie myśli jednocześnie o tym, jak poprosić ich, żeby nic nie wspominali żonom, bo któraś mogłaby coś powiedzieć Jane, ale nie ma pojęcia, jak ubrać to w słowa tak, żeby nie wyszedł na kompletnego kutasa. Dlatego nie mówi nic. Simon przesuwając w jego kierunku kufel z London Pride, a na widok nadgarstka Simona Frankie najpierw czuje się jak idiota, a zaraz po tym, jakby nabył coś niewartego swojej ceny. Bo Simon, którego tag heuer popchnął Frankiego w stronę tego zakupu, ma na sobie zegarek Swatcha. Pieprzonego Swatcha. Właśnie w tej chwili dociera do niego – zdecydowanie za późno – że to Swatch jest szczytem. Nie Tag, nie klasyczny zegarek Carla z Sectora, nie

połączony zegarek Armaniego, który nosi Pete, ani nawet jego nowiuteńki Breitling Superocean Automatic 44 z tarczą w kolorze angielskiej musztardy. Nie, Swatch przebija je wszystkie. Swatch mówi: zarabiam miliony tygodniowo. Swatch mówi: jestem ponad zegarki.

Kurwa mać.

Nie zagłębia się jednak w ten temat bardziej, bo właśnie wtedy Natasha wpada na niego i sprawia, że wylewa na siebie piwo. Tyle że wtedy jeszcze nie wie, że kobieta ma na imię Natasha. Widzi jedynie wyrafinowaną kobietę z długimi ciemnymi włosami i niebieskimi oczami, która bez przerwy go przeprosza i stara się osuszyć jego koszulę małą czarną serwetką, jedną z tych, które podkładają w barach pod drinki pań.

– Bardzo cię przepraszam – mówi gładkim i niskim głosem. – Proszę, pozwól, że odkupię ci piwo.

Chce zabrać jej rękę ze swojej piersi, ale niezręcznie mu dotykać jej nadgarstka, dlatego się odsuwa.

– Nic się nie stało. Nie ma takiej potrzeby, naprawdę.

– Nalegam – mówi. – London Pride, zgadza się?

– Skąd wiesz?

– Tak jest napisane na kuflu. – Uśmiecha się i unosi brwi. Frankie myśli sobie, że niebieskie oczy i ciemne włosy nadają jej lekko egzotycznego wyglądu.

Gdy się odwraca, żeby zamówić mu piwo, chłopaki robią głupie miny. Pete zaciska pięść, przykładają ją do piersi i mówią bezgłośnie *Dajesz*.

– Chłopaki – upomina ich Frankie. – Weźcie się w garść, bałwany.

– Jestem Natasha – wtrąca kobieta, podając mu piwo. Sobie kupiła kieliszek czerwonego wina.

– Nie musiałaś tego robić – odpowiada Frankie. – Ale dziękuję. Jestem Frankie.

– Bardzo miło mi cię poznać. – Stuka kieliszkiem o jego kufel. Wita się z chłopakami, mówi, że przyszła tu z koleżankami, Tamsin i Freyą, i macha do kogoś na drugim końcu baru.

Wszyscy unoszą swoje kufle i wznoszą toast, a jego koledzy zachowują się jak podekscytowane gnojki z liceum, starający się nie pokazać po sobie, że szturchają się łokciami. Natasha mówi Frankiemu, że podoba jej się jego zegarek i że ten podkreśla żółtą kratkę w jego koszuli. Nigdy wcześniej nie widziała zegarka z żółtą tarczą.

– Cóż – mówi Frankie. Wie, że z nim flirtuje, a on na ten flirt trochę odpowiada. – W takim razie warto było dzisiaj wyjść, co?

Ona się śmieje, choć Frankie wie, że to, co powiedział, w ogóle nie było śmieszne. Wątpi, żeby ją rozbawił. Ale tak jak większość ludzi w lokalu pewnie już trochę wypila.

Światło migocze. To znak, że pub niedługo się zamyka. Mają dziesięć minut na dopicie drinków.

– Lepiej wrócę do przyjaciółek – mówi Natasha, przekrzywiając głowę lekko na bok. – Ale miło było mi cię poznać, Frankie. I raz jeszcze przepraszam za rozlanie twojego piwa.

– Nic się nie stało.

Patrzy mu w oczy i uśmiecha się, po czym robi krok w tył. Ale nie odchodzi. Wygląda, jakby się wahała. W pubie panuje straszny hałas, co jest typowe dla miejsc, gdzie ludzie przychodzą oglądać mecze. Właśnie wtedy do Frankiego dociera, jak głośno jest dookoła.

– Czym się zajmujesz? – pyta Natasha.

– Eee... Jestem hydraulikiem. – Czuje, że się rumieni.

Kobieta przekrzywia głowę i otwiera szerzej oczy. Są naprawdę porażająco niebieskie.

– Zajmujesz się łazienkami?

– Łazienkami i kuchniami, tak. Centralne ogrzewanie, bojler, tego typu rzeczy. Mam własną firmę.

– No tak, tak. – Kiwa, przyswajając informacje. – W sumie to szukam kogoś, żeby zrobił mi łazienkę. Pracujesz może w Wimingham?

Kiwa głową.

– Tak. I w okolicy. Mieszkam tu, więc...

– Masz wizytówkę?

– Eee, tak, chyba tak. – Z tylnej kieszeni wyciąga portfel. W środku ma kilka wizytówek, właśnie na takie okazje. – Proszę bardzo. Numer, najważniejsze informacje. Najlepiej jest pisać.

– Frank Reece, hydraulik – czyta i podnosi wzrok, bez wahania patrząc mu prosto w oczy. – Zadzwoń w przyszłym tygodniu, dobrze? Będiesz mógł wtedy zrobić wymiary i wycenę?

– Pewnie. Żaden problem. Dogadamy się.

– Dziękuję. Jak już mówiłam, miło było cię poznać. – Zerka na jego klatkę piersiową i uśmiecha się. – I przepraszam za koszulę.

I to tyle. Przepycha się przez tłum i znika. Nie widzi jej już, mimo że zostają w pubie jeszcze pół godziny. Nie widzi jej na zewnątrz, gdzie Simon wyciąga kluczyki do samochodu, a Frankie mówi mu, żeby nie był głupi, że za dużo

wypił, że on, Frankie, odwiezie go do domu. Nie widzi jej, gdy wsiada za kierownicę evoque'a i czeka, aż jego spici koledzy wsiądą do środka. Nie widzi jej, gdy stoi tam z jego wizytówką między palcem wskazującym a kciukiem i obserwuje.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jane

Jane budzi się, gdy niebo za oknem przybiera kolor indygo. Dźwięk budzika wwierca się w jej głowę, w ustach ma sucho, oczy się kleją. Chwyta urządzenie i wyłącza irytujący budzik. Nie jest jeszcze gotowa, żeby wstać z łóżka i powlec się pod prysznic, dlatego pozwala sobie na chwilę leżenia w półśnie. Śniła o matce. We śnie była dzieckiem. Pamięta, że dawno, jakieś kilka lat temu, już miała ten sen, ale nie wie, czy to prawdziwe wspomnienie, czy wytwór jej wyobraźni.

W tym śnie jest już dosyć duża. Są w supermarkecie. Chodzą alejkami. Mama wkłada do wózka tani i mocny cydr, który zawsze pije, ten w dwulitrowych plastikowych butelkach. Wcześniej zdążyła już wsunąć do swojej torebki małą butelkę wódki – Jane to wie, choć nie ma pojęcia skąd. Rozgląda się za ochroniarzami, przerażona, że zostaną zatrzymane za kradzież. Jeśli to się stanie – i to nie pierwszy raz, lecz drugi – będzie to o wiele bardziej upokarzające niż wtedy, gdy matka wysłała ją do szkoły bez rzeczy na zajęcia techniczne, za to z liścikiem do nauczyciela, w którym poinformowała, że nie stać ich na kupowanie składników, z których córka ma przygotować ciasto Czarny Las, i zapytała w nim, dlaczego nie nauczą ich czegoś przydatnego, jak gotowanie jajek albo parzenie herbaty.

Jednak jeśli wyjdą stąd i nikt ich nie złapie, nie będzie wcale lepiej. *Wiem, jak to się skończy*, myśli sobie Jane, zaciskając palce na metalowej ręczce sklepowego wózka. Wiedziała, w jakim stanie ją znajdzie. Ale wiedziała też, że lepiej jest milczeć.

Jej matka wsuwa większe butelki pod opakowanie taniego papieru toaletowego i miażdży ją wzrokiem: *Nikogo nie powinno to interesować*.

To nie jest ten sam supermarket, do którego zwykle chodzą. Musiały pojechać do innego miasta, a może znowu się przeprowadziły. To jest przed czy po? Jane nie ma pewności. Nie zawsze kupują cydr w supermarkecie. Przez większość czasu chodzi do sklepu na rogu, bo pracujący tam mężczyzna, Bill, który tak naprawdę nie ma imię Bill, nosi turban i jest bardzo miły, pozwala jej kupować

alkohol dla matki. Jeśli to miasto, w którym mieszkały blisko niego, to znaczy, że to się dzieje po przewodzce. Jane wie, bo wiele lat później Bill nadal pozwalał jej kupować alkohol, choć nie miał pojęcia, że nie wszystko było dla jej matki.

Obserwują kasy, upewniając się, że nie ma tam nikogo, kogo znają, bo chcą iść zapłacić. Właśnie wtedy powietrze przeszywa krzyk.

– *Ty suko.*

Jane ma wrażenie, jakby ktoś wylał na nią wrzątek. Kobieta, której nie zna, wrzeszczy na jej mamę.

– Jak ci nie wstyd się tu pokazywać? – krzyczy. – Zrujnowałaś moje życie.

Za nią stoi dziewczynka. Jest starsza od Jane i ma na sobie szkolny mundurek.

– Ja zrujnowałam twoje życie? – odpowiada równie głośno jej matka, a Jane płonie ze wstydu. Matka wybucha śmiechem, to bezlitosny śmiech, jest okropny. – Nie wiń mnie na to, że twoje małżeństwo było beznadziejne, kochana. Obawiam się, że pretensje powinnaś mieć do siebie.

Bierze Jane za rękę i odwraca się gwałtownie. Zostawiają koszyk na środku alejki. Gdy wychodzą na zewnątrz, Jane ogląda się przez ramię. Kobieta płacze. Córnka próbuje ją przytulić. Też płacze.

Gdy wracają do domu, jej mama wlewa pół butelki wódki do szklanki i pije ją jak wodę. Ręce jej się trzęsą.

– Będiesz musiała iść do Billa – mówi.

Jane siada, ma problem ze złapaniem oddechu. Próbuje wstać z łóżka, żeby uciec od kolejnych wspomnień, ale jest za późno: szyba się roztrzaskuje, na podłodze salonu ląduje cegła. Pamięta to wspomnienie, bo często do niej wraca, kiedyś miała tę chwilę przed oczami każdego dnia tuż przed zaśnięciem. To na pewno miało miejsce, zanim przeprowadziły się z matką po raz ostatni. Pewnie był to ostateczny bodziec, choć powodów nie brakowało. Nigdy nie rozmawiała o tym z matką – Victorią, bo tak wtedy zaczęła się do niej zwracać. Jane ma czternaście, piętnaście lat. Pamięta ten obleśny zielony dywan w żółte wzorki. Cegła jest owinięta kartką, a ta obwiązana niebieską gumką recepturką. Matka ściąga ją, rozkłada kartkę, czyta wiadomość, po czym zgniata papier.

Później, gdy jej matka już śpi, pijana, Jane wyciąga kartkę z kosza.

Ktoś napisał na niej jedno słowo: SUKA.

Frankie porusza się, przekręca. Bierze głębszy oddech.

– Uff. – Jane przerzuca nogi przez krawędź łóżka. Wracają do niej wspomnienia minionego wieczoru. Zamówienie na gin i tonik. Barman

proszący o numer Lexie. Lexie decydująca o tym, że Sophie powinna powiedzieć o ciąży. Lexie patrząca na Jane z furią w oczach.

Powinna wyjść z pubu już po pierwszej butelce, odpuścić sobie. Jej wczesna zmiana zawsze jest idealną wymówką do tego, żeby wyjść wcześniej, choć wie, że Kyle często budzi Sophie o szóstej, że pozostałe dziewczyny też wstają wcześniej, bo muszą pozawozić dzieciaki na zajęcia dodatkowe. Mimo to w dni takie jak ten zastanawia się, dlaczego w ogóle postanowiła poprowadzić biznes, w którym w sobotę trzeba wstawać o piątej trzydzieści.

Siada na sedesie i robi siku. A gdy się podciera, papier jest czerwony.

Łapie się za głowę i jęczy. Nabrzmiące piersi, ciasne spodnie, nawet wczorajsze poirytowanie – nie ciąży, lecz to.

– To nie dziecko – szepcze. – Nigdy nie było żadnego dziecka.

Godzinę później jest już w pracy. Bo tak to właśnie działa. Jak inaczej miałyby być? Wzięła prysznic, ubrała się, wyszła z Desem na podwórko i rzuciła mu kilka razy „piłkę”, przyjechała do kawiarni na rowerze, a teraz podgrzewa wielką szklankę mleka. Dodaje do niego podwójne espresso i saszetkę brązowego cukru. Przez cały czas myśli o dzisiejszym poranku, krwi, wczorajszym wieczorze.

Lexie, to jest Jane. Jane, poznaj Lexie.

Ta wyczuwalna wrogość bijąca od Lexie. Była niemal... zwierzęca.

Ale czy była prawdziwa?

Może jej się przywidziało?

Chęć na papierosa o tej porze dnia zawsze jest najgorsza. Podejrzewa, że to pragnienie nigdy nie odejdzie, mimo że rzuciła palenie ponad dziesięć lat temu. Popija w kuchni latte macchiato, przygotowując dostawę i wprowadzając Toma w plan dnia. Znalazła go przez organizację w Feltham, która specjalizuje się w pomaganiu bezdomnym w powrocie na rynek pracy. Tom przez uzależnienie stracił wszystko – żonę, dzieci, pracę. Dla Jane pracuje dwa lata, zajmuje się przygotowywaniem kanapek i półmisków na lunche dla lokalnych firm. Od samego początku był niezawodny, poza tym jednym razem, gdy został napadnięty, a złodziej uciekł z zawrotną kwotą osiemnastu funtów i pięćdziesięciu pięciu pensów. Mieszka sam – tyle zdołała się dowiedzieć – i jest mocno wkręcony w jogę, którą ćwiczy przez półtorej godziny dziennie. Jest chudy, ale umięśniony, niesamowicie cichy, a coś w ruchach jego delikatnych rąk sprawia, że przygotowywanie kanapek wygląda jak sztuka.

Odrywa się od obserwowania, jak Tom kładzie mozzarellę i awokado na ciabattę, i idzie włożyć gotówkę do kas. Następnie przeciera wystawę: znajdują

się tam modne zastawy, od czajniczków po pasujące filizanki do kawy, torebki z ziarnami, puszki herbatników amaretti, kostki brązowego cukru, a także zapakowane w celofanowe woreczki obwiązane wstążkami w kratkę biscotti Scarlett. W skrócie, wszystko, co jest związane ze światem kawy.

Mimo że sprzątała wystawę wczoraj wieczorem, chce się upewnić, że wszystko jest czyste, a następnie wyklada koszyk celofanem i z pomocą szczypiec nakłada ciasto. Potem ustawia dwa parzenia samą wodą, żeby wyczyścić chromowaną bestię, Gaggię D90 Evolution, po czym zdejmuje krzesła ze stołów i szybko omiata wzrokiem pomieszczenie, choć robiła to przed wczorajszym zamknięciem. Pojemniki z serwetkami, cukrem, solą i pieprzem, które stoją na małym stoliku przy barze – uzupełniała je wczoraj, ale i tak do nich zagląda.

Rutyna jest wszystkim. Uspokaja ją.

Tom przynosi kanapki, a także croissanty z serem i szynką, które Jane uwielbia. Jednego od razu sobie podpieka, po czym pochłania szybko i popija wodą. Czuje się nieco lepiej. Ból głowy słabnie. O ósmej, gdy otwiera drzwi na budzącą się ulicę, kawiarnia lśni, a ona prawie czuje się jak człowiek.

W sobotnie poranki aż do dziewiątej nic się nie dzieje, dlatego zajmuje się lokalem sama, do czasu aż przychodzi osoba prowadząca drugą zmianę, Jude. Kawiarnia najbardziej zyskuje na tym, że Starbucks nie pozwala na wprowadzanie psów. Psi właściciele są bardzo mili, bezpośredni, biorą zamówienia na wynos, łatwo ich obsługiwać. Jane i Jude pracują obok siebie, ledwie świadomi harmonii, jaką wypracowali przez lata wspólnej pracy na małej przestrzeni.

Frankie zagląda z Desem, żeby się przywitać, są w drodze na spacer. Dziękuje jej za kawę, całuje w policzek i informuje, że przygotowuje na obiad pikantne wegańskie burgery. Przygląda mu się, gdy wychodzi, gwizdząc pod nosem melodię z albumu Lianne La Havas, którego często teraz słuchają, i myśli o tym, jak normalni muszą się wydawać dla otoczenia. Nikt nigdy nie domyśliłby się, że w ich życiu mogło wydarzyć się coś takiego, jak zeszłej nocy w ich zimnej łazience, gdy ten pogwizdujący mężczyzna zabrał ją z podłogi, położył do łóżka, gdzie pomógł poskładać się do kupy, i przyniósł tosty i ciepłą herbatę.

Pojawia się więcej klientów, żeby poczytać gazetę albo spotkać się z przyjaciółmi. Jest zimny lutowy dzień, ale dopiero po wyjściu na zewnątrz, żeby zmieść chodnik, co robi co godzinę, dostrzega, jak przyjemnie jest w środku, gdzie powietrze przesycone jest zapachem wanilii, cynamonu i espresso. Uśmiecha się do siebie. Kawiarnia jest dokładnie tym, o czym

marzyła. Jest w niej jak w niebie, to miejsce, gdzie można przyjść i po prostu być – to tyczy się i jej, i klientów.

Jest w trakcie przygotowywania gorącej czekolady, gdy widzi, że w progu pojawia się Sophie.

– Hej! – mówi z uśmiechem i wskazuje na wolny stół przy ladzie. – Rzadko widuję cię w weekendy.

Uśmiech Sophie jest trochę cierpki. Nie patrzy Jane w oczy. Jane czuje ucisk w żołądku. Szybko rozgląda się po kawiarni: klienci siedzą ze swoimi zamówieniami, teren czysty. Jude, gdy zauważa Sophie, kiwa głową na Jane – *idź, porozmawiaj, ja sobie poradzę* – dlatego przygotowuje cappuccino dla przyjaciółki. Sophie nigdy nie płaci. I nie płaciła. Przestała próbować.

– Przyniosłam ci cappuccino – mówi Jane, przesuwając kubek po blacie. – Przepraszam, nie pomyślałam. Wypijesz?

Sophie kręci głową.

– Nie, wybacz.

– To ja przepraszam. W takim razie co, herbata? Mam rumianek.

– Nie trzeba. Jest okej, dziękuję. – Sophie odwraca wzrok, ale nie patrzy na nic konkretnego.

Do Jane dociera, że nie wie, co powiedzieć. Zwykle zaczynają rozmawiać i tematy im się nie kończą, aż jedna z nich patrzy na zegarek i krzyczy: *O Boże, to już ta godzina?*

– Chcesz croissanta? – pyta. – Czekoladowego? Z rodzynkami? Wcześniej zjadłam jednego z szynką i serem i myślę, że to mi uratowało życie.

Sophie ponownie kręci głową.

– Carl zrobił pełne angielskie śniadanie. – Głos ma spięty, twarz poważną. Ściskanie w brzuchu Jane nasila się.

– Zazdroszczę – próbuje jakoś nawiązać kontakt, ale jest zdezorientowana. – Zjadłabym takie. Dzisiaj jest ze mną naprawdę źle. – Gdy Sophie nie odpowiada, Jane trajkocze dalej. – Pewnie jesteś dzisiaj zadowolona z siebie, zero kaca. A w ogóle to jak się tu znalazłaś? Carl dał ci wolny ranek?

– Powiedziałam, że muszę wyjść na miasto po parę ciężowych rzeczy. – Sophie bierze łyk cappuccino, mimo że powiedziała, że go nie chce. – W sumie to zaczął zabierać Kyle’a na poranne zajęcia na basenie, więc miałam cały dom dla siebie.

– Pięćdziesiąt dzieciaków w wieku do pięciu lat w jednym basenie – mówi Jane. – To powinno wyrównać poziom pH wody.

Sophie się nie śmieje. Jane myśli sobie, że to zabawne, jak w zatłoczonej kawiarni, gdzie w tle gra muzyka, nadal jest w stanie słyszeć ciszę.

– Więc... poznałaś Lexie – zaczyna niepewnie Sophie. Dalej nie patrzy bezpośrednio na Jane.

– O, tak, poznałam. – Jane dostrzega jakieś paproszki na blacie. Zbiera je opuszką palca i wyciera o ścierkę.

– I?

– I co?

Polubiłaś ją?

Jane patrzy na swoją przyjaciółkę i wydyma dolną wargę.

– Jeszcze jej nie znam. Ale tak, jest bardzo... żywiołowa.

A co ona, cocker spaniel?

Sophie bierze kolejny łyk napoju, kakaowa posypka przywiera do jej górnej wargi. Musi ją czuć, bo wyciera usta serwetką. Jej brwi znowu mają swój zwyczajny kolor. Ale co to ma wspólnego z tym wszystkim...

– Chodzi o to, że zadzwoniła do mnie wczoraj. – Sophie wzrusza ramionami i ciągle wpatruje się w kubek z cappuccino. – Powiedziała, że byłaś dla niej niemiła.

– *Co?*

– Powiedziała, że przy barze, gdy przyszła pomóc z drinkami, byłaś bardzo nieuprzejma. Wręcz wrogo nastawiona, tak dokładnie powiedziała. Muszę przyznać, że zauważyłam, że byłaś trochę... oziębła, gdy podeszła przytulić cię na pożegnanie. Powiedziała też, że gdy wyszłaś, chciała z tobą porozmawiać, ale ją zignorowałaś i odeszłaś.

Usłyszała słowa, ale ich znaczenie jeszcze do niej nie dotarło. To wypowiedź godna czternastolatki. „Ona powiedziała”. To coś na miarę nastolatki z filmów o liceach, które Jane ogląda czasami ze *Scarlett*. Próbuje spojrzeć przyjaciółce w oczy, chce się upewnić, czy mówi poważnie. Wygląda na stanowczą, ale nadal wpatruje się w swój napój.

– Och, nie – odpowiada Jane najspokojniej, jak potrafi, mimo że czuje się niesamowicie dezorientowana. – Nie byłam dla niej niemiła, poważnie. Nie zrobiłabym czegoś takiego. W ogóle mi coś takiego do głowy nie przyszło. Po co miałabym być niemiła?

Jej przyjaciółka znowu wzrusza ramionami.

– Powiedziała, że byłaś sarkastyczna. I pasywno-agresywna. – Sophie nadal nie podnosi wzroku. Jane wręcz korci, żeby chwycić ją za brodę i zapytać, kim

jest i co zrobiła z jej przyjaciółką. Ale przede wszystkim strasznie łomocze jej w głowie.

– Zażartowałam sobie – mówi, nachylając się tak, żeby Sophie ją słyszała. – Nazwała Kyle’a Kylee, a ja zażartowałam o... wiesz, Kylie Minogue. Wiesz, jaka jestem. Na pewno potrafisz wyobrazić sobie, jak mówię coś takiego, prawda? Nie miałam przez to na myśli nic złego. Chciałam być zabawna, nic poza tym. To nie miało w sobie nic z agresywności i pamiętam, że powiedziałam, że nie mówię poważnie. To brzmiało bardziej jak nieudany żart. Nie przytuliłam jej na pożegnanie, bo nie znam jej tak dobrze. Co dalej... Gdy zobaczyłam ją potem na zewnątrz, powiedziała, że czeka na taksówkę, a ja odpowiedziałam coś w stylu *super* albo *dobranoc, do zobaczenia*, czy coś takiego. Nie pamiętam dokładnie, ale na pewno jej nie zignorowałam. Pożegnałam się i poszłam do domu. – Przecież to okej, że poszła do domu. A może Lexie chciała, żeby wyciągnęła śpiwór i spała przy niej, aż przyjedzie jej taksówka?

Sophie podnosi na chwilę wzrok, ale od razu spuszcza go z powrotem na kubek.

– Nie wiem.

– Nie wiesz? – Głos Jane drży nieznacznie. *Jesteś moją przyjaciółką, chce powiedzieć. Powinnaś wiedzieć.*

Sophie ciągle nie nawiązuje z nią kontaktu wzrokowego.

– Słuchaj, lubisz ją. – Przeciąga słowa. – To się liczy. Ja jej nie znam. Chyba myślałam... *Chyba* myślałam, że to za wcześnie, żeby zapraszać ją na piątkowe drinki, to tyle. Ale to żaden problem...

– Widzisz. – W oczach przyjaciółki błyska coś, czego nie jest w stanie nazwać. – Nie lubisz jej! Od razu się zorientowałam.

– Nie to powiedziałam. – Jane rozgląda się po kawiarni, świadoma tego, że ludzie podsłuchują. Jude obsługuje starszą parę, która mieszka w apartamentowcu za główną ulicą, i zaprasza ich do stolika. Jane zniża głos. – Mówię tylko, że zawsze byliśmy we cztery. Łączy nas wspólna historia, nic poza tym.

– A ja mówię, że nie dałaś jej szansy. Jest zabawna. A nawet *bardzo* zabawna. Wie, jak dobrze się bawić. Czasami potrafi zachowywać się... szokująco, ale jest młoda, prawda? Powinnaś zobaczyć jej Instagrama. Po prostu wow, wiesz? Jest młodsza od nas. A ci młodszy wszyscy tacy są, prawda? Ale szczerze, jest świetna, zawsze ma dla mnie czas i jest niesamowicie hojna.

Dlaczego Jane odnosi wrażenie, że właśnie usłyszała całą listę zarzutów o to, jaka ona nie jest? Nagle nie jest wystarczająco zabawna, nie zachowuje się

szokująco, nie jest wystarczająco młoda? A czy przez hojność Sophie ma na myśli bycie bogatą? Przez cały okres trwania ich przyjaźni Jane zawsze pracowała na pełen etat, a już szczególnie zajęta była, gdy remontowali kawiarnię. Nie może poświęcić godzin na spędzanie czasu z przyjaciółką i nie ma pieniędzy na koktajle z szampana czy skórzane torebki, te podrobione i prawdziwe. Nigdy nie patrzyła na siebie przez pryzmat tych rzeczy, ale teraz to robi. Jej szczodrość jawi się w małych rzeczach – kawa za darmo, zabawne wiadomości albo historie, robienie za nią, tego typu rzeczy. To zawsze wystarczało. Aż do teraz.

– Nie wyszła przeze mnie – mówi. – Prawda?

Sophie w końcu patrzy jej w oczy i marszczy brwi.

– Steve potrzebował jej w domu. Ale zadzwoniła do mnie później. Jane, ona była naprawdę smutna. Nie możesz po prostu ignorować jej uczuć.

– Nie robię tego! Przykro mi, że była smutna, naprawdę. Nie zamierzałam jej zasmucać, przysięgam.

– Po prostu myślę... – zaczyna Sophie. Zdaje się wahać, ale postanawia kontynuować. – Wydaje mi się, że ten tydzień był dla ciebie ciężki, to tyle.

Jane nagle jest niesamowicie gorąco i czuje, że zaczyna się pocić. Pod pachami zbiera się wilgoć, kark ją swędzi, w twarz uderzają fale ciepła. Ta sprzeczka to lekka katastrofa. I choć mówią spokojnie, jest świadoma, że ludzie oglądają się w ich stronę. Dociera do niej, że nie ma pojęcia, jak na to odpowiedzieć.

– Cóż, w każdym razie – mówi dalej Sophie – Lexie chce zorganizować dla mnie bociankowe. Mam nadzieję, że nie masz z tym problemu.

Jane marszczy brwi.

– Oczywiście, że nie mam. Widziałam wiadomość na WhatsAppie, ale...

– Ale co?

– Cóż... dla Kyle'a nie organizowałam bociankowego. Pamiętam, że powiedziałaś, że to dziwne oczekiwać, że ludzie przyniosą prezenty dla nienarodzonego dziecka tylko dlatego, że uprawiałaś seks z mężem. – Pamięta, jak ją to zabolalo, z wielu powodów.

Sophie robi się różowa na twarzy.

– I co z tego? Czy ty mnie teraz *osądzasz*?

– Nie! – Jane czuje narastającą panikę. – Ani trochę. Jeśli chcesz bociankowe, wyprawimy je. Jestem pewna, że to świetna zabawa. Po prostu myślałam... W sumie to nie wiem, o czym mówię. Nie mam nic przeciwko przyjęciom

bociankowym, ale... to zdaje się nie być w twoim stylu. Ale może się myłę, nie ma w tym nic złego. Może...

Może co? Może nie zna Sophie aż tak dobrze, jak myślała. Może Sophie nie pokazywała jej tej części siebie. Może się zmieniła.

Jej przyjaciółka zsuwa się ze stołka i staje naprzeciwko Jane. Policzki ma czerwone, oczy jej się szklą. Unosi głowę, lekko przymruża powieki.

– Może *chciałam* wyprawić bociankowe dla Kyle'a.

– Co? – Jane czuje, jak coś się w niej skręca.

– Może po prostu czułam się *niekomfortowo* z organizowaniem go.

Jane brakuje słów. Nawet gdyby wiedziała, co powiedzieć, jest już za późno. Sophie wychodzi szybkim krokiem z kawiarni ze spuszczoną głową i czerwonymi uszami.

Niekomfortowo, myśli Jane, patrząc, jak przyjaciółka przechodzi przez ulicę. *Czuła się niekomfortowo przeze mnie.*

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jane

Trzeba wyczyścić trzy stoliki. Na podłodze leży owijka od babeczki, dookoła walają się okruszki. Robi się coraz dłuższa kolejka do kasy. W metalowym dzbanku bulgocze i syczy mleko. Jane zabiera go od Jude'a, zanim mleko się wygotuje.

– Zbieraj zamówienia – mówi. – Przepraszam za to.

Jude przyjmuje pieniądze i przekazuje jej zamówienia. Jane przygotowuje je na autopilocie, robią trzy, cztery, pięć naraz. Flat white na mleku owsianym, chai latte, dwie klasyczne latte i espresso macchiato. Dzbanek drży w jej rękach. Podaje kawy klientom, świadoma, że to robi, i jakimś cudem się przy tym uśmiecha. Gdy ruch się uspokaja, Jude bierze wielką tacę i sunie między stolikami niczym na rolkach. Brudne kubki i talerze znikają z nich z prędkością, z jaką Frankie zestrzeliwuje cele w swoich grach komputerowych. Jane, walcząc z zawrotami głowy i silną potrzebą płaczu, czyści spieniacz do mleka z większą siłą niż jest do tego potrzebna. Trzęsie się od stóp do głów.

Nigdy się tak nie pokłóciła z przyjaciółką. Ani w szkole, ani w pracy, nigdy i nigdzie. Przez te ponad pięć lat, odkąd zna Sophie, ta czasami zwracała jej uwagę na małe rzeczy i od czasu do czasu bywała humorzasta, może nawet zdarzało jej się rządzić, ale nigdy nie odwaliła czegoś takiego, czymkolwiek to było. Gdy poznały się na pierwszych zajęciach Jane z Runner Beans, emanowała czystą dobrocią. Zrównała się nawet tempem z Jane, mimo że biegała o wiele szybciej, a teraz, po tych wszystkich latach, Jane nie ma wątpliwości, że musiało być to dla niej naprawdę trudne, bo z natury jest osobą, która uwielbia rywalizować. Później Jane odwiozła ją do domu vanem Frankiego.

– Mój Boże, van! – powiedziała Sophie, wsiadając do środka i z radością poklepując siedzenie. – Zawsze chciałam się takim przejechać. Twój mąż jest pracownikiem fizycznym?

– Cóż, z zawodu jest księgowym, ale nienawidzi pracy biurowej, dlatego się przekwalifikował i został hydraulikiem. Gdy był młodszy, pomagał swojemu

tacie, więc wiedział już co nieco. Lubi ruch, przenosić się z miejsca w miejsce. I lubi naprawiać rzeczy, pomagać ludziom, wiesz?

– Tak, jasne. Ale super! Carl nie umie nawet wymienić bezpiecznika. Tak, pracuje w IT, ale nie ma zielonego pojęcia o komputerach. Dlatego jest prezesem, ha.

Siedząc w vanie zaparkowanym przed willą w stylu wiktoriańskim, z podjazdem, na którym stało czarne audi, rozmawiały tak długo, że zaczęły drzeć, pokryte wystygłym potem. Jak na ironię, Sophie dopiero co straciła dziecko, a mimo to emanowała pewnością siebie. Gdy zaczęła płakać, Jane objęła ją, powiedziała, żeby się nie smuciła, że to z czasem przejdzie. Rozmawiały o tym przez jakiś czas i choć Jane nie powiedziała o swoim problemie w domu – ani najlepszym przyjaciółom, a już zwłaszcza matce – oraz postanowiła nie informować nikogo w klubie, jaki był prawdziwy powód jej dołączenia do grupy, wyznała wszystko Sophie, mimo że dopiero ją poznała.

– Och, biedactwo – powiedziała Sophie, w jej oczach znowu pojawiły się łzy. – To straszne.

– Nie mów nikomu. Nikt o tym nie wie.

– Oczywiście. – Patrząc jej głęboko w oczy, Sophie pokręciła głową. – Nie pisnę ani słowa.

Jane już żałowała, bo zdała sobie sprawę, że powiedziała o tym tylko po to, by nawiązać bliską znajomość, w dodatku martwiła się, że przywłaszczyła sobie ból Sophie i obróciła sytuację tak, żeby chodziło o nią.

– W każdym razie – kontynuowała – chciałam tylko powiedzieć, że skoro raz zaszłaś w ciążę, to jest szansa na kolejną. Jest nadzieja.

– Tak, oczywiście.

– Poronienia są bardzo częste, zwłaszcza gdy chodzi o pierwszą ciążę. Jedna z moich klientek za pierwszym razem poroniła, a teraz ma czwórkę dzieci. Zarzeka się, że ma ich za dużo. Posłała swojego faceta na wazektomię.

Sophie się zaśmiała.

– No. – Jane przerwała ciszę. – Dołączyłam do Runner Beans, żeby pomóc sobie... po tym wszystkim.

Sophie, która trzymała Jane za obie ręce, przewróciła oczami.

– Jedyne powód, dla którego zapisałam się do klubu, to powstrzymanie moich cholernych ud od rozrastania się. Serio, odkąd wyszłam za mąż, rośnie mi tyłek. Jeśli nie będę uważać, Carl zostawi mnie dla innej.

Wtedy Jane wierzyła, że Sophie żartowała. Nikt już tak nie myślał, prawda? Frankiego w ogóle nie obchodziłby rozmiar jej tyłka, tak jak jej nie obchodził

piwny brzuch, który hodował – kochali się bez względu na wszystko. Bóg wie, że napatrzyła się na matkę, która pokładała wszelkie nadzieje w zatrzymaniu faceta swoim wyglądem, kiedy to jej kradzieże i chłanie do nieprzytomności sprawiały, że od niej odchodzili, a nie te kilka dodatkowych kilogramów.

Jednak teraz, gdy sprząta i wyciera blaty, to wspomnienie nabiera kształtu. Sophie jest teraz o wiele szczuplejsza niż była, i bardzo wysportowana. Tak jakby jej ciało było własnością Carla i jeśli będzie nosiło znaki użytkowania czy niedoskonałości, wymieni ją na kogoś innego. Wtedy Jane nie widziała tego w ten sposób. Wymieniły się numerami, a tydzień później Sophie zaprosiła ją i Frankiego na spotkanie, które organizowała.

– Zbieram ludzi – powiedziała z ironicznym uśmiechem, a Jane znowu uznała to za żart, jednak teraz, tuż po sprzeczce, nie była tego taka pewna.

Gdy dotarli z Frankiem na spotkanie, od razu dostrzegli, że reszta gości była zamożniejsza, nosiła ubrania od projektantów i lepsze buty, ale byli uprzejmi i umieli się bawić. To właśnie tam miała okazję porozmawiać z Kath oraz Hils, które również poznała w grupie Runner Beans. Dowiedziała się, że też były bogate, ale bardzo trzeźwo myślące, zabawne i bezpretensjonalne. Zanim się zorientowała, stała się częścią ekipy z piątkowych drinków, a Frankie wychodził z ich „drugimi połówkami”. Sophie to zrobiła. Dla niej. Sophie dała jej tę grupę kochanych przyjaciółek, do których tak bardzo się przywiązała.

A to oznacza, że Sophie może jej to odebrać.

Jane nie śpi dobrze. Kłótnia wraca do niej urywkami. Czy w czasopismach kobiecych piszą coś na temat sprzeczek z najbliższą przyjaciółką? Jako dwudziestolatka kupiłaby je bez zastanowienia. Jednak z tego, co teraz wie, są warte tyle co Instagram i Facebook. Stworzone przez diabła, zaprojektowane tak, by sprawić, żebyś czuła się niewystarczająca.

Następnego ranka pisze do Sophie:

Hej. Przepraszam, że wczoraj sprawy wymknęły się spod kontroli. Jest mi naprawdę przykro, że zasmuciłam Lexie. Nie było to moim zamiarem. Czasami dziwnie się zachowuję w towarzystwie. Oczywiście, że bociankowe to świetny pomysł! Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku. Xx

Jadą razem z Frankiem do Shere, gdzie zabierają Desa na długi spacer, rzucając mu co jakiś czas niewidzialną piłkę, komentując jak zawsze, że to wspaniałe, że już jej nie gubią, śmiejąc się z tego, jak głupi jest ich pies i jak bardzo go kochają. Ale Jane cały czas błądzi myślami gdzie indziej. Sophie jej

nie odpisała, co może oznaczać, że jest zajęta – tyle że ona zawsze siedzi na telefonie i od razu odpisuje.

W takim razie celowo ją ignoruje. Wypina się na nią.

– Hej – mówi Frankie. – Jesteś bardzo milcząca. Wszystko w porządku?

– Jasne. Ciągle przetwarzam wieści od Sophie, wiesz? I żałuję, że zrobiłam ten test.

Po części to prawda. Właśnie dlatego zaprzestali prób zapłodnienia. Każdy zawód wiązał się z przejściem całego procesu rozpaczy – nikt nie jest w stanie tak żyć. Gdyby miała być szczerą, bardziej jednak męczyła ją sytuacja z Lexie, ale teraz zastanawia się, czy za każdym razem, gdy ktoś podzieli się z nimi radosną nowiną o ciąży, to ona i Frankie będą zamykać się w swoich oddzielnych światach wypełnionych bólem. Powinni o tym rozmawiać. Ale żadne z nich nie chce zacząć tematu z tym drugim.

W drodze do domu sprawdza telefon. Wciąż nic. Z każdą godziną czuje się coraz bardziej niepewnie. Może i nie była zbyt uprzejma dla Lexie. Nie wstała, żeby ją przytulić, gdy wychodziła. Nie porozmawiała z nią, gdy czekała na taksówkę.

Ale nie, Lexie sprawiła, że poczuła się zagrożona. Zmonopolizowała czas jej najlepszej przyjaciółki i od razu wywołała między nimi napięcie.

A może wcale jej nie zmonopolizowała. Może Sophie zajmowała się nią, bo była nowa, lekko zdenerwowana. Może Jane powinna była więcej z nią rozmawiać, bardziej się starać.

Zanim kładzie się do łóżka, jeszcze raz sprawdza telefon: ciągle nic. Ani słowa od przyjaciółki, która jeszcze tydzień temu odpisywała od razu. Ta zmiana jest bardzo widoczna. Niepokojące, jak samotna się przez to poczuła.

Nadchodzi poniedziałek, a Jane nadal nie otrzymała wiadomości od Sophie. Czuje się z tego powodu coraz bardziej niekomfortowo. To bardzo nieprzyjemne. I zdaje się czymś o wiele większym niż być powinno. W dodatku stało się tak szybko. Zastanawia się, co myślą Kath i Hils. W piątek wyglądały na śmiertelnie znudzone, gdy Lexie psuła dobry nastrój, opowiadając historie o sobie i mówiąc źle o innych kobietach.

Z drugiej strony, Kath i Hils nie widziały, jak zachowała się przy barze, prawda? Nie widziały tego, jak miażdżyła ją wzrokiem. Nie wiedzą, że Lexie skarżyła się Sophie na Jane ani że Sophie z nią teraz nie rozmawia. Może w tym wszystkim, co Sophie powiedziała podczas kłótni, jest ziarno prawdy? Miniony tydzień był ciężki. Faktycznie. Informacja o ciąży Sophie naprawdę ją

zasmuciła. Może rzeczywiście była przewrażliwiona, zdystansowana, sarkastyczna. Może nie powinna była wychodzić z nimi w piątek. Może powinna była spędzić więcej czasu na przetwarzaniu tej informacji. Może spotkanie Lexie po tym, jak Sophie przekazała dobrą nowinę, przechyliło szalę.

Tak, może była trochę niemą. Tylko trochę.

W kawiarni panuje spokój, więc Jane sprząta na błysk wszystkie półki i lodówki, a do domu wraca brudna i zmęczona. Jej mąż już śpi. Zjada tosta, stojąc przy blacie w kuchni, idzie pod prysznic, a o dwudziestej drugiej kładzie się do łóżka.

We wtorkowy poranek, gdy nadal nie widzi odpowiedzi od Sophie, znowu do niej pisze. Potrzebuje kilku podejść, żeby dobrać odpowiedni ton:

Hej. Dostałaś moją wiadomość? Wpadniesz dzisiaj? Dobrze byłoby porozmawiać, zanim pójdziemy do klubu. X

Zwłaszcza, myśli sobie, jeśli Lexie tam będzie. Jane nie sądzi, żeby była w stanie zmierzyć się z Lexie i Sophie, jeśli wcześniej nie porozmawia z tą drugą.

Kilka godzin później dostaje odpowiedź: *Jasne. Postaram się przyjść.*

Postara się przyjść. Tak jakby był to dla niej jakiś wysiłek, jakby nie robiła tego co tydzień. Jane nienawidzi siebie za to, że dostrzega brak całusa na końcu wiadomości. Co jest, ma dwanaście lat?

Nadchodzi popołudnie, a Sophie się nie zjawia ani nie daje jej znać w wiadomości, że nie dotrze. Jane zamyka kawiarnię i jedzie do domu zamyślona, zastanawia się, czy napisać do niej jeszcze raz. Duma podpowiada, żeby tego nie robiła. Ale tu nie powinno chodzić o dumę, prawda? To nie jest konkurs, nie grają przecież na punkty.

Hej, pisze znowu. Tym razem kilka razy zaczyna i kasuje wiadomość. Szkoda, że nie przyszłaś do kawiarni. Będziesz później w klubie?

Zalewa ją granicząca z ekstazą ulga, gdy widzi podskakujące kropki. Sophie odpowiada od razu, tak jak zawsze to robiła.

Ale jej odpowiedź jest niczym cios w brzuch.

Tak. Lexie przyjeżdża po mnie o dziewiętnastej.

– Jasne – mówi Jane do siebie, nagle pozbawiona tchu. – Jasne.

Nie ma już co do tego wątpliwości – po ponad pięciu latach bliskiej przyjaźni Sophie jest dla niej oziębła.

– Jasne – powtarza Jane, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Nie ma opcji, żeby teraz poszła na zajęcia. Spotkanie z Sophie i Lexie, które przyjadą razem, będzie dla niej jak zasadzka. Nie czuje się wystarczająco silna,

zeby stawić temu czoła. Potrzebuje więcej czasu na to, żeby ułożyć sobie w głowie wszystko, co związane z ciążą Sophie i ewidentnym wprowadzaniem zamieszania przez Lexie, zanim zaryzykuje, że narobi problemów, tak jak to widocznie zrobiła w piątek.

Wysłała na grupę żartobliwą wiadomość, tak żeby nie wyglądało to tak, jakby czyniła jakieś uwagi. Bo nie chce tego, po prostu nie jest w stanie tam iść.

Hej, dziewczyny! Zgadnijcie, kto naciągnął sobie ścięgno na spacerze z psem! Podpowiem Wam: ja! Wracam w przyszłym tygodniu. Nie zapomnijcie się rozgrzać i dobrze się bawcie! J xx

Później, gdy idzie się położyć, dostaje wiadomość na WhatsAppie. Lexie napisała na *Piątkowych Drinkach*.

Hej, ekipo. Świetnie było Was dzisiaj spotkać. J-J, przykro mi, że nie mogłaś przyjść, ale chcę tylko powiedzieć, że razem z Sofes postanowiłyśmy wyprawić bociankowe 13 kwietnia. Zaplanujcie to sobie w kalendarzu! Juhu!

Super, przychodzi odpowiedź od Hils.

Zapisane, pisze Kath.

Sophie wysłała pojedyncze serduszko.

Jane wpatruje się w telefon. Nie może iść na to bociankowe. Nie da rady. Mowy nie ma. Prędej wsadzi sobie pinezkę w...

Telefon zaczyna dzwonić. *Lexie Lane*. Lexie do niej dzwoni? Co jest, do cholery?

– Tak?

– Janie, kochanie. Cześć, tu Lex.

Janie. Kochanie.

– No – odpowiada Jane. Zamyka oczy i przygryza wargę. – Cześć, Lexie. Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko jest w jak najlepszym porządku, kochana. Po prostu chciałam szybko przedzwonić, bo wiem, że Sofes jest zbyt kochana, żeby wykonać telefon. Chciałam powiedzieć, że naprawdę mam nadzieję, że przyjdiesz na przyjęcie. Wiem, że Sofes będzie zasmucona, jeśli się na nim nie pojawi, a uważam, że *ktoś* powinien coś zorganizować, bo potrzebuje teraz wsparcia przyjaciółek. Wiesz, o czym mówię?

– Jasne – odpowiada Jane, wstrząśnięta. Lexie zadzwoniła do niej, żeby powiedzieć, jak być przyjaciółką dla jej własnej przyjaciółki. Czy właśnie to się tutaj dzieje?

– Wiem, że się posprzeczałyście – dodaje Lexie – ale ona się uspokoi, wiesz o tym. A tak między nami, nie sądzę, żeby Carl wspierał ją tak, jak powinien.

Dlatego uważam, że musimy tam dla niej być.

Jane otwiera usta, ale nie jest w stanie wymyślić, co powiedzieć. Nie przychodzi jej do głowy ani jedno słowo.

– Janie? Jesteś tam? Mogę na ciebie liczyć, kochana?

– Ja... eee, ja... – duka Jane, kręci się jej w głowie. – Pewnie. Oczywiście. Po prostu nie miałam czasu na to, żeby odpowiedzieć, nic poza tym. Zobaczyłam wiadomość dosłownie chwilę temu.

– To świetnie. Powiem Sofes. Wiem, że bardzo to doceni. – Lexie wzdycha z zadowoleniem. – Do zobaczenia w piątek! Dbaj o siebie, kochana. Paaa.

Połączenie zostaje zakończone. Chwilę później Jane stoi w ciemności na schodach, wpatrując się w telefon. Nie ma pojęcia, co się właśnie stało. Pokonuje powoli stopień po stopniu i idzie do kuchni. Nalewa sobie szklanek wody, siada na stołku, czeka, aż minie zamroczenie, aż obniży się poziom adrenaliny, a serce wróci do normalnego rytmu.

Myśli. Podsumowuje. Wszystko to, żeby mieć pewność, że nie traci zmysłów.

Sophie skarżyła się Lexie po ich kłótni.

Lexie uprzejmie wysłuchiwała mowy o problemie, który sama spowodowała.

Lexie właśnie zadzwoniła, stawiając się w roli najlepszej przyjaciółki Sophie, żeby powiedzieć Jane – *Janie* – żeby nie martwiła się tym, że *Sofes* się złości, jakby chciała załagodzić sytuację.

Zrobiła to bez choćby krzty świadomości, że to ona jest źródłem problemu.

Gdy Jane odgrywa tę krótką rozmowę w swojej głowie, docierają do niej kolejne rzeczy i osiadają niczym warstwy kurzu. Ta kobieta znalazła się w jej życiu zaledwie kilka dni temu – *kilka dni*. A teraz Jane została zmuszona przez nieznaną do uczestnictwa w przyjęciu, które – wnioskując po skrycie agresywnych sugestiach Lexie – sama powinna zorganizować, bo *Sophie potrzebuje teraz wsparcia przyjaciółek*.

Nie ma drogi wyjścia. Lexie użyła emocjonalnego zastraszenia, by sprawić, żeby się zgodziła przyjść na przyjęcie, o którym nie jest w stanie myśleć, choć wie, że teraz musi się na nim pojawić. Bo jeśli zrobi zamieszanie albo powie, że nie przyjdzie, sytuacja stanie się jeszcze bardziej napięta. A jeśli jej relacje z Sophie się pogorszą, przyjaźń się rozpadnie, przez co ćwiczenie z Runner Beans i chodzenie na piątkowe drinki stanie się zbyt niezręczne. Nie będzie więcej życia towarzyskiego, zabawnych przyjaźni. Dojdzie do tego, że zacznie przechodzić na drugą stronę ulicy, by unikać niezręcznych sytuacji, z daleka będzie witać ludzi, z którymi kiedyś była blisko. Bo teraz jej miejsce w grupie osób, które tak uwielbia, zależy od obecności na przyjęciu.

Wow.

Wypija wodę duszkiem. Powoli mija dezorientacja, która towarzyszyła jej od kilku dni. Jest ofiarą mistrzowskiej manipulacji. Możliwe, że Sophie także nią jest. Podróbka Christiana Diora, koktajle, a teraz bociankowe. Czy nie to nazywa się bombardowaniem miłością? Jane czytała o tym jakiś czas temu w jednym z dodatków do gazety. Stało się to tak szybko, że aż zaparło jej dech w piersi. A teraz, cokolwiek Lexie planuje dla Sophie, Jane jest częścią tych planów. Rzecz w tym, że choć nienawidzi słowa, którym Lexie rzuca tak swobodnie, słowa, które kiedyś przywiązane do kamienia wpadło do salonu mieszkania jej i matki, to ona właśnie stanie się *tym słowem*, jeśli nie pójdzie na to przekłete bociankowe.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Frankie

Natasha dzwoni do niego kilka tygodni później, we wtorek. Już prawie zapomniał o tym spotkaniu w pubie, ale rozpoznaje jej imię, gdy się przedstawia swoim niskim głosem. Brzmi na pewną siebie i jakby trochę flirtowała.

– Pamiętasz mnie? – pyta ze śmiechem. – Rozlewaczkę piwa z Wimham?

Frankie śmieje się.

– Oczywiście. Wszystko u ciebie w porządku?

– W jak najlepszym, dziękuję. Chciałam zapytać, czy nadal możesz przyjechać i obejrzeć moją łazienkę?

– Pewnie, oczywiście. Żaden problem.

Zgadza się, żeby zadzwonić do niej następnego dnia po pracy, i prosi o przesłanie adresu. Gdy się z nim nie kontaktuje, zaczyna myśleć, że może zmieniła zdanie, ale następnego ranka w jego skrzynce pojawia się adres w drogiej części Barnes, podpisany inicjałem T, co przez chwilę go dezorientuje, ale dochodzi do wniosku, że pewnie chodzi o *Tashę*. Czuje, że na jej wspomnienie się rumieni. Nie był nią zainteresowany, nie chodziło o to, ale pozwolił sobie na odrobinę flirtu, a w świetle dnia czuje się przez to nielojalny. Wszystkie wiadomości utrzymuje w tonie biznesowym, bo nie chce, żeby sobie coś pomyślała. Nigdy, ale to nigdy nie zrobiłby czegoś takiego Jane.

Dziękuję. Powinienem dotrzeć po osiemnastej. Frank Reece.

Od razu pisze do Jane, żeby nie zapomnieć:

Cześć, kochanie. Wrócę później. Jadę wycenić łazienkę w Barnes. Xx

Dom jest naprawdę wielki. Zaprojektowany w stylu nowoczesnym, podzielony na duże sześciany, ze sporą ilością szkła i wspornikami, które wyglądają na dąb, cedr bądź inne bardzo dobrej jakości drewno. Przed domem rośnie rząd przystrzyżonych na okrągło drzew, palm, paproci, pośród tego wszystkiego znajduje się jakaś srebrna kula, ale nigdzie nie ma róż, niczego ładnego. Na podjeździe nie stoi żaden samochód, dlatego parkuje vana i wyskakuje, a żwir chrzęści pod jego butami.

Słyszy rozlegający się w środku dzwonek. Wraz ze zmierzchem zapaliły się zewnętrzne światła. Wyobraża sobie, że włączają się automatycznie. Rzucają delikatną pomarańczową poświatę, która pojawia się, zanim w ogóle zdajesz sobie z tego sprawę. Wszystko jest gustowne w bardzo subtelny sposób, a Frankie wie, że takie wyczucie przychodzi wraz z pewnością siebie i pieniędzmi, czymś, co jego bogatsi klienci zdają się mieć w genach.

Może się założyć, że druga połówka Natashy nosi swatcha. Albo w ogóle nie nosi zegarka.

Nie, to strasznie seksistowskie. Natasha może być prezeską albo...

Drzwi się otwierają. Na jej widok Frankie niemal przeprosza. Musiała chyba zapomnieć, że jest z nim umówiona, bo nie jest ubrana, nie tak jak trzeba. Ma na sobie buty Ugg, jedwabne różowe szorty z białym obszyciem i szary top, którego ramiączko zsunęło się z jednego z jej ramion. Nie ma stanika. Jest opalona od stóp do głów. A może po prostu taki ma kolor skóry, może cała jest ciemniejsza, poza tymi dzikimi oczami jak u husky'ego albo wilka.

– Powiedziałaś, żebym przyjechał – mówi po chwili. – Trochę się spóźniłem, wybacz. Powinienem był najpierw zadzwonić.

– Nic się nie stało – odpowiada z uśmiechem i odsuwa się, żeby wpuścić go do środka. – Obawiam się, że będziesz musiał chwileczkę poczekać, mam na sobie strój domowy. Właśnie piłam wino. Napijesz się?

Jest dziewiętnasta, a on ma za sobą dwanaście godzin pracy. Oczywiście, że chce się napić wina. Nie powinien, ale jedna lampka nikogo nie zaboli. Poza tym nie chce być nieuprzejmy. Ten dom i jej wygląd sprawiają, że jest trochę nerwowy.

Zanim zdejmuje pierwszy but, ona idzie w głąb domu. Gdy zdejmuje drugi, znika za rogiem białego korytarza.

Zamyka drzwi i kuśtyka za nią – stopy zaczynają mu pulsować, czując wolność w spoconych skarpetkach. Ogląda się za siebie, przerażony, bo na podłodze dostrzega wilgotne odciski swoich palców. Rozważa cofnięcie się i założenie butów z powrotem, ale przecież nie może łązić po jej domu w zakurzonych butach roboczych, prawda? Powinien był jechać do domu i się przebrać, założyć czystką koszulkę i spodnie, ale na to już za późno.

Znajduje ją w supernowoczesnej kuchni zrobionej na wysoki połysk, z meblami w kolorze gołębiej szarości, której okna wychodzą na ogród. Tylna ściana prawie cała jest zrobiona ze szkła. Na zewnątrz na kamiennych płytach rozlewają się plamy światła, rzucając na krzewy i konary drzew białą poświatę. Ta sama poświata pada na sześciany, które odzwierciedlają projekt domu. Ich

środek jest zasypyany ziemią, posadzono w nich kolczaste rośliny. Na samym końcu, skryty za paprociami, stoi domek letni. Ta sceneria wygląda jak żywcem wyjęta z programu dokumentalnego Davida Attenborougha. Domek zbudowano na obniżonym terenie, prowadzą do niego schody, jakby to była oddzielna posesja. Jest większy niż parterowy dom jego rodziców w Sunbury, albo tej samej wielkości. Z tyłu rozciąga się smukły prostokąt idealnej trawy, a na niej ustawiona jest kolejna kula, wielkości małego słonia. Potrzebuje kolejnej sekundy, żeby zdać sobie sprawę, że jej powierzchnia to w rzeczywistości podświetlona woda.

– Ładne miejsce – mówi Frankie, gdy Natasha wręcza mu kieliszek wina, na które w sumie się nie zgodził. Kieliszek jest rozmiarów balona – musi w nim być pół butelki. Będzie je popijał z uprzejmości. Nie dokończy go.

– Wybacz, że mojego męża nie ma. Gareth często pracuje w rozjazdach, więc obawiam się, że będziesz to musiał zrobić ze mną. – Patrzy mu prosto w oczy, choć jej spojrzenie nie jest tak intensywne jak wtedy w pubie.

Na linii jego włosów zbiera się pot. Tamte przekomarzanki były fajne, ale były tylko tym – nieszkodliwą rozmową w zatłoczonym pubie w piątkowy wieczór. Uznał, że była tak samo pijana jak wszyscy dookoła, myślał, że dzisiaj będzie zachowywać się bardziej profesjonalnie. Odślania bardzo dużo ciała. Ogrzewanie musi być rozkręcone na maksa, bo w środku jest strasznie ciepło. Nie sądzi, żeby jej strój był przeznaczony dla niego. Pewnie po prostu lubi taki luźny styl w domu. Nie ma takiej opcji, żeby ubrała się w ten sposób z jego powodu.

– Chodź, usiądź – mówi i rusza przed siebie, w stronę korytarza.

Bierze duży łyk schłodzonego wina – jest wytrawne, przynajmniej tak mu się wydaje, choć nie pija białego wina, więc nie jest do końca przygotowany na nutę agrestu czy czego tam jeszcze. Podąża za nią i wchodzi do salonu tak wielkiego, że jest podzielny na sekcje – trzy sofy tworzą podkowę skierowaną w stronę telewizora rozmiarów stołu bilardowego, kawałek dalej stoi fortepian, a w kolejnej części znajduje się stół z dwunastoma krzesłami. Dwie ściany to praktycznie same półki z książkami, które schodzą się ze sobą. Tak samo jak w kuchni, tutaj tylna ściana to również same okna, które wychodzą na rozległy ogród.

Natasha siada na końcu sofy i poklepuje miejsce obok siebie.

– Siadaj!

Bierze kolejny łyk wina, przez cały czas obawia się, że jego stopy śmierzdzą. Żałuje, że nie założył z powrotem butów i że nie zapytał, gdzie może umyć ręce,

które się lepią. Żałuje, że w ogóle się tu zjawił. Chyba nie do końca rozumie, co tu się dzieje.

– Zaraz muszę iść – mówi, siadając na końcu kanapy stojącej najbliżej wyjścia. – Zerknę tylko na łazienkę, dziękuję.

Natasha przekrzywia głowę, unosi brwi z rozbawieniem i prześmiewczo mu salutuje.

– Jasne, szefie – mówi. – Jesteś bardzo profesjonalny. – Wstaje.

Jest tak zdezorientowany, że wypija cały kieliszek. Ma wrażenie, jakby ją obraził. A to byłaby duża strata. Wnioskując po wyglądzie domu, zlecenie zapowiadało się na naprawdę dobrze płatne. Mógłby odrobić ten głupi zegarek, może nawet powiedzieć o nim Jane, a potem śmiać się z tego wydatku. Albo sprzedać go na eBayu, co i tak postanawia zrobić. Zaczyna nienawidzić tego cholerstwa – żółć tarczy pali go w oczy i tak jak ze słońcem, widzi ją nawet, gdy zamknie oczy. Widzi ten zegarek nawet wtedy, gdy chowa go do skrytki w samochodzie, na samym spodzie. Dostrzega, czym naprawdę jest ten przedmiot: smutnym świadectwem każdego jego błędnego osądu, przypomnieniem o jego głupocie, o tym, że żyje w nim malutki próżny człowiek, mimo że udaje, że nie obchodzi go status społeczny.

Wstaje w chwili, gdy Natasha mija go i zwinnym ruchem wyciąga kieliszek z jego dłoni. Pachnie świeżymi limonkami, a jej włosy przypominają mu mahoniowy stół jego rodziców.

Idzie za nią ze świadomością, że od samego początku tylko to robi: podąża za nią jak pies. Wróciła do kuchni. Widzi, że dolewa wina do kieliszków, tych wielkich kielichów, w których można byłoby trzymać złotą rybkę. Podnosi rękę, żeby ją zatrzymać, ale ona albo nie widzi, albo udaje. Bez słowa bierze od niej trunek. Po prostu będzie go trzymał. Przecież nie może go zmusić, żeby to wypił.

– Chodźmy do łazienki – mówi, otwierając szerzej oczy. Znowu ma wrażenie, jakby dawała mu reprimendę, słyszy niedopowiedziane: *skoro tak bardzo ci się spieszy*.

– Pewnie.

Natasha się śmieje. Frankie nie jest pewien dlaczego. Kobieta ogląda się przez ramię, kiwa na niego palcem, i mówi:

– Chodź za mną.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jane

W środę Frankie pisze, że się spóźni. Jedzie obejrzeć jakąś łazienkę w Barnes.

Okej, kochanie, odpowiada z poczuciem smutku – czeka ją kolejny samotny wieczór.

Znudzona, trochę samotna i świadoma tego, że ostatnio sporo myślała o matce, postanawia chwycić byka za rogi i do niej zadzwonić. Żałuje tej decyzji niemal w tej samej chwili, gdy ją podejmuje.

– Jane, to ty? Jasna cholera, myślałam, że umarłaś.

Panie i panowie, Victoria Preston. Moja droga matka.

– Nie – odpowiada spokojnie. – Po prostu jestem zajęta. Co u ciebie?

– Och, no wiesz.

Jane słyszy, że jej matka pije. Może to herbata, myśli, a potem dociera do niej, jakie to niesamowite, że po tych wszystkich latach nadal się łądzi.

– Więc – brnie dalej. – Co ostatnio robiłaś?

– Zaczęłam myśleć, że umarłaś. – Nie tylko się powtarza i nie udziela odpowiedzi, ale też bełkocze. Jane od razu zamyka oczy. To nie herbata. Na pewno nie pije herbaty.

– Obawiam się, że ciągle żyję – mówi spokojnie.

– Chris odszedł.

Chris?

– Wiesz. Ten ze sklepu ze sprzętem komputerowym.

Nie ma pojęcia, o kim mówi jej matka.

– O nie. Straszna szkoda.

– Krytykujący zarozumialec. Odszedł do instruktorki z pilatesu. Nie miałabym z tym problemu, ale to ja ich zapoznałam.

– Och. Lepiej ci będzie bez niego.

– Nie mylisz się. *W ogóle* się nie mylisz. – Jej matka bierze oddech, znowu pije. I zaczyna swój monolog.

Jane odsuwa telefon od ucha, ale trzyma go na tyle blisko, żeby wiedzieć, kiedy jej matka przestaje mówić, by wtedy wtrącić jakiś pomruk oznaczający, że jej słucha. Będzie gadać o tym samym, co zawsze: mężczyźni, nie da się z nimi wytrzymać, ale też nie można ich zabić. Kolejne siorbnięcie, dziwnie artykułowane słowa, gdy jej usta wciąż dotykają szklanki. Jane odsuwa telefon jeszcze bardziej, żeby odsapnąć, ale narastająca irytacja w głowie Victorii oznacza, że zadała pytanie. Przykłada telefon do ucha.

– Pamiętasz Donalda? – mówi jej matka. – Dyrektora?

W jej głowie pojawia się wspomnienie, gdy matka wciskała jej do ręki list. *Upewnij się, że go dostanie, słyszysz mnie? Dostarcz go osobiście.*

Pamięta twarde drewno drzwi, gdy pukała do jego gabinetu.

– Proszę wejść.

– Przepraszam, proszę pana. Mama prosiła, żebym to przekazała.

Ile miała wtedy lat. Czternaście? Okres buzujących hormonów i niemal paralizującej nieśmiałości. Końcówka dziewiątej klasy, chyba. Pan Dawes, dyrektor, siedzący przy biurku. Krzaczaste brwi zbiegające się nad okularami, poczucie obrzydzenia na myśl o tym, co wiedziała o nim i matce – myśleli, że nie słyszy dźwięków, które z siebie wydawali. Biurko zavalone stosami papierów z pozaginanymi rogami. Uczucie ulgi, gdy powiedział, że może iść. Kliknięcie zamka w drzwiach, gdy zamknęła je za sobą. Pałace twarz gorąco, gdy szła szkolnym korytarzem. Pewność, że została wykorzystana przez matkę do czegoś bardziej mrocznego, niż była w stanie zrozumieć.

Tydzień później, a może miesiąc – nie jest pewna – pan Dawes wprowadził się do ich domu.

– Mów mi Donald. – Zrastające się ze sobą krzaczaste brwi, plama na jednym ze szkielek okularów, lekkie mdłości, które będą jej trwale towarzyszyć. – Pan Dawes w szkole, Donald w domu, okej?

Ale tamtego lata się przeprowadzili. I nim lato dobiegło końca, Jane została przeniesiona do nowej szkoły. Matka powiedziała jej, że to było niekomfortowe dla Donalda, bo był dyrektorem. Obawiali się, że mogą dokuczać Jane. Nie martwili się jednak na tyle, żeby uprzedzić ją odpowiednio wcześniej. Trzy dni przed rozpoczęciem roku szkolnego matka położyła nowy mundurek na jej łóżku i powiedziała, że musi za to podziękować Donaldowi, bo za wszystko zapłacił, nawet za wyposażenie sportowe. Pamięta, że później zastanawiała się, czy miało to coś wspólnego z kamieniem wrzuconym do domu miesiąc albo dwa wcześniej. Zawsze podejrzewała, że to żona Donalda. Choć szczegóły są

niewyraźne, nie zamierzała niczego wyjaśniać, a już zwłaszcza z własną matką. Nigdy nawet nie zapytała, co się stało z ojcem.

– Pan Dawes – mówi. Celowo użyła jego nazwiska. Nie po to, żeby wbić matce szpilę, ale jednak czuje się odrobinę lepiej.

– Nie nazywaj go tak! Mieszkał z nami trzy lata.

Musiała mu to przyznać, wytrzymał dłużej niż pozostali.

– Więc mówisz, że go widziałaś? – Słyszy swój głos, pełen stanowczości, i nienawidzi siebie za to – ciągle nadzoruje matkę.

Po drugiej stronie słuchawki słyhać nalewanie cieczy do szklanki. Krótki strumień, żadnego szumu. Czyli wódka.

– Sotkałam go w nowym, jamutam, Morrisonie. Wygląda staro. Włosy ma sałe siwe, esz? Mówi, że się nie zmieniałam, ani trochę.

Cała sztywnieje. Jej matka zaczyna bełkotać.

– Znowu się z nim spotykasz?

– So? Nie. Nie naszaabym na niego jakby się palił. Nie... Był z jakąś sizia, mogłaby byś jego sórką. Mieszka w Chester, wielki pan. Ale, po so dzwonisz? W ciąży jesteś szy coś?

Dobre. Szpila prosto w splot słoneczny.

– Mamo? Słuchaj, Frankie jest na drugiej linii. Oddzwonię, okej? Tylko daj mi chwilę. – Rozłącza się z silnym poczuciem ulgi, po którym szybko przychodzi poczucie winy. Przerwała połączenie z matką. Tylko że powinna pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, matka nie będzie pamiętać, że taki telefon miał w ogóle miejsce, a po drugie, Jane odcięła się od niej wiele lat temu, zwłaszcza psychicznie. Tylko w ten sposób mogła ogarnąć swoje życie. Nie ponosi odpowiedzialności za to, jaka jest jej matka. Frankie ją tego nauczył. Frankie, och Frankie, gdzie on jest? Dochodzi dwudziesta pierwsza – powiedział, że to tylko wycena, a wycena raczej nie trwa tak długo?

Pisze do niego: *Hej, kochany, wszystko okej? X*

Żadnej odpowiedzi.

Ogląda Netflixa, trochę później wysyła kolejną wiadomość: *Wszystko w porządku? X*

Cisza.

Próbuje sprawdzić jego położenie przez aplikację, ale musi mieć wyłączony telefon, bo nie da się go namierzyć. To nic niezwykłego – jego telefon często się rozładowuje, bo zapomina go podłączyć na noc. Musiał dostać inne wezwanie. Kolejna osoba z zapchaną toaletą, przeciekającym brodzikiem, do wyboru, do koloru. Zawsze jest ktoś, kto potrzebuje go bardziej niż ona.

Zbyt nerwowa, by siedzieć beczynnie, włącza czytnik i kładzie się na kanapie, żeby przeczytać najnowszą część serii Kim Stone. Des mości się tuż obok, łeb kładzie na jej piszczelach. Tak samo jak lubi gonić za niewidzialną piłką, tak samo uwielbia czytać dobre kryminały. Z zamkniętymi oczami.

Mijają godziny. Kończy książkę, która była naprawdę wciągająca – na tyle, by odciągnąć jej myśli od zmartwień. Jest dwudziesta trzecia. Późno nawet jak na Frankiego.

To jeszcze raz ja, pisze. Podejrzewam, że dostałeś nagłe wezwanie, ale proszę, daj znać, że wszystko u Ciebie w porządku. Zaczynam się martwić xxx.

Nie powiedziała mu o dramie z Sophie i Lexie. Nie miała na to czasu. Nie jest nawet pewna, czy wspomniała mu o nowej znajomej. Nie chciała go obciążać, to na pewno, ale może jakaś jej część jest świadoma, że to, co teraz się dzieje, to typowe przepychanki w piaskownicy. Tyle że w szkole jej się to nigdy nie przydarzyło, a to przecież tam był prawdziwy plac zabaw. W czasach szkolnych miała dwie najlepsze przyjaciółki, Carlę i Penny, obie były cudowne. Widuje się z nimi naprawdę rzadko, bo obie wciąż mieszkają na północy i mają teraz dzieci, ale w szkole ciągle się wygłupiały, nawet gdy na horyzoncie pojawili się chłopcy. Słyszała wiele kobiet, które opowiadały, że ich szkolne lata to było piekło, ale dla Jane szkoła była ucieczką od piekła w domu. Tak, jakaś jej część zastanawia się, jak miałyby opowiedzieć Frankiemu o tym, co się teraz dzieje. Sama chyba nie jest tego do końca pewna.

Mogłaby zadzwonić do Kath albo Hils. Ale co by im powiedziała? *Lexie poskarżyła się Sophie, że byłam niemila i teraz Sophie ze mną nie rozmawia?*

Nie. Po prostu nie. Brzmiałyby śmiesznie. Nawet dla samej siebie brzmi dziecinnie. Gdyby ktoś ją skonfrontował, Sophie powiedziałyby, że była zajęta, i w dodatku skrytykowałyby Jane. Dlaczego Jane sprawia kłopoty? Jane przesadza. Jane jest zazdrosna. Jane jest małostkowa. Bo jej zachowanie naprawdę jest małostkowe. Tak, *dobija* ją, jak wiele nerwów kosztuje ją ta sytuacja, jak uwięziona się czuje i jak entuzjizm, który czuła na myśl o lubianych przez siebie rzeczach – wyjścia z Runner Beans czy piątkowe wieczory z dziewczynami – nagle wyparował.

Czy jedna osoba może coś takiego zrobić? Chyba nie?

Dostaje wiadomość. Podrywa się i mruga. Na ekranie telefonu widzi godzinę: 2:03. Frankie napisał.

BOŻE, przepraszam, kochanie, telefon mi padł. Nagłe zlecenie w Wimbledonie. Totalny koszmar. Jestem w drodze do domu. Xx

Zalewa ją poczucie ulgi tak silne, że wybucha płaczem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jane

Z nogami pod kołdrą jest jej za ciepło, na kołdrze – za zimno. Przygody kobiety po trzydziestce w trakcie menopauzy. W nogach łóżka chrapie cicho Des, jakby próbował jej o tym dodatkowo przypomnieć. Frankie niedługo będzie w domu.

Cały czas jest niespokojna. Gasi lampkę nocną, sięga po telefon i otwiera Instagram. Rozleniwiła się i od tygodni nie dodawała nic na profil Palonych Ziaren. Podczas procedury in vitro całkowicie wycofała się z social mediów na kontach prywatnych – tyle mogła zrobić, próbując żyć swoim życiem bez wpatrywania się w edytowane najlepsze momenty z życia innych ludzi. Nie pomagała świadomość, że to wszystko nie jest prawdziwe, a przynajmniej nie pomagała wystarczająco. Ostatnio wchodzi na Instagram tylko na konto firmowe. Odkąd kawiarnia wystartowała, umieszcza posty reklamowe i repostuje klientów na tyle uprzejmych, by zrobić zdjęcie idealnej flat white i ją pod nim oznaczyć.

Odkąd Sophie wspomniała o profilu instagramowym Lexie, Jane obiecała sobie, że nie będzie go przeglądać. Ale teraz, samotna i w ciemności, zmęczona, a także trochę zaniepokojona, nie jest w stanie się powstrzymać. Po wpisaniu *lexielane* wyświetla się kilka kont, które okazują się prywatne. Trzecie, należące do *lexielane1991*, ma miniaturkę osoby, która wygląda jak Lexie, i jest podpisane Alexandra Lane. 1991 musi oznaczać rok urodzenia. Cholera, jeszcze nie przekroczyła trzydziestki.

Jane wchodzi na jej konto.

Lexie Lane. Trzy serduszka, po których napisała: Miastowa dziewczyna. Podróżniczka. Wielbicielka życia. Pod spodem czyta: Piękno jest Prawdą, Prawda jest Pięknem. Tylko tyle musicie wiedzieć.

– Prawda pięknem – mruczy Jane, w głowie ma wyryty egzamin z angielskiego na koniec szkoły średniej. Lexie nie przypisała nawet tego cytatu do Keatsa, po prostu go tam wstawiła, jakby był jej mądrością. Czy to ma sprawić, że będzie wyglądała *mądrze*?

Pierwsze pięć zdjęć jest jak cios – wszystkie przedstawiają Lexie i Sophie, jedno z nich zrobiono podczas piątkowych drinków. Wygląda to tak, jakby nie było tam Jane, Hils ani Kath. Oznaczyła pub, oznaczyła Sipsmitha, oznaczyła Fever-Tree, a nawet Sophie. Boże, czemu nie oznaczyła rolki papieru toaletowego? Firmy mydła, kremu do rąk, który stoi w damskiej toalecie? Dalej są wymienione hasztagi: #damskiwieczor, #babskiwypad, #przyjacieletozłoto, #przyjaciolki. Jane nie czyta reszty.

Jedno jest z wieczoru z koktajlami: Lexie i Sophie, obie z uniesionymi kieliszkami, wymuskane i jakoś bardziej opalone, nie wspominając o tym, że młodsze. Pod spodem jest podpis: *S traci szampanowo-koktajlowe dziewictwo. Jeju, LOL.* Dalej dziesiątki hasztagów: #przyjaciolki, #koktajle, #najlepszeprzyjaciolki, #najlepszeprzyjaciolkinazawsze... Lista ciągnie się i ciągnie, a Jane tylko przebiega po niej wzrokiem.

Przewija dalej i przeklina samą siebie – jak mogła się tego nie spodziewać? Czy Sophie to widziała? Czy nie uznałaby tego za przesadę, że została oznaczona jako najlepsza przyjaciółka podczas czegoś, co wygląda jak pierwsze wspólne wyjście?

Gdy już przewinęła tę paradę miłości Sophie i Lexie, dalej widzi trochę wystylizowanych zdjęć Lexie w przeróżnych strojach, płaszczach, stroju kąpielowym. Wszystkie obrazy są wygładzone, kolory ciepłe i intensywne. Na żadnym nie widać całej twarzy Lexie. Wiele z nich robionych jest od tyłu, pokazują błyszczące karmelowe włosy, często zakręcone na końcach, a także idealne krągłe pośladki. Nie da się nie rozpoznać tej wspaniałej figury – długie nogi, atletyczne ramiona. Lexie ma tatuaż róży wielkości kubka do kawy na górnym lewym ramieniu – #tatuaże, #nowytusz, #roze, ciepłe podziękowania dla @daveinks, który prawdopodobnie jest autorem pracy. Na niektórych zdjęciach jej włosy są bardziej blond, na innych rudawe, nawet różowe...

W końcu znajduje takie, gdzie jest cała jej twarz, w przybliżeniu. Czerwone usta, wargi pełniejsze niż naprawdę, złożone do całusa. Idealnie pomalowane oczy mają intensywny zielony kolor, jak kiwi, nie jak prawdziwie zielone oko, w dodatku cerę ma tu znacznie gładszą, ale to na pewno Lexie – patrzy prosto na nią. Podpis: *Patrzę na Ciebie.* Hasztag... och, kogo to obchodzi?

Dalej znajduje więcej portretów tylko z częścią twarzy – ujęcie profilu, ust i brody, intensywnych oczu, które czasami są piwne, czasami niemal turkusowe, innym razem niebieskie z zielonymi akcentami. Tworzą zagadkę, drocą się z obserwującym: *Patrzę na Ciebie; Obserwuję Cię. Zobaczysz tylko to, co ja chcę pokazać, nigdy nie poznasz mnie naprawdę.* Jane podejrzewa, że

niewiele tam jest do poznania, że gdyby drasnąć powierzchnię, odsłoniłaby jeszcze więcej powierzchni. Ale to działa. Jej profil jest wręcz kuszący.

Ma też *mnóstwo* zdjęć kaw: mrożone latte, cappuccino, flat white, wszystkie zrobione z góry i z oznaczeniami, ku delikatnej irytacji Jane, @starbucksuk albo @caffenero.

Nie wyobrażam sobie poniedziałku bez porannej kawy, LOL! Tak brzmi jeden z podpisów.

Nie mogę powiedzieć, że umarłabym bez kawy, ale na pewno mogliby umrzeć inni, LOL! A tu kolejny. I wysyp hashtagów.

Są też koktajle, mnóstwo koktajli, w różnych kolorach. Niewyraźny zarys wejść do klubów, okazjonalne ujęcie umięśnionego i pokrytego tatuażami ramienia albo profil męskiej twarzy. Jane uznaje, że to Steve. Wszystkie mają jakieś urocze podpisy w stylu *To już czas na drinka, LOL!* albo *Drink z moim cudownym Panem Tajemniczym!*, okraszone emoji puszczającymi oczka, ślącymi buziaczki, a także tymi, które mają oczy w kształcie serc. Dalej oznaczenia barów, marek alkoholi, mnóstwo hashtagów... Serio, Jane mogłaby się czegoś z tego nauczyć.

Co jeszcze?

Tropikalna ryba. *Na wakacjach w Meksykuuuuuuuuu.*

Białe chmury widoczne za oknem samolotu. *Czas wracać do domu – smutna minka – do następnych wakajek!* – emoji puszczające oczko; #zagranicznepodroze, #wakacje, #ucieczkakusloncu. I tak dalej.

Znajduje zdjęcia jajek w koszulce na toście z awokado, pomidorków koktajlowych ciągle na gałązce, kulki lodów w pucharkach – #foodporn, #jedzenieinstagrama. To nie ma końca. Płatki róż w hotelowej wannie. Bąbelki w kieliszku szampana. Sylwetka umięśnionego mężczyzny na... czy to Brighton Pier? Ach, tak – *Brighton Rocks, LOL, #zycienaplazy.* Prywatny basen, #basenzewnetrzny, #plywanie; palce u stóp i fragment puchatego szlafroka – *dziękuję @orinthialondon, #dzienspa, #pedicure, #luksus;* potężny salon z telewizorem wielkości stołu do tenisa. Potem jest cały zbiór zdjęć wewnątrz – #niematojakwdomu, #pieknezycie, #zyciepelnebarw, #pieknedomy, i jeszcze dłuższa lista podobnych oznaczeń. Nowoczesna siłownia. Kolejna siłownia, znowu pięćdziesiąt hashtagów w stylu: #fitness, #miesnie, #idealneciala. Ogród przed wejściem do Hampton Court, wszystkie możliwe ogrodowe oznaczenia. Fragment pięknego domu, hashtagi poświęcone domom. Wielkie czarne auto – *Hej, Lex, nowa bryka? Kocham moją nową beemkę, dziękuję @bmw...* I tak

dalej, i tak dalej. Zbyt wiele oznaczeń do ogarnięcia, każde zdjęcie oznaczone i ohashtagowane do porzygu.

Jane przewija i przewija, wpada w przerażającą fascynację, której nie potrafi przerwać.

Kto żyje takim życiem? Kto tak bardzo je definiuje? Kto znajduje znaczenie w tym... wszystkim?

Wygląda na to, że Lexie Lane.

Sophie nigdy nie powiedziała, czym zajmuje się Lexie.

Jane podejrzewa, że właśnie tym. Może właśnie to robi. Jest młoda, młodsza – młodzi robią takie rzeczy, prawda? Dla nich to jak oddychanie. Ich życie toczy się właśnie tutaj, w tej rzeczywistości.

W takim razie co Lexie robi w prawdziwym świecie, spotykając się z grupą chodzących w adidasach kobiet, z których dwie są pewnie dwadzieścia lat od niej starsze, dla których superkurtką musi być przepuszczający powietrze płaszcz przeciwdeszczowy? Chociaż żadna z nich się tutaj nie pojawia, prawda? Może ma nadzieję wymazać je z prawdziwego życia, tak jak to zrobiła w internetowym. Sophie, najbardziej stylowa z nich, najbardziej nadająca się na Instagram, to ją wybrała Lexie.

A co z Sophie – teraz Sofes – która zawsze twierdziła, że nienawidzi Instagrama i *wszystkich tych bzdur* (dosłownie tak powiedziała)... co ją przyciągnęło? Sophie, której brwi wyglądały w piątek inaczej. Sofes, która teraz kocha koktajle z szampanem. Sophie/Sofes, która zbiera ludzi.

Nie. Nie może. Nie może zacząć tak myśleć. Sophie jest jej przyjaciółką, najlepszą przyjaciółką. Posprzeczały się, to tyle, jest zauroczona tą kobietą, ale to przejdzie. Na pewno przejdzie.

Sprawdza powiadomienia. Kawiarnia została oznaczona w trzech postach. Jedno zdjęcie przedstawia flat white na mleku owsianym, a zostało wrzucone przez jedną ze stałych klientek: *Najlepsza flat white w południowym Londynie*. Dalej są hasztagi z kawą i stylem życia. Wszyscy radzą sobie z social mediami znacznie lepiej od Jane. Może Scarlett mogłaby ją trochę podszkolić, gdy w kawiarni będzie spokojniej. Może pokaże jej jakieś sztuczki. Pisze podziękowania, sprawdza kolejny post – podwójne espresso macchiato z prostym: *Perfekcja @paloneziarna*. Trzecie oznaczenie znajduje się pod zdjęciem czegoś beżowego, co mogło być latte. Jane marszczy nos z obrzydzeniem. Ale podpis wprawia ją w ogromny szok: *Najgorsza #kawalatte na świecie. Nie chodźcie do @paloneziarna na Wimham High Street. Okropna obsługa. Nie polecam.*

– Co?

Konto nazywa się Gourmet on the Go. Zdjęcie profilowe to jagodowy muffin, tak przynajmniej wygląda. Na profilu nie ma więcej zdjęć, a kawa na pewno nie została zrobiona u Jane. Naczynia są złe, to po pierwsze. Po drugie, nie posiada takich obrusów, poza tym nigdy, przenigdy nie zaserwowałyby nikomu napoju w takiej formie. Widać, że mleko zostało przegotowane i zrobiła się z niego sama piana.

Nie ma czasu, by grzebać przy tym dalej, bo słyszy szcęk kluczy w drzwiach. Dzięki Bogu, Frankie.

Blokuje telefon i czeka, aż jedyny stuprocentowo pewny człowiek w jej życiu przyjdzie na górę i ją przytuli.

Ale mija piętnaście minut, a Frankie nadal jest na dole. Zniecierpliwiona i śpiąca jak diabli Jane idzie na dół, gdzie znajduje go w kuchni, z głową wspartą na rękach i do połowy opróżnionym kieliszkiem wina obok. Dziwne. On pije wino tylko przy jedzeniu.

Gdy wymawia jego imię, wzdryga się. Kiedy podnosi głowę i na niego patrzy, robi jej się słabo. Oczy ma przekrwione.

– Frankie? Boże, czy coś się stało?

Kręci głową. Marszczy całą twarz. W trakcie wszystkiego, z czym się zmierzyli, ani razu nie widziała, żeby płakał. Czuje palenie w brzuchu. Przemierza pomieszczenie, ale on wyciąga rękę, żeby się do niego nie zbliżała.

– Cuchnę – mówi z krzywą miną. – Siedziałem po łokcie w... wiesz. Muszę iść pod prysznic.

– Okej. – Chce powiedzieć, że ją to nie obchodzi, ale jego tak, dlatego daje mu przestrzeń. Nadal jednak coś jest nie tak. – Czy coś się stało?

Wypija resztę wina i krzywi się, jakby smakowało obrzydliwie. Jane zastanawia się, ile wypił przez ten krótki czas, odkąd wrócił do domu.

– Chodzi o ciążę Sophie? Jeśli tak, to ja już sobie z tym poradziłam, nie martw się.

– To dobrze. To dobrze, kochanie.

– Franks. Wyglądasz okropnie. Przpracowujesz się. Jesteś na nogach od ilu, osiemnastu godzin? Musisz nauczyć się odmawiać ludziom, okej? Nie musimy jechać w podróż. To było tylko... coś, na czym mogliśmy się skupić, gdy zbieraliśmy się do kupy. Mnie wystarczy kemping w Walii, jeśli tylko pojedziemy tam razem. Naprawdę. Nienawidzę widzieć cię takiego zmęczonego. Kiwa głową. Pociąga nosem.

Pozostają tak, w ciszy i ciemności, przez dłuższą chwilę, aż Jane wzdryga się z zimna, na co Frankie znowu pociąga nosem, siada prosto i zasłania oczy ręką.

– Bardzo cię przepraszam – mówi. – Kocham cię. Wiesz o tym, prawda?

– Nie masz za co przepraszać. Cięża Sophie to nie twoja wina, tak samo jak to, że zrobiłam ten głupi test. Ja ciebie też kocham, idioto. To oczywiste.

Frankie krzywi się, jakby powiedziała coś, co sprawiło mu fizyczny ból, i przez chwilę Jane ma wrażenie, że znowu zacznie płakać.

Ale on tylko szepcze:

– Tak bardzo cię kocham.

Z jakiegoś powodu robi jej się niesamowicie smutno.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jane

W piątkowy poranek w końcu dostaje wiadomość od Sophie: *Przychodisz dzisiaj? X*

Żadnej wzmianki o sprzeczce, o próbach Jane, by o tym porozmawiać, ani o tym, że nie odzywały się do siebie przez cały tydzień. Wygląda na to, że skończyła z ignorowaniem jej. Jane już nie ma przechlapane. Ulga, jaką przez to czuje, jest niemal przytłaczająca, tak samo jak poczucie zawodu wywołane właśnie tym, że jej ulżyło. Kiedy stała się taka żalosna? Powinna była powiedzieć Sophie i Lexie, żeby spierdalały, koniec. Kto w ten sposób olewa swoich przyjaciół, do cholery?

Ale Sophie zadaje pytanie: czy pojawi się na wieczornym spotkaniu?

Z obecną tam Lexie i biorąc pod uwagę to, że nie spotkała się z Sophie w kawiarni, żeby załagodzić sprawę, to ostatnie, co Jane chce zrobić, ale chyba musi się tam pojawić, w przeciwnym razie może to zostać odebrane tak, jakby unikała wszystkich. A jeśli Sophie i Lexie chcą udawać, że nic się nie stało, ona zrobi to samo.

Pewnie! Odpowiada. Do zobaczenia! X

Jane przychodzi później i planuje wyjść wcześniej. Nie będzie dużo pić. Nie może sobie pozwolić na utratę kontroli.

Pub jest zatłoczony. Hils i Kath siedzą już przy stoliku, ale nigdzie nie widzi Sophie ani Lexie. Jane miała nadzieję, że jeśli przyjdzie później, to będzie mogła jakoś pokierować sytuacją, wybrać miejsce, w którym usiądzie. Ale możliwe, że spotkanie z Hils i Kath tylko we trójkę może być dobre.

– Jane! – Hils uśmiecha się szeroko na jej widok. Kath już nalewa jej alkohol.
– Siadaj, kobieto. Gdzieś ty się podziewała? Tęskniłyśmy za tobą podczas biegania.

Po raz pierwszy od tygodnia Jane czuje coś na kształt szczęścia. *Tego* nie może stracić, dlatego za wszelką cenę będzie unikać awantur. Siada i bierze od Kath szklanę.

– Gońcie się – mówi.

– Goń się! – Kath i Hils śmieją się na ich toast, a Kath dodaje: – Zdrowie, kochana. Dobrze jest cię znowu widzieć.

Jane rozgląda się na boki.

– Sophie nie ma?

– Nie, chyba że chowa się pod krzesłem. – Hils wypija na raz chyba pół szklanki.

– Przynajmniej nie ma Lexie – wtrąca Kath.

– Tyle z tego dobrego – mruczy Hils tak, żeby wszystkie usłyszały.

Jane śmieje się z narastającym poczuciem nadziei. Wtedy rozlega się za nią piskliwy dźwięk.

– Przepraszamy za spóźnienie – mówi Sophie.

A teraz Sophie przesuwają się po ławce. Poły płaszcz rozchylają się, odsłaniając niebieską koszulę wypuszczoną na obcisłe dzinsy, co oznacza, że jej ubrania robią się już ciasne. Sophie zawsze, ale to zawsze wciąga bluzki i koszule w spodnie. Znowu ma brwi Martina Scorsese, a gdy pada na nią światło, Jane widzi grubą i ciemną warstwę podkładu. Policzki pokrywa ciemny róż. Oczy ozdabiają czarne kreski w stylu lat pięćdziesiątych, usta ociekają błyszczkiem. Włosy, zwykle rozpuszczone albo związane w luźnego koka, zostały wyprostowane i zakręcone na końcach.

Wygląda jak zupełnie inna osoba.

Wygląda... trochę jak Lexie.

– Wybaczcie, dziewczyny. – O wilku mowa. Ona także ma na sobie luźną niebieską koszulę – w sumie to identyczną jak tak, którą ma na sobie Sophie. Do tego założyła dzinsy z modnym rozdarciem na kolanie. Ależ dziwnie. – Ja ponoszę winę za nasze spóźnienie. Robiłam tej tutaj metamorfozę. – Wskazuje kciukiem na Sophie i przewraca oczami, jakby mówiła: *Czego się nie robi dla przyjaciół.*

Jane uśmiecha się najszczerzej jak potrafi. Nie wstanie i nie postawi kolejki, nie zrobi tego. Nie ma mowy.

– Kupić drugą butelkę? – Wstaje, jakby ktoś pociągał za niewidzialne sznurki. – Lexie, to samo co w zeszłym tygodniu? Sipsmith, prawda? Podwójny, oddzielnie fever-tree, dobrze pamiętam? – Uśmiecha się. Poradzi sobie. Będzie ponad to. Pokaże klasę.

Lexie niemal rzędzie mina. Kiwa uprzejmie głową, usta ma zaciśnięte.

– Tak, dziękuję.

Jane czeka. Sophie rozmawia z Kath, ale w końcu podnosi wzrok. Jane udaje się go nawet pochwycić.

– Lemoniada dla ciebie, Sofes? Jeśli chcesz, mogę poprosić o gazowaną. Możesz pić gazowane napoje, zgadza się?

– W sumie – mówi Lexie. – Poproszę Dziewicę Mary.

– Co? – Gdy dociera do niej, że jej pytanie mogło zabrzmieć niemiło, Jane zamyka usta i próbuje jeszcze raz. – W sensie, co to? Wybacz, nigdy nie słyszałam o takim drinku.

– Sok pomidorowy, kochana. Big Tom, jeśli go mają. Żadnej wódki. Ja... Dzisiaj nie piję. – Jane jest zdezorientowana, bo Lexie patrzy na nią z otwartą wrogością, jej oczy płoną niczym węgle, usta wykrzywione są w złośliwym uśmiešku, a to wszystko jest totalnym przeciwieństwem do jej tonu głosu.

Jane zerka na resztę dziewczyn, szuka świadków, ale te rozmawiają i nic nie widzą. Jej ciało przepełnia coś na kształt lęku. Cokolwiek się dzieje, jest gwałtowne, niechciane i niewidzialne jak wyciek gazu. Ale jeśli teraz wyjdzie, nie będzie mogła oczyścić atmosfery z Sophie. Poza tym, te kobiety są jej rodziną, przynajmniej czymś na jej wzór, i byłaby naprawdę głupia, jeśliby pozwoliła, żeby cholerna Lexie odepchnęła ją od przyjaciółek tym... niczym. Na tę chwilę nie ma możliwości, by pozbyć się tego przecieku, nie wyglądając przy tym na przewrażliwioną – a nawet trochę wściekłą.

Hils od razu podnosi wzrok.

– Wszystko okej, Jane? Potrzebujesz pomocy?

– Dbam o zdrowie! – Śmieje się Lexie, dotykając przy tym ramienia Jane. Zmiana zachodzi w niej w ułamku sekundy. – Trochę solidarności z Sofes, wiesz?

Jane także próbuje się zaśmiać, ale to, co opuszcza jej usta, bardziej przypomina westchnienie. Ma wrażenie, jakby zakończenia nerwowe w jej ciele zostały wystawione na silny wiatr.

– Sok pomidorowy – zwraca się do Lexie, unosząc oba kciuki. Następnie zwraca się do Hils: – Nic mi nie jest. Dzięki.

Wraca do stolika dziesięć minut później i stawia na nim załadowaną po brzegi tacę.

– Och, kochana – mówi Lexie. – Wzięłaś sos worcester i tabasco? – Nos ma zmarszczony, a głowę przechyloną na bok. – Wybacz.

– Jasne. Nie ma sprawy. Chwileczkę.

Gdy Jane po raz drugi dociera do baru, wie już na sto procent, że nie może zostać. Ta okropna kobieta zrobiła z niej kelnerkę.

Wraca do stolika z sosami, a Lexie odchrząkuje wtedy i uśmiecha się, po czym kładzie jedną rękę na obojczyku, a drugą zsuwa na brzuch.

W grupie zapada cisza. Właśnie w tej chwili Jane wie, po prostu wie, co Lexie zaraz powie. Lexie, która zamówiła sos pomidorowy, a teraz uśmiecha się skromnie i patrzy nieśmiało spod rzęs. Ale ona nie jest nieśmiała. Ani trochę. Przenosi wzrok na Sophie, a gdy mówi, zwraca się tylko do niej.

– Chciałam tylko coś powiedzieć. Podejrzywałam to już w zeszłym tygodniu, ale myślałam, wiesz, że mi się spóźnia. Jednak potem to potwierdziłam i tak bardzo chciałam ci powiedzieć, gdy we wtorek poszłyśmy na kawę, ale wciąż byłaś taka podekscytowana... Tak, chodzi o to, że...

Sophie zerka na rękę Lexie, która spoczywa na brzuchu.

– O mój Boże! – niemal wrzeszczy. – Ty też jesteś w ciąży?

Jane czuje pustkę w piersi. Zakrywa usta ręką, ma ochotę zwymiotować. Ale nawet jej nie mdli.

Lexie piszczy. Obejmują się z Sophie, kołyszą na boki, śmieją, płaczą, odsuwają od siebie, a potem ocierają oczy z łez i ponownie przytulają.

Czas spowalnia. Zanim którakolwiek z nich ma możliwość zareagować, a może przez to, że czuje, że nie wiedzą jak, Lexie puszcza Sophie, odwraca się do reszty dziewczyn i wysoko unosi szklanekę. – Chciałam wam tylko powiedzieć, że zarezerwowałam termin na nasze bociankowe, hura!

Sophie marszczy brwi.

– Nasze?

– Pomyślałam, że mogłybyśmy zrobić łączoną imprezę, wiesz? Prawda, kochana? Tak sobie myślaaaaaałaaaaaam... poczekaj, aż to usłyszysz. Zarezerwowałam – Lexie unosi jeden palec, a do jej oczu napływają łzy – pokój w Ritzu! – Piszczy cicho. – Podwieczorek, szampan, wszystko, co się da. Ja płacę, okej? Bez gadania! Zrobimy sobie porządny babski dzień, nasza piątka. – Promienieje, oczy ma lśniące od łez. Przykrywa dłoń Sophie swoją i patrzy na nie wszystkie. – Od początku jesteście dla mnie takie miłe – mówi, wolną ręką głaszcze się po karku. – Chciałam wam za to podziękować.

Na zewnątrz szaleje burza. Jane czekała, aż minie zamieszanie, żeby nie wyglądało to tak, jakby nie była podekscytowana. A nie była, oczywiście, że nie była.

– Przyjdiesz, Jane? – zapytała łagodnym głosem Lexie niedługo po przekazaniu im nowiny, patrząc jej prosto w oczy.

– Oczywiście – przytaknęła Jane. Kłamała, już szykowała wymówkę, którą wykręci się od przyjęcia, gdy tylko przyjdzie odpowiedni moment. – Dlaczego miałabym nie przyjść?

Lexie uśmiechnęła się w ten swój dziwny sposób i odpowiedziała:

– To dobrze. To super, kochana. Po prostu nie chciałam, żebyś czuła, że nie możesz się pojawić, wiesz?

Jane opadła szczęka. Zanim mogła odpowiedzieć, Lexie odwróciła się, położyła jedną rękę na swoim brzuchu, drugą na brzuchu Sophie. Zetknęły się czołami i zachichotały cicho. W tamtej chwili Jane oznajmiła, że jest jej niedobrze, bo wcześniej zjadła nieświeże tiramisu, po czym chwyciła płaszcz i wyszła.

Teraz czeka przed wejściem, patrzy, jak deszcz odbija się od chodnika. Trzy kobiety skrywające się pod wielką parasolką piszczą i wbiegają po schodach. Odsuwa się na bok, żeby mogły wejść do środka. W typowo brytyjski sposób wymieniają kilka zdań o pogodzie. Gdy odchodzą, ich śmiech niknie wśród panującego w pubie gwaru.

– Jane.

Odwraca się i widzi stojącą w progu Sophie.

– Och. Cześć.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Po prostu jest mi trochę niedobrze, a rano wcześnie wstaję. – Wpatruje się we wzór na dywanie, przedstawiający szkocką kratę w kolorach czerwieni, turkus, brązu.

– Przyjdiesz na bociankowe? – pyta Sophie.

– Oczywiście, dlaczego miałabym nie przyjść?

– Po prostu nie odpowiedziałas na wiadomość Lexie na WhatsAppie.

Czuje mrowienie skóry na potylicy.

– Przecież powiedziałam, że będę, przed chwilą, w pubie. W dodatku rozmawiałam z Lexie dosłownie kilka sekund po tym, jak wysłała wiadomość. Przez telefon. Powiedziałam, że przychodzę.

Pomalowane brwi Sophie unoszą się w szczerym zaskoczeniu.

– Rozmawiałaś z nią? Nic mi nie mówiła.

– Naprawdę? Och. Musiałaś pomyśleć, że jestem bardzo nieuprzejma. – Jane słyszy zgryźliwość w swoim tonie i szybko stara się jej pozbyć. – No, w każdym razie gadałam z nią przez telefon i dałam znać, że będę. Lexie powiedziała, że przekaże ci tę informację. Może zapomniała.

Sophie kiwa głową, chyba przyswaja te informacje.

– Posłuchaj. – Jane przerywa panującą między nimi ciszę. – Przepraszam, że się posprzeczałyśmy, okej? Jeśli byłam dla Lexie nieuprzejma, nie robiłam tego celowo, poza tym nie uważam, żebym taka była. Pewnie czuła się trochę niezręcznie, bo była nowa, i może miałaś rację, może ciągle nie byłam do końca sobą po tym, jak powiedziałaś mi o ciąży. Po prostu potrzebowałam trochę czasu, żeby przyswoić tę informację. – W jej słowach jest trochę prawdy. Ale tylko trochę. Przeszła przez o wiele gorsze rzeczy i jeśli jest na tym świecie ktoś, kto potrafi się uśmiechać, jednocześnie rozpadając się od środka, to właśnie ona. Czy nie to robi teraz, właśnie w tej chwili?

Sophie się uśmiecha.

– Przeprosiny przyjęte.

– To dobrze. – Z jakiegoś powodu Jane czuje się urażona.

– Chcesz jechać ze mną na bociankowe?

Lexie nie będzie miała nic przeciwko? Dusi w sobie te słowa.

– Jasne – mówi ostatecznie. – Byłoby miło. – Deszcz przestaje padać, zmiana na niebie natychmiast sprawia, że w pubie robi się jaśniej.

– Widzimy się we wtorek, prawda? – Sophie odwraca się, żeby wrócić do reszty.

– Jasne. Sofes?

Przyjaciółka zerka na Jane.

– Tak?

– Wiesz, następnym razem, jeśli będziesz zła, czy możesz ze mną po prostu porozmawiać? Jeśli zrobiłam coś nie tak, to na pewno nie celowo. – Nogi zaczynają jej się trząść.

Twarz Sophie robi się purpurowa.

– Okej, pewnie.

Domyślając się, że nie ma co liczyć na przeprosiny, Jane odwraca się i odchodzi. Jeszcze mży. Mija kolejne zabudowania, na lekko zachmurzonym niebie pojawia się tęcza. Powiedziała swoje, myśli. Było ciężko, ale wyrzuciłam to z siebie. Teraz powinno być lepiej. Czasami trzeba się postawić.

Przecież Lexie nie jest groźna, prawda?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jane

Marzec

Z jakiegoś powodu bociankowe zostaje przełożone dwukrotnie i teraz planowane jest na piątek, dwudziestego szóstego kwietnia. Kipiąc w ciszy ze złości, Jane po raz kolejny przestawia drugą zmianę w kawiarni. Ale jak przystało na osobę studiującą sztukę, Jude nie ma z tym najmniejszego problemu i prosi tylko o dodatkowe pieniądze na zaopatrzenie.

Biedny Frankie pracuje jeszcze dłużej i zdaje się być jeszcze bardziej zmęczony i zestresowany niż Jane. Ostatnio w ogóle ze sobą nie rozmawiają, co najwyżej wymieniają kilka zdań. Oboje starają się utrzymać na powierzchni. Jakby to była jakaś metafora, podłoga w kuchni się sypie. Wygląda jak drapak dla psa. I pewnie tym jest.

Przychodzi wtorek, a to oznacza trening z Runner Beans. Jane postanawia się na nim pojawić. Mija południe. Zastanawia się, czy Sophie znowu nie przyjdzie do kawiarni. Oczywiście, piętnaście minut przed szesnastą dostaje wiadomość: *Spóźnię się. Widzimy się na treningu x*

Jane walczy sama ze sobą, żeby nie zastanawiać się, czy Sophie jest teraz na kawie z Lexie, tak jak to było tydzień temu, o czym Lexie oczywiście poinformowała w pubie, gdy ogłaszała, że jest w ciąży. Albo to, albo przyjaciółka jej unika. Chyba nie o to chodzi? Przecież się pogodziły. To okropne uczucie w jej piersi to głupia zazdrość. *Na Boga, Jane, weź się w garść. Sophie ma wahania wywołane ciążą. Ma syna, którym musi zajmować się po całym dniu pracy, i męża, który często zachowuje się, jakby odbył podróż w czasie i przybył tu z roku 1950. Na świecie głodują ludzie, kobiety i dzieci są wyrzucane z domów, uchodźcy toną w morzu. A ty, Jane, po tych wszystkich bitwach, które stoczyłaś... na Boga, odnajdź swoją odwagę, zanim zwariujesz.*

Odpisuje: *Pewnie. Do zobaczenia. X*

Jest piętnasta pięćdziesiąt. W kawiarni nikogo nie ma, ale to jeszcze nie czas, żeby zamykać. Scarlett siedzi w kuchni i pakuje biscotti w celofanowe woreczki. Zrobiła trochę czekoladowych z daktylami, a Jane żałuje, że ich posmakowała –

są niczym ciastkowa kokaina. Szkoda, że nie może ich tak reklamować – zrobiłyby furorę. Zwłaszcza tutaj.

Drzwi skrzypią, a jej serce bije szybciej. To Angie, jej ulubiona klientka. Grubo po siedemdziesiątce, jako jedna z nielicznych pamięta to miejsce z czasów, gdy prowadzono tu warzywniak, jeszcze przed sklepem z kurczakami.

– Hej, Angie. Dawno cię nie widziałam.

– Witaj, skarbie.

– Jak się miewasz?

Młascze językiem. Nieznacznie przekrzywia białą głowę.

– Byłam w Walthamstow. U siostry. – Jej akcent z East End jest wyraźniejszy po całym dniu spędzonym wśród innych klientów, których akcenty z dzieciństwa dawno zaniknęły albo zostały porzucone. – Złamała biodro, głupia krowa. – Chichocze i siada na swoim ulubionym miejscu – w kącie, najbliżej okna, gdzie o tej porze dnia słońce świeci prosto na nią.

– To co zawsze?

– Poproszę.

– Miej tu na wszystko oko.

– Się robi, skarbie.

Jane wchodzi do kuchni, nastawia wodę i wyciąga czerwoną puszkę z Nescafé.

– Myślę, że tyle wystarczy, kochanie – zwraca się do Scarlett, która wygląda jak ucieleśnienie koncentracji w niebieskich rękawiczkach nitrylowych i z językiem wystającym spomiędzy warg. – Zawiąż wstążki, a potem leć do domu.

Scarlett patrzy na nią zmartwionym wzrokiem ponad szklami okularków.

Jane uśmiecha się szeroko.

– Zapłacę ci za pracę do siedemnastej, bez obaw.

– Dzięki, Jane. – Dziewczyna rumieni się i wraca do swojego zadania, przez co Jane czuje przypływ uwielbienia. Zajmowała się zwariowanymi synami Hils, kilka razy opiekowała się Kyle'em, ale Scarlett jest jedynym dzieckiem, które postukało w tarczę swojego zegarka i oznajmiło, że musi iść spać. Kath żartuje czasem, że gdyby cokolwiek jej się stało, chce, żeby to Jane wychowywała Scarlett. Jane zawsze odpowiada, że przyjęłaby ją w ułamku sekundy. Naprawdę by to zrobiła.

Podkrada kilka biscotti, puszcza Scarlett oczko i wraca do Angie.

– Proszę bardzo. – Stawia przed nią nescafé, a obok kładzie ciasteczka. – Czekolada i daktyle. Ostatnie dzieło Scarlett.

– Nie powinnam, naprawdę. – Angie moczy ciastko w gorącej kawie i odgryza kawałek. Od razu zamyka oczy. – Och, to jest niesamowicie pyszne. Ma talent.

– To prawda.

– Chryste Panie, usiądź wreszcie. Odsapnij przez kilka minut.

Jane śmieje się i siada. Dociera do niej, że jest nerwowa. Nie pomaga świadomość, że powód jej zdenerwowania jest głupi. Ani to, że zmierzyła się w życiu z gorszymi rzeczami. Mitem jest, że trauma nas wzmacnia. Załatanie pęknięcia nadal są pęknięciami.

– O co chodzi? – Angie się jej przygląda. Nie, ona ją bacznie obserwuje. – Nie jesteś sobą. – Zdejmuje z szyi robiony na drutach szalik w kolorze cytryny i zsuwa z ramion płaszcz z prawdziwego futra. Jane stara się być weganką, ale nadal niesamowicie podoba jej się to futro.

– Nic mi nie jest. To zmęczenie.

– Ktoś tu opowiada głupoty.

Jane się śmieje.

– Okej, nie jestem. Ale będę.

– Problemy z mężczyzną?

Kobieta w stroju sportowym przejeżdża chodnikiem na rowerze. Z przodu ma jaskrawoczerwoną przyczepkę, a w niej dwójkę małych dzieci. Krzyczy coś do zestawu głośnomówiącego – dociera do nich dźwięk, ale nie słowa. Angie przygląda się jej, po czym przenosi swoje zagadkowe spojrzenie z powrotem na Jane. – Powiedziałabym, że nie chcę się wtrącać – kontynuuje, unosząc tę część czoła, gdzie kiedyś miała brwi. – Ale tak naprawdę to chcę. To musi być ciekawsze od biodra Miriam.

Jane przygląda się przez chwilę starszej pani: patrzy na burgundowy kardigan, szarą, pobrużdżoną skórę byłej nałogowej palaczki, pomarszczone usta, dzisiaj pomalowane pomadką w kolorze koralowym. Ale nie może jej powiedzieć, z czym ma problem. Angie pochodzi z czasów, gdy to miejsce było bardziej... prawdziwe, gdzie marzyło się o lepszym świecie. Uzna, że to wszystko jest żałosne. Z drugiej strony, zawsze odwiedza ją wtedy, gdy kawiarnia jest pusta, żeby Jane mogła z nią usiąść i trochę porozmawiać.

– Nie chodzi o mężczyznę, nie – mówi Jane, decydując, że trochę jej zdradzi, ale nie będzie zagłębiać się w szczegóły. – Poza tym, że za dużo pracuje. Chodzi o przyjaciółkę. Nigdy wcześniej coś takiego mi się nie przydarzyło. I dlatego wybiło mnie to trochę z rytmu.

– Bliska przyjaciółka?

– Tak myślałam, tak. Poznała nową koleżankę, co jest oczywiście w porządku, ale teraz zdaje się, że wszystko, co robię, robię źle. Poszło o to, kto powiedział co do kogo i kto nie odpowiedział wystarczająco szybko na wiadomość na WhatsAppie. Gdy myślę o tym, co dzieje się na świecie, to wydaje się strasznie żałosne, wiesz? Nie wiem, dlaczego tak bardzo wytrąciło mnie to z równowagi.

– Myślisz, że twoje zachowanie jest żałosne? – Angie mruga swoimi jasnoszarymi oczami skrytymi za okularami, których szkła mają grubość denek do słoika. – Myślisz, że jesteście blisko, a potem zostajesz odstawiona na bok bez słowa wyjaśnienia dlaczego i bez uprzedzenia, że to się dzieje.

Jane myślała, że Angie przewróci oczami i powie, żeby to olała. Ale tego nie zrobiła.

– Dokładnie tak – mówi, nabierając odwagi. – Właśnie o to chodzi.

– Gdy mężczyźni się sprzeczą, to nie jest żałosne, prawda? Całe wojny zaczynały się przez spory o to, kto ma większego penisa, a nam wmawiano, że nie ma innego sposobu. Jak dla mnie tak bardzo cię to nurtuje, bo jest to coś tak małego. Myślisz sobie: *Moment, myślałam, że jesteśmy mądrzejsze*, prawda? A potem zastanawiasz się, czemu jesteś taka smutna, i myślisz, że nie możesz nikomu o tym powiedzieć, bo uznają, że ci odbiło.

– I że jeśli powiem to na głos, to będzie głupio brzmiało.

Angie wrzuca do ust ostatnie ciastko, ale to nie powstrzymuje jej od mówienia. W jej lewym policzku pojawia się gula, jak u chomika.

– Bagatelizujesz problem, prawda? Zastanawiasz się, czy w ogóle dobrze rozumiesz sytuację. Oczywiście, w życiu dzieją się gorsze rzeczy, ale kochanie, nigdy nie toleruj złych mężczyzn, przyjaciół i kawy. – Bierze duży łyk swojej nescafé i uśmiecha się z wdzięcznością.

– Kocham moje przyjaciółki – mówi Jane. – Są jak rodzina, z tą różnicą, że je wybrałam. – Śmieje się krótko. – Dołączyłam do tego klubu dla biegaczy, a one były takie zwyczajne i przyjacielskie, i aż do teraz było super, wiesz? Chodzi o to, że teraz przyszła ta nowa i jest trochę... Jest...

– Suka?

Jane się wzdryga.

– Tak myślę. Ale nie chcę w ten sposób myśleć, zwłaszcza że jest bardzo olśniewająca, wiesz? I bogata. A przecież nie o to chodzi w całym tym siostrzeństwie, żeby nazywać kobietę... tym słowem, tylko dlatego, że jest piękna, bogata czy co tam jeszcze. Wiem, że jestem raczej niechlujna, ale naprawdę nie mam problemu z ładnymi ubraniami, makijażem i tak dalej. Sama czasami dobrze się ubieram i maluję. Tak samo nie mam problemu

z bogatymi ludźmi. Nie kręcą mnie pieniądze ani kupowanie rzeczy. Wiesz, mam swoją vespę, którą kocham, i rower. I dom. Ale nie to mnie nakręca, wiesz, o czym mówię? Nie pokładam swojego szczęścia w przedmiotach. Przepraszam, gadam od rzeczy. Po prostu chodzi o to, że ona mnie irytuje. Nic nie mogę na to poradzić. Wkurza mnie nawet to, jak się ubiera. Czasami mam ochotę powiedzieć: wyluzuj, kochana, to tylko drinki z koleżankami, nie musisz zakładać tiary. Beznadziejna ze mnie feministka, prawda? Wstyd mi za to. Rzecz w tym, że była dla mnie naprawdę niemiła, ale tylko wtedy, gdy inni tego nie widzieli, i nakłamała o mnie mojej najlepszej przyjaciółka i teraz ona traktuje mnie strasznie chłodno. Już nie jesteśmy blisko, mimo że kilka tygodni temu byliśmy. A przynajmniej tak myślałam. – Ku swemu przerażeniu czuje, że do oczu napływają jej łzy.

– Dla mnie brzmi to tak, jakby chodziło o jej zachowanie, a nie o to, co nosi, skarbie. Dlatego nie martwiłabym się na twoim miejscu o kwestie siostrzeństwa.

– Dziękuję. – Jane pociąga nosem i ociera palcami skórę pod oczami. – Obie moje przyjaciółki ze szkoły wyglądają jak Kardashianki, a kocham je nad życie.

– No widzisz. Wygląda na to, że to ta kobieta powinna się wstydzić za to, jak niemiła jest dla ciebie. – Angie zaciska wargi tak mocno, że te całkowicie znikają. Wygląda na niesamowicie poważną. – Lubię myśleć, że znam się na ludziach. Widzę cię z dzieckiem twojej koleżanki i z facetem, który dostarcza ciasta, i z tymi wszystkimi klientami, którzy przychodzą tu z wrzeszczącymi dziećmi, które rozlewają swoje cholerne babycino na ich iPady. Cały dzień zajmujesz się ludźmi. – Kręci głową. – Nie lubisz słowa *suka*? Pozwól, że coś ci powiem. Dawno temu byłam częścią redakcji, która pracowała w podziemiu i wydawała feministyczne pisemko. – Śmieje się, wskazując na Jane. – Tego się nie spodziewałaś, co? Och, tak. Wzrost świadomości. Jakoś po pięćdziesiątce zostałam szczęśliwą singielką. To wtedy zastałam mojego Billa w łóżku z kobietą, która prowadziła sklep zoologiczny. Miała na imię Brenda. Brenda Gibbons. – Pochyliła się nad stolikiem, niemal agresywnie wskazując kościstym palcem na Jane. – Złota rybka, którą u niej kupiłam, przeżyła rok. Powinnam była się domyślić, że to zła osoba. Mówię tylko, że swoje przeszłam, i jeśli mówię, że ta kobieta jest suką, to nią jest. Po co nazywać coś narzędziem do kopania, jeśli to szpadel.

Jane śmieje się i czuje, jak mięśnie w jej plecach zaczynają się rozluźniać.

– Chyba masz rację.

– Kimkolwiek ona jest, jeśli sprawia ci kłopoty, przyślij ją do mnie. Skopię jej tyłek. Wiesz, nie miałabym nic przeciwko, gdyby ktoś rąbnął mojego Billa, ale gdyby ktoś tylko tknął moją Helen, pogoniłabym go z tasakiem. – Angie chichocze. – A wtedy miałam tasak. Mój Bill był rzeźnikiem.

Jane ociera oczy.

– Dziękuję, Angie. Udało ci się mnie rozbawić. Czy ciągle jesteście z Helen blisko?

Starsza pani odchyła głowę do tyłu. Gdy z powrotem przenosi spojrzenie na Jane, usta ma zaciśnięte, ale po chwili je rozluźnia i wzdycha ciężko.

– Straciłam ją. Będzie pięć lat. Rak.

– Och, tak mi przykro. – Jane kładzie rękę na ramieniu Angie.

Ku jej zaskoczeniu, starsza pani przykrywa jej dłoń swoją i poklepuje ją z czułością.

– Jaki jest sens w tym, by mieć przyjaciół, jeśli się nie kochacie? Drogi moje i Helen nigdy się nie rozeszły, ale gdy się sprzeczałyśmy, niesamowicie mnie to smuciło. Tylko dlatego, że nie jest miłością twojego życia, nie oznacza, że to nie jest miłość. I wcale nie oznacza, że gdy coś idzie nie tak, to nie będzie boleć jak cholera.

– Tak, dokładnie tak, masz rację. To *boli*. Boli jak cholera.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jane

Na parkingu Sainsbury, gdzie Runner Beans spotykają się, bo po dziewiętnastej można tam parkować za darmo, Hils i Kath już się rozgrzewają, rozmawiając z resztą bardzo różnorodnej grupy. Dzisiaj wieczorem zjawilo się około dziesięciu osób, mniej niż zwykle, ale jest zimno, naprawdę zimno.

Jane przypina rower i podbiega do nich, pocierając o siebie dłońmi i dmuchając w nie. Witają się ze sobą, po czym zaczyna rozgrzewkę.

– Sophie i Lexie jeszcze nie dotarły?

– Szczęśliwa parka na pewno niedługo do nas dotrze – mówi Hils. Razem z Kath chichoczą jak małe dziewczynki.

Jane nie ma pojęcia, jak na to odpowiedzieć, nie jest pewna, czy Hils mówiła to uszczypliwie – jej poczucie humoru jest zawsze dosyć szelmowskie. Postanawia to przemilczeć i kontynuuje rozgrzewkę w ciszy, podskakując w miejscu, by krew szybciej płynęła.

Kilka minut później Andrea Frost, przewodnicząca klubu, podchodzi do nich i mówi, że będą ruszać, bo niektóre dziewczyny zaczynają marznąć. Mogą rozdzielić się na dwie grupy i nadal być bezpieczne.

– Jasne, żaden problem – mówi Jane. – Poczekamy na spóźnialskie.

Reszta kobiet rusza, na początku powoli, w stronę parku, aż widać tylko ich odblaskowe kamizelki. Lexie i Sophie nadal nie dotarły.

– Wy dwie idziecie na bociankowe? – pyta Jane.

Hils wzrusza ramionami.

– *Sofes* zdaje się być zachwycona tą imprezą. Poza tym może będzie śmiesznie.

Jane ponownie ignoruje subtelny przytyk Hils.

– Wiemy, kto jeszcze idzie?

– Chyba tylko my – odpowiada Kath. – Ona dopiero się tu przeprowadziła, prawda?

Jane osuwa się niżej, rozciągając ścięgno udowe.

– Wiemy, skąd jest?

Kath kręci głową.

– Pojęcia nie mam. Nie rozmawiałam z nią sam na sam.

– Słowa się nie da wtrącić – komentuje Hils, po czym śmieje się krótko. – Skoro o tym mowa, nie kupuję drogiego prezentu – dodaje z irytacją. – Bez obrazy dla Sophie, ale nie można poczekać, aż dziecko się urodzi? W sensie, jesteś w ciąży, i co z tego? Nie da się tego porównać do wypchnięcia dziecka na świat, nie? Tak, zasługujesz na cholerny medal, nie wspominając o śpioszkach i pokrojonej w kostki kanapce. Nie próbuję być skąpa, ale ile prezentów potrzebujesz?

Kath się śmieje. Jane niemal do nich dołącza, ale ciągle towarzyszy jej dezorientacja i nie jest pewna, jak zareagować. Nie ma opcji, żeby myliła się co do nastawienia Hils wobec Lexie. I choć nie krytykuje Sophie bezpośrednio, nie jest to coś, co powiedziałyby jej w twarz. Ale to tylko Hils – ona nie ma przez to nic na myśli. Czym innym jest uważać przyjęcie za coś śmiesznego, a co innego znaczy nielubienie osoby, która je organizuje.

– Bociankowe jest czymś popularnym wśród młodych ludzi, prawda? – mówi Kath. – A Lexie jest po dwudziestce. Oni wszyscy żyją Instagramem, filtrami i całym tym super ekstra życiem. Jedna kuzynka zaprosiła mnie kiedyś na bociankowe. Było uroczko. – Pochyliła się i dotyka asfaltu bez uginania kolan. Ta kobieta to w dziewięćdziesięciu procentach guma. Jane jest świadoma, że przez to, że parę razy nie biegała, przybyło jej trochę centymetrów w pasie. Wczesna menopauza: dar, który niesie ze sobą więcej darów.

– Mam nadzieję, że będzie fajnie – mówi. – Poza tym nigdy nie przekroczyłam progu Ritza.

Hils rechocze.

– *Prawie* zabrzmiałaś przekonująco. Stara, jeśli nie chcesz, nie przychodź. Myślę, że to przereklamowane, w dodatku ty nawet nie lubisz dzieci.

– Lubię! Po prostu nie jestem w stanie zjeść całego naraz. – Żart niemal chroni ją przed osłabiającym łomotem w piersi. – Poza tym, Scarlett będzie moja, gdy tylko pozbędę się Kath.

– Och, Scarlett byłaby *zachwycona* – odpowiada matka dziewczyny. – Ziściłoby się jej największe marzenie.

Czarne audi Sophie wjeżdża na parking. Z jakiegoś powodu Jane uznała, że Lexie podwiezie Sophie swoim BMW z Instagrama. Ale nie.

– Cześć, dziewczyny! – Lexie kroczy dumnie – nie można tego nazwać inaczej – w ich stronę w niebieskich kamuflujących legginsach i pasującym do nich topie z opadającym ramieniem. Pod spodem ma fluorescencyjny pomarańczowy

stanik sportowy. Nijak nie jest to strój odpowiedni na tę pogodę. Białe buty do biegania są jak nowe. Wyglądają bardziej jak modny dodatek niż obuwie, które spełnia swoją funkcję. Są trochę wyższe, jakby na koturnie. Drży i wydyma wargi. – Mój Boże, ale zimno!

– W takim razie ruszajmy. – Kath podskakuje w miejscu, poklepując się po ramionach.

– Tak, startujmy – mówi Hils. – Odmarzają mi cycki. Cóż, odmarzałyby, gdybym je miała.

– Może dajmy Lexie i Sophie trochę się rozgrzać? – mówi Jane. – Jest strasznie zimno, nie chcemy naciągniętych mięśni.

– Jest okej, chodźcie. – Lexie już biegnie, naprawdę szybko, jakby się ścigały. Ale to nie jest wyścig.

Reszta rusza za nią. Jane czeka na Sophie, która właśnie zamknęła samochód i truchta w jej stronę. Ruszają spokojnie, powoli doganiając resztę.

– Co u ciebie? – zagaduje Jane. Biegnące przed nimi dziewczyny coraz bardziej się oddalają. Lexie musi narzucać diaboliczne tempo.

– Wszystko okej – odpowiada Sophie. – Jestem zajęta. Potwornie zmęczona.

– Nie przeciążaj się, dobrze? Nosisz cenny ładunek.

– Nic mi nie jest. Choć możliwe, że przerzucę się na pływanie, to mniej inwazyjne. Lexie mówi, że powinnam sobie odpuścić Runner Beans, bo mam złoty karnet, więc mogę też chodzić na basen.

– Racja. Dobry pomysł.

Zapada cisza. Nie jest niezręczna, nie do końca. Bardziej, jakby ktoś odłączył im aparat mowy. Ich spotkania zwykle sprawiały, że nie potrafiły się zamknąć, wtlaczały w nie życie, powodowały, że było zabawniejsze, bardziej interesujące. Ale nie dzisiaj. Biegną dalej; Jane słyszy ich oddechy.

Przed nimi rozlega się krzyk bólu.

Wymieniają spojrzenia. Biegnące z przodu dziewczyny zatrzymują się. Jane truchta razem z Sophie, aż docierają do miejsca, gdzie Lexie siedzi na ścieżce i trzyma się za kostkę.

– Auć – mówi. – Boże, boli. Chyba zwichnęłam kostkę.

Przynajmniej wyglądałaś modnie w tych butach. Jane zaciska szczękę, jakby te słowa już wyrwały się z jej ust.

– O nie – mówi zamiast tego. – Biedactwo.

– Nie ma sensu tak biegać – mówi Hils, wspierając ręce na biodrach. – Mogłabyś nabawić się poważnej kontuzji. Musisz wrócić do domu, nogę trzymać wysoko i zrobić sobie okłady z lodu.

Lexie wydyma błyszczącą dolną wargę. Jane dostrzega, że ma na twarzy pełen makijaż. Ma do tego prawo. To jest jej prawo. *Na Boga, Jane, stałaś się przez nią straszną jędzą.*

– Może powinniśmy zadzwonić na pogotowie albo... – Nie jest w stanie patrzeć bezpośrednio na Lexie albo Sophie. Nie jest też w stanie zażartować, żeby rozładować atmosferę, tak jak normalnie by to zrobiła. Nie ma odwagi. Lexie mogłaby to źle odebrać. A wtedy Sophie olewałaby ją przez kolejny tydzień.

– Powinam była się rozgrzać – mówi Lexie, rzucając Jane ostre spojrzenie, podczas gdy pozostałe dziewczyny są skupione na jej kostce.

– Podwiozłabym cię do domu, ale przyjechałam na rowerze, wybacz – pada z ust Jane. Oferuje swoją dobroć na autopilocie. I pod wpływem stresu. Pod ostrzałem. Stare nawyki.

– Ja cię zabiorę – mówi Sophie z nutą irytacji w głosie. Wysilek Jane, by nie czuć zadowolenia, jest czymś ogromnym, a to, że musi wkładać w to wysilek, wprawia ją w jeszcze większą frustrację. Do jasnej cholery, myśli Jane. Lexie jest jak znak „Dziesięć rzeczy lub mniej” przy kasie w supermarkecie. Cztery słowa, które uczynią z każdego człowieka złośliwca.

Lexie pociąga nosem i patrzy spod rzęs na Sophie.

– Czy możemy jechać do ciebie, kochana? Chodzi o to, że Steve’a nie ma w domu, a ja chyba nie powinnam być dzisiaj sama. Wiesz, w razie gdyby z nogą się pogorszyło.

– A nie mogę cię zabrać prosto do szpitala? – proponuje Sophie.

– Nie jest tak źle. Pojadę później, jeśli zaczniesz puchnąć czy coś. – Jane słyszy w niektórych momentach mocniejszy akcent. Ale u niej jest tak samo – akcent pojawia się i znika. To rezultat mieszkania w różnych miejscach i nie do końca udanego wysiłku, by odciąć się od przeszłości. Jaka jest przeszłość Lexie? Kim ona jest?

Kimkolwiek jest, Kath pomaga jej wstać, a potem przekazuje ją Sophie. Żegnają się i życzą Lexie szybkiego powrotu do zdrowia, ale na szczęście jest za zimno, żeby to przeciągać. Hils, Kath i Jane patrzą, jak Sophie prowadzi Lexie ścieżką. Obejmują się jak dwie pijaczki. Jane wie, że na ten widok powinna czuć ulgę. Lexie zniknęła – można zaczerpnąć oddech. Ale z jakiegoś powodu ma złe przeczucia. Znowu czuje, że zrobiła coś złego, coś, o czym jeszcze nie wie, ale zostanie za to ukarana. Jeśli nie teraz, to później. Ale nie, przecież nie była w pobliżu Lexie, gdy ta upadła.

Tym razem nie ma nic, o co ta kobieta mogłaby ją posądzić.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jane

Van Frankiego jest zaparkowany na zewnątrz. Gdy Jane zbliża się do domu, dostrzega, że okna salonu są czymś wysmarowane. Zmniejsza dystans i w świetle ulicznych latarni widzi, że to jajko. Czuje ucisk w piersi. Na parapecie i ziemi leżą skorupki jajek.

– Co?

Ktoś obrzucił jej dom jajkami. Kto? Dlaczego?

W środku włącza światło na korytarzu, prowadzi rower przez dom. Des przydreptuje do niej, dysząc lekko, i skacze na nią. Z wciąż szybko bijącym sercem i skórą ścierpniętą ze stresu odgania psa i zmierza w stronę tylnych drzwi, by wstawić rower do schowka.

Potem idzie do kuchni, a tam sięga po wiadro i napełnia je gorącą wodą, do której dodaje mydła. Dwadzieścia minut później bałagan jest posprzątany, ale ona nadal czuje się niepewnie. To pewnie dzieciaki. Nic nieznaczący żart. Nie wiedziały przecież, że te jajka ściągną stresujące wspomnienia.

Ale składając to do kupy z resztą wydarzeń, nadal było to coś strasznego.

Przygotowuje sobie syrop z dzikiego bzu i wypija go duszkiem, wsparta ręką o zlew. Des obchodzi kuchnię i obwąchuje podłogę, po czym kładzie się w swoim koszyku.

Jest dwudziesta trzydzieści. Frankie pewnie już śpi. Jest zawiedziona. Tak bardzo chciałaby, żeby tu był. Pomógłby jej posprzątać ten bałagan, zapewnił, że to tylko dzieci, tak samo jak ona sobie powtarzała. Dociera do niej, że ostatnio czuje się bardzo samotna. Frankie jest bez przerwy cholernie zmęczony. Cały czas. Chyba zaczęło się pogarszać, odkąd Sophie oznajmiła, że jest w ciąży. W jego oczach ciągle widać udrękę. Gdy mówi, jego głos jest cichszy, jakby stracił część siebie. Może mieć depresję? Musi z nim porozmawiać, może umówić wizytę z terapeutą. Podróż może poczekać. Musi. Wolałaby nigdy nie opuszczać tej wyspy niż widzieć go w tym stanie – obiecuje sobie, że go do tego przekona.

Właśnie ma iść na górę, gdy wibruje jej telefon. Leży na kuchennym stole i nieustannie wibruje. Przestaje w chwili, gdy po niego sięga. Podnosi urządzenie i widzi trzy nieodebrane połączenia od Sophie. Biorąc pod uwagę wszystkie dzisiejsze wydarzenia, zalewa ją fala przerażenia.

Oddzwania, gardło ma zaciśnięte.

– Sophie? Cześć, wszystko w porządku?

– Nie. Nie jest ani trochę w porządku. – Głos ma lodowaty.

Jane czuje ucisk w piersi.

– Och, nie – mówi z taką ilością współczucia, na jaką ją tylko stać, choć instynkt podpowiada jej, że Sophie wcale nie szuka współczucia.

– Nie wierzę, że kazałaś Lexie biegać bez rozgrzewki.

– Co? Ja...

– Dobrze wiesz, o czym mówię, Jane. Nie zgrywaj niewiniątka. Byłam gotowa odpuścić, że wypadłaś w piątek z pubu jak poparzona, ale próba zranienia Lexie to coś... To po prostu ostre przegięcie.

– Nie wypadłam z pubu jak poparzona. Wyszłam wcześniej, bo nie czułam się dobrze i musiałam wcześniej wstać. I nie spowodowałam kontuzji Lexie! To ja sugerowałam, żeby się rozgrzała. Powiedziałam, żeby to zrobiła, ale ona odpowiedziała, że nie ma takiej potrzeby i pobięła z pełną prędkością.

– To nie ma sensu. Lexie biegała z nami kilka razy, na pewno by tak nie pobięła bez rozgrzewki.

– A jednak to uczyniła. – Jane słyszy w swoim głosie twardą nutę.

– Hmm. No nie wiem. Wcześniej ani razu nic sobie nie zrobiła.

Podtekst jest jasny jak słońce. Lexie nic sobie nie zrobiła, gdy Jane tam nie było. Ścisła ją w piersi, serce nabrzmiewa ze złości. To są jakieś jaja. *Po co nazywać coś narzędziem do kopania, jeśli to szpadeł?*

– Posłuchaj, Sophie. Nie wiem, co ci powiedzieć. Już widzę, jak sabotuję kogoś w ten sposób. To nie jest w moim stylu, nieważne, jak bardzo kogoś nienawidzę.

– Och, więc przyznajesz, że jej nienawidzisz?

– Nikogo nie nienawidzę. Po prostu nie jestem w stanie znieść dramatów, to tyle. Wystarczająco tego miałam za dzieciaka, dobrze o tym wiesz. Przeprowadziłam się setki kilometrów, żeby się od tego uwolnić, ale to wygląda tak, że odkąd przedstawiłaś Lexie grupie, wszystko się... cóż, pogarsza.

Sophie wzdycha.

– Nie wiem, o co wam chodzi.

– *O co nam chodzi?* Sprawiasz, że brzmi to tak, jakbym w czymś uczestniczyła! Czy ty w ogóle słyszysz, co do ciebie mówię, czy słowa docierają do ciebie tylko wtedy, gdy wymawia je Lexie?

– O mój Boże! – Sophie szlocha, dosłownie szlocha. – To nie moja wina, że obie z Lexie jesteśmy... – milknie. *To nie moja wina, że obie z Lexie jesteśmy w ciąży.* To chciała powiedzieć. Te słowa wiszą między nimi. – Nic nie poradzę na to, że jest dla mnie taka miła. Po prostu się o mnie troszczy, nic więcej. Nie robi tego przeciwko tobie.

Naprawdę?

– Posłuchaj – mówi stanowczo Jane. – Cieszę się, że znalazłaś sobie przyjaciółkę, z którą możesz być w ciąży. Będziecie dla siebie świetnym wsparciem. Jesteście nim teraz i będziecie, gdy dzieci przyjdą na świat. Naprawdę nie mam z tym problemu, zaufaj mi. Wiem, że wiesz o mojej... sytuacji, ale to nie ma z tym nic wspólnego, okej? Nie wiem, co Lexie myślała, że powiedziałam, ale zasugerowałam, żeby się rozciągnęła. Hils i Kath mnie słyszały, jeśli chcesz to potwierdzić. Może Lexie się przesłyszała. Może myślała, że powiedziałam, że nie mamy czasu czy coś.

Czeka, nasłuchuje. Sophie odzywa się po długiej chwili.

– Może to było zwykłe nieporozumienie.

– Może. – *Już, na pewno, prędzej mnie piorun trzaśnie.*

– I wiem, że to dla ciebie trudne.

– Masz rację. To jest trudne. Ale cieszę się twoim szczęściem. Wiesz to, prawda?

– Okej – mówi Sophie, tym razem ciszej i spokojniej. – Okej. Słuchaj, koniec biegania. Przenosimy się na basen.

My.

– Jasne. Dobry pomysł. – Jane czeka. Sophie nie mówi nic więcej, dlatego dodaje: – Możliwe, że nie dotrę w tym tygodniu do pubu, bo od lat nie widziałam się z Frankiem i potrzebujemy spędzić razem trochę czasu. Myślę, że w ogóle na jakiś czas wycofam się z życia towarzyskiego. Muszę zadbać o finanse. Podłoga na korytarzu wymaga odnowienia, a zmywarka wydaje dziwne dźwięki.

– Ale przyjdiesz na bociankowe?

– Oczywiście. Możemy jechać razem pociągiem. Będzie fajnie. Mogłybyśmy... nadrobić zaległości.

– Tak się składa, że muszę jechać wcześniej. Z Lexie. Żeby wszystko przygotować.

– Przygotować?

– Lexie chyba nakupowała nagród i innych dupereli.

– Nagród?

– Pewnie chce zrobić loterię albo quiz. Wkłada w to bardzo dużo pracy. Zarezerwowała apartament.

Jane, przerażona, szuka słów, ale nic nie przychodzi jej do głowy. Nie ma zielonego pojęcia, co powiedzieć. Quiz? Loteria? *Apartament*? Co jest, do cholery...

– Okej, świetnie – mówi w końcu i ma nadzieję, że Sophie nie słyszy subtelnego drżenia w jej głosie. – Do zobaczenia. Tylko... Sophie?

– Tak?

– Wiem, że naprawdę lubisz Lexie, ale mnie znasz bardzo długo, zgadza się? Sophie wzdycha.

– Wy chyba żyjecie na dwóch różnych planetach.

Żyją na dwóch różnych planetach? Jane zamyka oczy. Odpuść, odpuść, tra-la-la-la-la-la-la-la-la-la. Myśli o Hils i Kath naśmiewających się z Lexie za jej plecami. Może to jest rozwiązanie: śmiech. To nie to samo co zabicie jej i tańczenie na jej połamanych kościach, śpiewając *ding-dong*, *wiedźma nie żyje*... ale tak, właśnie to musi zrobić: śmiać się do rozpuku. Jak tak dłużej o tym pomyśleć, to naprawdę jest śmieszne.

– Może do zobaczenia w kawiarni – mówi radosnym tonem godnym rezydenta turystycznego. – A jeśli nie, to widzimy się wypindrzone w Ritzu, okej? Na pewno będzie super!

Nim kończy połączenie, cała się trzęsie. Obrzydliwe. Czuje do siebie obrzydzenie po tym przedstawieniu, gdzie zaprezentowała się jako zupełnie inna osoba, która nie czuje tego, co czuje prawdziwa Jane. Bo nie jest podeksytowana. Nie chce, żeby Sophie przyszła do kawiarni, i nie chce iść na to bociankowe. I nie ma tu już miejsca na nieporozumienia ani błędną interpretację. Lexie, nowa w okolicy i potrzebująca przyjaciół, oczernia Jane, by wkupić się w łaski Sophie. Jane starała się w to nie wierzyć, ale teraz jest to zbyt oczywiste. Gdyby miała adres tej kobiety, pojechałaby tam i się z nią skonfrontowała. Cóż, tak naprawdę by tego nie zrobiła, ale rzeczywiście ma na to ochotę. Działania Lexie są systematyczne. I ani trochę subtelne – ma wrażenie, że jest bohaterką dennego filmu, w którym Lexie odgrywa główną rolę z jej atakami godnymi złej królowej, żalonym mieszanym w towarzystwie, udawanymi kontuzjami, kłamstwami, doczepianymi rzesami,

strojem sportowym w stylu Victorii Beckham, nedorzecznym stylem życia i tymi pieprzonymi włosami...

– Ugh.

Tylko na tyle stać Jane, gdy tak stoi w swojej gównianej kuchni, żyjąc swoim pokrzywionym życiem. Bo to nie jest film. To nie jest Instagram. Może ono nie jest idealne, ale należy do niej, ciężko pracowała, żeby je kochać i mieć wokół siebie dobrych ludzi. To życie układane przez lata, spędzane z mężczyzną, którego wybrała, w ciszy, szacunku, dobroci i solidarności między najbliższymi jej kobietami. To życie, w którym w końcu zaczęła czuć się bezpiecznie po tym, jak beznadziejny był jego początek.

Zbieram ludzi. Jane znowu myśli o słowach Sophie. Wtedy była bezpańska, a Sophie mogła ją wziąć pod swoje skrzydła. Czy właśnie to się stało? Czy właśnie to ujrzała Sophie wtedy, gdy siedziały w vanie przed jej domem? Kruchą kobietę, która potrzebowała przyjaciół, osobę z klasy pracującej, kogoś, kogo mogła dodać do swojej grupki? Tak, tamtej nocy Sophie dodała Jane do swojej kolekcji ludzi, teraz to widzi. I to samo zrobiła z Lexie, prawda? Przygarnęła kolejną przybłądę, nową w mieście i samotną, potrzebującą hojności Sophie, jej przyjaciół, przygotowywanych przez nią niedzielnych obiadów. Lexie jest kolejnym dodatkiem do kolekcji: młoda, ekstrawagancka, uwielbiająca zabawę. Bogata, stylowa, w dodatku może płacić za swoje koktajle.

To wygląda tak, jakby Sophie została zaczarowana. Jedynym pocieszeniem jest to, że Hils i Kath zdają się tak samo zakłopotane pojawieniem się Lexie, jak Jane. Widać, że są bliskie tego, żeby porządnie ją ochrzanić. Już z niej żartują. Ale jeśli są w stanie się śmiać, to jedynie dlatego, że we dwie są ze sobą blisko, tak bardzo jak tylko dwie dorosłe kobiety mogą być. Ale najlepszą przyjaciółką Jane była Sophie. *Była*, myśli sobie, bo ze smutkiem dopuszcza do siebie myśl, że tak, ten statek zatonął. Cokolwiek z tego zostało, to wycięty z kartonu szablon tego, czym ta relacja była w jej wyobrażeniu. Tak jak powiedziała Angie – właśnie to robi małostkowość: podważa miłość, obraca w dym to, co solidne. Jeśli Hils i Kath są w stanie się śmiać, to dlatego, że dla nich nie jest to nic osobistego. Nie one stały się w tym wszystkim celem. Bo to kolejna rzecz, której Jane do siebie nie dopuszczała, ale dłużej nie może ignorować: to jest osobiste. Lexie Lane prowadzi przeciwko niej kampanię nienawiści, żeby zawłaszczyć sobie Sophie.

Ale co innego może w tej sytuacji zrobić, poza staraniem się, by być ponad to, trzymaniem głowy wysoko i pójściem na to cholerne bociankowe?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Szpital

– Dam sobie radę bez tego – mówię. Pielęgniarka przegina z całą tą pomocą w pójściu do toalety. Wózek inwalidzki? Poważnie?

– Obawiam się, że teraz musisz tego używać. Czy lekarz rozmawiał z tobą o obrażeniach? – Marszczy nos i mówi bezgłośnie *auć*. – Złamana kość piszczelowa, kochana.

Tutaj muszę się z tobą nie zgodzić, pielęgniareczko. Mogę mieć złamaną nogę, ale nie jestem kochana, już nie. To należy do przeszłości. Przeszłość to stara historia i tak, od teraz wszystko będę robić inaczej. Już dawno powinnam była działać inaczej.

– Nie możecie dać mi czegoś do podparcia? – pytam. – Nie wiem, jakiejś laski albo kul?

– Dam ci kule, żebyś mogła przemieszczać się w toalecie, ale nie możesz teraz obciążać nogi, więc musisz być cierpliwa.

– Jestem cierpliwa. Cierpliwa i cierpiąca.

– W pełni cię rozumiem – mówi. – Przytrzymaj się mojego ramienia. Dobrze, kochana. Usiądź, powoli. Dobrze, bardzo dobrze.

Pozwalam jej pomóc mi usiąść na wózku. Znika i wraca do mnie po dziesięciu minutach. Jakie szczęście, że nie mam silnej potrzeby, myślę sobie. Inaczej bym się posikała. Albo gorzej. Podaje mi parę szarych kul z podparciem pod pachy i dodatkową gąbką na rączkach. Powtarza, że mam ich używać w razie konieczności skorzystania z łazienki, jakbym miała uraz mózgu. Dziękuję jej. Jestem taka wdzięczna. Pielęgniarki wykonują fantastyczną robotę. Szpitale publiczne są cudowne. I tak dalej.

Ja też potrafię się tak bawić, *kochana*.

Ustawia moje stopy na podnóżkach i prowadzi mnie w stronę toalet. Nie protestuję. Lepiej współpracować. Nie sędzę, że zostawi mnie, żebym zrobiła to, co według niej muszę zrobić, a co dopiero, żebym miała czas na to, co mam w planach. Może udam zatwardzenie, poczekam, aż zostanie wezwana, albo znudzi się pilnowaniem mnie.

Albo, myślę, biorąc pod uwagę, że dostałam kule, mogę zrobić coś zupełnie innego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jane

Kwiecień

Ritz przypomina Jane Lexie, a wszystko to przez wyjęte prosto z hollywoodzkich garderób oświetlenie i ekstrawaganckie markizy oraz, nie oszukujmy się, to, jak bardzo się wyróżnia. Gdyby Lexie była budynkiem, byłaby właśnie tym. Tak, umysł Jane jest bezwzględny, a jej myśli płyną wartkim strumieniem, tak jak pot pod jej pachami, gdy zbliża się do błyszczącego monolitu. Gdyby tylko umówiły się w jakimś fajnym barze czy pubie, albo nawet w domu Lexie. Przecież ciągle mogłyby świętować, mogłyby życzyć obu kobietom zdrowej ciąży, ale bez tej presji, prawda? Mogłyby zrobić coś miłego, osobistego i oferującego wsparcie, co byłoby bardziej w ich stylu.

Zatrzymuje się tuż przed wejściem, wyjmuje krople na uspokojenie, które kupiła po drodze, oddala się od tłumu i wyciska kilka kropel na język. Nie sądzi, żeby to cokolwiek pomogło, ale hej, już za późno, żeby zdobyć receptę na valium, a kobieta w aptece zaleciła te krople na średniego nasilenia przewlekły stres, który towarzyszył jej ostatnimi tygodniami, a który Jane odczuwa niemal bez przerwy. Czuła się tak, kiedy była dzieckiem. Właśnie przez to uczucie uciekła z domu i niesamowicie smuci ją, że w tym momencie jego źródłem jest jej najlepsza przyjaciółka. Do Jane dociera, że od Incydentu Kostkowego mierzy się z dwugłową bestią: Sophie i Lexie – Solex? Lexsoph? – tak samo, jak kiedyś mierzyła się z matką. Gdy jest zmuszona do konfrontacji, jedyną jej bronią staje się to samo, co w przeszłości: uśmiech, niewychylanie się i nadzieja, że wszystko minie, choć teraz nie sądzi, żeby to się stało.

Przez ostatnie tygodnie bieganie z dziewczynami z klubu było czystą przyjemnością. Odkąd nie pojawiały się tam Lexie i Sophie, Jane była w stanie czerpać radość z endorfin i radosnego paplania z Hils i Kath. Cała trójka unikała tematu Lexie, a Jane podejrzewa, że to dlatego, że temat jest za bardzo powiązany z Sophie, a one wszystkie – na to wygląda – ciągle chcą być lojalne.

Może wszystkie się uśmiechają, nie wychylają się i mają nadzieję, że to samo przejdzie.

Przestała jednak pojawiać się na piątkowych drinkach. Przyjaźń z Sophie ograniczyła do wymiany wiadomości. Mówiąc szczerze, na samą myśl o spotkaniu z Lexie robi jej się niedobrze, a odkąd nie ma takiej opcji, żeby spotkać się z Sophie sam na sam, woli nawet nie próbować. To z kolei sprawia, że czuje się żałośnie, bo pozwoliła, by jedna osoba dopiekła jej tak bardzo i wepchnęła w spiralę stresu. Tyle że nie chce mieć do czynienia z Lexie, bo zwyczajnie nie ufa tej kobiecie i nie chce wpaść w kolejną pułapkę samym odezwaniem się albo milczeniem, czy zrobieniem czegoś albo niezrobieniem. Nie ma ochoty zostać ponownie zrugana przez Sophie, która znowu ignorowałaby ją przez nieokreślony czas. Czy przypadkiem nie znalazła się w takiej sytuacji właśnie teraz? Nagrabi sobie przyjsciem na bociankowe, ale tak samo narobi sobie kłopotu niepojawieniem się na nim. Może mieć jedynie nadzieję, że jeśli nie będzie się wychylać, a sprawa z Lexie się wyda – o ile się wyda – to ich grupa zdoła się po tym pozbierać. W dodatku martwi ją Frankie, który nie pojawił się na ostatnich kilku spotkaniach z kolegami. Jane próbowała pytać, czy wszystko jest w porządku, ale on odpowiadał tylko, że jest zmęczony, że to przez pracę, że nic mu nie jest. Podsumowując, odciął się od niej, tak jak rolety w kawiarni odcinają w nocy jej wnętrze od świata. Z drugiej strony, sama też nie dzieliła się z nim swoimi przeżyciami, prawda?

Sprawdza, czy nie ma jakichś nowych wiadomości, wchodzi na grupę z dziewczynami na WhatsAppie, która zamiast być pełna przekomarzanek i memów, umawiania się na spotkania i oferowania wsparcia, stała się forum na temat bociankowego. Jakby samo to nie było istnym piekłem, Lexie stworzyła drugą grupę, do której nie dodała Sophie. Nazwała ją PREZENT DLA SOFES.

Hejjjj, dziewczyny, napisała. Tak sobie pomyślałam, że powinnyśmy się złożyć na coś naprawdę wyjątkowego. Proponowałabym składkę 30–50 funtów, żebyśmy mogły kupić coś porządnego, na przykład ekskluzywny kosz prezentowy dla dziecka. Widziałam jeden za 200 funtów i jest po prostu niesamowity. Wszystko zorganizuję. Jej! Buziaczki! Lex xxx

Przemiana się dokonała. Lexie umocniła swoją pozycję jako najlepszej przyjaciółki Sophie, tej, która rozumie jej potrzeby, robi za jej służącą. Reszta jest tylko niższymi rangą służkami w jakimś dziwacznym scenariuszu rodem z królewskiego dworu. W tym nowym porządku rzeczy wszystko poniżej pięćdziesięciu funtów na głowę było obrazą.

Na szczęście Hils uratowała je wszystkie, odpisując od razu:

Z miłą chęcią, ale już kupiłam prezent, a nie stać mnie na wydanie kolejnych 30 funtów – sorki! X

Następna napisała Kath: *Ja też już mam prezent. Ale miło, że o tym pomyślałaś! X*

Jane zaczerpnęła z ulgą głęboki oddech, po którym nagle skręciło ją w środku przez to, jak w siebie zwątpiła. Kath i Hils odpowiedziały dokładnie na to, co zostało napisane, podczas gdy Jane doszukiwała się w tej wiadomości podtekstów. Wiedziała, a przynajmniej tak jej się wydawało, że tu nie chodziło o szczodrość, a o walkę o dominację. Czy się myliła? Czy widziała coś, czego tak naprawdę nie było? W dodatku odmowa Hils i Kath wprawiła ją w zadowolenie z „przegranej” Lexie, a w ogóle nie chciała być taką osobą. Znowu stawała się kimś, kto zagląda innym do portfela, kto zasługuje na określenie, którego nigdy nie chciała użyć.

Swoją wiadomość zaczynała pisać siedem razy:

Hej, nadrabiam wiadomości. Dziękuję Ci, Lexie. Ale skoro wszystkie same kupiły prezenty, ja zrobię tak samo, jeśli to nie problem. Ale Twój pomysł był naprawdę świetny! X

Wykrzyknik. Całus.

Pisząc to, pomyślała o swojej ulubionej piosence Smiths. Dlaczego, zastanawiała się, dlaczego uśmiechała się do ludzi, których wolałaby uderzyć? Gdy zbliża się do drzwi tego absurdalnego hotelu, myśli, że z każdym dniem Lexie wysysa z niej coraz więcej radości i sprawia, że Jane kuli się sama sobie. Jeśli to się nie skończy, zostanie z niej mały gorzki rodzynek.

Przed wejściem do Ritza stoi odźwierny ubrany w czarny cylinder i frak przystrojony złotymi akcentami. Jane walczy z uśmiechem, niemal wskazuje na niego palcem, gani samą siebie za niedojrzałość, a wszystko to trwa, aż wchodzi...

... do środka.

Staje jak wryta, poraża ją wielkość foyer. Stoją w nim fontanny świeżych kwiatów, największe lustro, jakie w życiu widziała, przerażająco kolosalne wiszące żyrandole. Wszędzie antyki. Przy zakrzywionym kontuarze z drewna dębowego – czy to w ogóle jest kontuar? Czy to na pewno drewno dębowe? Z pewnością jest to drewno, tak, to drewno – stoi czterech mężczyzn, każdy w trzyczęściowym garniturze, jeden z nich ostatecznie zniża się do tego, by pokierować ją do toalet, i to tylko wtedy, gdy podała powód swojej obecności w tym budynku.

– Buty obcierają mi pięty – dodaje niepotrzebnie i ku jego obrzydzeniu. Nie jest w stanie się powstrzymać, dlatego kontynuuje: – Muszę przykleić plastry.

To w ogóle nie pomaga.

Ma na sobie sukienkę z Whistles, w której brała ślub. Nie chodzi o to, że nie ma bardziej eleganckich strojów, ale w jednej z setek wiadomości na WhatsAppie Lexie zastrzegła, że mają pojawić się w sukienkach. Przynajmniej Jane się tak wydaje, ale nie mogła odnaleźć tego wątku w potoku wysłanych przez nią wiadomości, który już wtedy był długi jak Nil. Możliwe, że sukienka jest trochę przestarzała. Coś taniego z H&M sprawdziłoby się lepiej, ale nie miała czasu iść na zakupy.

Frankiemu się spodobała.

– Wow – powiedział wcześniej, gdy zobaczył ją gotową do wyjścia.

– Moja suknia ślubna.

– Wiem. Jesteś wysoka.

– To szpilki. Też ze ślubu. Ledwo w nich chodzę.

– Cóż, wyglądasz... ślicznie. – Gdy wypowiedział te słowa, oczy mu się zaszklily, jakby na jej widok dopadł go smutek. – To damskie spotkanie, zgadza się?

– Tak, dziewczyny z Runner Beans i nowa koleżanka Sophie, Lexie.

– Lexie?

– Tak. Pamiętasz, że ci o niej wspominałam? Są urodziny Kath, mówiłam ci, po prostu trochę się rozpieszczamy.

– Powiedz mi, dokąd idziecie?

Nie powiedziała mu – nie o Lexie i o tym, jaka była. Nie chciała podawać prawdziwego powodu, a nie zniosłaby kłamstwa, dlatego im mniej mówiła, tym lepiej. A teraz skłamała dwukrotnie. Frakie nie pamięta Lexie, bo Jane w ogóle o niej nie wspominała, a impreza, na którą idzie, to nie urodziny Kath. Ale jak, do cholery, miała mu powiedzieć, że idzie świętować nie jedną, lecz dwie ciążę? Nie mogła. Poza tym wtedy powstrzymywałby ją przed wyjściem. Nie pozwoliłby, żeby przez to przechodziła.

Więc dlaczego sama się w to pakowała?

– Jakieś wytworne miejsce w mieście – dodała, stając przed lustrem i nakładając na usta szminkę w kolorze własnych warg, więc równie dobrze mogłaby tego w ogóle nie robić. – Sophie zarezerwowała stolik. – Odwróciła się do niego i rozłożyła ręce, zawstydzona. – Jak wyglądam?

– Wyglądasz pięknie. – Przez chwilę myślała, że się rozplacze. To nie jej piękno sprawiało, że był taki emocjonalny, nie miała co do tego wątpliwości. Nie

była piękną kobietą według żadnych standardów. Stał się ckliwy pod wpływem miłości, to wiedziała na pewno.

Pocałowała go, pogłaskała po policzku.

– A pan, panie Reece, wygląda na zmęczonego. Proszę, obiecaj mi, że wyłączysz telefon i się położysz.

– Przestań. Nic mi nie jest.

Wcale nie wyglądał, jakby nic mu nie było. Widziała, że jest z nim kiepsko.

Otwiera drzwi do damskiej toalety i sapie. Czuje się, jakby weszła do świata, w którym dominuje słodycz: same kremy i róże, jeszcze więcej kwiatów i luster. Ściany ozdabia malunek jeziora – wpatruje się w niego urzeczona. Na stoliku leżą poskładane w trójkąty białe ręczniczki. Znajduje się tu nawet sofa. Zastanawia się, po co komuś jest potrzebna sofa w toalecie?

– Jezu – mruczy, drepcząc do jednej z kabin, gdzie zakleja krwawiące już pięty. Po skorzystaniu z toalety – tak, naprawdę są tu sedesy, kto by pomyślał? – spuszcza głowę między kolana i głęboko oddycha. Może wyjść. Może obrócić się na pięcie i uciec, złapać pociąg do domu, a tam otworzyć butelkę czerwonego wina i spędzić całe popołudnie w łóżku z Frankiem.

Ale nie. Musi jakoś przeżyć najbliższe dwie, może trzy godziny. Z uśmiechem, bez wychylania się; to minie. Sophie i Lexie urodzą i wszystko ruszy dalej, a oczarowanie Sophie nową przyjaciółką zwyczajnie przeminie. Wszystko wróci albo nie wróci do normy, ale na to nie może nic poradzić. Bez względu na to, co powiedziała Lexie, Jane nie zrobiła nic złego, poza tym ma ważniejsze rzeczy na głowie, chociażby Frankiego, który stał się cieniem samego siebie. Siedząc teraz na jednym z najbardziej ekskluzywnych sedesów na świecie, uświadamia sobie, że stał się taki mniej więcej wtedy, gdy powiedziała mu o ciąży Sophie. Tak jakby zapomniał o swoich uczuciach i w pełni skupił się na niej, na wspieraniu jej i powtarzaniu bez przerwy, że nie może się o nic obwiniać, a teraz, gdy ona się z tym uporała, jego ból uderzył z pełną mocą.

Oczy ją pieką. Biedny Frankie. Była tak zajęta całą tą śmieszoną sytuacją, że całkowicie o nim zapomniała.

Sprawdza godzinę. Jest czternasta trzydzieści. Cholera. Spóźni się. Gdy idzie po miękkim różowym dywanie przez eleganckie foyer, zalewa ją fala strachu. Jeśli się spóźni, Lexie odbierze to jako obrazę. A Sophie... cóż, chyba nikt nie wie, co ona sobie myśli.

Inny mężczyzna z recepcji informuje ją, że apartament Green Park znajduje się pod numerem siedemset trzy na siódmym piętrze, po czym prowadzi do windy. Winda jest tak samo błyszcząca jak wszystko inne, na tylnej ścianie wisi

portret wiktoriańskiej lady z parasolką, która patrzy prosto na nią. Tak jakby została uwięziona w starej błyskotce. Jest unikatem, motylem zalanym żywicą.

Gdy winda rusza i zapalają się kolejne numerki oznaczające piętra, zaczyna ją palić żołądek. Grzebie w torebce i wyciąga krople, przez chwilę o tym myśli, a potem odkręca pipetę i połyka całą zawartość buteleczki. Powinna była wziąć ze sobą piersiówkę. Czy możliwe jest przedawkowanie kropel na uspokojenie? Już wyobraża sobie nagłówek artykułu:

W hotelowej windzie znaleziono martwą kobietę, policja podejrzewa otrucie substancją zawierającą zioła.

Winda się otwiera. Drepcze przez korytarz, pod jej nogami rozciąga się bardzo wzorzysty dywan, a ona liczy pokoje, świadoma tego, że tutaj drzwi są od siebie bardziej oddalone niż na przykład w Travelodge. Nareszcie dociera, gdzie trzeba, widzi zapisaną złotą kursywą nazwę. Żołądek skręca się jej na ten widok:

Apartament Green Park

703

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jane

Zza drzwi słyszy trajkotanie kobiet. One są tam w środku, razem. Jane stoi na zewnątrz, sama.

Puka, oddech grzęźnie jej w gardle. Głosy w apartamencie milkną. Jane chyba słyszy swoje imię. Na linii jej włosów pojawia się pot. Dotyka czoła wierzchem dłoni. Słyszy ruch za drzwiami, a chwilę później otwierają się drzwi. Boże, proszę, niech to będzie Sophie.

– Jane, nareszcie! – To Lexie. Oczywiście, że ona otworzyła drzwi. Lustruje ją spojrzeniem, od butów po włosy, minę ma trudną do opisanego. Może tak: *Och, kochana. Za kogo się przebrałaś?*

– Eee, cześć – mówi Jane, machając niezręcznie.

– Zaczęłyśmy się martwić, że nie przyjdiesz! – Ton Lexie w ogóle nie pasuje do jej twarzy. Ale przecież jej głos to gra, z kolei twarz widzi tylko Jane. Obrzydzenie, to zdecydowanie obrzydzenie. Tak, jakby zobaczyła na bucie Jane odchody.

– To tylko kilka minut – mówi Jane i uśmiecha się szeroko, jak totalna idiotka.

Lexie patrzy na zegarek i szepcze:

– Hmm, właściwie to czterdzieści minut.

– Ale.. co... ty... mówiłaś czternasta trzydzieści. Jest dopiero czternasta czterdzieści.

Lexie przekrzywia głowę i unosi brwi.

– Czternasta, kochana. Przecież do ciebie pisałam.

– Nie pisałaś. Wybacz, chodzi mi o to... nie otrzymałam od ciebie wiadomości.

– Zabawne. Pozostałe dziewczyny dostały. – Lexie wypowiada te słowa cicho, bardzo cicho, po czym na jej pomalowanej twarzy, która ma wyglądać, jakby wcale nie była pomalowana, pojawia się protekcyjny uśmiech. – Cóż – kontynuuje głośno i radośnie – już z nami jesteś! Wchodź, kochana. Właśnie zaczynamy!

Zaczynamy.

Jane wchodzi za Lexie do korytarza. Pokój hotelowy ma korytarz? Oczywiście, w końcu to apartament – apartamenty mają więcej niż jeden pokój, prawda? Z korytarza z pomalowanymi na biało ścianami wchodzi do potężnego... och, wow, to naprawdę *gigantyczny* salon. Stoi w nim nawet wielki stół jadalniany i krzesła, do ich oparcie przywiązane są błyszcząca nicią różowe i niebieskie balony wypełnione helem, kołyszą się upiornie na boki. Z jakiegoś powodu wyobrażała sobie, że będą siedzieć na podwójnym łóżku, pijąc szampana niczym Pink Ladies w *Grease*. Ale nie. Dziewczyny siedzą na miękkich różowych sofach ustawionych dookoła szklanego stolika, na którym stoi wiadro z lodem i szampanem – tylko butelka wygląda na bardziej zmoczona niż ona – miseczki ze słonymi przekąskami i potężny talerz z owocami.

– Hej! – witają ją, uśmiechając się szeroko i unosząc kieliszki w górę. Wszystkie są wystrojone i wyglądają naprawdę ślicznie, policzki mają zaróżowione z ekscytacji. Przyglądając się ich twarzom przez kilka sekund, czuje znajomą jej radość i poczucie przynależności.

Ale ta chwila szybko mija.

– Hej – odpowiada, przykładając rękę do piersi.

Ani Lexie, ani Sophie nie są ubrane w sukienki. Może nic nie zostało na ten temat napisane, może Lexie usunęła wiadomość, może... och, kto wie? Kogo to obchodzi? Jakikolwiek był dress code, obie ciężarne ubrane są w identyczne czerwone koszule bez kołnierzyka oraz czarne dżinsy, niczym dorosłe bliźniaczki. U Lexie widać już brzuszki.

Uwagę Jane przykuwają okna. Wielkie czyste tafle, a za nimi...

– Czy to Green Park? – pyta.

– Och – mówi Lexie i chichocze. – Apartament Green Park, kochana. Sugestia w nazwie?

Jane zmusza się do śmiechu. To ten jego rodzaj, który sugeruje zszargane nerwy i przywodzi na myśl przeciąganie paznokciami akryłowymi po tablicy, taki, który mówi: *Jeśli nie możesz tego dźwignąć, jesteś mięczakiem. Weź się w garść, Jane.*

– Masz ochotę na szampana, koleżanko? – Hils wstaje, minę ma szaleńczą. – Czy Ritz Reserve ci odpowiada? – Wygląda na to, że zmieniła swoje cyniczne podejście sprzed kilku tygodni. Nic dziwnego. Żadna z nich nigdy nie robiła czegoś takiego, nigdy nie była nawet w takim miejscu. Myśli sobie, że raczej niewiele osób może sobie na takie coś pozwolić, i po raz pierwszy zastanawia

się, ile kosztuje taki apartament, nawet jeśli wynajęty na kilka godzin. Wygląda na to, że Lexie *kupiła* je wszystkie. A raczej wynajęła.

– Spróbuj orzechów w chili – mówi Kath, przesuając się, żeby zrobić dla niej miejsce, klasyczna sukienka opada luźno na jej długie, atletyczne nogi. Ma na sobie turkusowo-zielone kowbojskie botki, które Jane tak bardzo uwielbia. Kath jest zdecydowanie najbardziej stylową laską w ich ekipie. – Są jak heroina – nie jestem w stanie przestać ich jeść.

Jane siada, dostaje kieliszek szampana. Są tu wszystkie jej najbliższe przyjaciółki. A jednak nadal czuje coś na kształt strachu.

– Dlaczego się spóźniłaś? – pyta nieuprzejmym tonem Sophie.

– Ja... – Co ma powiedzieć? *Lexie, twoja nowa najlepsza przyjaciółka, nie powiedziała mi, że zmieniła godzinę, ale udaje, że to zrobiła.* Ale po co w ogóle zaczynać? Sophie jej nie uwierzy. – Pociąg miał opóźnienie, a potem buty zaczęły mnie obcierać, więc musiałam się zatrzymać i założyć plastry. Typowo. – Próbuje się zaśmiać, ale szybko przestaje.

– Skąd są? – pyta Lexie, która siedzi na krześle z podłokietnikami. Fotel jest wyższy od sof, więc wydaje się, jakby była wyżej od nich, jakby miała wygłosić przemówienie.

– Tylko zwykłe plastry z Boots.

Lexie się śmieje.

– Nie, pytałam o buty.

– Och! Wybacz. Chyba Schuh. Nie pamiętam. Kupiłam je na swój ślub. Zwykle nie noszę obcasów. Jestem raczej adidasową dziewczyną. A jak mam ochotę zaszaleć, wybieram japonki. – Zamknij się, Jane. Zamknij.

– Tak, wolisz styl na chłopczycę, co? – Lexie kiwa głową niczym psycholog, mruży oczy. – Zawsze chciałam spróbować krótkiej fryzury, ale myślę, że musisz mieć do tego predyspozycje, w przeciwnym razie będziesz wyglądać jak facet w kiece, jak Eddie Izzard albo coś. – Śmieje się, choć nikt jej nie wtóruje. – Wybierając buty na obcasie, musisz być bardzo ostrożna. Ja zawsze kupuję coś z Russell & Bromley. Płacisz więcej, ale tak nie obcierają. – Po przekazaniu tej wielkiej mądrości zaciska usta i kręci głową ze smutkiem. – Ostatecznie chodzi o jakość, prawda?

Jane popija szampana. W pokoju zapadła cisza. Zanim się pojawiła, słyszała, jak radośnie rozmawiały. To ona przyniosła ze sobą ciszę. Nie planowała tego. Po prostu Lexie jest w stanie wyprzeć z jej głowy każdą składną myśl. Nie wie, co robić, udaje, że rozgląda się po pokoju, uśmiechając się uprzejmie. Zasłony wyglądają, jakby były zrobione z kołder. Muszą ważyć tyle co słoń – a może

i dwa. I spiny – tak to się nazywa? Te złączki, w które zbiera się zasłonę, żeby ułożyć ją jakoś artystycznie. Jak nazywają się te dodatkowe płachty materiału na górze? Bóg wie. Lambrekiny? Czy tych używa się na łózkach? Wypija pół kieliszka, ale powstrzymuje się od opróżnienia naczynia.

– Zacznijmy zabawę. – Lexie klaszcze w ręce, po czym wskazuje brodą na stojący w kącie stolik. – Nagrody są naprawdę pachnące!

Jane rozważa symulowanie choroby. Zawał serca? Udar? Ale nie. Tą kartą już zagrała. Nawet gdyby naprawdę miała tętniaka, jej wyjście pewnie i tak zostałyby potraktowane jako zniewaga. I choć nie jest w stanie znieść Lexie, nie może stracić reszty – po Frankiem są wszystkim, co ma.

Do pierwszej gry są potrzebne ich prezenty. Lexie tłumaczy, że każda z nich musi go wręczyć, a po rozpakowaniu powiedzieć kilka słów o tym, dlaczego zdecydowały się właśnie na to i co to będzie w przyszłości znaczyło dla dziecka.

Dobry Boże. Jane nie sądzi, żeby była w stanie podać konkretny powód, a przynajmniej nic głębokiego. *Nie miałam pomysłu na prezent, dlatego wygooglowałam dziesięć najlepszych prezentów dla dziecka i zamówiłam dwa identycznie misie z renomowanego sklepu, pocąc się przy tym i panikując.*

Zerka na Sophie i dociera do niej, że nie popatrzą sobie w oczy i nie będą też celowo unikać swoich spojrzeń z obawy, że jedna z nich zacznie chichotać. Oczywiście jej przyjaciółka patrzy na Lexie z uśmiechem, w którym nie ma krzty ironii, jakby uwielbiała takie zabawy. Jane czuje w piersi ukłucie smutku. To naprawdę szokujące, zdumiewające. A nawet bolesne.

Hils zaczyna, wstaje i wręcza Lexie i Sophie po prezencie.

– Uznałam, że wybiorę prezent neutralny płciowo, bo nie wiemy, co się urodzi, prawda? – Mówi lekko niewyraźnie i dopiero wtedy Jane dostrzega pustą butelkę szampana stojącą na drugim końcu pokoju na antycznym kredensie, który wygląda, jakby został zrobiony ze skorupy żółwia.

Rozlega się dźwięk darcia papieru. Sophie i Lexie otwierają prezenty. Dwie pary rąk z identycznymi paznokciami trzymają żółte śpioszki z weluru. Tak, Sophie robi sobie teraz takie same paznokcie jak Lexie.

– Pomyślałam – mówi Hils – że nie da się ich mieć za dużo, prawda? I... Mam nadzieję, że maluchom będzie w nich ciepło i wygodnie.

Jane słyszy, że Hils improwizuje. Zapisuje to wszystko w pamięci, by w przyszłości móc o tym opowiadać, pije szampana, uczestniczy w wydarzeniu, *czymkolwiek* ono jest, a wszystko po to, by potem wgrzyźć się w temat z typowym dla niej humorem: *Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, więc wymyśliłam jakąś bzdurę o tym, żeby dzieciom było wygodnie.*

Gdy ciężarne zachwycają się prezentami i dziękują, Jane zalewa fala ulgi. Wypuszcza długi oddech. Hils wydała mniej więcej tyle samo, co ona. I obu przyszłym mamom dała taki sam prezent. Istnieje szansa, że Jane chociaż tego nie zrobiła źle. Gdzieś z tyłu głowy dopada ją myśl, że tak silna ulga w tej sytuacji to ogromna przesada, że dwa miesiące temu wyśmiałyby siebie albo uznała, że jest żalosna. Albo jedno i drugie. Ta zmiana, jaka w niej zaszła... to upokarzające.

Przychodzi kolej na Kath i jej prezenty. Z kwiecistego papieru wyłaniają się dwie pary maluteńkich butów sportowych, czarnych z białymi paskami.

– Ja też postawiłam na coś neutralnego płciowo – mówi. – Ale pomyślałam sobie, niech zaczną od małego, prawda? Mogą być najmłodszymi członkami Runner Beans!

Cholera, myśli Jane. To było *dobrze*. Kath nigdy nie powiedziała czegoś tak pretensjonalnego. Jane zastanawia się, co myśli naprawdę.

– Och – mówi Sophie. – Maluchy z Runner Beans, to takie urocze!

– To takie urocze – powtarza Lexie. – Bardzo, bardzo urocze.

– To słodkie – mówi Hils.

– Bardzo słodkie – dodaje trochę za późno Jane, nie mając pojęcia, co ma na myśli, ale chwilę później Lexie kiwa na nią ręką, a do niej dociera, że jest ostatnia i przyszła jej kolej na wręczenie prezentów. Daje im paczki, patrząc przy tym Sophie w oczy, próbując przekazać jej dobroć, koleżeństwo, miłość – a przynajmniej to, co z tego w niej zostało. Sophie uśmiecha się nieznacznie, zagadkowo.

Jane wraca na swoje miejsce, a gdy słyszy dźwięk rozrywanego papieru, zamyka oczy.

– Och – mówi Sophie. – Miś! Mój Boże, jest taki słodki!

Jane kaszle w rękę.

– Nie do końca wiedziałam, co... Gdy go zobaczyłam, pomyślałam, że jest ładny i niesie za sobą bezpieczeństwo, prawda? Coś do przytulania, coś, co sprawi... – Czuje, że się rumieni.

– Słodki jest – komentuje Lexie. – Czy został sprawdzony pod kątem standardów bezpieczeństwa?

Jane czuje uderzenie gorąca na twarzy.

– Standardy bezpieczeństwa? Cóż, kupiłam je w John Lewis, więc nie sądzę, żeby...

– John Lewis – wtrąca Sophie. – W takim razie są świetnej jakości. Dziękuję, Jane, to takie miłe.

– Ja jednak pójdę ze swoim do sklepu w Kingston, żeby go sprawdzili – mówi Lexie. – Dla bezpieczeństwa. – Unosi misia i marszczy nos. – Ale słodki!

– Dolewka? – Hils wstaje, kołysze się nieznacznie i łapie za butelkę. – O nie. Skończył się.

– Zamówię kolejny! – Lexie wstaje, gdy Hils siada na miejsce, po czym idzie w stronę kolejnego stolika. Podnosi słuchawkę wiktoriańskiego telefonu. Kobiety siedzą w ciszy, uśmiechając się bezmyślnie, jak nieznajome, a Lexie zamawia w tym czasie kolejną butelkę alkoholu i przekazuje obsłudze, że mogą przynieść też podwieczorek.

– Zanim zagramy w kolejną grę – mówi, wracając na swój tron – ja też coś mam. Dla małej Freyi. – Wznosi wysoko ramiona i uśmiecha się szeroko do Sophie.

– Freya? – mówi Jane w tej samej chwili, w której Sophie protestuje:

– Ale powiedziałaś, że nic nie będziemy sobie kupować! – Otwiera usta z zaskoczenia, które nie wiadomo, czy jest szczere. – W dodatku płacisz za to wszystko, mój Boże!

Lexie śmieje się i macha ręką na swoją wielką szczodrość.

Freya, myśli Jane. Tylko o tym jest w stanie myśleć. Lexie wie, że Sophie będzie miała córkę. I wie, jakie nada jej imię.

– Wiem, że powiedziałam, że tego nie zrobimy – mówi Lexie – ale przecież wiesz, jak bardzo chciałam powiedzieć – rozgląda się dookoła zaszklonymi oczami – „dziękuję, Sofes, za wzięcie mnie pod swoje skrzydła”. – Sięga za swoje krzesło i wyciąga zza niego wielką torbę. Jest brązowa, z jasnymi rączkami, cała we wzorkach ułożonych z czterolistnych znaczków i inicjałów LV.

Jane zna ten wzorek. Pamiętając, jak Sophie śmiała się, że nie wie, co oznacza CD, grzebie w pamięci w poszukiwaniu nazwy projektanta. Jeśli będzie w stanie powiedzieć jakiś komplement, w którym przy okazji znajdzie się jakaś wiedza, Sophie może być pod wrażeniem. LV. LV, LV, LV. Nic. Jedyne, co jej przychodzi do głowy, to Lunch z Vouchera, a to na pewno nie jest poprawna odpowiedź. Ale Sophie wręcz wrzeszczy:

– Powiedziałaś, że to twoje rzeczy na noc! – Zasłania usta ręką.

– Rzeczy na noc? – Jane patrzy na zmianę na Sophie i Lexie, której uśmiech jest lekko psotny i tajemniczy.

– Wynajęcie apartamentu na całą dobę kosztowało tyle samo – wyjaśnia grupie. – Dlatego pomyślałam, że możemy sobie urządzić dziewczynskie nocowanie, prawda, kochana? – Patrzy z uwielbieniem na Sophie, po czym

wzrusza z ekscytacją ramionami i otwiera torbę. Ze środka wyjmuje idealnie zapakowaną różową paczkę obwiązaną potężną różową wstążką.

Jane zdaje sobie sprawę, że ma rozchylone usta. Zaciska je mocno.

– Wybacz. – Lexie chichocze i wręcza jej nedorzecznie wielki prezent.

– Mój Boże – mówi Sophie, do jej oczu napływają łzy. – Nie wierzę!

– Chryste. – Jane mamrocze w swój kieliszek. Zerka kątem oka na Hils, która patrzy na Kath i unosi brew. Na ten widok ma ochotę podejść do nich i obie je pocałować w czoło.

Sophie otwiera paczkę. Zajmuje jej to wieki. Zrywa taśmę milimetr po milimetrze, jej śmiech miesza się z płaczem.

– Nie chcę zniszczyć tego pięknego papieru – mówi. – Wygląda jak jedwab.

Jane zauważa, że wypila całego szampana. A nie mają następnej butelki.

Mija czas, lodowce topnieją, całe kontynenty się przemieszczają, temperatura ziemi wzrasta o cały stopień. W końcu prezent zostaje rozpakowany.

Na kolanach Sophie, niemal zasłaniając jej twarz, leży różowy wiklinowy kosz wyłożony różową satyną. Wystają z niego róże zrobione z kremowego i białego materiału – okazuje się, że to skarpetki, kilkanaście par, ozdobione ciemnozielonymi sztucznymi liśćmi. Ktoś zrobił róże... ze skarpetek. Są śliniaki, większe kwiaty zrobione chyba z tetrowych pieluszek i różowa bawełniana czapeczka. Do Jane dociera, że to ten luksusowy kosz, na który Lexie chciała zrobić zbiórkę, ale kupiła go sama. Na samej górze koszyka siedzi piękny staromodny miś.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jane

Sophie wybucha płaczem.

– To za dużo – mówi. – Bardzo, bardzo ci dziękuję. Hotel, to wszystko, musiałaś wydać fortunę. Nie wiem, co powiedzieć.

– Cóż, ostatnim razem nie zostałam tak rozpieszczona, prawda? – mówi Lexie, uśmiechając się, jakby to było coś miłego. – Zasługujesz na to, żeby poświęcić ci dużo uwagi, kochana.

Nikt nie mówi ani słowa. Cała trójka kupiła Sophie prezent, gdy urodził się Kyle. Jane myśli o tym i desperacko pragnie wiedzieć, co sądzą pozostałe dziewczyny. Nie zrobiły tego w czasie ciąży Sophie, okej, ale po. Odwiedziły ją w szpitalu kilka godzin po porodzie, podrzucały gotowe jedzenie do domu. Jane zabierała małego na długie spacery, żeby Sophie mogła odespać. Klepała go po plecach, żeby beknął po jedzeniu, kołysała go i niańczyła, gdy Carl i Sophie wychodzili gdzieś we dwoje, mimo że sama była wyczerpana, mimo że zapach główki małego dziecka sprawiał, że płakała, płakała i płakała. Co wlicza się w rozpieszczanie? To, co robi Lexie, nie jest poświęcaniem uwagi. To totalne materialistyczne szaleństwo.

– Louis Vuitton – sapie Jane.

– Co? – pyta Kath.

– Co? Nic. – Czuje, że się rumieni.

Rozlega się pukanie do drzwi. Dzięki Bogu.

Lexie zrywa się z krzesła.

– To pewnie podwieczorek! – Wychodzi z salonu w swoich eleganckich butach na obcasie, a reszta dziewczyn siedzi i patrzy na siebie. Trudno odczytać miny Hils i Kath.

– Teraz zdecydowanie jesteś rozpieszczona do granic. – Brwi Hils znikają pod grzywką jej srebrnoszarego boba. – Wybacz, jeśli ostatnim razem nie poświęciliśmy ci wystarczająco dużo uwagi.

Trudno stwierdzić, czy jest sarkastyczna. A jeszcze trudniej walczyć z nadzieją, że jest.

– To chyba przez to, że jesteście trochę starsze – mówi Kath z przeproszącą nutą w głosie. – Nie miałyśmy bociankowego dla naszych dzieciaków, prawda? Żadna z nas. To nie było wtedy modne.

– Och, nie bądźcie niemądre – mówi Sophie, machając ręką. – Niczego nie oczekiwałam. Wydaje mi się, że Lexie po prostu lubi takie coś. W przyszłym miesiącu chce zorganizować przyjęcie z okazji ogłoszenia płci dziecka!

– Ogłoszenie płci dziecka, jej – odpowiada Jane. – Tyle że zdążyła już wspomnieć, że spodziewasz się dziewczynki, więc... – Czuje w swoim głosie lekko agresywną nutę. – Freya. Ładne imię.

Sophie przekrzywia głowę, jakby chciała rozciągnąć przykurczony mięsień.

– Porównywałyśmy badania, to tyle. To była zwyczajna rozmowa z drugą kobietą, która też...

– Popatrzcie! Na! To! – Lexie idzie za mężczyzną w stroju kamerdynera, pchającym czarno-złoty stoliczek na kółkach.

Zwyczajna rozmowa z drugą kobietą, która też spodziewa się dziecka, chciała powiedzieć Sophie. Rozmowa, jakiej nie może odbyć Jane. Tak jakby przez to, że nie może zajść w ciążę, została wykluczona z całej tej sfery kobiecości. Jakby w ogóle nie była kobietą. Mruga gwałtownie. Nie rozplacze się. Nie będzie płakać.

Na błyszczącym stoliku stoją dwa trzypiętrowe talerze pełne słonych przekąsek, ciastek, małych biszkoptów z nadzieniem, a także ręcznie robionych czekoladowych cudeniów, które wyglądają jak kapelusze ślubne. Zręcznym chwytem dłoni odzianej w białą rękawiczkę kamerdyner podnosi jedną wieżyczkę i chowa ją niżej, w dole stolika, po czym informuje, że jest tam chłodziarka. Wszystko zostało przemyślane. Wszystko jest idealne. Całe to wydarzenie wygląda jak coś prosto z Instagrama. Oczywiście Lexie robi zdjęcia telefonem. *Mały podwieczorek @theritzlondon, #dzienzdziewczynami, #podwieczorek, #Ritz #korzystamzycia, #zlodziejkaprzyjaciolek, #suka.*

Strzela korek od szampana. Dziewczyny piszczą.

– Schlam się jak wściekła – mruczy Hils.

– My nalejemy. – Lexie odprawia pracownika machnięciem ręki, mimo że jest, przynajmniej w oczach Jane, istotą ludzką. – Możesz wyjść.

Mężczyzna wkłada butelkę z powrotem do lodu i odsuwa się, skłaniając subtelnie głowę. Praktycznie nie słyhać jego kroków, a zamykaniu drzwi towarzyszy tylko lekkie kliknięcie zamka. Jane wyobraża sobie, jak pokazuje Lexie środkowy palec i wyklina ją pod nosem.

– Napełnijmy kieliszki – proponuje radośnie Lexie.

Sophie zakrywa swój kieliszek.

– Ja już dziękuję.

– Jasna sprawa, kochanie. – Lexie nieruchomieje z butelką w ręce. – Jane, skoczysz do kuchni po sok owocowy, który jest w lodówce?

Tu jest *kuchnia*?

– Musisz iść na koniec korytarza – kontynuuje Lexie – a potem skręcić w lewo zamiast w prawo. Dokładnie tam.

Jane wchodzi do kuchni, zanim dociera do niej, że właśnie została odesłana tak samo jak kamerdyner, bez żadnego „proszę” ani „czy mogłabyś”? Już nigdy, przenigdy nie będzie spędzać czasu z tą kobietą. Nienawidzi jej.

Kuchnia jest mała – supernowoczesna, z wyposażeniem na wysoki połysk. Stoi w niej ekspres do kawy, czajnik, jedno i drugie nowe. Słyszając podekscytowany chichot dziewczyn, Jane otwiera szafkę po szafce i znajduje w nich: pełen zestaw naczyń, szklanki, garnki i, ach, lodówkę wbudowaną w szafkę. W środku jest karton mleka, butelka białego wina, jedna woda gazowa, jedna niegazowana, a także świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy. Wyciąga wodę gazowaną oraz sok i sięga po szklanki. Wtedy zauważa tacę, dlatego ustawia na niej wszystko i dokłada wodę niegazowaną. Myślała, że upicie się będzie jedynym sposobem na to, żeby to przetrwać, ale teraz wydaje się to niebezpieczne. Musi zachować czystą głowę, w przeciwnym razie może dojść do aktów agresji. I to nie ze strony Lexie.

Pod wpływem impulsu otwiera białe wino i wylewa je całe do zlewu, wypełnia butelkę wodą i zamyka. Wstawia ją z powrotem do lodówki, ale nie wie, co w ten sposób chciała osiągnąć.

– Znalazłam też wodę – oznajmia po powrocie, czując się w tym momencie bardziej jak służąca. Stawia tacę na stoliku kawowym. – Gazowana, niegazowana czy sok? – pyta Sophie. – W sumie, lubisz smak pomarańczowy i bąbelki, zgadza się?

Sophie posyła jej uśmiech.

– Dziękuję.

Jane odwraca się do Lexie.

– Chcesz coś bezalkoholowego, Lexie?

– Bezalkoholowego? – Lexie mruga. – Och, chyba tak. Tak, tak, nie powinnam przesadzać. – Śmieje się. – Poproszę wodę niegazowaną, dziękuję, kochana. – Opróżnia kieliszek z szampanem tak szybko, jak dziecko wypija colę tuż po tym, jak zostało mu to zabronione.

– Dałyśmy nagrodę Kath – mówi Sophie. – Za buciki.

Jane patrzy jej w oczy, przez chwilę kompletnie zagubiona.

– Nagrodę? Och, nagrodę, tak! Buciki. Jasne, to super.

– Lawendową sól do kąpeli – mówi Kath, unosząc do góry białą tubę.

– To REN.

Kath jest kompletnie zagubiona.

– Myślałam, że jest lawendowa.

Lexie śmieje się głośno.

– LOL! Jesteś przezabawna. REN? To marka.

Kath się rumieni.

– Och. Racja. Wybacz, tak. Zwykle kupuję sole z Epsom.

– Epsom – mówi Hils, przeciągając słowo. – Bo jesteś tego warta – chichocze.

– Następna zabawa – informuje Lexie. – Najlepsza historia z porodu!

Włosy stają Jane dęba. Po jej skórze rozlewa się fala gorąca. Gdy podnosi wzrok, mrugając gwałtownie, by ukryć upokorzenie, Lexie patrzy prosto na nią. Oczy ma ciemnozielone z turkusowymi i brązowymi akcentami. Rzuca jej spojrzeniem wyzwania.

– Jane – mówi. – Wiem, że nie masz jeszcze dzieci, ale możesz nam opowiedzieć o swoim własnym porodzie, prawda? Co do reszty, chcę usłyszeć każdy najgorszy szczegół, okej? Zróbmy to! – Lexie pociera ręce i rusza ramionami. – To będzie takie *wiążące*. Dawaj, Sofes! Ty pierwsza.

Jane rozgląda się po pokoju, skóra głowy mrowi jej z rozpaczy i bardzo silnej potrzeby, by wyjść. Hils i Kath popijają drinki – przygotowują się do słuchania albo zachowania dla siebie opinii. Trudno zgadnąć. Gdy Jane patrzy na swoją byłą przyjaciółkę, widzi, że ta zrobiła się czerwona jak burak. Czy Sophie jest wstyd ze względu na Jane, czy wstydzi się opowiedzieć bardzo osobistą historię o narodzinach Kyle'a?

Rzecz w tym, że one wszystkie znają tę historię. Wszystkie poza Lexie, na to wygląda. To było zaplanowane cesarskie cięcie w szpitalu w Cobham, wszystko opłacone z ubezpieczenia Carla. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że Lexie wybrała tę grę tylko po to, by Jane poczuła się pominięta. Nie wie, że Jane nie może mieć dzieci, ale obecnie żadnego nie ma, a to oznacza, że nie ma też historii do opowiedzenia. Opowiedzenie o tym, jak ona się urodziła, to nie to samo. To historia z drugiej ręki, niczym płaszcz z lumpeksu w sklepie pełnym okryć wierzchnich z tego sezonu. Jest gorsza, tak jak jej buty, sukienka, jej fryzura, do której widocznie trzeba mieć odpowiedni wygląd, żeby dobrze w niej wyglądać, a którego ona najwidoczniej nie ma, co oznacza, że wygląda źle, męsko, nieatrakcyjnie.

Jedynym pocieszeniem jest to, że Kath i Hils myślą, że nie chce mieć dzieci – nigdy sama nie podsunęła im tego pomysłu, ale się tego trzyma, by oszczędzić im i sobie bólu, ale też po to, żeby uciec od ich współczucia. Tylko Sophie zna prawdę. Tylko Sophie się rumieni. Jane ma nadzieję, że to empatia i że w końcu zauważy bezwzględność, z jaką gra Lexie.

Ale Sophie zaczyna swoją historię, jej zawstydzenie mija. Jane wypija cały kieliszek szampana. Zaczyna ją boleć głowa.

– ... a potem zrobiło się strasznie dziwnie – mówi Sophie. – Leżałam na łóżku, znajdowaliśmy się w szpitalnej windzie, a obok mnie stało to plastikowe łóżeczko, trochę jak inkubator, tyle że to nie było to. Co dziwne, leżałam na plecach, to łóżeczko stało obok, a ja myślałam sobie: to ma identyczny kształt jak ja – okrągły, wicie? I pamiętam, że myślałam wtedy, że muszę wsadzić to – pokazuje na swój brzuch – tam. – Wskazuje obok siebie, jakby stało tam łóżeczko, i śmieje się.

Jane wpatruje się w swoje kolana, zalewa ją fala gorąca. Wszystko dookoła jest nieistotne, rozmazane, jakby śniła.

– A potem? – dopytuje Lexie. To, że nie wie czegoś o Sophie, zakrawa wręcz na cud.

– A potem leżałam na stole operacyjnym i był tam ten ekran... może taki jak przy sztuczce, w której magik przecina swoją asystentkę na pół? A potem w powietrzu pojawiły się wielkie, tłuste i żółte nogi, a ja pomyślałam „czyje są te obrzydliwe żółte nogi?”. Naprawdę, miały kolor sera cheddar i przypominały wielkie trójkąty. Wtedy do mnie dotarło, że to moje! To były moje nogi! – Śmieje się głośno. Dziewczyny jej wtórują.

Wzory geometryczne na sukni Jane zaczynają tracić kształt. Wzrok się jej rozmywa. Oddech staje się urywany.

– Bo wicie – kontynuuje jej była przyjaciółka – nie widziałam swoich nóg przez kilka miesięcy, prawda? – Buczy, a Jane, wbrew samej sobie, uśmiecha się do swoich dłoni, które splotła na kolanach, żeby powstrzymać je od drżenia. To jest Sophie. Zabawna. Taka, która potrafi śmiać się z siebie. Przyziemna. Ludzka. To z tą kobietą się przyjaźniła, to z nią rozmawiała, śmiała się tak, że niemal brakowało im tchu. Na samą myśl o tym serce ściska się jej boleśnie.

Sophie mówi dalej, opowiada, jak czuła się jak samochód, w którym grzebali mechanicy, starając się znaleźć młotek, który gdzieś tam im wpadł. Całej historii towarzyszą śmiechy.

– A potem... – Zniża głos. Reszta kobiet też się uspokaja. – Potem... wyjęli go. Był cały czerwony, trochę siny i miał tak mocno zaciśnięte piąstki, wicie?

Położyli mi go na klatce piersiowej i był taki ciepły, niemal gorący. Pomyślałam sobie: on wyszedł *ze mnie*. Był częścią mojego ciała, jak serce albo płuco, ale nagle znalazł się na zewnątrz i leżał żywy w moich ramionach, a potem podniósł swoją małą rączkę i... – Zaczyna płakać. – Przepraszam. Hormony. Ból pleców, dodatkowe kilogramy, to wszystko... zniknęło. Bo był tam. Był cudem, po prostu... cudem.

Dwie łzy skapują na zaciśnięte z całych sił dłonie Jane. Sophie opowiedziała jej tę historię jeszcze w szpitalu, a ona stłumiła swój ból, usiadła na łóżku, wzięła Kyle'a w ramiona i płakała za przyjaciółkę, za siebie, przez to, jak niezdolne i skomplikowane potrafiło być życie, przez to, jak niemożliwe w tamtej chwili było oddzielenie swojego smutku od radości przyjaciółki, od swojej własnej radości wywołanej szczęściem bliskiej osoby. Płakała z ulgi, że udało im się przepracować tę zadkę, która tkwiła między nimi.

Czasami przyjaźń zostaje naruszona dobrocią – kiedy ktoś stara się oszczędzić tej drugiej osobie swoich uczuć, a kończy się na dystansowaniu przez nieporozumienie. Ale dobrocią można to też naprawić. A teraz zdaje się, że cała ta dobroć została zastąpiona koktajlami z szampanem, hotelowymi apartamentami i drogimi prezentami – tak wieloma *przedmiotami*.

Hils i Kath są lekko zarumienione, oczy mają zaszklone z emocji i możliwe, że przez szampana.

Lexie się uśmiecha, głowę ma przechyloną na bok. Przygryza wargę i macha dłonią przed twarzą.

– Mój Boże, to naprawdę mnie wzruszyło – mówi. Ale jej oczy nie błyszczą. Nie jest tak poruszona jak reszta. Ona nie kocha Sophie tak jak ona, Kath i Hils. Wygląda... wygląda, jakby ktoś kazał jej nosić tanie buty.

Zapada cisza, w trakcie której nakładają sobie podwieczorek. Jane desperacko potrzebuje lampki szampana. Zwykle po prostu by go sobie naląła i napełniła kieliszki dziewczynom, ale to... nie jest pewna, jakie zasady obowiązują w tej grze. Dopada ją coraz większy smutek. Tonie, wie o tym. Jest niczym uwięziona ćma, zalana żywicą. Jeśli zapłacze, nie wie, czy ktoś usłyszy. Jeśli usłyszą, to będzie katastrofa. Nieważne, jak okropny jest ten dzień, tu nie chodzi o nią – tu chodzi o jej przyjaciółkę, którą kiedyś kochała. Nadal kocha.

– Planujesz mieć dzieci?

Podnosi wzrok i widzi, że Lexie patrzy prosto na nią z tą samą oziębłością co zawsze.

– Przepraszam?

– Zapytałam, czy myślisz, że możesz mieć w przyszłości dzieci?

Jane patrzy na Sophie, której czubki uszu są czerwone. Dlaczego nie może podnieść wzroku? Chyba nie powiedziała Lexie? Na pewno nie powiedziała? Nie. Gdyby to zrobiła, Lexie nie zadałaby tego pytania.

Nikt nie jest taki bezduszny.

– To bardzo... bezpośrednie pytanie – mówi. Bierze oddech. Wypuszcza go. Niegrzeczne. To pytanie jest niegrzeczne.

Lexie wznosi ręce do góry i otwiera szerzej oczy, sugerując, że Jane przesadza.

– Przepraszam, ja tylko *pytałam*.

– Ja... my... Ciągle rozwijam swój biznes, a Frankie... cóż, bardzo dużo teraz pracuje, ma swoją firmę. Może za rok albo dwa. Gdy będziemy stabilniejsi finansowo.

Bierze kanapeczki z pieczenią wołową i chrzanem, głównie po to, żeby się zapchać. Białe pieczywo przywiera do jej podniebienia. Pochyla głowę, stara się odkleić je czubkiem języka. Puls łomocze jej tak, że czuje pulsowanie w głowie. Chleb w końcu się odkleja. Zmusza się, by podnieść wzrok. Ona nie ma czego się wstydzić.

Lexie siedzi wygodnie na krześle i obejmuje brzuch obiema rękami.

– Powinnaś zdecydować się prędzej niż później, wiesz? – mówi, jakby znały się nie wiadomo jak dobrze. – Szczerze, to najlepsza rzecz, jaka przytrafiła mi się w życiu. Moje dzieciństwo nie było bezproblemowe i czuję, że to moja szansa, by dać komuś takie dorastanie, jakiego ja nie miałam.

Jane przenosi wzrok na jej twarz i widzi, że przez sekundę pojawia się na niej coś autentycznego, ale szybko wraca do bycia typową sobą i dodaje:

– To naprawdę zbliżyło mnie i Steve'a do siebie.

Dzwoni telefon. Rozlega się „Halo” Beyoncé. Na ekranie pojawia się imię STEVE.

– O wilku mowa – mówi Lexie i wstaje. – Boże, ten mężczyzna nie może mnie zostawić nawet na chwilę w spokoju! Wybaczcie na moment. – Chwyta telefon, wstaje i rusza ze śmiechem w stronę korytarza.

– Myślałam, że ci powiedziałam, żebyś do mnie nie dzwonił. – Docierają do nich jej słowa, w tonie słyhać prześmiewczą przyganę. Sekundę później otwierają się i zamykają drzwi. Zapada cisza.

Jane nie może, po prostu nie może spojrzeć w stronę Sophie.

– W sumie – mówi – naprawdę muszę skorzystać z łazienki.

To tylko częściowo kłamstwo. Musi zrobić siku, ale przede wszystkim potrzebuje zostać sama – potrzebuje pięciu minut na to, by odzyskać

panowanie nad sobą, by przypomnieć sobie, kim jest. Żałuje, że nie zostawiła trochę tych kropel.

– Przy drugim pokoju jest łazienka... – Podąża za nią głos Sophie.

Jane dociera do korytarza. Po prawej stronie są kolejne drzwi. Gdy przyszła, musiała ich nie zauważyć. Otwiera je i od razu dociera do niej dobiegający z głębi głos Lexie.

– Mówiłam ci, żebyś do mnie, kurwa, nie dzwonił – mówi pełnym groźby głośnym szeptem. – Nie wierzę, że dzwonisz do mnie w trakcie mojego wyjątkowego dnia. – Zapada cisza. Serce Jane bije mocniej. Królewskie łożę sugeruje, że to główna sypialnia, nie dodatkowy pokój, choć w tym świecie trudno być tego pewnym. Którykolwiek to pokój, dobiega z niego głos Lexie. Jane pochyla się, rozdarta między wyrzutami sumienia a ciekawością.

Wygrywa ciekawość. Wchodzi głębiej do czegoś, co agent nieruchomości nazwałby przestrzenną sypialnią, niebieski i biały kolor ścian przywodzi jej na myśl starą kolekcję Wedgwood jej matki, którą Jane zniszczyła, wyrzucając przez okno z mieszkania na czwartym piętrze. Stało się to, gdy wróciła ze szkoły wcześniej i usłyszała intymne dźwięki dobiegające zza drzwi pokoju jej matki. Szybko odpycha od siebie tę myśl, bo Lexie podnosi głos.

– Nie żartuję sobie – mówi. – Zgodziłeś się na to. Poza tym, już za późno. Zapłaciłam rachunek...

Więc... czekaj, co? Steve zapłacił za bociankowe? Ile ono kosztowało? Setki? Może nawet tysiąc? Jane nie ma pojęcia.

– Cóż, *nie możesz* ich odzyskać – syczy Lexie. Drzwi do łazienki są otwarte. Jane widzi Lexie w lustrze, wpatrującą się w siebie podczas rozmowy, przekręcającą twarz na różne strony i podziwiającą swój wygląd podczas kłótni. Przygląda włosy, zdejmując z policzka rzęsę. – Wiem. Wiem o tym. Ale chciałam, okej? To było dla mnie ważne, dobra? To moje przeżycie, moje prawo. Nie wierzę, że jesteś tak kurewsko skąpy, poważnie.

Jane przybliżyła się do drzwi do łazienki. Szpieguje, nie ma na to innej nazwy, ale rozbieżność między Instagramem Lexie – aluzje na temat Steve'a i ich idealnej relacji – a tym, co dzieje się teraz, jest tak szokująca, że aż czuje dreszczyk emocji.

Gdy Lexie kontynuuje ruganie swojego biednego faceta, wsuwa wolną rękę pod bluzkę. Bluzka się unosi. Z tyłu ma beżowy pasek. W pierwszej chwili Jane myśli, że to pewnie jakieś medyczne wsparcie – nie, ukryta saszetka na pieniądze. Przygląda się dokładniej. Przód koszuli również się podwinął. Teraz,

prychając z irytacji, Lexie przyciska telefon ramieniem do ucha i dwiema rękami poprawia okrągłą kopułę w kolorze skóry.

Na swoim idealnie płaskim i opalonym brzuchu ma doczepiony brzuszek ciężowy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Frankie

Luty

Frankie idzie za Natashą na górę, czując obawę, niemal lęk.

Ona prowadzi – znowu. A on znowu za nią podąża. W górę, po betonowych schodach bez poręczy, schodach wyjętych prosto z galerii sztuki. W sumie na ścianie jest tyle obrazów, że ten dom mógłby być taką galerią. Jezu, ile w tym domu jest pieniędzy.

– Tędy – mówi. Zdaje sobie sprawę, że przez cały ten czas do niego mówiła, ale jej nie słuchał.

Natasha siedzi na wysokim krześle w kącie potężnej łazienki. Wszędzie jest marmur, szary, płowy i biały. Wanna, tak samo jak domek letniskowy, znajduje się w zagłębieniu, pomieściłyby się w niej cztery osoby. Może właśnie to lubi – oni lubią. Korzystać z niej z inną parą. Walczy z rumieńcem, który rozprzestrzenia się na jego policzkach, rozgląda dookoła najbardziej profesjonalnie, jak to tylko możliwe, mimo że dopada go zmęczenie i zaczyna tracić koncentrację. Popija wino, by ukryć narastający niepokój, który niewiele się różni od paniki. Prysznic jest otwarty – nie ma drzwi – i bardzo przestrzenny. Gdy przygląda się mu dokładniej przez przydymioną szybę, widzi dwie deszczownice i dwie baterie.

– To nasz podwójny prysznic – mówi, jakby czytała mu w myślach. – Raczej intrygujący.

Frankie znowu pije, mimo że powtarza sam sobie, żeby przestać. Wino uderza mu do głowy – mocno. Nie jadł, odkąd pochłoniął kanapkę o jedenastej.

– To co byś chciała tu zrobić? – pyta. Łazienka jest idealna. Nic w niej nie wymaga zmiany.

– Myślałam o jacuzzi – mówi. – Widzisz wannę? Cóż, przede wszystkim chcę wiedzieć, czy da się tam wbudować jacuzzi, czy muszę kupować całość. W sensie, czy istnieje wkład do jacuzzi, który można by tu wpasować? Wybacz, nie mam na ten temat bladego pojęcia. – Chichocze cicho. – Pomyślałam, że fajnie byłoby mieć bąbelki, wiesz? Kocham bąbelki, w kieliszku i poza nim.

– Jasne, rozumiem – mówi, choć ta czynność przychodzi mu z trudem.

– Nie musisz odpowiadać teraz. Możesz zebrać wymiary czy co tam jest ci potrzebne, a potem napisać mi przybliżony koszt.

– Hmm. – Kręci mu się w głowie.

– Wszystko w porządku? – Kładzie mu rękę na przedramieniu. – Frankie? Wyglądasz na zamroczonego, kochany. Pewnie pijesz na pusty żołądek, co? Powinnam była zaproponować jakąś przekąskę, wybacz. Chodź, napijesz się wody.

Jest świadomy tego, że bierze go za rękę i że kroczy chwiejnie po pochyłej podłodze korytarza. Chce jej powiedzieć, żeby puściła jego dłoń. Ciągłe mówi: dociera do niej ton jej głosu, ale brzmi jak ćwierkanie ptaków.

Skręcają, potem wchodzi jeszcze w inny korytarz. W głowie ma mętlik. Nie są w kuchni. Weszli do sypialni. Czuje nacisk jej dłoni na swojej piersi. Łóżko zapada się pod nim.

– Miękkie – mówi.

– Połóż się – mówi. Teraz kładzie na jego piersi dwie ręce.

Pozwala sobie opaść na pościel. Kołdra jest taka czysta, taka...

– Przyniosę ci wodę. Chyba cukier ci spadł.

– Ja...

Próbuje usiąść, ale czuje, jakby to było ponad jego siły. Ramiona uginają się pod ciężarem ciała.

– Natasha? – Zamyka oczy. Czuje zapach lawendy. Pokój wiruje.

– Hej. – Czuje, że materac obok niego lekko się zapada. Próbuje przekreślić się na prawo, boi się, że spadnie z łóżka.

Otwiera nieznacznie oczy. Natasha siedzi tuż obok. Wyciąga w jego stronę szklankę wody.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz na półprzytomnego.

– Kupiłem zegarek – mówi. – Byłem głupi. Strasznie głupi.

– Nie mów tak. – Głaszcze go po włosach. To takie kojące, ale też dezorientujące, bo w brzuchu czuje poruszenie, jakby jego głowa i brzuch należały do dwóch różnych osób.

– Głupi – mówi, tak mu się wydaje.

– Nie jesteś głupi. Nikt nie uważa cię za głupiego, Frankie.

Zaciska pięści, czuje wbijające się w skórę paznokcie.

– Nie rozumiesz. Kupiłem ten zegarek przez wannę.

– Wannę?

– Tak. Ale nie chodzi o wannę. Chodzi o dziecko. Ona nie może. Moja żona. Jane nie może... my nie możemy mieć dzieci. I nie jestem w stanie nic z tym zrobić.

– Och, kochanie. – Ciągłe głaszczę go po głowie, miarowo i delikatnie, tak jak robiła to jego mama. – To nie twoja wina.

– Kupiłem zegarek – mówi. – Ale to było głupie. – Zaczyna płakać, nie obchodzi go nawet, że płacze przy niej. – Jestem taki głupi.

– Pragnienie, by posiadać coś fajnego, nie jest głupie. – Przesuwa ręką po jego twarzy, szyi. – Ja lubię ładne rzeczy. Podoba mi się twój zegarek. Podobała mi się koszula, którą miałeś na sobie tamtego wieczora w pubie. Posiadanie pieniędzy i dobrego gustu nie jest przestępstwem, wiesz? Poza tym ciężko pracujesz na to, co masz. Jesteś mężczyzną, który sam na to wszystko zapracował.

Jak przez mgłę dociera do niego, że Natasha odstawia szklankę gdzieś koło jego głowy, a jednocześnie rozpina jego koszulę. Podnosi rękę – *przestań* – ale ta opada.

– Chciałbym umieć to naprawić. – Chyba tak powiedział. Usta ma zdrętwiałe, język jakby mu spuchł. Powiedział rzeczy, których nigdy nie powinien zdradzić, których nigdy nikomu nie wyjawiał. W głowie ma czarną dziurę. Próbuje to od siebie odpędzić: odejdz, zostaw. – Chciałbym... chciałbym...

– Wiem, że byś chciał, kochanie. Wiem. – Przesuwa palcami po jego piersi, trochę drapie, trochę muska opuszkami. – Nie smuć się. Wszystko jest w porządku. Jest dobrze. To nie twoja wina. Nie twoja. Nie jesteś głupi. Nie uważam, żebyś był głupi. Na pewno jesteś zmęczony. Tak bardzo zmęczony. Pracujesz bardzo ciężko, Frankie, strasznie ciężko. Uważam, że jesteś cudowny.

Ciepłe powietrze na jego brzuchu. Muśnięcie rzes na klatce piersiowej. Delikatny pocałunek na brzuchu.

– Nie – mówi. Ciemność. Osuwa się na niego coraz gęstsza ciemność.

Szczęknięcie metalu. Mignięcie jej długich i ciemnych włosów. Lśniące, mahoniowe włosy. Nie opieraj łokci na stole, Frankie. Siedź prosto. Zamykaj usta, gdy przeżuwasz. Dobre maniery nic nie kosztują.

Materiał jego spodni zsuwa się po jego nogach. Podryguje jedna noga, potem druga. Spodnie lądują na podłodze. Skarpetki. Te zostały. Jego śmierzące stopy. Łaskotanie towarzyszące jej palcom sunącym w górę jego ud. Poruszenie w bokserkach, którego nie chce.

Ciemność.

Później. Błyśnięcie białego światła. Jest naga. Jęczy, unosi się nad nim, na nim. Głowę ma odrzuconą do tyłu. Podbródek ma blady. Piersi kołyszą się, mają dziwny kształt, sutki są duże, fioletowawe, skóra jest opalona. To nie są piersi Jane.

– O tak – mówi. – Tak, Frankie, właśnie tak. – Jest coraz głośniej. – Tak, dokładnie, o Boże.

Mija czas. Łóżko jest miękkie. Sapie gwałtownie. Budzi się. Jest nagi. Kobieta, Natasha, leży nago obok niego.

Siada. Dyszy, serce łomocze mu mocno w piersi.

– Co?

Ona drga, wyciąga rękę przed siebie, przykrywa nią jego kutasa – tak po prostu, jakby był jej.

– Hej – mówi. – Tygrysie. – Uśmiecha się ospale.

Mruga gwałtownie, przyciska ręce do skroni. Byli w kuchni. Nie, w salonie. Nie, w łazience, ona siedziała na krześle ze skrzyżowanymi nogami. Wino. Czuje jego kwaśny posmak w ustach, osiadło mu ciężko w żołądku. Jego żołądek, Boże. Odsuwa jej rękę i próbuje wstać. Kręci mu się w głowie, nogi niemal odmawiają posłuszeństwa. Potyka się, dociera do łazienki. Udaje mu się dotrzeć do sedesu. Jęczy, ukrywa twarz w dłoniach, skórę ma śliską od potu.

– Boże – mówi. – O Boże, o Boże.

– Frankie? – woła go. – Wracaj do łóżka, skarbie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Jane

Kwiecień

Jane odskakuje, jakby poraził ją prąd. Nagle kuca, skrywa się w cieniu. Serce bije jej szybko. Lexie nosi sztuczny brzuch. Ona nie jest... Lexie nie jest w ciąży. Nie ma żadnego dziecka. Nigdy nie było.

Kobieta ciągle się kłóci. Boże, gdyby choć przez chwilę spojrzała w lustrze za siebie, gdyby tylko zerknęła, zobaczyłaby kucającą Jane: szpiegującą, podsłuchującą.

Widziała ją?

Nie, ciągle jest zapatrzona w swoje odbicie, przekleństwa wylewają się z niej z wrodzoną płynnością, jakby często ćwiczyła ich wymowę. Cóż za dziwny sposób na zwracanie się do kogoś, kogo się kocha. Janie nie potrafi sobie wyobrazić, żeby zwrócić się w ten sposób do Frankiego, nawet w złości.

Nasilają się jej mdłości. Wycofuje się w stronę drzwi, ciągle kucając. Lexie nosi sztuczny brzuch. Nie jest w ciąży. Czy właśnie to przed chwilą zobaczyła? Czy to naprawdę oznacza to, co myśli? Musi. Po prostu musi. Nie ma innego wyjaśnienia. Udaje ciążę. Jest to tak niewiarygodne, że przez chwilę ta myśl wisi w powietrzu w dwóch wariantach: to nie może być prawda; to jest prawda. Musi chodzić o coś innego; to nie może być nic innego.

Lexie się nakręca, zaczyna szeptać gwałtownie, gorączkowo.

– Wiesz, to nie tylko moje dziecko – syczy. – Nie miałeś problemu, żeby je ze mną zrobić.

Uruchamia się w niej instynkt przetrwania. Jane odwraca się, opuszcza sypialnię na czworakach, po czym przechodzi na palcach przez korytarz i odnajduje kolejne drzwi obok wejścia do kuchni. Za nimi znajduje się mniejszy pokój, z pojedynczym łóżkiem. To tu miała przyjść zrobić siku.

Zamyka drzwi z oddechem grzęznącym w gardle, opiera się o nie. Klatka piersiowa unosi się i opada gwałtownie. Kładzie na niej dłoń. Poci się, nogi ma jak z waty. Po chwili czuje, że opanowała się na tyle, żeby wejść do łazienki, a tam osuwa się na deskę sedesową, jedną drżącą dłoń unosi do ust.

– O mój Boże – szepcze. – O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże.

Lexie udaje, że jest w ciąży. Nieważne, jak wiele razy powtarza to sobie w głowie, ta myśl pozostaje nieuchwytna niczym mgła. Wygląda na to, że oszukuje swojego chłopaka – nie, ona go *kantuje* – wmawia mu, że będzie ojcem, wyciąga od niego pieniądze, jakby w ten sposób chciała go ukarać, jakby nienawidziła go za to, że ją zapłodnił. Ale ona nie jest w ciąży. Dlatego to nie ma najmniejszego sensu. I jak to w ogóle możliwe, że jest w stanie oszukiwać swojego chłopaka w takiej kwestii?

Może oni ze sobą nie mieszkają. Może to nie jest tak poważne, jak ona mówiła. A może są razem, ale śpią w oddzielnych łóżkach. Jane pamięta, jak Sophie mówiła jej, że gdy była w ciąży, przez kilka miesięcy spała w oddzielnym pokoju. Miała problemy ze snem, rzucała się, a Carla zaczęło to męczyć, narzekał, że chodzi niewyspany do pracy. Ale to, co usłyszała właśnie Jane, brzmiało zupełnie inaczej. Cały ten związek zdaje się być bardzo toksyczny.

Gdy sprawy się komplikują, do związku może się zacząć sączyć trucizna. Jane i Frankie przeszli przez piekło, gdy czynili próby, by zaszła w ciążę, i zdarzały się chwile, gdy oboje mogli zachować się uprzejmie. Ale nigdy, przenigdy nie zwracali się do siebie w ten sposób.

Coś nagle wpada jej do głowy. Kiedy przechodzili te straszne chwile, gdy przytłaczał ich zawód za zawodem, gdy Jane dopadł brak pewności siebie wywołany tym, że nie może zajść w ciążę, i zaczął sączyć się do jej głowy, czuła się atakowana, była wymagająca i załamana. Nigdy nie stała się tak wredna jak Lexie była w tej chwili, ale przecież ludzie są różni – mają różne granice, inne sposoby na wyrażanie siebie. A jeśli Lexie i Steve mają problem z zajściem w ciążę? Może *dlatego* Lexie udaje, żeby ratować związek. Bóg wie, że to szaleństwo, a Jane w czasie prób była bliska szaleństwa. Rozumie, jak bezpłodność może wpłynąć na człowieka, jak w tej chwili może czuć się Lexie i mimo wszystko jej współczuje.

Ale jeśli próbuje zbliżyć się do Steve'a, dlaczego tak do niego mówi? To zabrzmiało tak, jakby zmusiła go do opłacenia tego bociankowego z powodu wywołanej czymś złości.

Chyba że... tu nie chodzi o Steve'a. Może chodzi o Sophie. Czy Lexie ma na jej punkcie obsesję? Może się zakochała? Niekoniecznie w romantyczny sposób. Może to zaborcza, pełna zazdrości i niezdrowa miłość? Jane wie z doświadczenia, jak Sophie potrafi sprawić, że czujesz się, jakby cię przygarniała – wręcz adoptowała. Była pierwszą od bardzo długiego czasu

prawdziwą przyjaciółką, którą Jane poznała; pierwszą osobą, której w pełni zaufała – poza przyjaciółmi ze szkoły i Frankiem – po wyprowadzce z północy i od matki. Zawsze miała znajomych z pracy, tak, kolegów i koleżanki, z którymi mogła wyjść na piwo, ale gdy pochłonęła ją terapia i przestała pić, straciła tych znajomych. Ludzie się rozeszli. Jane i Frankie byli dwoma pingwinami na dryfującej tafli lodu. Ale Jane nigdy nie czuła w stosunku do Sophie niczego obsesyjnego. Była wdzięczna, po prostu, za to, jak Sophie powitała ją w nowym świecie z grillami, piątkowymi wyjściami i... cóż, przyjaciółmi. Sophie pomogła Jane i Frankiemu wydostać się z tej tafli lodu. Może dlatego teraz, gdy znalazła się w lodowatej lodzie, jest w takim szoku.

Myśl, Jane.

Związek Lexie ze Steve'em nie brzmi na dobry, to na pewno. Tak, biorąc pod uwagę jej „szczodrość” i zmianę wyglądu i ubrania, których celem jest sprawienie, by wyglądały tak samo, może w jakiś sposób zakochała się w Sophie – zadurzyła się w niej, chciała mieć ją na własność, jakby Sophie była czymś, co można posiadać – *#najlepszaprzyjaciolka*, *#blizniaczki*, *#mojacalamoja*. To ciekawe, że powiedziała o swojej ciąży po tym, jak Sophie ogłosiła swoją, że zorganizowała z tej okazji jedno „wydarzenie”. Tak, im dłużej Jane o tym myśli, tym bardziej jest przekonana, że tu wcale nie chodzi ani o nią, ani o Steve'a. Może ta udawana ciąża, ten sztuczny brzuch, to sposób na zbliżenie się do zabawnej i pięknej Sophie, do jej odnoszącego sukcesy męża i ich wiktoriańskiej posiadłości, do jej wymuskanego samochodu i ładnego życia. Może tak chce się do niej zbliżyć bardziej niż ktokolwiek inny. Wymyślając ciążę, Lexie stworzyła coś bardzo ważnego, co je łączyło. Tak, to ma najwięcej sensu. Owszem, tu chodzi o Jane, ale nie do końca. Jane jest celem, ale tylko dlatego, żeby ją wyeliminować i żeby Lexie miała czystą drogę do zdobycia Sophie.

Jane zaciska ręce w pięści. Jęczy.

Nie wie, nic nie wie, po prostu nie wie. Wie, że nic nie wie. To tylko przypuszczenia. Cała ta sytuacja jest bardzo dziwna. Mogłaby tak siedzieć na tym sedesie przez cały tydzień, oddychając kwiatowym odświeżaczem powietrza w tym ekskluzywnym hotelu, starając się rozwikłać tę sprawę, a i tak daleko by nie zaszła. Jednego jest pewna: musi się stąd wydostać. Musi stąd wyjść, w tej chwili.

– Tu jesteś! – Lexie uśmiecha się promiennie do Jane, gdy ta wraca do salonu. – Zastanawialiśmy się, gdzie się podziałaś. Twoja kolej na

opowiedzenie historii!

Jane zmusza się do uśmiechu, spuszcza wzrok, sięga po kurtkę i torebkę, które wiszą na oparciu krzesła.

– Dziewczyny – mówi. – Naprawdę nie czuję się dobrze. Od jakiegoś czasu mocno dokucza mi żołądek. Chyba muszę iść do lekarza. Bardzo, bardzo was przepraszam. Będę uciekać.

– Co? – To Sophie. – Nie jadłyśmy jeszcze tortu!

Jane nie może na nią patrzeć, po prostu nie. Poza tym nawet nie musi tego robić: po głosie zgaduje, jaką zobaczyłaby minę: wyrażałaby ból, zagubienie, podejrzliwość. Mimo kłótni Jane nie chce zranić swojej przyjaciółki.

– Bawcie się dobrze – woła, stara się zachować radosny ton głosu, który mówi: *Hej, naprawdę chciałabym zostać, ale bardzo źle się czuję*. Unosi rękę, żeby im pomachać. – Nie pijcie za dużo, drogie panie. I naprawdę was przepraszam.

Musi bardzo się postarać, żeby nie biec, ale gdy znika za zakrętem, puszcza się pędem, tak szybko jak to możliwe, byle tylko dotrzeć do windy. Czeka, spanikowana, potrząsa przed sobą rękami, jakby chciała je osuszyć. Zapalają się kolejne cyferki nad windą: 3... 4... Gdy świeci się piątka, słyszy swoje imię.

– Jane? Jane? Czekaj!

Sophie. Sophie za nią wyszła. Jane może jedynie udawać, że jej nie słyszy, mimo że jest to po prostu niemożliwe i nikogo tym nie zmyli.

... 6... 7. Winda pika cicho. Drzwi się otwierają. Jane wchodzi do środka.

– *Jane!*

Wiktoriańska kobieta z parasolką wpatruje się w nią beznamiętnie z tylnej ściany. Jane się obraca. Jest niczym ozdóbka w pudełku. Ćma w żywicy. Otwiera usta, ale zanim jest w stanie wypowiedzieć chociaż słowo, drzwi windy zamykają się bezgłośnie. Zamyka oczy, ale wyraz bólu i dezorientacji na twarzy Sophie jest dokładnie taki, jak go sobie wyobrażała. Ten obraz wypalił się pod jej powiekami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Szpital

Pielęgniarka czeka przed kabiną, do cholery.

– Nie musi pani na mnie czekać – wołam. – Dam sobie radę z kulami. Dotrę z powrotem na salę.

– Poczekam.

– To może trochę potrwać – próbuję ją spławić. – Chyba mam zatwardzenie.

– Żaden problem. Nie ma pośpiechu.

Zatwardzenie jako alibi – co się stało z moim życiem? Myślałam, że szpitale publiczne mają za mało personelu? To chyba mój fart, że trafiłam na najlepiej zaopatrzonego w pracowników oddział na świecie.

Jęczę, żeby brzmiało to przekonująco. Zrobiłam w życiu sporo upokarzających rzeczy, ale ta zajmuje zaszczytne pierwsze miejsce. Dlaczego nie może iść i, nie wiem, wycisnąć komuś ropyń czy coś? Opróżnić cewniki? Zabandażować kończynę?

Z zewnątrz dobiega trzask. Chyba dochodzi z korytarza. Słyszę, że pielęgniarka się rusza i idzie w stronę drzwi. Rozmawia z kimś przyciszonym głosem. Nie jestem w stanie rozróżnić słów, ale z intonacji wnioskuję, że zostało zadane pytanie.

– Tak – słyszę moją pielęgniarkę. – Jedna. – Kolejne pytanie. – Jane Reece.

Zamykam oczy, zastanawiając się, jak długo będę musiała tu siedzieć.

Podeszwy kłapek piszczą na podłodze.

– Jak ci idzie?

– Kto to był? – pytam. – Słyszałam głosy.

– Policja – odpowiada.

– Czego chcieli?

– Och, szukają... kogoś.

– Kogo?

Nie dostaję odpowiedzi. Ale jej nie potrzebuję. Wiem, kogo szukają.

– Jane? – Głos pielęgniarki rozlega się tuż zza drzwi. – Wyjdę na chwilę, okej? Wrócę za pięć minut.

Fantastycznie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Jane

– Frankie? – Jest chwila po osiemnastej, ale w domu panuje półmrok i cisza – światła i radio są wyłączone, z salonu nie dobiega komentarz sportowy.

Des piszczy na jej widok, szaleńczo merda ogonem.

– Franks? – Kuca, żeby podrapać psa za uszami, wtula twarz w jego łeb, podczas gdy on wydaje z siebie dźwięki jak zapowietrzony lew morski. – Hej, Dezzie. Cześć, chłopaku. Gdzie twój tatuś, co? Gdzie jest Franks?

W ciszy słycać buczenie lodówki. Frankie obiecał, że odpocznie, ale wie, że jeśli ktoś by do niego zadzwonił, odebrałby. Nienawidzi zawodzić ludzi.

Czując nagły przypływ zmęczenia, wspina się po schodach. Bardzo potrzebuje się położyć, sprawić, by łomotanie w głowie ustąpiło. Ma nadzieję, że uda jej się zdrzemnąć, byle oderwać się od myśli o tym koszmarnym bociankowym: przesadna ekstrawagancja, wyzywające spojrzenie Lexie, to, jak się zwracała do swojego biednego chłopaka, okropna zabawa z opowiadaniem o porodach, sztuczny brzuch, zraniona mina Sophie, którą zobaczyła, zanim zamknęły się drzwi windy. Uch. Gdyby tylko mogła to zablokować, zanim Frankie wróci, to nie byłaby taka rozkojarzona i mieliby możliwość spędzić wspólnie wieczór, nie zasypiając w trakcie.

Ochlapuje twarz chłodną wodą i wyciera, zerkając kątem oka na swoje odbicie. Widzi ślady łez, zapuchnięte i czerwone oczy. Płakała przez większą część drogi do domu – dlaczego? Jaki był powód? Głupie bociankowe prowadzone przez głupią osobę, która krzyczy na swojego chłopaka i udaje, że jest w ciąży po to, żeby wyciągnąć od niego kasę albo wbić swoje szpony w Sophie – Sophie, która bez wątpienia będzie ją pocieszać, gdy „straci” dziecko, co jest jedynym logicznym wyjściem z tej niedorzecznej sytuacji. Jane płakała jak dziecko na placu zabaw, bo przyszła wredna dziewczyna i ukradła jej najlepszą przyjaciółkę, która już nie będzie się z nią bawić. Płakała, bo zobaczyła, naprawdę zobaczyła, jak obrzydliwe oblicze ta dziewczyna ukrywa pod maską. Bardzo chce powiedzieć Sophie, by chronić ją przed tą złą osobą. Przez to, jak bardzo Sophie ją zraniła, zdemaskowanie Lexie nie dałoby jej

radości ani satysfakcji. Ale nie może tego zrobić. No bo jak? Dwukrotnie czemuś zaprzeczała i jej nie uwierzyła, więc dlaczego miałyby uwierzyć za trzecim razem? Zwłaszcza że Sophie wie, że Jane nie może mieć dzieci, i myśli, że od samego początku jest negatywnie nastawiona do Lexie. Zmieniła osobę, której jest lojalna, jak za pstryknięciem palców, zostawiając ją samą.

Dzięki Bogu za okulary przeciwsłoneczne.

Patrząc we własne odbicie, robi typową wredną minę swojej matki po kilku głębszych. Przymyka jedno oko, niemal przerażona tym, jak bardzo ją przypomina. Nachyla się w stronę lustra i szepcze:

– Nigdy nie pozwól, żeby ktoś zobaczył twoje łzy. Nie dawaj im tej satysfakcji.

Wdrapuje się na łóżko, nie może przestać myśleć o swojej matce. Minęły tygodnie, odkąd do niej dzwoniła. Czuje ciężar poczucia winy.

Jutro do niej zadzwoni. Jutro. Zamyka oczy. Zaczyna dryfować, dopada ją zmęczenie, które nawarstwiało się tygodniami, miesiącami, latami...

Wibruje jej telefon. Ignoruje go. Ale ten nie przestaje wibrować. To nie wiadomość, ktoś do niej dzwoni. Otwiera oczy.

Na ekranie pojawia się imię KATH i zdjęcie jej uśmiechniętej przyjaciółki, gdy ta trzyma jeden z wielu złotych medali za wygraną w jej grupie wiekowej.

– Cześć, Kath – mówi Jane.

– Szema – mówi Kath. Od razu słysząc, że jest pijana.

– Wszystko w porządku?

– Taaaa. Ja i Hils właśnie wyszliśmy. Chciałam tylko sprawdzić, czy jest okej. Wcześniej wyglądałaś na smutną. Martwiłyśmy się o ciebie.

Jane czuje pieczenie pod powiekami.

– Nic mi nie jest. Tylko... to zmęczenie. Brzuch naprawdę daje mi się we znaki, muszę iść z tym do lekarza. – *Lexie jest oszustką. Moja przyjaźń z Sophie legła w gruzach. Nie wiem nawet, czy wciąż ją lubię, ale nie mogę tego nikomu powiedzieć, bo nie mogę stracić moich biegaczek, piątkowych drinków, bo przez ostatnie lata to pomagało mi funkcjonować...*

Czasami chcemy powiedzieć naprawdę bardzo dużo rzeczy. Ale niewiele z nich opuszcza nasze usta.

– To nie było do końca w naszym stylu – mówi Kath, lekko sepleniąc. – Ale Sophie chyba się dobrze bawiła, zresztą fajnie było wejść do jednego z tych apartamentów. Słuchaj, chcesz, żebyśmy szyszyły? Możemy zająć do monopolowego i przenieść imprezę do ciebie. Tylko my we trzy?

Jane czuje klucie w piersi. Mimo dobijającego ją zmęczenia, mimo rozpacz i zagubienia, bardzo chce się zgodzić i je zaprosić. Chce im wyznać, że nie może

mieć dzieci – po prostu to z siebie wyrzucić, pozbyć się tego, poinformować, że nie chce współczucia, nie chce, żeby uważały przy niej na rozmowy o dzieciach, żeby po prostu dalej były tymi samymi zabawnymi i kochanymi dziewczynami. Bardzo chciałyby zdradzić im, co za ich plecami wyprawia Lexie, o jej kampanii nienawiści i oczywiście o udawanej ciąży.

Dociera do niej, że po prostu chce, żeby ktoś jej uwierzył.

– Chyba położę się i odpocznę – mówi, gdy Kath naciska, dorzucając do stawki jedzenie na wynos. – Rano muszę iść do pracy.

– Okej, kochana. Jeśli tego chcesz. Po prostu się martwiłyśmy, to tyle. Wiesz, że możesz z nami rozmawiać, tak? Ze mną i Hils, Hilary, Hilsters. – Śmieje się. – Jesteśmy twoimi kumpelami, tak? Możesz z nami rozmawiać.

– Wiem – udaje jej się wykrztusić.

Słyszy po drugiej stronie zamieszanie, a potem na linii rozlega się głos Hils. Mówi tak głośno, że Jane musi odsunąć telefon od ucha.

– Wpadam jutro na kawę – mówi. – Tylko dlatego, że Starbucks każe mi płacić. Czaisz?

Jane śmieje się, do oczu napływają jej łzy.

– Ale lipa.

– Nic ci nie ominęło – dodaje Hils. – Doświadczyłyśmy tylko więcej show z Lexie i Sophie w roli głównej. Chciałam im powiedzieć, żeby wynajęły sobie pokój, ale przecież już to zrobiły, prawda? – Śmieje się, wywołując też śmiech u Jane.

Kusi ją, żeby wtrącić coś na temat Lexie. Bardzo ją kusi. Ale Hils umie komentować tak, że uchodzi jej to na sucho, a Jane tego nie potrafi – wie, po prostu wie, że uderzyłaby w zły ton. Ona tylko chce odzyskać swoją starą ekipę i nie będzie tą, która ją rozwali. Nie pozwoli, żeby Lexie popchnęła ją do działania za czyimiś plecami ani urządzania wielkich scen.

– Do zobaczenia jutro – mówi. – Dziękuję za rozbawienie.

– Wszystko gra, koleżanko. Daj znać, jeśli będziesz nas potrzebować, okej?

Rozłącza się i zalewa ją ulga, bo Kath i Hils nadal są jej przyjaciółkami, a wtedy dociera do niej, jak beznadziejna w takim razie jest cała ta sytuacja. Nie powinna czuć ulgi. Och, to stało się tak szybko, jakby śniła, jakby to się tak naprawdę nie działo.

– Och, Dezzie – mówi, współczując samej sobie. – Spraw, żeby to się skończyło, okej?

Przyciska czoło do jego łebka, tam gdzie sierść jest najbardziej miękka.

Show z Lexie i Sophie w roli głównej, powiedziała Hils. Chciałam im powiedzieć, żeby wynajęły sobie pokój, ale przecież już to zrobiły, prawda?

Śmieje się, mimo wszystko. Przynajmniej Hils i Kath otwarcie naśmiewają się z tego, jak Lexie bombarduje Sophie miłością. Lecz gdy śmiech powoli cichnie, czuje się źle, trochę jej wstyd. Nie chce tego. Nie chce plotkować o swojej przyjaciółce, nawet niebezpośrednio, nawet jeśli ta źle się zachowuje. Po raz kolejny – w ciągu ostatnich tygodni zdarza się to naprawdę często – myśli o swojej matce. Matce, która zawsze była tematem plotek, wstydem dla całego miasteczka. Jajka rozbite na szybie salonu przywołały wspomnienie sprzed lat, tylko że wtedy Jane i matka były w domu. Przez cały ten okropny bajzel Jane dostrzegła uciekające i wrzeszczące dzieciaki.

– Zasuń zasłony – powiedziała matka. – Zasuń te cholerne zasłony.

Cegła wrzucona przez okno: *Suka*.

– Kije i kamienie połamią mi kości – powiedziała jej matka, zbierając rozbite szkło – ale słowa nigdy mnie nie zranią.

Jednak to słowo zraniło. Jane widziała to w zmarszczkach wokół jej ust, w jej oczach, tym, jak drżały jej dłonie, gdy zasłaniała rozbity szybę gazetami. Jane nie chce, żeby istniał powód, by nazywać ją tym słowem. Nie chce być kobietą, która nazywa tym słowem drugą kobietę. Nie chce, żeby kobiety tak się wobec siebie zachowywały, ale może nie dlatego odmawia użycia tego słowa i pogodzenia się z jego znaczeniem. Może wstrzymuje się tak bardzo, bo zdaje się, że nie istnieje możliwość, by nazwać szpadel po imieniu, nie niszcząc przy tym całej grupy, grupy tak jej drogiej, zbyt cennej, by stracić ją przez jakąś żalostną grę na punkty, z której na tę chwilę się wypisała. Mogłaby wywołać scenę, powiedzieć Lexie, żeby raz na zawsze się odpierdoliła, albo mogłaby zacząć walczyć, ale po co? Po co miałyby cokolwiek robić? Szczerze, nie powinna się w tym babrać. Zdaje sobie sprawę, że nie interesuje jej przyjaźń, z którą wiążą się kłótnie i wieczne udowadnianie przywiązania. Lexie uwiodła Sophie prezentami i pochlebstwami, dorzucając do tego za kulisami ciosy poniżej pasa. Jane odejdzie z wysoko uniesioną głową. Jeśli będzie się widywać z Kath i Hils, to podczas zbiórek Runner Beans. Tylko ich trójka. Wtedy będą mogły nadrabiać zaległości, może wpadać gdzieś na drinka w drodze do domu, byle tylko obejść jakoś to przerażające show.

Bo gdy Lexie jest w pobliżu, nie ma takiej opcji, żeby zatrzymała przy sobie te kobiety, nie tracąc przy tym godności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Frankie

Luty

Frankie zbiera swoje rzeczy w panice. Prawie się przewraca, próbując wsadzić nogi w nogawki spodni.

– Dokąd idziesz? – pyta Natasha. W jego głowie pojawia się przebłysk: ona, siedząca na nim. Jęcząca. Jej mahoniowe włosy. O Boże, o Boże, o Boże.

– Ja... – zaczyna, ale nie jest w stanie wykrztusić z siebie nic więcej.

– Frankie?

Natasha. Uprawiał z nią seks. O Boże, o Boże, o Boże.

Jego telefon leży na szafce nocnej. Sięga po niego. Jest wyłączony – wyłączył go, wysiadając z vana. Nie chciał, żeby przeszkadzał mu podczas spotkania. Włącza go teraz, czeka, niemal wybucha płaczem, gdy na ekranie pojawia się jego zdjęcie z Jane, które zrobili w zeszłym roku w Glastonbury. Jego żona ma na głowie wianek. Ich policzki są umazane brokatem.

Ma trzy nieodczytane wiadomości, wszystkie od Jane.

Hej, kochany, wszystko okej? X

Wszystko w porządku? X

To jeszcze raz ja, pisze. Podejrzewam, że dostałeś nagłe wezwanie, ale proszę, daj znać, że wszystko u Ciebie w porządku. Zaczynam się martwić xxx.

Siada na łóżku. Widzi, że ciągle ma na nogach skarpetki.

– Jane – szepcze, do oczu napływają mu łzy. *Kocham ją ponad życie.*

– Hej, Frankie. – Natasha głaszcze go po plecach. – O co chodzi, kochanie?

Zrywa się z łóżka, z daleka od niej.

– Muszę iść. Przepraszam, ja...

– Musisz iść?

– Przepraszam. – Zakłada koszulę. – Pracowałem za dużo, to pewnie przez to mnie zmogło. I alkohol. Nie planowałem...

– O mój Boże! – krzyczy. Unosi rękę, żeby go uciszyć. – Skończ gadać. Po prostu przestań, okej? To ty dobierałeś się do mnie, pamiętasz? Nie mogłeś oderwać ode mnie rąk, mówiłeś mi o swoich problemach, wzbudzałeś we mnie

współczucie. Ja też trochę wypięłam, a jednak nie mówię ci, że tego nie chciałam, tak? Boże, to skandaliczne.

Wyciąga rękę, jakby chciał ją powstrzymać.

– Proszę – mówi, wycierając policzki i nos. – Przepraszam. Jesteś... Jesteś bardzo ładna i wyrafinowana, i w ogóle, ale to był... to był błąd, okej?

– Błąd? – Klęczy na łóżku, jej twarz wykrzywia wściekłość. – Jak śmiesz! – krzyczy. – Wynoś się – wynoś się z mojego domu!

Podnosi z podłogi spodnie i ucieka.

Powietrze jest zimne. Wsiada do vana, a tam zakłada spodnie i wciska stopy w buty. Oddech mu się rwie. Serce łomocze o żebra.

– Kurwa – sapie. – Kurwa, kurwa, kurwa.

Opiera czoło o kierownicę i stara się oddychać, liczy sekundy. Wdech, wydech, wdech, wydech. Przestaje dyszeć, ale z jego ust wyrывa się szloch. *Oddychaj, Frankie, oddychaj.* Po jakichś dziesięciu minutach pisze do Jane: *BOŻE, przepraszam, kochanie, telefon mi padł.* Ma problem z pisaniem, wzrok ma rozmazany. Mijają wieki, zanim pisze dalszą część wiadomości. *Nagłe zlecenie w Wimbledonie.* Tak, to brzmi dobrze – szczegóły dopracuje w drodze do domu. Zalana kuchnia... nie. Lepiej bojler, coś niebezpiecznego. Nie mógł naładować telefonu przed powrotem do vana. Tak. Nie. Za dużo szczegółów. Napisz coś prostego i się tego trzymaj.

Totalny koszmar, dodaje, i nawet nie musi kłamać. *Jestem w drodze do domu.*

Waha się, wpatruje w napisaną wiadomość, przygląda się, czy da się z niej coś wyciągnąć, czy jest w niej coś, czego nie powinien pisać. Jezu, jest druga nad ranem.

Kocham Cię, dodaje.

To prawda. Boże, tak bardzo ją kocha.

Usuwa tę część. To zbyt wiele. Brzmi na winnego. Dodaje dwa całusy.

Wysyła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Jane

Kwiecień

Godzinę później budzi ją dźwięk brzęku kluczy Frankiego w drzwiach. W korytarzu ląduje z hukiem jego torba z narzędziami. Grzechoczą klucze. Frankie pociąga nosem. Wzdycha. Te drobne dźwięki mają moc zdolną ją uspokoić, bo są jego. Po co jej krople na uspokojenie. Może powinna nagrać, jak Frankie krząta się po domu, i puszczać to sobie na słuchawkach.

Odrzuca kołdrę, wstaje i schodzi na dół.

Frankie jest w kuchni i przygotowuje herbatę.

– Hej – mówi, nie odwracając się. – Napijesz się kawy?

– Chętnie. Nie zaczęłam jeszcze kolacji, przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać. Jest dopiero dziewiętnasta. Możemy coś ugotować razem.

Dopiero gdy bierze od niego herbatę, dostrzega jego twarz. To wtedy dociera do niej, że od miesiący porządnie mu się nie przyglądała. Byli niczym mijające się statki. Ale teraz przygląda mu się z bliska i widzi, że kości policzkowe bardziej mu się odznaczają, ale może to tylko złudzenie wywołane bardziej zarośniętą brodą. Ale martwią ją przede wszystkim jego oczy. Są zmęczone i... jest w nich coś jeszcze, czego nie potrafi dokładnie określić. Udręka?

– Wszystko w porządku? – pyta, jej serce przyspiesza.

Frankie odchrząkuje, zerka w telefon.

– Tak, wszystko okej. Po prostu jestem zmęczony.

– Możesz wyłączyć telefon? Tylko na wieczór? Mogę nam zrobić makaron. A potem położymy się wcześniej spać.

Frankie wyłącza telefon i rzuca go z rozmachem na blat kuchenny. Chwilę później zerka na swoją herbatę i wylewa ją do zlewu.

– Herbata to dzisiaj za mało. Otwórzmy wino.

Pięć minut później jest niemal tak, jak za dawnych czasów: piją we dwójkę pinot noir i zajadają chipsy. Siedzą na kanapie, na stoliku kawowym palą się świeczki, w tle leci album The xx.

– Jak tam urodziny Kath? – pyta Frankie.

– Urodziny Kath? – Czuje, że się rumieni. – Och! Tak, było okej.

– Aż tak źle?

Śmieje się krótko.

– Aż tak to widać?

– Czytam z ciebie jak z otwartej książki. O co chodzi? Coś się stało?

Kręci głową.

– Nie. W sumie to tak. To się dzieje od jakiegoś czasu, ale nie było okazji, żebym ci o tym opowiedziała. To naprawdę nic takiego. Nie wiem, dlaczego tak mnie to rusza. Dziecinne przepychanki, wiesz?

– To znaczy?

Wzdycha. Opowie mu część, ale pominie fragment o sztucznym brzuchu – nie chce przyznać, że go okłamała.

– Postaraj się nie zasnąć – zaczyna i bierze duży łyk czerwonego wina. – Więc. Pamiętasz, jak wspomniałam ci o tej nowej przyjaciółce Sophie, Lexie? Sophie zaprosiła ją jakiś czas temu na piątkowe drinki, co jest totalnie w porządku, ale nie wiem, chodzi o to, że ja bym czegoś takiego nie zrobiła, bo... – Przerywa. Czy ma rację? Czy to ma w ogóle sens?

– Bo jesteście ze sobą tak blisko? – podpowiada Frankie.

– Coś w tym stylu. – Bierze głęboki oddech, lekko podniesiona na duchu. – Chodzi o to, że robimy to co tydzień. Może innego dnia to byłoby... nie wiem. W każdym razie, może mam paranoję, wyolbrzymiam czy co tam jeszcze, ale wygląda to tak, jakby Lexie miała ze mną problem. Tylko ze mną. Od samego początku.

– Jak to?

– Nie jestem pewna. Na początku myślałam, że może ona po prostu taka jest, ale... jest dla mnie niemiła tylko wtedy, gdy reszta nie patrzy. A potem próbuje mnie wykluczać, ale tak, żeby nie było widać, że to robi. Pewnie brzmię jak wariatka, ale na przykład dzisiaj... wszystkich poinformowała, że impreza zaczyna się o czternastej trzydzieści, ale gdy pojawiłam się na miejscu, oznajmiła, że zmieniła godzinę na czternastą i że się spóźniłam. Powiedziała, że wysłała mi wiadomość, ale wcale tego nie zrobiła.

– Myślałem, że to były urodziny Kath?

Cholera, cholera, cholera. Jest beznadziejną kłamczuchą, po prostu beznadziejną.

– Bo były – mówi powoli, nie tracąc opanowania, a jej myśli pędzą jak szalone. – Ale... to kolejna rzecz, który którą robi – zawsze przejmuję

dowodzenie. Organizuje wszystko. Co jest dziwne, bo dopiero dołączyła do grupy i tak naprawdę nie zna Kath za dobrze. – Kłamstwo na kłamstwie...

– Istnieje w ogóle szansa, że po prostu się pomyliła?

– Oczywiście. Oczywiście, że tak. O to właśnie chodzi, tak to robi: sprawia, że wszystko jest dwuznaczne. Na przykład powie coś niemiłego i sprawi, że to zabrzmii... dzisiaj w pewien sposób zasugerowała, że wyglądam jak facet. Gdybym zareagowała i powiedziała, że mnie to obraża, wzniosłaby ręce w powietrze i powiedziała, że żartuje.

– Powiedziała, że wyglądasz jak facet?

– Nie dosłownie... ale tak. O to chodzi, rozumiesz, co mam na myśli? Rzecz w tym, że ona strasznie polubiła Sophie, zachowuje się, jakby była w niej zakochana, a jednocześnie, jakby Sophie nie była osobą, lecz przedmiotem. Jak... Traktuje ją jak lalkę, którą nie chce się dzielić, nie chce, żeby inni się nią bawili. Wiem, że to brzmi żałośnie, ale szczerze to jest dziwne i po prostu mnie to smuci. Reszta dziewczyn nie wie, co ona mi robi, ale dostrzegły to uwielbienie. Hils się z niej wcześniej nabijała. Cała ta sytuacja jest trochę zenująca. Na przykład dzisiaj dała Sophie ten wielki prezent.

Frankie marszczy brwi, zdezorientowany.

– Mimo że to były urodziny Kath?

Jane czuje, jak płoną jej policzki. Nie poradziłaby sobie na przesłuchaniu policyjnym, ostatecznie przyznałaby się do morderstwa, którego nie dokonała, zanim ktokolwiek zadałby jakiegokolwiek pytanie. Nigdy nie okłamywała Frankiego i to, co teraz robi, jest po prostu okropne.

– Dokładnie o tym mówię – odpowiada, biorąc się w garść, szczęśliwa, że siedzą w półmroku. – To nie była nawet impreza Sophie. Ale Lexie czuła potrzebę, by przyćmić wszystkich dookoła, i dała jej ten ciężowy prezent. Szczerze, musiał kosztować z dwieście funtów. Powiedziała, że to dla dziecka, a potem zaczęła gadać, że my – ja, Hils i Kath – nie rozpieszczałyśmy Sophie wystarczająco, gdy ta urodziła Kyle'a, dlatego naprawia tę sytuację przy drugiej ciąży.

Frankie otwiera szerzej oczy, kąciki jego ust opadają nieznacznie.

– Taka ukryta agresja.

– Prawda? – Jane czuje, jak z jej ramion uchodzi napięcie. Dzięki Bogu za Frankiego. – Ogólnie zrobiła z nas beznadziejne przyjaciółki, ona oczywiście jest tą najlepszą. Serio, zachowuje się, jakby była w niej zakochana.

– No to masz swoją odpowiedź.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego ma problem z tobą. Jeśli chce być blisko Sophie, wie, że ty jesteś najbliższą jej osobą, prawda? Dlatego stanowisz zagrożenie. Stara się postawić cię w złym świetle, żeby sama wypadła przed Sophie lepiej. Chce być jej powierniczką i takie tam. To tyle.

– Myślałam o tym. Ona przekręca różne rzeczy, które powiedziałam, wiesz? Zachowanie rodem z podstawówki. Myślisz, że to może być wycelowane tylko we mnie? Wiem, że już to powiedziałam, ale miałam też podejrzenia, że to paranoja. No bo weź, popatrz na mnie. Jakie ze mnie zagrożenie, co? Chyba miałam nadzieję na to, że powiesz mi, że się mylę.

Frankie wzrusza ramionami, kręci głową. Wino w kieliszku wspartym o jego klatkę piersiową odbija światło świeczki.

– Nie jesteś paranoiczną osobą – mówi. – Lubię myśleć, że znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Ty nie jesteś paranoiczką. Wydaje mi się, że tu nie tyle chodzi o to, kim jesteś ty jako osoba, a o to, kim jesteś dla Sophie. Te wszystkie podwórkowe przepychanki zdarzają się też wśród facetów. Byłabyś w szoku, gdybyś wiedziała, jakie napady szału potrafią mieć.

Bierze łyk wina, myśli przez chwilę, po czym kontynuuje.

– Wiesz, że Carl i Simon są najlepszymi przyjaciółmi, tak? Dlatego, gdy ci dwaj wychodzą sami na piwo, wszystko jest w porządku, ale gdybym to ja poszedł na piwo z Simonem i nie zapytał Carla, czy idzie z nami, Carl byłby zniesmaczony. A gdybym ja wyszedł na piwo z Simonem i Carlem, ale nie zapytalibyśmy Pete'a, czy idzie z nami, ten byłby pewnie wściekły.

Gdy mężczyźni się sprzeczą, to nie jest żalosne, prawda? Pamięta słowa Angie sprzed kilku tygodni, ale tak, sposób, w jaki przedstawił to Frankie, wszystko ułatwia.

– O kurde – mówi.

– Problem tkwi w tym, że jesteśmy tacy wrażliwi.

– *Wszyscy jesteśmy, prawda?* Nie wierzę w to, jak bardzo mną to wszystko wstrząsnęło. Nie mogę przestać o tym myśleć. *Cały czas* czuję się zaniepokojona.

Do głowy wpada jej myśl: teraz, gdy Lexie stała się częścią grupy, wszyscy będą oczekiwać, żeby Steve zaczął przychodzić na piątkowe spotkania chłopaków. Nie ma przed tym ucieczki.

– Takie małe rzeczy bołą najbardziej – dodaje Frankie. – A to, że jesteś smutna, wystarczy. To powinno wystarczyć każdemu, kto cię kocha, i nieważne, jaki jest powód. Każdy z nas od czasu do czasu kogoś opieprza, wszyscy raniemy swoje uczucia, mimo że tego nie chcemy, ale w twoim przypadku wygląda,

jakby to się stało kilka razy, więc brzmi na celowe działanie. Szczerze, to brzmi jak gnębienie. A to może przydarzyć się wszędzie – w pracy, w drużynach sportowych, gdziekolwiek. Któregoś razu mówił o tym w radiu jeden piłkarz. To była audycja o dręczeniu wśród dorosłych i koleś powiedział, że takie coś zniszczyło jego zdrowie psychiczne. Musiał przestać grać i zacząć terapię. – Popija wino, rozmyśla nad czymś. – Tak sobie myślę, czy ta... jak jej na imię?

– Lexie.

Kiwa głową.

– Jeśli ta Lexie zachowuje się w stosunku do ciebie jak krowa, będziesz musiała zwrócić jej uwagę, bo w przeciwnym razie dajesz jej ciche przyzwolenie na to, by kontynuowała to, co robi, prawda?

– Racja – mówi, czując się wysłuchana, uspokojona. Ktoś jej wierzy. – Dziękuję.

Frankie wzrusza ramionami.

– Powinienem być zostać terapeutą. Marnuję się jako hydraulik.

– Może po prostu jesteś dobry w naprawianiu. Nie tylko rzeczy, ale też ludzi.

Album się kończy. Sięga po pilota i włącza telewizor. Des podnosi łeb z oparcia krzesła, jakby ich sprawdzał, po czym opuszcza pyszczek na łapy. Gdy Jane przegląda Netflix, przekręca się tak, żeby położyć głowę na piersi Frankiego. Uwierzył jej, bezwarunkowo. Dla niego jej smutek jest ważny, bez względu na to, jak mały problem go wywołał. Tym właśnie jest miłość. Jane starała się to zignorować, powtarzała sobie, że nie powinno boleć ją tak, jak bolało, że jest żalosna. Powiedziała sobie, że może to ona jest agresorką, że jej nieszczęście uczyniło ją niemłą, zazdrosną. Ale czy naprawdę to sobie powiedziała? Czy może Sophie wsadziła jej to do głowy? I jakim prawem ktoś mówi jej, co powinno ją ranić, a co nie?

Kije i kamienie, mawiała jej matka. Myliła się.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Jane

Następnego dnia, niedługo po porze obiadowej, w kawiarni pojawia się Sophie. Na nos ma wsunięte okulary przeciwsłoneczne, usta są zaciśnięte w cienką linię. Przed pojawieniem się Lexie, na widok przyjaciółki, która niespodziewanie ją odwiedziła, czułaby jedynie radość. Teraz jak dziecko ma wrażenie, że zrobiła coś złego, jej żołądek zaciska się z nerwów. Mimo wczorajszej uspokajającej rozmowy z Frankiem ciągle jest świadoma tego, co zrobiła źle: wyszła z przyjęcia zorganizowanego dla Sophie, wymawiając się złym samopoczuciem. Przed pojawieniem się Lexie Sophie napisałaby do niej, czy wszystko jest w porządku. Przed pojawieniem się Lexie Jane w ogóle by nie wyszła. W czasach bez Lexie w ogóle nie robiłyby takiego przesadzonego, pretensjonalnego, ustawionego pod Instagram gówna w stylu Kardashianek na kwasie.

– Kawy? – pyta radosnym głosem Jane. Zbyt radosnym.

Sophie kręci głową.

– Napiję się wody, dzięki. – Ton głosu ma uprzejmy.

Ewidentnie nie ma ochoty na darmową kawę, myśli sobie z przekąsem Jane.

Stolik dla dwojga, ten, który tak bardzo lubi Angie, jest wolny. Trzeba go uprzątnąć, dlatego Jane wskazuje w jego stronę i idzie za Sophie z tacą, na której ustawia brudne talerze oraz kubki, po czym wyciera szybko blat. Normalnie to byłoby takie naturalne. Dzisiaj czuje, jakby jej zachowanie kryło w sobie agresję: *Patrz, jak ciężko muszę pracować.*

– Daj mi dwie minuty – mówi.

Zabiera tak dużo pustych naczyń, ile tylko jest w stanie unieść, i rusza w stronę baru. Już chce powiedzieć Jude'owi, że potrzebuje chwili, ale widzi pięcioro klientów, którzy proszą o mrożone kawy na wynos – te robi się dłużej niż klasyczną kawę – a to oznacza, że nie może tak zostawić Jude'a. Mija piętnaście minut, zanim może usiąść z kobietą, która jeszcze kilka tygodni temu była jej najbliższą przyjaciółką.

– Przepraszam – mówi i siada, przesuwając po stole szklankę z zimną wodą.

Sophie nie zdjęła okularów. Podnosi szklankę i bierze łyk. Odstawia ją na stolik – powoli, ostrożnie.

– Za co?

Powietrze nieruchomieje.

– Przepraszam, że zajęło mi to dłużej, niż mówiłam – odpowiada Jane, ale czuje lęk, który zmienia się w niechęć. – Choć po twojej twarzy wnioskuję, że chcesz, żebym jeszcze raz przeprosiła za to, że wczoraj wyszłam. Cóż, już za to przepraszałam, ale tak, przepraszam raz jeszcze. Nie czułam się dobrze i wiedziałam, że dzisiaj mam podwójną zmianę. Nie wszyscy mają pracę na niepełny etat. – Cholera. Dobrze jej szło aż do tego ostatniego zdania.

Widzi, że Sophie jest w szoku.

– Co to niby miało znaczyć?

– Nic. Po prostu zaczynam mieć dość tego, że ciągle jestem olewana. Mam wrażenie, że bez przerwy przepraszam, a najlepsze w tym jest to, że nie sędzę, żebym zrobiła coś złego.

Sophie pochyla się w jej stronę.

– Poza byciem niemiłą dla mojej przyjaciółki i zrujnowaniem mojego bociankowego?

Jane czuje, jak skóra na jej głowie zaczyna mrowić.

– Wyszłam. Wyszłam z twojego bociankowego. Nie zrujnowałam go. Nie mam takich mocy. – Nawet gdy to mówi, wie, że jedna osoba potrafi mieć takie moce. Jedna osoba potrafi zrujnować życie.

– Spóźniłaś się czterdzieści minut!

– Lexie zmieniła godzinę i mi o tym nie powiedziała... W sumie wiesz co? Jaki to ma sens? Przecież i tak mi nie uwierzysz, prawda? Dlaczego miałabyś uwierzyć komuś, kogo znasz od lat, skoro masz przyjaciółkę, którą znasz dosłownie pięć minut? – Jane rozgląda się dookoła, zmartwiona, że wywoła scenę, ale nikt nie zwraca na nie uwagi.

Sophie kręci głową, zaciska usta.

– Nie możesz znieść tego, że mam przyjaciółkę, która dobrze mnie traktuje, co? Nie możesz tego znieść.

Zalewa ją potężna fala niechęci, która powoli zmienia się w gniew.

– Niech zgadnę, to zamaskowany atak, tak? To znaczy, że *ja* nie traktuję cię dobrze, zgadza się? Lojalność, niezawodność, dobroć, takie rzeczy już ci nie wystarczają, jak widać. Tego nie da się kupić w sklepie. To nie jest apartament w Ritzu, nie? To nie jest ekskluzywny kosz z wyprawką dla dziecka. Zawsze, *zawsze* byłam dla ciebie dobra. *Jestem* dobrą przyjaciółką. *Bez przerwy* jestem

dla ciebie dobra. Nie ignoruję cię, nie opieprzam cię, nie krytykuję cię za twoimi plecami. Pomagałam ci przy Kyle’u i chcę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze. *Cieszę się*, że będziesz miała drugie dziecko, naprawdę – jestem w stanie czuć smutek ze względu na moją sytuację i jednocześnie cieszyć się szczęściem kogoś, na kim mi zależy. Ale nie jestem w stanie być nowa. Nie mogę być *nową* przyjaciółką z wieloma cechami i tajemnicami do odkrycia. To normalne, że na początku wkłada się w znajomość więcej wysiłku – każdy tak robi z nowymi znajomymi. Ale nikt nie ciągnie tego w nieskończoność – to byłoby kurewsko męczące. A z mojej perspektywy ona wcale nie traktuje cię dobrze. Bardziej zachowuje się, jakby chciała cię kupić czy coś. Zanim powiesz cokolwiek na ten temat, reszta też to dostrzega. To żenujące.

Sophie ociera policzki palcami.

– Dlaczego jesteś taka okropna? Lexie jest dosłownie jak anioł. Pisze do mnie każdego ranka. Każdego ranka. Tylko po to, żeby sprawdzić, jak się mam. Więc nie, to nie jest tylko kupowanie rzeczy. Jest słodka, myśli o mnie, jest miła.

– Cieszę się, że jej pierwsza myśl po przebudzeniu wiąże się z tobą, naprawdę. To *w ogóle* nie jest dziwne. I jeśli przez bycie *miłą* masz na myśli szeptanie ci do ucha kłamstw na temat przyjaciół, nastawianie cię przeciwko nim, robienie zadym z niczego, to jasne, jest cholerną Matką Teresą. Widzę przecież, że w twoich oczach zrobiła ze mnie kompletnego potwora, co jest... super, naprawdę super. Ale jak już się mnie pozbędzie, to kto będzie następny? Kath? Hils? I tak dalej, aż będzie cię miała całą dla siebie. Jest totalną lizuską, na Boga. A ty siedzisz tak głęboko w jej dupie, że nawet tego nie widzisz. W sumie nic dziwnego – musi tam być naprawdę ciemno.

Jane chwyta za krawędź stołu, ale dociera do niej, że już straciła kontrolę, że podniosła głos we własnej kawiarni i że wyrzuciła z siebie cały wodospad okropnych rzeczy, takich, których nie da się cofnąć. Nawet teraz, gdy trochę zeszło z niej napięcie, czuje, że nadal nie do końca wzięła się w garść, nie jest pewna, czy nie pchnie tego stolika i nie zrzuci z siedzenia swojej przyjaciółki, która wpatruje się w nią z rozchylonymi ze złości ustami.

– Wiesz, co ci powiem? – mamrocze. Każe sobie przestać, ale nie jest w stanie. – Sophie, którą znam, nienawidziłaby wczorajszego dnia. To było wręcz nieprzyzwoite. Nie ocenia się przyjaźni przez pryzmat tego, kto ile na ciebie wydaje, Chryste. Nie porównuje się prezentów od przyjaciół i na ich podstawie nie wybiera tego, kto jest najlepszym przyjacielem. I nie wartościuje się przyjaźni na podstawie tego, kto ile dla ciebie robi. Przyjaźń po prostu... jest. Przyjaciele po prostu... są tam dla ciebie. Oni...

– Nie wierzę, że mówisz mi coś takiego – wyje Sophie.

Jane czuje zalewającą ją falę zawstydzenia – dezorientuje ją to, jak szybko się to dzieje. Sprawiała przykrość swojej przyjaciółce. Zrobiła to celowo. Co ona najlepszego uczyniła?

To wszystko wina Lexie.

– Posłuchaj – mówi, zniżając głos, z całych sił tłumiąc w sobie gwałtowne emocje, które wstrząsają jej ciałem i próbują wyrwać się na wolność. – Powód, dla którego wczoraj wyszłam to... Wyszłam, bo zobaczyłam coś złego. Ale jeśli mam ci powiedzieć, jeśli została w tobie choć odrobina sympatii do mojej osoby, musisz obiecać, że mi uwierzysz. Przyznaję, że byłam zazdrosna ze względu na dziecko, ale przede wszystkim byłam zazdrosna o Lexie i o to, za jaką wspaniałą ją uważasz... Ale teraz nie mówię o zazdrości. Ta kobieta jest oszustką, Sophie. Totalną naciągaczką. Widziałam to na własne oczy.

Sophie śmieje się z kpina.

– Co? Co widziałaś?

– Zdejmij okulary – kontynuuje Jane, nie odpuszcza. Wciąż ma nadzieję. – Sophie. Proszę, zdejmij okulary. Chcę, żebyś na mnie popatrzyła.

Sophie pociąga nosem i ściąga okulary, ale robi to bardzo niechętnie. Jej makijaż się rozmazał. Jane doprowadziła ją do płaczu. Ciągłe ma te dziwaczne brwi, a usta wyglądają na dziwnie spuchnięte. Nie jest w stanie spojrzeć na Jane. Owca

– Zostałaś w hotelu na noc? – pyta, ciągle niezdecydowana, jak podjąć temat.

Sophie marszczy brwi i kiwa głową.

– Lexie zapłaciła za wszystko. Nie mogłam odmówić. A Carl powiedział, że zaopiekuje się za mnie dzieckiem.

Jane zamyka oczy. Zaopiekuje się za nią dzieckiem. Własnym dzieckiem. Dobrze, Carl. Otwiera oczy.

– Przebierałyście się razem, w jednym pomieszczeniu?

Sophie wydaje z siebie pełen obrzydzenia dźwięk.

– Co to za dziwaczne pytanie?

– Tak czy nie?

Kręci głową.

– Lex przebierała się w łazience. Dlaczego?

– Więc nie widziałaś jej w bieliźnie?

– Boże, Jane. – Śmieje się złośliwie. – Nie jesteśmy lesbami.

– Nie o to mi chodzi. Nie... – Jane przeczesuje włosy palcami. Czy Sophie była wcześniej homofobką? Nie pamięta, żeby kiedykolwiek wcześniej

powiedziała coś w tym stylu. Ma wrażenie, jakby przemawiała przez nią Lexie, bo ona mogłaby mieć takie uprzedzenia, choć Jane nie jest w stanie wskazać, dlaczego tak przypuszcza.

– Dlaczego jesteś taka dziwna? – pyta Sophie.

Trzeba posprzątać trzy stoliki, podłogę należy przelecieć mopem, a do środka weszło czterech klientów. Ale... Teraz albo nigdy.

Jane bierze oddech i po chwili go wypuszcza.

– Pamiętasz, jak poszłam do łazienki?

– No.

– Cóż, Lexie tam była. Słyszałam, jak rozmawiała ze Steve'em i była dla niego okropna, po prostu... straszna. Brzmiało to tak, jakby zmusiła go do opłacenia bociankowego, a jego nie było na to stać. Wiesz, ile to kosztowało?

Sophie kręci głową.

– Nie.

– Ani ja, ale jestem w stanie sobie wyobrazić, że co najmniej tysiąka.

– Nie sądzę, żeby Lexie musiała martwić się o pieniądze. W ogóle o tym nie myślałam.

– Ja także – kłamie Jane – ale gdy usłyszałam, jak z nim rozmawia, oczywiście było, że nie jest zadowolony. Ale nie o to chodzi. Chcę powiedzieć, że... Chodzi o to... – Boże, to jest trudne, naprawdę trudne. – Rzecz w tym, że widziałam, co ma pod bluzką i... ona miała na sobie sztuczny brzuch.

Sophie otwiera szeroko oczy.

Jane gorączkowo pokazuje na swój brzuch.

– Miała sztuczny brzuch. Miał cielisty kolor i paski na plecach, ale to była taka okrągła poduszka, cóż, taka, dzięki której można udawać ciążę. Lexie nie jest w ciąży. Nie ma żadnego dziecka. Przysięgam na Boga, że mówię prawdę. Udaje ciążę i nie wiem dlaczego, ale podejrzewam, że to dlatego, że ją przygarnęłaś i się nią zaopiekowałaś, a ona desperacko chce być twoją najlepszą przyjaciółką.

Sophie wstaje tak szybko, że musi się podeprzeć o stolik. Łapie się ręką za głowę.

Jane wstaje i wyciąga w jej stronę dłoń.

– Wszystko okej?

– Kręci mi się w głowie – odpowiada, ale szybko bierze się w garść. Wygląda, jakby była naprawdę smutna. – Lexie powiedziała mi, że potrzebujesz pomocy, ale jej nie wierzyłam. Powiedziała, że to normalne. Była naprawdę wyrozumiała.

– Co? Co jest normalne?

– Widziała cię. Widziała, że ją szpiegujesz. Nic o tym nie wspomniała, bo nie chciała cię zawstydząć. Nosi pas wzmacniający, bo jako nastolatka miała wycinany wyrostek robaczkowy. Rzecz w tym, że choć starasz się nastawić mnie przeciwko niej, a ona ma tego pełną świadomość, to jest na tyle miła, żeby prosić mnie, żebym była dla ciebie wyrozumiała.

– Co?

– Byłam wściekła za to, jak wyszłaś, jak kręciłaś na wszystko nosem. I wiem, że to dla ciebie ciężkie... przez to wszystko... ale ty sprawiłaś, że wszystko kręciło się wokół ciebie, a to było takie samolubne. To Lexie mnie uspokoiła, a ty oskarżasz ją o coś tak niedorzecznego, że nie jestem w stanie uwierzyć, że oczekiwałaś, że ci uwierzę.

– Ale to prawda! To nie był żaden pas wzmacniający, tylko wielka, okrągła poduszka w cielistym kolorze!

Sophie zerka na nią pobieżnie.

– Posłuchaj – mówi, zniżając głos. – Jesteś pogrążona w żalu. Ciągłe oplakujesz dzieci, których nie miałaś i mieć nie będziesz. Tak powiedziała Lexie i wydaje mi się, że ma rację. I może jesteś zazdrosna, a może nie, nie wiem tego. Ale serio, Lexie jest bardzo dobra i czuła, a jeśli robi coś inaczej, to dlatego, że jest od nas młodsza, a tak właśnie żyją teraz młodzi. Lubi wystawne życie, to tyle. Nie popełnia żadnego przestępstwa. I gdyby nie ona, to już nigdy bym się do ciebie nie odezwała.

– Czekaj. – Jej myśli pędzą jak szalone. – Skąd Lexie o mnie wie?

Sophie się rumieni – jest na tyle przyzwoita, żeby zrobić chociaż tyle.

– To tak po prostu wyszło.

– Co wyszło?

– Wiesz. Że nie możesz...

– Co? Kiedy?

Sophie robi się czerwona jak burak.

– Jeszcze przed bociankowym, prawda? – Jane czeka. Gdy Sophie milczy, kontynuuje, nie jest w stanie się powstrzymać. – Nie widzisz, jak obrzydliwie wygląda teraz ta zabawa z opowiadaniem historii z porodów? Widzisz to, prawda? Nie byłaś w stanie spojrzeć mi w oczy. Musiałaś wiedzieć, gdzieś w głębi zdawałaś sobie sprawę z tego, jak bezwzględnie się zachowała. Och, Sophie! Ja naprawdę nie mam z tym już problemu. Ale nawet Hils i Kath nie znają mojej historii. – Patrzy na swoją przyjaciółkę ze łzami w oczach, poszukując jakiegokolwiek sygnału, że coś do niej dotarło. Ale widzi coś

zupełnie innego. – Co? – szepcze. – Sophie, co? – Wtedy to do niej dociera. – Boże, one też wiedzą, prawda?

– Lexie myślała, że one wiedzą. Nie miała pojęcia. To się stało po twoim wyjściu.

– *Co?*

Kończy się latynoska składanka, a w kawiarni zapada głęboka cisza, tak jakby wszyscy zamilkli, żeby ich słuchać. Jane wskazuje na drzwi. W głowie czuje pulsowanie.

– Na zewnątrz – mówi i wypada z kawiarni, ledwie świadoma tego, że Sophie za nią idzie.

Gdy obie są już na chodniku, odwraca się do swojej przyjaciółki.

– Okej, uzgodnijmy coś. W chwili, gdy zamknęły się za mną drzwi, urządziłyście sobie na mój temat pogawędkę, co? Jak uroczo. To świetny sposób na zbliżenie się do siebie. Powiedziałam ci, żebyś nie pisnęła nikomu ani słowa. *Nikommu*. Poza Frankiem widziałas tylko ty, a ty obiecałaś, że słowem nie piśniesz! – Po jej twarzy spływają łzy. Płacze na środku chodnika. – Boże, teraz wszyscy będą na mnie patrzeć ze współczuciem. Z pieprzonym współczuciem, którego nie chcę i o które nigdy nie prosiłam. A teraz każdy będzie do mnie inaczej mówił i wszystko po prostu... cholera. Będzie po prostu beznadziejnie.

– Boże, Jane. Nic się nie zmieni. Totalnie przesadzasz.

Wściekłość zalewa ją z taką mocą, że niemal się zatacza. Zaciska rękę w pięści.

– Jakim prawem mówisz mi, jak powinnam reagować?

Sophie ma łzy w oczach. Wygląda na zdezorientowaną. Nawet trochę przestraszona.

– Ale tu nie ma się czego wstydzić.

– Wiem o tym! Wiem! Nie wstydzę się! Chodzenia do toalety ani tego, że uprawiam seks, też się nie wstydzę, ale istnieje różnica między tym, co jest zawstydzające, a co prywatne. A to była kurewsko prywatna informacja. – Dyszy, ma świadomość, że krzyczy, że już od jakiegoś czasu podnosi głos. I że kłamie. Kłamie na potęgę. Bo jest jej wstyd. Twarz płonie jej ze wstydu, którego rzekomo nie czuje, ale mimo największych starań nie potrafi się go wyzbyć.

Sophie robi krok w tył, usta ma wykrzywione, jakby posmakowała czegoś niedobrego.

– Nie wierzę, że krzyczysz na mnie, jakbym to *ja* zrobiła coś okropnego. To ty zrujnowałaś moje bociankowe, nie ja. To ty byłaś okropna dla Lexie. A teraz

zmyślasz na jej temat niestworzone rzeczy i nie jesteś nawet w stanie przyznać, że to z zazdrości. Może nawet nie wiesz, że jesteś zazdrosna. Z tobą nie jest dobrze, Jane. Skorzystaj z pomocy. Idź do lekarza. – Zarzuca torbę na ramię. – Nie mogę tak. Idę. A ty... Zorganizuj sobie jakąś pomoc.

Gdy Sophie obraca się na pięcie, Jane przyciska ręce do kolan i głęboko oddycha. W odpływie ściekowym leży zielone opakowanie po chipsach. Ulicą przejeżdża samochód, jego elektryczny silnik jest niemal niesłyszalny. W oknie kawiarni na krześle klęczy dziewczynka, która je babeczkę z jagodami i patrzy. Patrzy na szaloną kobietę płaczącą na ulicy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Frankie

Luty

Gdy wraca do domu, w środku nie palą się żadne światła. Ma nadzieję, że Jane śpi. Nie ma takiej opcji, żeby był teraz w stanie się z nią skonfrontować.

Otwiera drzwi, zachowując przy tym ciszę godną włamywacza. Gdy wchodzi do środka, zasłania usta dłonią i chucha w nią, sprawdzając oddech. Nie jest pewien, czy czuje wino, ale to możliwe. W lodówce znajduje butelkę taniego pinot grigio, które Jane pije w tygodniu – małą lampkę przed snem. Przysuwa butelkę do ust i bierze łyk – niemal się krztusi – nalewa trochę alkoholu do kieliszka. Wywraca mu się zawartość żołądka – to ostatnia rzecz na ziemi, jaką ma ochotę pić. Po tej nocy już nigdy nie wypije wina, ale jeśli Jane wyczuje coś od niego, musi myśleć, że to przez to, że napił się po przyjściu do domu.

Dociera do niego, że właśnie jechał samochodem pod wpływem i że wrócił do domu, pachnąc *nią*. Miała cytrusowe perfumy. W jego włosach na pewno czuć lawendową woń z jej pokoju.

– Cholera – szepcze.

– Frankie? Boże, czy coś się stało? – Jane stoi w drzwiach kuchennych, zaspana, w koszulce The White Stripes i czarnych spodenkach. Nogi ma blade, krótkie włosy sterczą u podstawy karku, a od poduszki zrobił jej się na policzku czerwony odcisk. Jej rysy – długi nos, szerokie śmiejące się usta, małe brązowe oczy, jej wyraziste brwi – to wszystko składa się w całość, którą kocha. Kocha to, jak te elementy do siebie pasują i należą tylko do niej. To jest właśnie Jane.

Walczy z całych sił, żeby się nie rozpłakać.

– Cuchnę – mówi i podnosi rękę, żeby nie podeszła i nie poczuła na nim innej kobiety. Mówi, że musi iść pod prysznic.

– Okej. – Zatrzymuje się. Na jej twarzy widzi zdezorientowanie. – Czy coś się stało?

Dopija wino. To jest tak trudne, jak się tego spodziewał, i zasługuje na każdą sekundę tej tortury. Nie zapytała go nawet o pracę. Bezgranicznie mu ufa, tak

jak on ufa jej. Właśnie to dzisiaj zrujnował. Bo żeby nie zniszczyć tego doszczętnie, będzie musiał ją zdradzać, bez przerwy, karmiąc ją kłamstwami.

– Chodzi o ciążę Sophie? – pyta go. Boże. Gdyby tylko. – Jeśli tak, to ja już sobie z tym poradziłam, nie martw się.

– To dobrze. To dobrze, kochanie.

Mówi mu, że wygląda okropnie, że za dużo pracuje.

Kiwa głową, odcina się, przygryza wargi, walcząc ze zbierającymi się w jego oczach łzami. Nie zasługuje na nią. Boże, gdyby tylko mógł cofnąć się w czasie...

– ... wystarczy kemping w Walii, jeśli tylko pojedziemy tam razem. Naprawdę. Nienawidzę widzieć cię takiego zmęczonego.

Kiwa głową, wypełnia go nienawiść do samego siebie.

Jane drży.

Przeprasza ją. I mówi, że ją kocha.

– Nie masz za co przepraszać. Ciąża Sophie to nie twoja wina, tak samo jak to, że zrobiłam ten głupi test. Ja ciebie też kocham, idioto. To oczywiste.

Czuje ból w piersi. Przyciska do niej pięść i zastanawia się, czy to zawał serca. Może to byłoby dobre, gdyby teraz umarł. Ale ból odchodzi.

– Tak bardzo cię kocham – mówi, a ona się uśmiecha, odwraca i idzie z powrotem na górę.

Frankie zamyka oczy. Błyśnięcie światła, szczęk sprzączki jego paska, Natasha ściągająca mu spodnie.

Jest idiotą, kompletnym idiotą. A to wszystko przez zegarek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Jane

Kwiecień

Dwie latte i flat white. Jej przyjaźń z Sophie jest skończona. Trzy cappuccino i herbata. Straci wszystkie swoje przyjaciółki. Dwie latte na mleku owsianym, jedno na sojowym i wegańskie brownie. Straciła wszystkie swoje przyjaciółki. Espresso macchiato, flat white, herbata miętowa i ciasto marchewkowe. Jej przyjaciółki będą myśleć, że jest zgorzkniała i zazdrosna, że lubi sprawiać kłopoty. Herbata, ciasto marchewkowe. Wszystko zostało zniszczone, skażone, zepsute.

O piętnastej niemal zamyka lokal. Ale nie tak rywalizuje się ze Starbuckssem, poza tym kawiarnia pęka w szwach.

– Hej, dzień dobry – mówi rudowłosa, brodaty hipster w dzinsowej luźnej bluzie. – Poproszę trzy kawy flat white na chudym mleku, bezkofeinową cortado z mlekiem owsianym i herbatę jeżynową.

– Pewnie. – Uśmiecha się do niego, kiwa stanowczo głową – *biorę się do roboty* – po czym odwraca się do ekspresu.

Podczas gdy Jude zbiera zamówienia, Jane nastawia parzenie na cztery espresso, zalewa wrzącą wodą delikatną torebkę z mieszanką herbacianą, zastanawiając się, jakim cudem wytrzymuje taki nacisk, jak to możliwe, że się nie rozpada, że listki herbaty nie eksplodują dookoła. Stawia napar na barze i woła:

– Herbata jeżynowa!

Chude krowie mleko do jednego dzbanka, owsiane do drugiego. Zimna ciecz piszczy wystawiona na gorącą parę, ale dźwięk traci na intensywności, im mleko staje się cieplejsze. Przelewa trzy espresso do kubków na flat white. Mleko zaczyna mruścić – jeśli zacznie warczeć, to znaczy, że jest przegotowane i straci swoją słodkość oraz teksturę, a wtedy będzie musiała je wylać i zacząć od nowa. Stuka dnem dzbanka o blat i powoli nalewa, tworząc na powierzchni wzorek w kształcie paprotki.

– Trzy chude flat white! – woła i stawia je na barze. W jej głosie nie słyhać ani odrobiny zdenerwowania, a w uśmiechu, który posyła klientowi, którego nazwała w głowie hipsterskim księciem Harrym, nie ma lęku. – Za chwilę podam bezkofeinową.

– Dzięki.

Odwraca się z powrotem do maszyny. Dopiero wtedy dociera do niej, że zrobiła cztery espresso zamiast trzech i jednej kawy bezkofeinowej. Nastawia ekspres na bezkofeinową, wylewa jedno espresso przez metalową kratkę, za którą znika w mniej niż sekundę. Wystarczyły dwa miesiące, żeby jej dotychczasowe życie zniknęło tak szybko jak to espresso. Sięga po ścierkę i wyciera pozostałości po kawie. Gdyby to tylko było takie proste: wylać jedno życie, posprzątać, zrobić kolejne.

Jane, myśli, wstawiając dzbanek pod spieniacz. Ty i te twoje kawowe metafory.

Dzięki Bogu, dzień dobiega końca. Hils się nie pojawia, mimo zapowiedzi. Normalnie nic by sobie z tego nie robiła, ale teraz myśli Jane pędzą jak szalone: jej przyjaciółki widziały, jak udawała chorobę i wyszła z bociankowego. Wiedzą albo myślą, że wiedzą dlaczego. Będą jej współczuć, owszem, ale będą też wkurzone za to, że sprawiła, że wszystko kręciło się wokół niej. Może wczoraj chciały przyjść i przemówić jej do rozsądku, powiedzieć, że rozumieją, ale musi przestać się tak zachowywać: wściekać się, odstawiać szopki. Do tej pory Sophie mogła im już powiedzieć o oskarżeniach o udawanie ciąży. Byłyby pewnie zszokowane, że wymyśliła coś takiego, pewnie tak jak Sophie uznałyby, że zaczyna wariować, że zazdrość powoduje, że jest wredna, że próbuje je podzielić, że sprawia kłopoty.

Że przez to staje się su...

Właśnie dlatego Hils dzisiaj nie przyszła. Nikt nie chce przyjaźnić się z kimś, kto ciągle sprzecza się z ludźmi. A już na pewno nie Kath albo Hils. Są takie jak ona – nie lubią problemów, unikają ludzi, którzy je sprawiają. Powinna była je wpuścić – wczoraj do domu, a wiele lat temu do swojego serca. Są dobre; czuła to od samego początku. Co zabawne, jej przecucie myliło się co do Sophie, której to zwierzyła się ze swoich problemów tamtego wieczora w vanie, bo potrzeba zaprzyjaźnienia się z kimś przysłoniła jej zdrowy osąd. Tak, zawsze tego żałowała, choć nigdy nie była w stanie wskazać powodu. Teraz, po tych wszystkich nieprzyjemnościach Jane myśli, że może tamtej nocy Sophie zdobyła nad nią kontrolę. Przygarnęła ją. Dołączyła do swojej kolekcji: Jane, przyziemną dziewczynę; Jane, która jeździła vanem i była żoną hydraulika, nie

menadżera funduszy hedgingowych; Jane, która leczyła złamane serce. Ale teraz czas Jane się skończył. Sophie znalazła nową osobę do kolekcji: młodą, olśniewającą Lexie, potrzebującą, by ktoś wziął ją pod swoje skrzydła. Sophie po raz kolejny może bawić się w matkę kwokę i przyprowadzić zagubione pisklą do gniazda.

Chciałaby, żeby przyszła Angie. Potrzebuje kogoś starszego, kto może spojrzeć na to z szerszej perspektywy i powiedzieć, co robić. Tęskni za szkolnymi przyjaciółkami, a przez to nagle znowu chce jej się płakać. Może powinna zadzwonić do Carli i Penny – zaufała im wtedy, gdy zmieniła szkołę, opowiedziała im o wszystkich okropnych rzeczach związanych z jej matką. Zaufała im i nigdy nie przestała, były jej szkolnymi przyjaciółkami, od których została bez ostrzeżenia zabrana. Gdy myśli o tym zaufaniu, o swoich koleżankach, jest w szoku, że potrafiła być tak otwarta, że była w stanie nawiązać tak nieskomplikowane znajomości. Przyjaciele zawsze byli dla niej rodziną, zwłaszcza że na biologiczną rodzinę nigdy nie mogła liczyć.

Ani Carla, ani Penny nie powiedziały nikomu, że Jane była zmuszona do przeprowadzki z powodu skandalu związanego z jej byłym nauczycielem. Żadna nie traktowała jej protekcyjnie ani nie rozmawiała z nią po tym inaczej. Zamiast tego wymyśliły przezwisko dla jej matki: Victoriator. Pomagały jej śmiać się z życia w domu, a dzięki temu to przestało na nią tak wpływać. We trzy tworzyły malutką grupkę – od egzaminu na koniec szkoły średniej po egzaminy zaawansowane, gdy Carla i Penny poszły na uniwersytet, a Jane, przestraszona wysokością opłat, spakowała swój dobytek w przysłowiowy tobolek i wyruszyła do miasta, którego ulice wyłożone są złotem[2].

Zsuwa rolety i zamyka lokal na noc, dwukrotnie sprawdza zamki i pociąga za klamkę, żeby mieć pewność. Usatysfakcjonowana, odpina rower, zakłada kask, ochraniacze na kolana oraz łokcie i kamizelkę odblaskową. Na ulicy panuje cisza, poza wczesnymi imprezowiczami tłoczącymi się przed Starym Niedźwiedziem. W grupie porządnie już podpitych panów rozlega się donośny śmiech. Jeden z nich, widocznie starszy od pozostałych, pali skręta. Jego broda wygląda, jakby zapuszczał ją, zanim w ogóle wynaleziono zarost na brodzie. Niezamierzony hipster.

Wyciąga telefon i szuka numeru Carli.

Cześć, nieznajoma, pisze. Planuję wpaść i odwiedzić Victorię. Masz czas w następny weekend? Xx

Uśmiecha się, patrząc, jak krótka jest ta wiadomość i z jaką łatwością przyszło jej ją napisać. Nie wahała się przed jej wysłaniem, nie zastanawiała.

Dociera do niej, że używanie imienia matki, a także przezwiska, które wymyśliły, było czymś więcej niż żartem. W ten sposób chciała sprawić, żeby jej matka przestała być jej krewną, kimś związanym z nią krwią. Nie chciała mieć z nią nic wspólnego. Już wtedy zaczęła trzymać matkę na dystans. Wie, że to było spowodowane pragnieniem przetrwania. Może tym właśnie czasami jest śmianie się z różnych rzeczy.

Nie zdążyła jeszcze przerzucić nogi przez ramię roweru, gdy jej telefon wibruje. W jej wnętrzu pojawia się malutka iskierka radości. Wyjmuje go z kieszeni. CARLA.

BOŻEEE! TAAAAAK! Możesz zostać u mnie! Możesz siedzieć tak długo, jak masz na to ochotę, tylko powiedz, kiedy, to dam znać Pen. Boże, będzie zajebiście! Xxxxxxxxxxx

Śmieje się, do oczu napływają jej łzy. Przez cały ten czas, gdy chodziły razem do szkoły, żadnej nawet przez głowę nie przeszło, żeby bawić się w głupie gierki, ignorować, oskarżać. Może Carla i Penny zdołają ją zresetować – możliwe, że są jedynymi osobami na ziemi, które mogą to zrobić.

Odpowiada: *Daj mi chwilę, żebym wszystko ogarnęła i od razu dam Ci znać.*
Xxxx

Z uśmiechem, niemal śmiejąc się w głos, zaczyna pisać wiadomość do Jude'a:
Czy dasz radę w przyszły weekend ogarnąć kawiarnię w pojedynkę?

[2] Odniesienie do opowieści o na pół legendarnym średniowiecznym burmistrzu Londynu Dicku Whittingtonie i jego kocie. Dick trafił jako młody biedny chłopak do stolicy, uwierzywszy, że londyńskie ulice są wyłożone złotem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Jane

Maj

Siedząc w pociągu, próbuje doliczyć się, jak długo nie odwiedzała matki. Victoria. Victoriator. Ponad trzy lata, mniej niż pięć. To straszne, jak szybko mija czas.

Po godzinie jazdy dostaje wiadomość. To Carla.

Daj znać, jak będziesz na miejscu. Odbiorę Cię ze stacji. Tak się cieszę, że Cię zobaczę. X

Przesyła GIF-a: dwie wiewiórki biegnące do siebie i przytulające się.

Dzięki, odpowiada Jane. Ale najpierw zajrzę do Victoriatora, potem podjadę do Ciebie taksówką. Nie mogę się doczekać. Xx

Znowu ta łatwość w komunikacji. Zaczyna myśleć, że tego brakuje w jej nowych znajomościach, i boi się, że straci to z Frankiem. Może to jej wina.

Gdy dociera na miejsce, pokonuje krótką trasę do dzielnicy z małymi domkami z balkonami i puka do tego z numerem czterdzieści sześć. Jest kilka minut po trzynastej. Jeśli jej się poszczęści, wyjdzie stąd najpóźniej o piętnastej i ruszy do Carli. Ma tylko jedną noc i zamierza z niej skorzystać. Stare przyjaciółki pomogą jej odnaleźć siebie na nowo. Ma nadzieję, że zdoła zebrać się do kupy i zabrać dawną siebie do domu.

Drzwi otwiera jej starsza pani z rzadziejącymi blond włosami i poszarzałą bladą skórą. Ma na sobie daszek sportowy, wzorzyste legginsy z rozciągniętymi kolanami i białą koszulkę osuwającą się z jednego ramienia. Jane potrzebuje chwili, żeby do niej dotarło, że to jej matka. Ma pięćdziesiąt pięć lat. Wygląda jak osiemdziesięciolatka. Wściekła osiemdziesięciolatka.

– Mama?

– Właśnie ćwiczyłam. – Plecy ma lekko przygarbione i brakuje jej jednego zęba po lewej stronie, przez co wygląda trochę jak wiedźma. – Wejdz, skoro już tu jesteś.

Jane przekracza próg. W powietrzu czuć stęchliznę – mokre ubrania i papierosy, zamknięte okna i cytrusowy odświeżacz powietrza. Idzie za matką

do salonu, gdzie na małym ekranie Davina McCall robi przysiady, szeroko się przy tym uśmiechając. Dźwięk jest ustawiony bardzo głośno. Całość wygląda nieco chaotycznie, choć córka nie widzi dowodów na to, żeby jej matka ćwiczyła. W sumie to nie ma na to miejsca, chyba że wykonywała ćwiczenia na stoliku kawowym.

– Usiądź, jeśli zostajesz – mówi matka. – Herbaty?

– Tak, poproszę.

– Usiądź, na Boga, denerwuję się przez ciebie – mówi, wyciszając telewizor pilotem. – Chwilę mi to zajmie.

Jane siada na kremowej winylowej kanapie. Poza nią, stolikiem kawowym i telewizorem, w środku jest niewiele mebli. Żadnych półek. Ozdób. Zero zdjęć. Jej matka wraca kilka minut później z dwoma kubkami, po czym siada na fotelu blisko piecyka gazowego. Ma na sobie klapki ze sztucznym futrem, chude nogi krzyżuje w kostkach. Założyła bluzę z napisem: DZIEŃ WOLNY. Zabawne. Jane nie pamięta, żeby jej matka przepracowała chociaż jeden dzień.

– Więc... – zaczyna, bo nie może tego skończyć, jeśli sama nie zacznie – co u ciebie?

– Chris wrócił. – Victoria unosi brwi, choć nie wydaje się zaskoczona, raczej niewzruszona. Zewnętrzna część jej brwi wygląda, jakby odpadła, przez to ma tam tylko dwie kępki, a ciemniejszy odrost zdradza, że rozjaśnia włosy. Jane dostrzega, że tym rozjaśnianiem nie walczy z mysim odcieniem włosów, lecz z początkami siwizny normalnej dla osób w średnim wieku. Nie będzie zadowolona, myśli Jane. Zawsze była próżna.

– Myślałam, że się go pozbyłaś? – podłapuje temat.

Matka wzrusza ramionami i kręci głową.

– Beznadziejny mąż jest lepszy niż brak męża. Nie żeby był moim mężem albo coś. A przynajmniej jeszcze nie. – Rechoce, a brak jednego z zębów jeszcze bardziej rzuca się w oczy.

Jane otwiera usta, zamyka je. Przysuwa kubek z herbatą do ust, ale ta jest za gorąca, żeby ją wypić. Odstawia naczynie na poplamioną podstawkę i czuje, jak cierpieje jej skóra na ramionach.

– Co u Franka? – pyta jej matka.

– U Frankiego? Wszystko dobrze. Chociaż ostatnio bardzo dużo pracuje. Raz wrócił grubo po północy, był totalnie wykończony, moje biedactwo.

Jej matka drga.

– Jak długo to trwa?

– Kilka miesięcy. Stara się zarobić na tę podróż, na którą oszczędzamy. Ciągle mu powtarzam, że dla mnie możemy jechać na kemping do Walii, ale on nie słucha. – Uśmiecha się, ale mina szybko jej rzednie. Zakrywa usta ręką.

Matka zaciska wargi, sięga po leżącą na podłodze torebkę i wyciąga z niej paczkę papierosów.

– Jesteś pewna, że chodzi o pracę? – Wyciąga papierosa, oferuje jednego Jane.

Jane kręci głową, choć naprawdę ją kusi.

– Oczywiście, że jestem pewna. Co innego miałoby to być?

Matka znowu porusza kępkami brwi – wyglądają jak świnki morskie. Świnki morskie wyrażające niezadowolenie. Skup się, Jane.

– Jak to co innego? – Victoria wzdycha. – Twój ojciec powiedział dokładnie to samo. I Donald. A przecież w ogóle nie chodziło o pracę, zgadza się? Nigdy nie chodzi o pracę.

– Wiedziałabym. – Jane pije, głównie po to, żeby nie mówić. *Mój ojciec to rozmazane wspomnienie w mojej głowie, nic więcej.* Za dużo mleka – herbata oblepia jej gardło. Nienawidzi tego, kim się staje, gdy rozmawia z matką. Matką, która pali, jakby też chciała powstrzymać się od powiedzenia czegoś, czego by żałowała. Może obie powinny siedzieć przez godzinę z zakneblowanymi ustami, a potem się pożegnać i rozejść.

– Tylko mówię. – Victoria przerywa ciszę, unosząc rękę. – Mężczyźni. Myślą jedynie...

– Mamo! Proszę! Nie mów tak o Frankiem. To mój mąż i nie jest taki.

Victoria kręci nieznacznie głową, unosząc jedną brew.

– W porządku. Tak tylko mówię, po prostu.

Och, to nigdy nie mogło pójść dobrze, prawda? Victoria to Victoria. Ona się nie zmienia. Głupie jest myślenie, że to możliwe. *Nic dziwnego, że ojciec ją zostawił*, myśli Jane. *Nic dziwnego, że wszyscy odeszli. Chris też z nią długo nie wytrzyma.*

– Nie przyniosłam ciastek, co? – Victoria gasi papierosa, zwleka się z krzesła i wychodzi z pokoju, zanim Jane jest w stanie ją zatrzymać.

Szczerze mówiąc, nieświeże herbatniki przekładane czekoladą są ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę. Już ta kleista herbata i dym papierosowy wywołują u niej mdłości. Słyszy, jak matka wali w coś cicho i przeklina. Zastanawia się, czy poszła do kuchni, żeby się napić. Pamięta ją tamtej nocy z przymkniętymi oczami, ale wciąż na tyle trzeźwą, by zareagować na dźwięk tłuczonego szkła i wpadającą do salonu cegłę, do której gumką recepturką przyczepiono kartkę.

Suka.

Kije i kamienie. Kartka ląduje w koszu. Cegła, kto wie? Nigdy nie pozwól, żeby ktokolwiek zobaczył twoje łzy. Nowe miasto, nowa szkoła, nowe życie. Nowy tata. *W domu nazywaj mnie Donald.* Został z nimi nieco dłużej niż pozostali, ale nigdy nie wrócił do żony. Matka Jane była gotowa iść do jej domu. *Jakim prawem rzuca cegłą w moje okno. Przyłożę jej. Nikt nie ma prawa mi czegoś takiego robić, rozumiesz?*

Puste groźby. Jej matka, wciąż unosząc zaciśnięte pięści, opadła na łóżko pod najłżejszym naporem na jej klatkę piersiową. Pozwoliła ułożyć się na boku, przykryć żółtą kołdrą. Pozwoliła, by mężczyzna zmusił ją do przeprowadzki do innego miasta, do wyrwania córki ze znajomego środowiska, podczas gdy sam pozostał nietknięty.

– Ciastka z kremowym nadzieniem – oznajmia Victoria, stawiając na stoliku kawowym talerzyk z trzema prostokątnymi beżowymi ciastkami.

– W sumie to powinnam już iść – mówi Jane. – Obiecałam Carli, że przyjadę do niej przed piętnastą.

– Co? Przecież dopiero przyjechałaś. Nie widziałam cię od lat.

Zostaje jeszcze godzinę, żeby udobruchać matkę, ale zanim wychodzi, czuje się jak jedna z wymiętolonych przez Desa zabawek.

Stojąc już na chodniku, dzwoni po taksówkę pod numer, który dała jej matka, a potem pisze do Carli.

Jestem w drodze. Otwieraj butelkę. Xxx

Przypomina sobie, żeby zapytać taksówkarza, czy przyjmuje płatności kartą. Jeśli nie, będą musieli zatrzymać się przy bankomacie. Matka wyczyściła ją z gotówki.

Popołudnie staje się chłodniejsze, niebo zachodzi chmurami. Ciaśniej owija się skórzaną kurtką i drży. Przyjeżdża taksówka, kierowca jest pogodny, akcent z jej rodzinnych stron jest niczym muzyka dla uszu. Gdy zaczyna się rozluźniać w ciepłe samochodu i myśli o spotkaniu z Carlą i Penny, zalewa ją poczucie spełnienia, jest z siebie dumna jak dziecko. Zrobiła to: spotkała się z matką i udało jej się nie krzyczeć. Nie wzdrygnęła się, gdy Victoria zapytała, czy ma jakieś pieniądze, i dała jej pięćdziesiąt funtów, które trzymała w portfelu, z uśmiechem na ustach, a wszystko to dzięki temu, że myślała wtedy o tym, co zrobiliby na jej miejscu Frankie.

Jest wrzodem na dupie, powiedziałaby. Ale ona nie jest w stanie nic na to poradzić.

Ale poczucie triumfu szybko umiera, jak zawsze, a zastępuje ją to dziwne cierpienie tuż pod skórą. Victoria zawsze mówi coś, co się jej uczepia i nie daje spokoju.

Twój ojciec powiedział dokładnie to samo. I Donald. A przecież w ogóle nie chodziło o pracę, zgadza się? Nigdy nie chodzi o pracę.

Carla opowiada Penny historię z tej nocy, gdy razem z Jane schlały się niemal do nieprzytomności, gdy odwiedziła ją w Londynie – Jane miała wtedy ledwie dziewiętnaście lat, pracowała jako dziewczynka na posyłki w firmie reklamowej. To było, zanim poznała Frankiego. Były na Tottenham Court Road. Dochodziła północ, a one wyszły właśnie z jakiegoś pubu z tanim alkoholem i w swej alkoholowej mądrości postanowił zamówić hot dogi w jednej z przydrożnych i podejrzanych bud.

– Idziemy dalej. – Carla chichocze. – Po prostu nie wierzę, że ci tego nie mówiłyśmy, Pen. W każdym razie Jane nie tknęła jeszcze swojego hot doga, a ja zeżarłam już połowę swojego. Nagle jakiś typ trąca ją ramieniem. W następnej sekundzie jej hot dog wzlatuje do góry i ląduje w ściekach, centralnie w ściekach. – Przerywa i śmieje się głośno.

Gdy Jane to wspomina, też zaczyna się śmiać.

– Boże! – kontynuuje jej przyjaciółka, ocierając łzy. – Szkoda, że nie widziałas jej twarzy! Oczywiście, jak przystało na prawdziwą przyjaciółkę, powiedziałam, że jest mi niezmiernie przykro i że w takim razie oddam jej połówkę swojego hot doga.

– Wcale tak nie zrobiłaś! – Jane śmieje się teraz pełną piersią. Boże, to cudowne uczucie, przynosi taką ulgę.

– Masz rację – odpowiada ze śmiechem Carla. – Wpakowałam resztę bułki do gęby, zanim mogła poprosić mnie o to, żebym się z nią podzieliła.

Penny śmieje się głośno, a Carla i Jane do niej dołączają. Ich śmiech żyje swoim życiem. Już nie chodzi o historię, teraz śmieją się z niczego, nie pamiętają nawet, co było tak śmieszne.

Rano, gdy siedzą w piżamach, z kubkami herbaty na podwójnym łóżku Carli, Jane opowiada im o Lexie, Sophie, o bociankowym... i tajemniczym sztucznym brzuchu.

– Przepraszam – mówi. – To po prostu doprowadza mnie do szaleństwa, wicie? Mam wrażenie, jakbym zwariowała.

– Nie jestem zaskoczona – mówi Carla. – Coś takiego każdemu namieszałoby w głowie.

– Potwierdzam – dodaje Penny. – To twoje bezpieczne miejsce, prawda? Przyjaciele. Wiem, że Frankie jest w tym wszystkim najważniejszy, ale rozumiesz, o czym mówię. Przyjaciele są wsparciem, zgadza się? Nie próbuję być miła, one po prostu chujowo cię potraktowały, kochanie.

One. Jane pociąga nosem, patrzy na Carlę i Penny.

– Wierzycie mi?

Penny marszczy brwi, jakby nie zrozumiała pytania.

– Stara! Ta Lexie brzmi jak totalna psychopatka. No kto robi takie rzeczy?

Jane ociera oczy.

– Przeszłam przez gorsze rzeczy. – Zerka na swoje przyjaciółki, widzi, że myślą, że mówi o swojej matce, więc tego się trzyma. – Myślałam, że jestem silna... ale wychodzi na to, że nie.

– *Jesteś* silna. – Carla bierze ją w ramiona. – Jesteś twarda niczym skała. Mogłabyś podążać tą samą ścieżką co twoja matka, tak? Niech Bóg ma w opiece Victoriatora. Ale tego nie zrobiłaś, prawda?

– Dzięki tobie.

– Nie dzięki mnie, głupku. To ty przestałaś pić cydr. To ty odstawiłaś cholernego Dicka Whittingtona i to ty rzuciłaś pracę na etacie i zbudowałaś własny biznes.

– Chyba tak.

– Chcesz, żebyśmy tam pojechały i skopały jej dupę? – pyta Penny.

Jane uwalnia się z uścisku Carli ze śmiechem.

– Nie. Jest okej. Muszę po prostu wziąć się w garść.

– Myślę, że trzeba mieć jaja, żeby wznieść się ponad taki szajs – mówi Carla.

– Coś takiego cię wciąga, co? Nie chcesz tego, ale nic nie możesz na to poradzić. Pamiętaj, kim jesteś, okej? Trzymaj fason, królowo, trzymaj fason.

– Nie sądzicie, że jestem złą osobą? Wredną, zazdrosną, niemiłą?

Carla się śmieje.

– No teraz to zachowujesz się jak kretyńka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Frankie

Luty–kwiecień

Frankie bez przerwy jest rozbity, poczucie winy wysysa z niego życie. Pracuje. Ciężko pracuje. Pracuje bez przerwy, bo jakaś jego część chce wierzyć, że jeśli będzie pracował wystarczająco ciężko, to uda mu się to naprawić. Ale nawet gdy nie ma przy nim Jane, wyobraża sobie, że się o wszystkim dowiaduje, widzi jej wykrzywioną twarz, gdy dociera do niej, że ma gnojka za męża. Nie może się dowiedzieć. Po prostu nie może. On sam nie wie, co tam się stało, więc jak miałby to wyjaśnić żonie? Co miałby powiedzieć? Poza tym, że to nic nie znaczyło, choć brzmi to banalnie. Bo on tym właśnie jest, banałem, niczym, małym żalonym człowieczkiem. Jego rodzice byliby zawiedzeni. *On* jest sobą zawiedziony.

Ale to nie wystarczy, żeby cokolwiek naprawić.

Zegarek sprzedaje na eBayu za tysiąc funtów. Wolał zejść dwa tysiące z ceny niż patrzeć na tę głupią złotą tarczę.

Za każdym razem, gdy dostaje wiadomość, niemal wychodzi z siebie.

Za każdym razem, gdy wchodzi w zakręt, bezwiednie się spina.

Za każdym razem, gdy na wycieraczkę lądują przesyłki, jest bliski zawału serca.

Ale Natasha się z nim nie kontaktuje. Nie pojawia się na ulicy. Nie wrzuca przez otwór na listy w jego drzwiach niczego okropnego.

Mijają tygodnie. On bez przerwy robi nadgodziny, spłacając dług wobec siebie i swojej żony, żeby w końcu mieli życie, jakie jej obiecał. Numer Natashy usunął, gdy tylko wyszedł z jej domu, ale to nie powstrzymałoby jej od dzwonienia, prawda? Nie, jeśli byłaby psychopatką, już by go dopadła.

Zaczyna się uspokajać. Zezłościł ją i jest mu z tego powodu źle, ale to nic w porównaniu z tym, co czuje w związku z Jane. Powinien jej o tym powiedzieć, naprawdę, ale jaki to ma sens? To nie miało żadnego znaczenia, a ją by zabiło. To by ich zniszczyło. Nie odeszła od matki wszystkie te lata temu tylko po to, by skończyć w jeszcze gorszym bajzlu. Ciągle pamięta noc, gdy mu

o tym opowiedziała – picie, mężczyźni, to, jak musiały się przeprowadzić, bo matka miała romans z dyrektorem jej szkoły. Robienie z córki gońca, przykrywki, wmawianie jej, że nic się nie dzieje, kiedy się działo. Jeśli kiedykolwiek spotka Victorię, zamierza jej wygarnąć. Ale to nie Victoria stanowi teraz problem, prawda?

Nikomu nie powie o tym, co zrobił. Nawet Simonowi, kumplowi, z którym jest najbliżej, którego wspierał, gdy rozwodził się z Hils. Simon by go nie oceniał. Przeszedł przez to i dopadły go konsekwencje. Billy, jego przyjaciel ze szkoły, też by go nie oceniał. Ale Frankie ocenia samego siebie. Uważa, że jest bezużytecznym, zakłamanym...

Nikomu nie powie.

Pracuje tak dużo, że przez weekendy, po godzinach, zarabia dodatkowe tysiąc funtów. Trzyma te pieniądze w swojej szufladzie w szafce nocnej, planuje otworzyć dodatkowe konto. Jane będzie myślała, że ciągle mają tylko trzy tysiące, a potem on powie jej, co zrobił, że teraz mają dziesięć, że jadą w tę podróż. Lepiej – wszystko zorganizuje, dopnie na ostatni guzik, kupi bilety, zajmie się noclegami, robi to tak, że ona będzie musiała się tylko spakować i wsiąść w samolot.

Boże, bardzo chciałby to zrobić. Jej mina w chwili, w której by się dowiedziała, sprawiłaby, że to wszystko było tego warte – nawet ten koszmar z Natashą. Może wtedy poczułby się odrobinę lepiej.

Nadchodzi kwiecień. Robi łazienkę w New Malden. Jest późne popołudnie. Razem z Robem zamontowali brodzik prysznicowy i kabinę, i właśnie zaczynają układać kafelki wokół wanny, gdy dostaje z nieznanego numeru wiadomość na WhatsAppie. Zdjęcie plastikowego patyka w kobiecej dłoni z paznokciami pomalowanymi na czerwono.

Żołądek wywraca mu się na drugą stronę.

– Zaraz wracam – mówi swojemu współpracownikowi, chowa telefon do kieszeni, wychodzi z domu i wsiada do vana.

Gdy wyjmuje telefon, otrzymuje kolejne zdjęcie. To jest czarnoszare, lekko rozmazane. To nie jest po prostu zdjęcie. To zdjęcie USG.

Pod spodem ktoś napisał: *Przywitaj się ze swoim dzieckiem, Frankie.*

Na jego czoło występuje pot. Ten biały patyczek to test ciążowy. Dobrze o tym wie, w końcu widział ich wystarczająco dużo. W malutkim okienku widnieją dwie niebieskie kreski. Dwie, nie jedna, jak na wszystkich testach, które widział na żywo. A ta plamka na drugim zdjęciu to płód. Dziecko. Nie może być jego. To nie może być jego dziecko. Nie ma takiej opcji.

Jego serce bije szaleńczo. Przez chwilę ma wrażenie, że zwymiotuje. Dzięki Bogu, że jest sam. Oddech ma szybki i płytki. W piersi czuje ostry ból, jakby ktoś ścisnął jego serce w pięści. Otwiera szybę samochodu, łapczywie chwyta powietrze. Pochyla się, wstrząsają nim suche torsje, pluje.

Nie użył zabezpieczenia. On nawet sam nie zdjął spodni.

– O Boże – mówi. – O Boże.

Na zewnątrz zaczyna się ściemniać, zapalają się latarnie. Na końcu uliczki spaceruje kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym, wyprowadza brązowego springera spaniela. Zatrzymuje się, czeka, aż ten obsika konar drzewa. Przez jeden magiczny moment, w którym dookoła robi się jaśniej, a ucisk w klatce piersiowej ustępuje, dociera do niego, że może Jane mówi mu w ten sposób, że jest w ciąży.

Ale Jane nigdy nie maluje paznokci.

Poza tym ma zapisany jej numer.

To nie jest wiadomość od Jane.

Wie to. W chwili, gdy dostał te zdjęcia, wie, kto je wysłał.

W odpowiedzi jego telefon znowu pika. Tym razem to nie zdjęcie, a wiadomość:

Tu Tasha. Wiesz, w razie gdybyś zapomniał. Spotkaj się ze mną dzisiaj w Estilo o 20. Musimy porozmawiać, chyba że wolisz, żebym przyszła do Ciebie do domu?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Jane

Maj

W pociągu wiozącym ją do domu, męcząc się z obrzydliwą kawą latte i jeszcze gorszym kaczem, Jane zamyka oczy i stara się cokolwiek odespać. Gdy wibruje jej telefon, otwiera oczy i widzi połączenie wideo od Kath i Hils.

– Hej – mówi cicho, uśmiechając się na widok ich twarzy.

– Niespodzianka – mówi Hils. – Pomyślałyśmy, że upewnimy się, że dobrze się bawisz, ale nie na tyle dobrze, żebyś nas zostawiła i uciekła na północ.

Jane się śmieje.

– Mam strasznego kaca.

– Dobrze się bawiłaś? – pyta Kath.

Jane kiwa głową.

– Tak. Było... fantastycznie. Nie mogę się doczekać piątkowego biegania. – Mówi szczerze, naprawdę.

– To świetnie!

– Byłyście – przygotowuje się do tego pytania – na piątkowych drinkach?

– Nie – odpowiada Hils. – Lexie chyba zabrała Sophie na bezalkoholowe koktajle gdzieś w Chelsea.

W drugim okienku widzi skrzywioną twarz Kath.

– My z Kath poszłyśmy do tej nowej libańskiej knajpki – dodaje Hils. – Jest naprawdę świetna. Robią ten superdmuchany chleb w potężnym piecu, który stoi w środku. Było fajnie, musimy iść tam razem. Może w następnym piątek?

– Och, bardzo chętnie – mówi Jane. Gardło ma zaciśnięte z emocji, mruga szybko, żeby się nie rozpłakać.

Kath i Hils jej nie osądzają. Nie obrażają się. Nie pytają, dlaczego im wcześniej nie powiedziała. Nie zarzucają jej, że wpadła w szal. O nic jej nie oskarżają. Nawet więcej, zdają sobie sprawę, że sytuacja się zmieniła, ale cokolwiek się dzieje, wciąż są jej przyjaciółkami.

Co najważniejsze, nie patrzą na nią ze współczuciem. Po prostu... patrzą na nią tak jak zawsze.

– Bardzo wam dziękuję za ten telefon – udaje jej się powiedzieć.

Żegnają się, a ona odchyła głowę z powrotem na oparcie i stara się trzymać ciepła, jakie dało jej spotkanie z Carlą i Penny, oraz radości z rozmowy z Kath i Hills. Lecz gdy pociąg jedzie na południe, wracają do niej słowa matki, nie dając jej spokoju.

A przecież w ogóle nie chodziło o pracę, zgadza się? Nigdy nie chodzi o pracę.

Wraca do domu, gdzie zastaje przysypiających na kanapie Frankiego i Desa. Pies przynajmniej wstaje i biegnie ją przywitać.

– Cześć – mówi, odsuwając go, i siada obok męża.

– Hej – odpowiada Frankie, mrugając leniwie. – Jak było?

– Świetnie, naprawdę dobrze. Twarz mnie boli od tego, ile się śmiałyśmy.

Frankie się uśmiecha, ale ten uśmiech jest bez życia, a oczy otaczają czarne kręgi. Brodę ma gęściejszą, ciemniejszą, ale nie tylko dlatego jego twarz wydaje się szczuplejsza. Schudł jeszcze bardziej. A Frankie nigdy nie chudnie. Za bardzo uwielbia jedzenie i piwo.

A przecież w ogóle nie chodziło o pracę, zgadza się? Nigdy nie chodzi o pracę.

– Kupiłam coś dobrego w Markies – mówi, odpędzając od siebie przygnębiające myśli. – Zrobię nam superkolację, okej?

– Słysząc, że byłaś na północy.

– Jak to?

– Wrócił twój akcent. – Z trudem podnosi głowę. – Powinienem być coś ugotować.

– Nie bądź niemądry, przepracowujesz się do granic możliwości. Zostań na kanapie. Dobrze jest widzieć cię odpoczywającego, a ja czuję się świetnie. Cóż, mam kaca, ale poza tym jest świetnie.

– To nie w porządku – protestuje Frankie, ale jego głowa opada z powrotem na poduszkę, jakby nie miał siły utrzymać jej w górze. Białka oczu ma przekrwione. Wygląda okropnie, jakby miał zaraz umrzeć.

Starając się nie pokazywać po sobie zmartwienia, klepie go po nodze i zostawia przed telewizorem, w którym leci mecz piłki nożnej.

Mija kilka minut, a ona woła:

– Frankie! Kolacja gotowa.

Gdy nie dostaje odpowiedzi, wraca do salonu, gdzie jej mąż śpi na kanapie.

– Frankie? – szepcze, niepewna, czy dać mu spać, czy nie. Jest po dwudziestej. Jeśli będzie spał za długo, nie prześpi nocy. Poza tym musi jeść. – Franks?

Otwiera jedno oko i się wzdryga.

– Och!

– Kolacja gotowa – mówi łagodnie. – Dasz radę wstać?

Kiwa głową, zamyka na dłuższą chwilę oczy, a potem wstaje, przy czym wygląda, jakby wykorzystywał do tego całe swoje siły.

– Wyglądasz naprawdę źle – stwierdza Jane. – Może powinniśmy zadzwonić do lekarza?

– Nic mi nie jest. – Opiera się o nią. Prowadzi go powoli w stronę kuchni.

– Utykasz – mówi. – Zrobiłeś sobie coś w nogę?

– Nie. Tylko ścierpła. Nic mi nie jest, kochanie. To zmęczenie.

Czuć od niego zapach potu i kurzu.

– Pracowałeś dzisiaj? W niedzielę? Wczoraj też pracowałeś?

– To była tylko naprawa zbiornika w Richmond. Nic wielkiego.

– Och, *Frankie*.

Docierają do kuchni, gdzie Jane nałożyła już jedzenie na talerze, nalała wina do kieliszków i zapaliła świece. Na ten widok Frankie nieruchomieje, a z jego ust wrywa się drżący oddech.

– Frankie?

– Nie mogę – mówi, przyciskając ręce do twarzy. – Przepraszam. To za... Ja... Muszę...

Odwraca się i zaczyna wchodzić po schodach na sztywnych nogach. Idzie za nim i podnosi kołdrę, pod którą się położył, głaszcze go po głowie. Skórę ma lepką, poszarzałą. Wygląda, jakby płakał.

– Rozchorowałeś się przez tę pracę – mówi Jane. – Wiedziałam, że to się stanie. Musisz przestać, kochanie. Po prostu musisz. W weekendy będę zabierać ci telefon i chować go do szuflady – mówi to z miłością, ale w środku aż ją skręca, czuje niepewność, zdenerwowanie. Żadna podróż nie jest tego warta, o ile w ogóle o to chodzi.

Schodzi na dół, opuszcza ją ciepło i uczucia, które towarzyszyły jej przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Miała nadzieję, że na widok Frankiego poczuje się pewniej, że przypomni sobie, kim naprawdę jest, a nie potwierdzi podejrzenia jej matki. Mężczyzna, którego zobaczyła, to nie Frankie. Ten człowiek nie jest w stanie popatrzeć jej w oczy, schudł i leży niechlujny na kanapie. Jej Frankie już dawno by się umył, przebrał i czekał na nią z otwartymi ramionami, a na kuchence grzałoby się curry.

Coś jest nie tak. Nie chodzi o kobietę, to niemożliwe. Jej matka zasugerowała, że ją zdradza, bo tylko to zna, ale nie, nie o to chodzi. Frankie wie, przez co

przeszła w dzieciństwie, wie, że zdrada by ich zniszczyła.

Ale musi chodzić o coś więcej niż pracę.

Na stoliku kawowym leży jego telefon. Zna hasło. Mogłaby sprawdzić.

Ale nie. Jeśli to zrobi, to co z nich zostanie? Kim by byli bez zaufania? Co stałoby się z bezpiecznym domem, który budowali przez ostatnie dziesięć lat?

W jej głowie pojawia się wspomnienie z dzieciństwa: na progu domu – nie pamięta już, którego – pojawia się zdenerwowana kobieta i pyta o jej matkę. Jane wchodzi do środka, przesuwa palcem po listwie. Musiała być mała. Victoria, młodsza, wtedy jeszcze elegancka, mówi jej, że ma wrócić do tej kobiety i powiedzieć, że nikogo nie ma w domu, a jeśli zapyta o mężczyznę – tu pamięć ją zawodzi – Davida? Johna? nieważne – to ma powiedzieć, że nikogo tu nie ma. Tylko że Jane, ta mała dziewczynka, wiedziała, że ten mężczyzna jest na górze.

Nie robi tego. Nie sprawdzi telefonu Frankiego. Ona taka nie jest. On też taki nie jest.

Zamiast tego zabiera się do jedzenia i popija pinot grigio, które jest świeże i zimne na jej języku. Zjada trochę, wypija kieliszek, czuje, że kac słabnie. Przypomina sobie, że w piątek wpłaciła do banku pieniądze z tygodniowego utargu, i sprawdza stan konta. Dzięki temu, że w tym miesiącu nie miała żadnych napraw ani konserwacji, konto firmowe wygląda naprawdę dobrze, dlatego postanawia przelać sto funtów na konto wakacyjne. Może to pomoże jej sprawić, żeby Frankie zwolnił z pracą – pokaże mu, że ona też potrafi coś oszczędzić, że mogą to robić kroczyk po kroczyku, nie zabijając się przy tym.

Przelewa pieniądze i sprawdza skarbonkę. Ostatnio, gdy tam zaglądała, na koncie było ponad trzy tysiące. Może Frankie przelał coś jeszcze. Bóg wie, że zrobił wystarczająco nadgodzin.

Czyta kwotę: 158,00 funtów.

Musiała wejść na złe konto. To musi być ich wspólne konto. Bo na koncie oszczędnościowym, gdy sprawdzała tydzień... miesiąc temu, było ponad trzy tysiące.

Nie. Nie, to jest konto w Santanderze. To jest ich skarbonka. Wspólne konto mają w Lloyds.

Pochylając się nad iPadem, wchodzi w wyciąg bankowy. Przed chwilą przelała na konto sto funtów. Więc zanim to zrobiła, saldo konta wynosiło tylko pięćdziesiąt osiem?

– Pięćdziesiąt osiem funtów – szepcze, unosząc rękę do drżących ust. Jej wzrok ląduje na transakcji, która nastąpiła przed jej przelewem: 3000 funtów,

wypłacone 12 kwietnia przez Franka Reece'a.

A przecież w ogóle nie chodziło o pracę, zgadza się? Nigdy nie chodzi o pracę.

Frankie wybrał z ich wspólnego konta trzy tysiące i nic jej o tym nie powiedział.

Twój ojciec powiedział dokładnie to samo. I Donald.

– Nie – szepcze. Frankie to nie jej ojciec, kimkolwiek jest albo był ten człowiek. Frankie nie jest też Donaldem ani żadnym z tych facetów. Nie o to tu chodzi. Nie chodzi o kolejną kobietę. Nie chodzi o to, że Frankie szykuje się, żeby od niej odejść.

Ale ma kłopoty finansowe.

I nic jej o tym nie powiedział.

A przez to się rozchorował.

Jego firma musi podupadać. Ale jak to możliwe, jeśli cały czas pracuje? To nie ma sensu. Musi mieć kogoś innego, tylko to jakoś składa się do kupy. Jane nie może dać mu dziecka. On ją wspierał, kochał i nigdy niczego nie insynuował, powtarzał, że są w tym razem, ale musi pragnąć zostać ojcem. Byłby w tej roli fantastyczny. Wszystko w nim jest idealne – jest dobry, zabawny, uczuciowy, sprawiedliwy, pracowity, lojalny.

Czy jest lojalny?

W takim razie dlaczego wybrał tyle pieniędzy i nic jej o tym nie powiedział?

Chyba że znalazł kobietę, która może dać mu rodzinę. Boże. Chyba, że szykuje się do odejścia. A jest chory, bo to dobry człowiek i nie ma pojęcia, jak jej powiedzieć.

Po jej policzkach spływają wielkie łzy. Skapują na talerz. Sięga po serwetkę, którą schludnie złożyła, przygotowując tę romantyczną kolację. Świecek migoczą, jedzenie leży na talerzach, porzucone. Wyrywa się z niej przepełniony bólem szloch. Odsuwa talerz, kładzie ręce na stole i opiera o nie czoło. Była przekonana, że straciła swoją najlepszą przyjaciółkę, i tak ją to zaabsorbowało, że teraz straciła męża, człowieka, który – dociera to do niej dopiero teraz – jest jej prawdziwym najlepszym przyjacielem.

– Nie – szepcze. – Nie.

Siada. Nie uwierzy, że zrobił coś takiego. Nie Frankie. Mogła nie widzieć prawdziwej Sophie, ale Frankie to Frankie. Nic, co powiedział albo zrobił przez te wszystkie wspólnie spędzone lata, nie potwierdza niepewności, która zżera ją od środka. Nigdy by jej nie zdradził. Nie okłamał.

To jest po prostu niemożliwe.

Wstaje, ociera twarz i idzie na górę. Jej mąż śpi. Budzenie go zdaje się okrutne, ale musi to zrobić – musi wiedzieć. Potrząsa nim lekko, czeka, aż się rozbudzi i skupi.

– Frankie? – mówi cichutkim głosem. – Gdzie są wszystkie nasze oszczędności?

Oczekuje, że powie jej, żeby się nie martwiła. Że przeniósł pieniądze na indywidualne konto oszczędnościowe. Że posłuchał rady Simona na temat wyciągnięcia najlepszego zysku na odsetkach. Chciał jej powiedzieć, ale był zajęty. Ale nie robi tego. Zamiast tego potrząsa głową i mówi, że jest mu strasznie przykro, że przeprasza. Tak bardzo ją przeprasza. I że wszystko zaczęło się od zegarka.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Szpital

Przyciskam ucho do drzwi kabiny. Wyszła. Przekręcam zamek, uchylam drzwi. Nasłuchuję. Na korytarzu rozlegają się kroki. Mam nadzieję, że to nie ona. Kroki się oddalają.

Podpieram się na kulach i wychodzę z kabiny. Miękkie podpórki wbijają się w moje pachy, dłonie mam obolałe. Wózek ciągle stoi na swoim miejscu. Rozważam użycie go, żeby podjechać do windy.

Właśnie mam usiąść, gdy ją słyszę.

– Ach – mówi. – Skończyłaś.

Kurwa. Uśmiecham się.

– Dam sobie radę. Sama wrócę na salę.

Śmieje się.

– W to nie wątpię, ale i tak cię zabiorę.

– Znaleźli osobę, po którą tu przyszli?

– Pewnie tak. Nie ma się czym martwić.

I tu się mylisz, pielęgniarczko. Może ty nie, ale ja to co innego.

– Musisz być zajęta – mówię, ciągle stojąc, ściskając rączki kul i testując, ile mam siły w dłoniach. – Chciałabym spróbować dotrzeć na salę o kulach, żeby się sprawdzić.

– Jutro – mówi łagodnie, wskazując na wózek inwalidzki. – A teraz posadźmy cię na wózku.

Pochylam się, jakbym chciała usiąść. Ona nachyla się nade mną, żeby pomóc. Puszczam jedną z kul, drugą unoszę i z całej siły – *trzask* – walę ją głowę, zanim do niej dociera, że gdy mówię, że wolę się przejść, to naprawdę wolę się przejść. Upada na wózek, osuwa się na podłogę. Jęczy. Otwiera oczy, patrzy na mnie ze strachem. Chwyta się oparcia, próbuje usiąść. Unoszę kulę nad głowę i warczę na nią. Nie podnosi się, szłocha pod nosem, unosi ręce w geście poddania.

– Proszę – mówi.

– Potrzebny mi twój strój – odpowiadam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Frankie

Kwiecień

O dwudziestej siedzi przy stoliku na tyłach baru Estilo, a przed nim stoi szklanka lemoniady. Powiedział Jane, że pracuje do późna, i ma nadzieję, że nie zobaczy go tutaj żaden z jego kolegów – to nie jest miejsce, w którym bywają. Tak jak większość biegaczy, odwiedzają raczej puby, a zamiast tapas wolą kaski wołowe i prażone orzeszki ziemne. Poza Sophie, która zawsze wygląda jak bogata turystka w biednej dzielnicy, jakby winiarnia była bardziej w jej stylu. Kath i Hils nigdy by tu nie przyszły. Nigdy nie widział byłej Simona w spódnicy, a co dopiero w sukience, nie żeby Jane nosiła coś innego niż dzinsy, koszulki i znoszone kowbojki. Planował kupić jej nowe podczas podróży do Ameryki. Kupi. Jest zdeterminowany. Nie pozwoli tej kobiecie, Natashy, zniszczyć im życia.

Po tym, jak wybuchł w vanie, kazał sobie wziąć się w garść. Kupił w Sainsbury tanią koszulę, mydło i dezodorant, skorzystał tam z toalety, żeby się ogarnąć i przebrać. Pod paznokciami wciąż ma brud. Czekaając, stara się wyciągnąć choć trochę tego końcówką długopisu, którego używa przy robieniu wycen. Długopisu, który wziął do Natashy, bo myślał, że chciała odnowić łazienkę, a na miejscu dowiedział się, że myślała tylko o jacuzzi... jacuzzi, którego w ostateczności w ogóle nie chciała.

Odpuszcza czyszczenie paznokci, bierze łyk lemoniady. Zastanawia się, czy jeszcze kiedykolwiek napije się alkoholu. Wyjdzie ze znajomymi. Wróci do domu.

Nie, Franks. Weź się w garść. Nie ma dowodu na to, że jesteś ojcem tego dziecka, żadnego dowodu. Opanuj się.

Ona cię zniszczy.

Nie pozwolę jej.

Jane wyrzuci cię na zbity pysk.

Nie, nie zrobi tego. Będę o nią walczył.

Jesteś skończony.

Nie jestem.

Jesteś idiotą.

Z tym się zgodzę.

Wstyd.

Wstyd.

Wstyd, wstyd, wstyd, wstyd, wstyd, wstyd, wstyd, wstyd, wstyd.

Widzi Natashę, zanim ona widzi jego. Kobieta uśmiecha się do głupiego, przyszczatego nastoletniego kelnera, który przytrzymuje jej drzwi. W przytłumionym świetle restauracji jej zęby są niemal neonowo białe. Przepęlnia go nienawiść. Ociera oczy wierzchem dłoni. Nie dopuści do tego, żeby zobaczyła go w tym stanie.

Jej wzrok błądzi po lokalu, a gdy go zauważa, skupia się tylko na nim.

Wykonuje głową dziwny kołyszący ruch. Ma na sobie jasnoróżową koledźówkę, szare opięte dzinsy i różowe buty Nike. Długie ciemne włosy opadają na ramiona, krótsze kosmyki okalają twarz. Gdy dociera do stolika, przypomina sobie wilczy błękit jej oczu, to, jak patrzyła na niego, podając mu drinka. Lśnienie jej włosów, gdy ściągała mu spodnie. Jej piersi, kołyszące się i dziwne.

Mimo wszystko wstaje.

– Natasho.

– Witaj, Frankie. – Jej głowa znowu robi ten dziwny ruch. Nie jest tak wysoka, jak ją zapamiętał, jest bardziej wzrostu Jane, może ze dwa centymetry wyższa. – Mogę usiąść?

Frankie mruga. Co to za pytanie? Co z nią, teraz jest miła?

– Oczywiście – mówi, wskazując na krzesło po drugiej stronie stolika.

Z twarzą wykrzywioną z determinacji wysuwa krzesło i siada na nim, po czym wsuwa się nieznacznie.

Kelner, który wcześniej przytrzymał jej drzwi, podchodzi do niej i pyta, czy ma ochotę na drinka. Z jedną ręką na brzuchu zamawia wodę gazowaną z lodem i cytryną. Uśmiecha się obrzydliwie słodko do chłopaka, którego przyszcze wręcz świecą na czerwono na tle jego czoła. Frankie przygląda się kobiecie. Nie uważa jej za ani trochę atrakcyjną. Nigdy nie uważał. Co za bajzel.

– No – mówi.

– Przejdę prosto do rzeczy, okej? Gareth mnie zostawi. – Wyciąga chusteczkę z rękawa i klepie nią skórę pod oczami.

– Kim jest Gareth?

– Moim mężem.

– Skąd wie, że to nie jego?

Robi zdziwioną minę.

– Daty? Nie było go w domu przez *miesiąc*.

– I jesteś pewna, że to moje.

Natasha otwiera szeroko oczy. Rozchyła usta, jakby miała na niego nawrzeszczeć, ale kelner wraca do stolika i stawia przed nią wodę. Czeka.

– Dziękujemy, to wszystko – mówi uprzejmie Frankie. – Nie będziemy jeść.

Gdy kelner odchodzi, Natasha nachyla się nad stolikiem, mrużąc oczy.

– Wciąż zachowujesz się jak osoba z klasą, co, Franku Reece? Czyje miałyby być to dziecko? Myślisz, że kim jestem?

Koszmarem.

– Nie wiem. Nie znam cię. Słuchaj, to był błąd. Nie zrozum mnie źle, jesteś atrakcyjną kobietą, ale to się nie miało zdarzyć i przepraszam cię za to, okej? Więc jeśli potrzebujesz, żebym poszedł z tobą i to... załatwił, czy co tam potrzebujesz, to...

– Co? – Patrzy na niego, jakby powiedział coś okropnego. – O czym ty, do cholery, mówisz? Chodzi ci o *aborcję*? – Śmieje się. To okropny, złośliwy śmiech.

– Właśnie po to tu przyszedłeś? Żeby powiedzieć mi, żebym się go *pozbyła*? Boże, naprawdę jesteś czarujący, co? Jestem w ciąży. To twoje dziecko. I będziesz mi na nie płacił, czy ci się to podoba, czy nie. Przynajmniej tyle jesteś mi winien.

– Co? – W głowie mu pulsuje, wzrok zaczyna się rozmazywać. – Weź, to niesprawiedliwe! Nie możesz mi tego zrobić. – Już unosi głos, mimo że kilka minut temu obiecał sobie, że tego nie zrobi.

– Zrobić czego? Oczekiwać, że wywiązesz się ze swoich zobowiązań? Widzę, że zmieniłeś śpiewkę. Tamtej nocy oderwać się ode mnie nie mogłeś, nie byłeś w stanie zaciągnąć mnie do łóżka wystarczająco szybko, sprzedałeś mi tę płacziwą historyjkę, patrzyłeś tymi wielkimi niebieskimi oczami i błagałeś: *Trzymaj mnie, Tasha, jesteś taka piękna, Tasha*.

Nie pamięta z tego kompletnie nic, ani jednego słowa. To dezorientujące, gdy ktoś mówi mu, że wypowiedział słowa, których nie jest w stanie odnaleźć w pamięci. Tak jakby ktoś ci powiedział, że wiesz mu dychę, mimo że pamiętasz, że ją oddałeś.

Wyrzuca ręce w powietrze.

– Wierzę, że to prawda, ale pracowałem cały dzień, a alkohol uderzył mi do głowy. Jestem zaskoczony, że w ogóle byłem do czegokolwiek zdolny, mówiąc

szczerze. Po prostu nie sędę, żebyś mogła ode mnie oczekiwać, że bym był ojcem, gdy w ogóle się nie znamy. Ale jeśli twierdzisz, że byłem tylko ja, to okej. Ale moje życie... Słuchaj, to nie tak, że ci nie wierzę, ale potrzebuję dowodu. Po prostu.

Mruży oczy tak bardzo, że niemal je zamyka. Kręci powoli głową.

– Myślisz, że jesteś taki milusi, co? Najlepszy z najlepszych, porządny gość. Ale tu nie jesteś porządny. – Grzebie w torbie, pociągając nosem, jakby była smutna, mimo że oczy ma suche. – Nie chciałam tego robić. Naprawdę. Ale mnie do tego zmusiłeś.

Z torby wyciąga kopertę. To pewnie wydruk z badania USG. Tyle że USG nic nie udowadnia.

Na stoliku między nimi łądują trzy zdjęcia. Zrobione polaroidem. Widzi na nich swoją twarz. Jej twarz. Jej nagie od pasa w górę ciało. Swoją nagą klatkę piersiową i oczy zamknięte w czymś, co wygląda jak ekstaza. Nadal jednak potrzebuje kilku sekund, by dotarło do niego, że patrzy na zdjęcia swoje i Natashy z tamtego wieczora, gdy uprawiali seks.

Błyski, białe błyski, przypomina sobie. Zrobiła zdjęcia? Czy to było właśnie to? Gdy oni...

– Tysiąc miesięcznie. – Słyszy jej głos mimo szumu w uszach. – W przeciwnym razie wyślę to do twojej żony.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Jane

Maj

Ciągle siedzą na łóżku. Frankie opowiedział jej, że spał z inną kobietą i że ta kobieta twierdzi, że jest ojcem dziecka oraz że go szantażuje. A teraz, tak jakby powrót do samego początku miał to jakoś wyjaśnić, opowiada jej, jak przyjął kieliszek wina od tej wyrafinowanej kobiety o kruczoczarnych włosach i poszedł z nią na górę jej luksusowego domu, jak w jej wspaniałej marmurowej łazience z podwójnym prysznicem zaczęło mu się kręcić w głowie, jak wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Jane wie, co będzie następane, wie, że mu nie uwierzy, ale potem nie będzie miała wyjścia i jednak uwierzy, bo nie będzie miała wyjścia, biorąc pod uwagę to wszystko, co już jej powiedział. I wtedy mówi:

– Odpląnąłem – mówi. – Zaczęła mnie dotykać, a ja próbowałem ją odepchnąć, ale następane, co pamiętam, to że ona... my... ona siedziała na mnie.

Oboje płaczą. Jakimś cudem Jane trzyma go za rękę. Gdy to do niej dociera, puszcza go.

– Jak na tobie? – Musi wiedzieć. – Była naga? Masz na myśli naga? O to ci chodzi?

Kiwa głową, po jego twarzy płyną łzy.

– Nie rozumiem – mówi bezradnie. Nagle czuje, że kręci jej się w głowie.

– Ja też nie rozumiem. Przysięgam na Boga, że też nie rozumiem.

– Gdy poprosiłeś mnie o rękę, powiedziałeś... pamiętasz, co powiedziałeś?

– Proszę, kochanie. Proszę, nie.

– Uklęknałeś na jedno kolano i powiedziałeś: „Nigdy cię nie zdradzę i nigdy od ciebie nie odejdę”. Właśnie to powiedziałeś. – Jane czeka, ale Frankie zaczyna szlochać. – Wiesz, przez co przesłama jako dziecko. Wiesz o tym.

– Chciałbym móc cofnąć czas – płacze. – Nie wiem, jak to się stało.

– Owszem, wiesz. Wiesz, Frankie. Wiesz dokładnie, jak to się stało i jak zapłodniłeś inną kobietę. Inna kobieta nosi twoje dziecko, gdy ja nie mogę... – Z jej ust, prosto z głębi, wyrzywa się przeciągły szloch.

– Na początku chciała tylko tysiąc funtów – mówi odległym głosem, jakby ją to obchodziło, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. – Ale potem zaczęła domagać się więcej, następnie zażądała alimentów. Miała nie tylko zdjęcie USG. Miała zdjęcia. Nas.

– Nas?

– Moje i jej. W sensie, razem.

– Mój Boże.

Frankie kręci głową.

– Wybrałem trzy tysiące z konta i miałem jeszcze odłożony tysiąc w gotówce.

Skarbonka. Fundusze na podróż dookoła świata. Wypłata z konta. Nie chodziło o podupadającą firmę. To nie był plan ucieczki. Chodziło o dziecko, dziecko w brzuchu innej kobiety. Płacze tak bardzo, że nie jest w stanie nic powiedzieć, jej własny brzuch zaciska się boleśnie.

– Oddała mi te zdjęcia.

Jane zamyka w niedowierzaniu oczy, za chwilę je otwiera.

– Na pewno ma kopię na swoim iPhone. Proszę, powiedz mi, że jesteś tego świadomy.

Kiwa głową. Nie obchodzą jej pieniądze ani zdjęcia, ani alimenty, nic z tego. Frankie zapłodnił inną kobietę. Inna kobieta, nie ona, nosi jego dziecko.

– Powiedziała, że jeśli będzie musiała, wrzuci zdjęcia do internetu. – Kręci głową, ukrywa twarz w dłoniach. – Nie obchodzi mnie, co stanie się ze mną. Nie dałem jej pieniędzy ze względu na siebie. Po prostu nie mogłem znieść, że mogłaby dopaść ciebie. Nie chciałem, żebyś się dowiedziała. Wiedziałem, że to cię zrani.

– *Zrani?*

– Więcej niż zrani. Zniszczy. Przepraszam, ja... Nie mówię zbyt jasno... ale nie chodzi tylko o to, prawda? Tak jak powiedziałaś, obiecałem. I mówiłem szczerze. Rzecz w tym, że ja nie pamiętam tego zdarzenia. Mam tylko... przebłyski. Ona mnie nie pociąga, nie pociągała ani przez chwilę. I nie będę ojcem dla tego dziecka, po prostu nie. Nie chcę tego. Chcę ciebie. Kocham cię. Ciebie, kochanie. Jesteś moim życiem, jesteś wszystkim, czego chcę, ale ona... Nawet jeśli jej zapłacę, będzie chciała więcej, wiem to. Nigdy nie przestanie.

Jane siada nieruchomo.

– Co chcesz zrobić? – pyta po chwili Frankie, usta ma wykrzywione w udręce.

Chcę zabić najpierw ciebie, potem ją, a na koniec chcę stanąć nad waszymi zwłokami, żeby mieć pewność, że nie oddychacie.

Patrzy na swoje dłonie, szorstkie od sprzątanania blatów, stolików i ekspresów do kawy. Ziarenka kawy zabarwiły koniuszki jej palców na brązowo. Jej dżinsy są miękkie od wielokrotnego noszenia, a miękkie kapcie wywołują w niej teraz poczucie wstydu. Nie chce, żeby widział ją z czerwoną twarzą, zasmarkaną, roztrzaskaną na tysiące kawałków. Nie ma prawa jej takiej widzieć. To coś prywatnego. Chce zamknąć przed nim drzwi, ogarnąć się, założyć buty i otworzyć drzwi dopiero wtedy, gdy będzie na to gotowa. Zastanawia się, dlaczego w momencie, gdy ją zdradził i zbrukał wszystko to, czym dla siebie byli, gdy zadał jej najgorszy cios, jaki mógł zadać, ona czuje silną potrzebę, by się zmienić?

– Znam ją? – pyta tak cicho, że wątpi, żeby ją słyszał.

Usłyszał. Zaprzecza ruchem głowy.

– Ma na imię Natasha.

– Natasha. – Bierze oddech. Wypuszcza go. – Jak wygląda? – To nie ma znaczenia, naprawdę. To nie ma żadnego związku z jej bólem. Ta kobieta nosi pod sercem dziecko Frankiego; z tym nie pogodzi się nigdy. Pytanie o jej wygląd to sposób na przeciągnięcie sytuacji, żeby miała czas na znalezienie odwagi, by spojrzeć prosto w otchłań tego, co zrobił jej mąż.

– Mniej więcej twojego wzrostu – mówi Frankie. – Czarne włosy. Niebieskie oczy. Szczupła. Wyrafinowana, chyba. W ogóle nie w moim typie. Jak już powiedziałem, nie wiem jak... – zaczyna się, milknie.

W takim razie matka dziecka Frankiego wygląda dobrze. Jest w formie. Uczesana, wymuskana. Jej matka powiedziałaby, że jest kobieca, że dba o siebie. *Nie jest jak ja*, myśli, choć nie wie, czy to lepiej, czy gorzej. Porusza ramionami, pociąga nosem. Usłyszała wystarczająco. Jeszcze słowo, a zwymiotuje.

Dopada ją nagły impuls: chce wyciąć tę osobę, mężczyznę, którego kocha ponad wszystko, ze swojego życia, żeby nie mógł jej już nigdy zranić. Bo tylko ci, których kochamy, mogą naprawdę nas skrzywdzić.

Wstaje i prostuje się.

– Chcę, żebyś spakował swoje rzeczy – mówi. – Chcę, żebyś odszedł. I nie chcę cię nigdy więcej widzieć. Nigdy.

– Jane – mówi błagalnie. – Proszę. Możemy przez to przejść.

– Nie, nie możemy. Nie rozumiesz? Nigdy nie uda nam się przez to przejść.

Patrzy na niego z góry. I odchodzi. Gdy staje w progu sypialni, zatrzymuje się na sekundę, odwraca i szepcze na tyle głośno, żeby usłyszał:

– Wiesz co? Dzięki Bogu, że nie mamy dzieci.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Frankie

Frankie trzęsie się tak bardzo, że ledwo jest w stanie wsadzić kluczyk w drzwi vana. Siada na obdrapanym siedzeniu ze sztucznej skóry i tam się rozpada. Wali bez przerwy pięściami w kierownicę, aż nieruchomieje i opiera o nią czoło, płacząc i smarkając. Twarz Jane nigdy nie zniknie z jego umysłu. Wie, że przez resztę życia będzie miał przed oczami ten wyraz niedowierzania i bólu.

Po jakimś czasie siada prosto. Bardzo chce do mamy, ale wie, że ta go zabije, o ile ojciec nie wykończy go pierwszy. Nie, nie może jechać do rodziców. Za bardzo się wstydzi. Oni kochają Jane. Pytaliby, co on sobie myślał, a on nie byłby w stanie udzielić odpowiedzi, bo rzecz w tym, że nie myślał. Bóg wie, że praktycznie tego nie pamięta, to co tu mówić o wyjaśnianiu.

W takim razie Simon. Simon zrozumie. Mógłby mu nawet współczuć, nie żeby na to zasługiwał. Zasługuje co najwyżej na to, żeby odciąć mu kutasa. Jaja też, o ile jakieś ma.

Podnosi telefon, ale pozwala, by wysunął mu się z dłoni. Nie chodzi o to, że Simon powie mu, że jest złamasem, lecz o to, że mu tego *nie* powie. Simon uśmiechnie się szeroko i powie „Chodź, idioto, otwórzmy piwo”, a patrzenie na niego będzie jak patrzenie w lustro ukazujące przyszłość, z tym że Frankie nie ma takich pieniędzy jak on. Nie ma takiego samochodu. Nie nosi swatcha. Simon powie, że wszystko będzie w porządku, że będą trzymać się we dwóch. Powie mu, że bycie singlem jest lepsze, bo Simon właśnie tak widzi świat: patrzy na niego przez pryzmat tego, co może z niego czerpać, mieć, dostać. Tyle że Frankie tak tego nie widzi: on nie chce niczego ani nikogo poza Jane. Kupił ten zegarek przez Simona. Przez cały czas patrzył na niego, w pewien sposób chciał być taki sam. Dlaczego dopiero teraz, gdy *skończył* jak Simon, dotarło do niego, że wcześniej było mu dobrze?

Jane. Była wszystkim, czego pragnął od chwili, gdy ją spotkał. Nie chciał zegarków, samochodów, gadżetów, tylko Jane. Chyba nie ma w niej nic, czego by nie kochał. Gdyby nigdy jej nie poznał, okej. Ale jednak się spotkali, a dla

niego wszystko było od tamtej chwili lepsze. Teraz, bez niej, jego życie to porażka. Jest tak samo gówniane, jak ten głupi zegarek z żółtą tarczą.

Podnosi głowę, ciągle płacząc, pociąga za koszulkę i wacha pachy. Śmierdzi. Czuje brud na karku, pod paznokciami. Ale jakie to ma teraz znaczenie? Tak naprawdę? Nie ma znaczenia, czy pachnie jak Chanel No. 5. Jego życie jest skończone.

Wali pięścią w kierownicę i wrzeszczy:

– Ty pierdolony idioto! Ty pieprzony, głupi bydlaku!

Stracił ją. Ale jeśli tego nie skończy, nigdy nie będzie miał szansy na to, by ją odzyskać. A jedyne, co może zrobić, by to zakończyć, to skonfrontować się z Natashą i postarać się nie zabić jej gołymi rękami. Ironicznie, odbierając mu wszystko, sprawiła, że Frankie nie ma już nic do stracenia.

Dociera do Natashy jakoś po dwudziestej trzydziści i parkuje za czarnym jaguarem. Wnioskując po palących się wszędzie światłach, jest w domu.

Dzwoni do drzwi i czeka. Nerwy ma zszargane, stara się nie myśleć o ostatnim razie, gdy tu stał. Jeśli otworzy drzwi w częściowym negliżu, nie wejdzie do środka. Ona jest zbyt niebezpieczna.

Drzwi się otwierają, ale za nimi stoi jakiś facet, nie Natasha. Wygląda na bogatego, mimo że ma na sobie koszulkę polo, dresowe spodnie i szare klapki, które wyglądają na birkenstocki. Niektórzy ludzie cuchną pieniędzmi, nieważne, co na sobie mają.

– Czy mogę panu w czymś pomóc?

To pewnie Gareth, co jest raczej dziwne. Frankie zastanawia się, jak to rozegrać. Stawia na bezpośredniość. Do niczego się nie przyzna.

– Szukam Natashy – mówi. – Mam dla niej robić jakąś wycenę.

– Przykro mi – odpowiada mężczyzna. – Musi pan mieć zły adres.

– Ale...

Drzwi się zamykają. Frankie widział to z bliska, nie ma co do tego wątpliwości. Słyszał trzask. Ale dociera to do niego dopiero po chwili. Koniec rozmowy. Proste „odpierdol się”.

Gareth musiał ją wyrzucić, gdy powiedziała, że jest w ciąży z innym facetem. A teraz nie chce mieć nic do czynienia ani z nią, ani z kimkolwiek z nią powiązany. Frankie go za to nie wini – Natasha właśnie takie reakcje prowokuje. Nie potrafi sobie wyobrazić, że przyznała się mężowi z klasą. Pewnie obwiniała go o to, że go nie było, że zarabia pieniądze, dzięki którym mogli mieszkać w takim miejscu, takim, które dawało jej możliwość uwodzić przegrywów pokroju Frankiego. Frankie chciałby umieć zrobić to samo –

wyrzucić ją ze swojego życia. Zastanawia się, jak bardzo Natasha musiała uprzykrzyć życie temu Garethowi przez lata. Pewnie trzymała jego jaja w imadle. Biedny człowiek.

Wraca do vana i wsiada za kierownicę. Siedzi tak przez chwilę z pustką w środku, starając się nie patrzeć na torbę sportową pełną jego ubrań, starając się nie myśleć, że ta torba i van stały się wszystkim, co miał teraz w życiu. Próbuje skupić się tylko na oddychaniu, mimo że ręce, którymi zasłania twarz, cuchną.

Jego rodzice odpadali. Simon też. Nie mógł wrócić do Jane. Natasha. Tylko ona mu została, a skoro i tak musiał to załatwić...

Jakieś dziesięć minut później chwyta byka za rogi. Dzwoni.

– Frankie? – mówi kobieta. – To ty?

– Jestem przed twoim domem. Twój mąż twierdzi, że tu nie mieszkasz. Wyrzucił cię?

Zapada cisza. Słucha, czeka.

– Natasho? – powtarza. – Czy Gareth wyrzucił cię z domu?

Po drugiej stronie słuchawki rozlega się pociągnięcie nosem.

– Tak – odpowiada w końcu. – Możesz przyjechać? Ja... Naprawdę jest mi ciężko. – Brzmi jak dziecko. – Chyba nie powinnam być sama.

– Nie zostaję, rozumiemy się? Muszę tylko z tobą porozmawiać. Porozmawiać, nic więcej. Musimy ogarnąć ten bajzel.

– Okej. Okej. Wyślę ci adres.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Jane

Jane siedzi na podłodze na korytarzu, szlochając w futro Desa.

– Och, Dezzie – szepcze.

Des wtula pyszczek w jej szyję, zlizuje łzy z jej twarzy.

Powiedziała Frankiemu, żeby odszedł, a on to zrobił. A teraz jest sama i dręczy ją obraz jego dziecka rosnącego w brzuchu innej kobiety. Widzi jego zaciśnięte piąstki, szarą plamkę na ekranie ultrasonografu, połączenie ich genów, jego i tej kobiety, kimkolwiek ona jest. Nie dziecko Jane, nie w jej ciele. Ból, który odczuwa, jest fizyczny. Rozgascza się w tym miejscu w jej ciele, które na zawsze pozostanie puste. Kładzie się z jękiem na podłogę i przyciąga kolana do piersi. Pozycja embrionalna, myśli, i zaczyna szlochać z rozpacz.

Po chwili przed jej oczami pojawia się twarz Frankiego, tak blisko, że musi zamrugać, żeby się upewnić, że go tam nie ma, że nie wrócił, żeby ją pocieszyć. Widzi go tak wyraźnie: to, jaki był, to, kim się stał później, to, jak się kochali, a on zdawał się błądzić myślami gdzieś indziej. Jak bardzo schudł, na jakiego udręczonego wyglądał. Widzi też, jak chciała go pocieszyć tam, na łóżku, które dzielili ze sobą przez ponad dekadę. Jedna noc kontra jedenaście lat. Czy to naprawdę może być koniec? Przez to? Jak ciężko jest zrozumieć to, co się myśli i czuje, gdy ktoś, kogo kochasz *tak bardzo*, robi coś *tak okropnego*. Miłość tak po prostu się nie wyłącza. Ale gdyby istniała taka możliwość, byłoby o wiele łatwiej.

Nagle dociera do niej myśl, jakby dotarła do niej spoza ciała: Frankie nie chciał zapłodnić innej kobiety. Ten błąd sprawił, że stał się cieniem samego siebie. Teraz, gdy odszedł, wreszcie to rozumie. On nie chce tej kobiety ani tego dziecka. Nigdy nie chciał.

Trzymając się tego, wstaje z podłogi i wlecze się do kuchni.

W kuchni jest zimno. Pusto, martwo, nie chce tam być bez niego. Upił się, bardziej niż planował, bo był tak zmęczony, przepracowując się, by spełnić jej marzenia. I skończył kompletnie rozbity. Wie, że to źle winić kobietę. Mężczyźni obwiniali kobiety od... cóż, od czasów Ewy. Ale nawet gdy jej serce

się zaciska, gdy gniew przetacza się przez jej skórę, kości, organy, krew, czuje pragnienie, by mu wybaczyć. Czy gdyby wybaczyła, zrobiłby to ponownie? Czy skończyłaby na rozważaniu swojej decyzji i toksyczności, tak jak to było z matką? Czy zwyczajnie mu wybaczy? Będą mogli po prostu zacząć od początku?

Bo rzecz w tym, że gdy bez matki jej życie stało się łatwiejsze, bez niego życie stało się czymś, czego już nie chciała.

Po tym wszystkim, co straciła, nie może też stracić jego.

Sięga po telefon, namierza go. Jedzie do Richmond. Chwyta kluczyki do vespy i wychodzi. Wie, że w tej historii jest coś więcej – czuje to.

Nim wsiada na skuter, Frankie przejechał już Richmond i zmierza w stronę Barnes. Dziwne. Jeśli jechałby do Richmond, to pewnie, żeby zatrzymać się u Simona. Ale nie, on jedzie dalej. A ona rusza za nim.

Gdy dociera do Barnes, kropka na ekranie znieruchomiła, zatrzymała się na drodze za Wetlands Centre. Skręca w lewo, wyłącza apkę. Dookoła są same domy wolnostojące, wielkie, eleganckie. Jedzie powoli, z głową nisko spuszczoną, zagląda na szerokie podjazdy – okrągłe, z ozdobnie strzyżonymi krzewami, wyłożone drogim kamieniem – aż kawałek dalej widzi zaparkowanego na żwirze vana. Dom, przed którym stoi, może określić tylko jako nowoczesny, taki, który mógł powstać jedynie w głowie architekta.

Parkuje na poboczu drogi, gasi silnik i ściąga kask. Nie chce podchodzić za blisko, żeby nie zobaczył jej przez okno. Ściąga skórzane rękawiczki, używa ich, by otrzeć oczy, które znowu zaszyły łzami. Dlaczego on tu jest? Dlaczego nie pojechał do Simona albo do rodziców, do Sunbury? Mrowi ją skóra, a serce łomocze o żebra. Z przodu w ogrodzie jest srebrna kula, rząd przystrzyżonych w kule drzew, kanciasty żywopłot rosnący wzdłuż eleganckiego czarnego ogrodzenia. Widziała taki ogród w jednym z magazynów lifestyle'owych, które kupuje do kawiarni. Wyobraża sobie, że musiał kosztować fortunę. Podchodzi bliżej, ale nie przechodzi na drugą stronę drogi. Drzwi frontowe, chyba w stylu skandynawskim, są dwa razy szersze od tych w domu jej i Frankiego.

To dom Natashy. Pasuje do opisu, a nawet jeśli nie, to czuje to instynktownie. Nie może tu mieszkać nikt inny. Wspomniał nawet o srebrnej kuli w ogrodzie. Jest bogata, to na pewno. Może to jakaś celebrytka. Kimkolwiek jest, to kompletnie inna liga finansowa niż ona i Frankie. Nie znają nikogo, kto mieszkałby w takim domu. Nawet Sophie i Carla nie stać na coś takiego.

Czyli przyjechał tutaj. Do niej. Do kobiety, z którą rzekomo nie chciał mieć nic wspólnego.

Wpatruje się w dom, próbuje dostrzec cienie w oknach, jakoś to zrozumieć. Na swój sposób zna tę kobietę lepiej niż powinna, mimo że nigdy jej nie spotkała. Zna ją przez to wszystko, co mąż na jej temat powiedział, ale też przemilczał. Wie, że kuchnię ma zrobioną na wysoki połysk, że salon jest wielkości sali kinowej, ale przede wszystkim zna ją tak, jak kobieta zna drugą kobietę, i wie, że ta musiała przewidzieć, że Frankie do niej przyjdzie. Ta kobieta to typ człowieka, który robi zdjęcia sobie i swojemu kochankowi w trakcie seksu z zamiarem szantażowania go. Ta kobieta pewnie tym się nakręca, tym poczuciem władzy, swoją nieodpartością. Jane podejrzewa, że pewnie taki był jej plan, zostać zapłodnioną, możliwe, że miała to zaplanowane.

Ale nie wszystko jest jej winą, prawda? Nie zrobiłaby tego bez zgody Frankiego. Jej mąż był idiotą. Był słaby, głupi i niewybaczalnie nieszczerzy. Ostatecznie jej matka miała rację. To nigdy nie jest praca, nieważne, co mówią. Zawsze chodzi o drugą kobietę. Mówią ci, że jesteś piękna taka, jaką jesteś, że nie kręcą ich wymuszkane kobiety, ich lśniące włosy i duże piersi, ale właśnie to im się podoba – wystarczy, żeby któraś to zaoferowała, a padną przed nią na kolana.

Jakie to przygnębiające.

W środku palą się światła. W oknie, jakby odpowiadając na jej myśli, pojawia się cień, a za nim kolejny. Oddech więźnie jej w gardle. Patrzy, jak para zbliża się do siebie. Przytula. Całuje.

– Bydlak – sapie, przyciskając miękkie skórzane rękawiczki do oczu. – Ty bydlaku.

Nie pojechał załamany do Simona, ani nawet do Billy'ego, kolegi ze szkoły. Nie pojechał wypłakać się do kogoś, kto powiedziałby: *Już, stary. Nie martw się Jane, przejdzie jej.* Zamiast tego pojechał wpaść w ramiona swojej kochanki, matki jego dziecka, do tej, która nic dla niego nie znaczy.

– Bydlak – szepcze raz jeszcze, wyciąga telefon i wyłącza go.

Jeśli będzie próbował do niej dzwonić, nie dodzwoni się. Wsuwa urządzenie do kieszeni kurtki, zakłada kask i rusza do domu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Szpital

Jadę na parter. Pięć albo sześć chybotliwych kroków, a moje nogi błagają o to, żebym usiadła. Okazuje się, że pielęgniarka miała rację. Jest za wcześnie na chodzenie, zdecydowanie za wcześnie, zwłaszcza gdy kule niesie się tak, jakby były dla kogoś innego. Ale nie mam dużo czasu. Powiedziałam pielęgniarczce, że jeśli ruszy się z tej kabiny przez najbliższą godzinę, to ją wykończę. Dowiem się, gdzie mieszka. Nie ma pojęcia, że tego nie zrobię: nie jestem przecież chora psychicznie. Musiałam tylko sprawić, żeby w to uwierzyła. I tak się stało. Poza tym wieki jej zajmie wydostanie nadgarstków z jej smyczy i odklejenie taśmy chirurgicznej z ust.

Noga boli z każdym krokiem, mimo że jest wsadzona w gips. Ręce też nie są w najlepszym stanie. Patrzę na nie. Jezu, jestem zakrwawiona – uchwyt jest cały pobrudzony po tym, jak uderzyłam pielęgniarczkę w tył głowy.

Świetnie, po prostu świetnie.

Widząc toaletę dla pań, wchodzę do niej i sapię na widok mojego odbicia. Oczy mam czarne. Nos jest brudny od zaschniętej krwi. A myśleliście, że mnie umyją, co?

Myję twarz. Krew schodzi, ale nos nadal jest spuchnięty i dziwny, sprawia, że oczy zdają się mniejsze. W stroju pielęgniarki wyglądam jak zupełnie inna osoba – wrażliwa, nawet jeśli trochę posiniaczona. W sumie z twarzą naprawdę nie jest tak źle. Okej, jest źle, ale czerń wokół oczu tylko sprawia, że wydaję się wykończona. Nie wyglądam, jakbym powinna znajdować się na oddziale ratunkowym. Siniaki jeszcze się pojawiają, a wtedy na pewno będę wyglądać, jakbym spędziła kilka rund na ringu z Mikiem Tysonem. Moje nogi: jedna w gipsie, ze spuchniętym i sinymi palcami. Jestem ubrana w o rozmiar za mały fartuch pielęgniarki. Nie jest idealnie. Ale nie będą patrzeć na moje buty.

Recepcja jest zatłoczona. SOR, wczesny poranek – posiniaczeni i poobijani ludzie, skacowani i na zjeździe po ćpaniu. Docieram do biurka, leje się ze mnie pot. Ból w nodze nasila się z każdym krokiem. Całe ciało płonie. Leki przestają działać. Ale muszę ją znaleźć. Muszę to skończyć, a nic się nie skończy, póki

ona żyje. Ukradła moje życie i jeśli ktoś umie maskować ból uśmiechem, to właśnie ja. Robię to każdego dnia, gdy patrzę, jak od lat cierpi moja matka, która każdego dnia pyta „dlaczego?”. No właśnie, dlaczego? Patrzę, jak szuka odpowiedzi na dnie butelki.

Co ona wie na ten temat?

Cóż, wkrótce się dowie. Nie mogę się doczekać, aż zobaczę szok na jej twarzy, zanim ją uduszę. Nie obchodzi mnie, jak bardzo boli noga – jeśli będzie trzeba, pobiegnę. Już mnie nie obchodzi, co się ze mną stanie. Nie obchodzi, nie obchodzi, nie obchodzi.

Podaję w recepcji jej imię, mówię chłopakowi, który tam siedzi, że mam jej zanieść te kule, ale głupia ja zapomniałam, na jakim leży oddziale. Sprawdza system i kręci głową – jest mu przykro, bo nie mają jej na liście. Oczywiście, użyła swojego innego nazwiska – powinnam była o tym pomyśleć. Udaję śmiech, kpiąc ze swojej beznadziejnej pamięci. *Co się ze mną dzieje? Te nocne zmiany dają mi się we znaki. Nie wiem nawet, jaki mamy dzień tygodnia.* Próbuję jeszcze raz, tylko podaję inne nazwisko, podpowiadam, o której powinna zostać przyjęta i dlaczego.

Znajduje ją, uśmiecha się uprzejmie i mówi, który oddział. *Dzięki, naprawdę. Bardzo ci dziękuję.*

Łatwizna.

Wracam do windy, wybieram piętro siódme.

Dokładnie tak, paniusiu. Jadę po ciebie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Frankie

Jakieś czterdzieści pięć minut później Frankie dociera do Hounslow, pod adres, który podała mu Natasha. Gdy stoi przed drzwiami na małym ganku, widzi, że budynek podzielony jest na dwa mieszkania. Na górze, w jednym z okien wisi flaga Anglii, a w ogródku obok stoi chyba szafka pod telewizor – na tle ciemnego forniru widzi jasną przestrzeń w miejscu, gdzie pękła płyta pilśniowa. W budynku są dwa dzwonki. Na jednym jest napisane Joe Clegg. Joke Leg[3], myśli: tak powiedziała by Jane, gdyby ona nie powiedziała tego pierwsza. Na tę myśl dopada go smutek. Natasha nie może tu mieszkać. Nawet tymczasowo. Na drugim dzwonku nic nie jest napisane. Wciska ten bez podpisu, a po chwili buczenia drzwi się otwierają.

Otwiera je ramieniem i zastaje ją w korytarzu, ubraną w długą szeroką koszulę i te same buty Ugg, które miała na sobie dwa miesiące temu. Nogi ponownie ma nagie, tak jak tamtej nocy, a jej niebieskie oczy okala ciemny makijaż. I chociaż ubrana jest podobnie, wygląda inaczej, choć nie jest w stanie powiedzieć dlaczego. Wydaje się mniejsza. Nie tak pewna siebie.

– Żona wyrzuciła mnie z domu – mówi.

– Chodź do środka – zaprasza łagodnym głosem i wskazuje na wnętrze mieszkania.

Gdy staje w progu, waha się. Ale przecież musi z nią porozmawiać. Musi sprawić, żeby zrozumiała, że nie pozwoli się szantażować. Przepęlnia go siła. Teraz ta kobieta nie może mu nic zrobić. W pełni dociera do niego, że może jej powiedzieć, że jeśli ma ochotę, to niech wrzuci te zdjęcia do sieci. To nie ma znaczenia, ani trochę. Nic się nie liczy. Bo nic nie jest gorsze od utraty Jane.

– Nie zostaję – mówi, ale gdy ją mija, by wejść do mieszkania, czuje jej perfumy i od razu zalewa go fala przerażenia. Nogi mu się trzęsą. Opiera się o ścianę i zamyka oczy, czekając, aż to przejdzie. Znowu jest w tamtym łóżku, budzi się, ona siedzi na nim, następuje biały rozbłysk, który teraz wie, że był fleszem, jego spodnie leżą gdzieś na podłodze.

– Frankie? – woła Natasha, przywołując go do rzeczywistości. Odwraca się, widzi ją, ale głową ciągle jest w przeszłości i przez chwilę ma wrażenie, że są dwie Natashe – jedna stoi tutaj i patrzy na niego, a druga porusza się na nim we wspomnieniach, które wracają coraz częściej.

– Nic mi nie jest – zapewnia. – Tylko zakręciło mi się w głowie.

Mieszkanie jest czyste, ale meble tanie i stare. Nie jest w stanie wyobrazić sobie jej tutaj, po tym jak ostatnim razem widział ją w tamtym domu. Zapadająca się kanapa przykryta jest narzutą, a krzesło wygląda jak duch przez... czy ona zarzuciła na nie prześcieradło? Ma wrażenie, że sprzątała, możliwe, że w czasie, gdy tu jechał, bo w powietrzu czuje owocowy zapach odświeżacza z nutą wybielacza. To jednak nie jest w stanie całkowicie stłumić tej woni – może to dywan albo zasłony. Stęchły dym, stary brud. Zapach biedy.

– Przykro mi, że żona cię wyrzuciła – mówi Natasha. – Nie chciałam, żeby to się stało. – Głos ma cichy i ledwie jest to w stanie połączyć z tą drugą Natashą, tą, która go szantażowała, która wciąż go szantażuje, tą, która krzyczała na niego i wyklinała, gdy zbierał rzeczy z podłogi sypialni. Po raz kolejny przychodzi mu na myśl, że może są dwie Natashe.

– Musimy to jakoś załatwić.

Kiwa głową.

– Wiem. Chcesz coś do picia? Piwo?

– Tak, piwo będzie okej, dziękuję.

Zostawia go i wraca chwilę później z dwiema butelkami heinekena.

Otwiera obie, wręcza mu jedną i wzrusza ramionami, kładąc rękę na brzuchu.

– Nie powinnam, ale ono nie jest mocne, poza tym to mała butelka.

Myśli o Jane, która nie piła przez kilka lat, w razie gdyby to pomogło jej zajść w ciążę. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale nic z nich nie wychodzi.

– Usiądź – mówi.

– To był twój mąż? – pyta, zapadając się na kanapie, której rama na pewno jest pęknięta. – Ten, który trzasnął mi drzwiami przed nosem?

Siada na krześle, podkula nogi pod siebie. Prześcieradło za jej plecami zsuwa się i odsłania jasne oparcie ze sztucznej skóry, rozerwane w rogu. Odstawia piwo na stolik kawowy. Unosi brodę, usta zaciska w wąską linię.

– Nie – mówi, rozkładając dłonie. – To nie był mój mąż. Dom też nie jest mój.

– Co? – Frankie jest zszokowany.

– To dom mojej przyjaciółki – kontynuuje, jakby on nic nie powiedział. – Wyjechała. Powiedziała, że mogę tam zostać, dopóki nie wróci, i właśnie to

robiłam, gdy... przyszedłeś.

Frankie przymyka z niedowierzania oczy.

– Więc... czekaj, co? Wyjaśnijmy coś. Zadzwoniłaś do mnie, żebym wycenił roboty w domu, który nawet nie jest *twój*?

Kręci głową. Gdy na niego patrzy, robi to przez swoje gęste rzęsy. Przygryza wargę, tak ja robią to niektóre kobiety. Drga, gdy dociera do niego, że rozpoznaje ten tik z filmów porno, które oglądał bardzo dawno temu. Z poczuciem niepokoju odnosi wrażenie, że próbuje zachowywać się, jakby było jej wstyd. Mimo wszystko zdaje się cieszyć na jego widok.

– Nigdy nie chciałam, żebyś wyceniał jacuzzi – mówi to tak, jakby zrobiła coś nieszkodliwego. – Myślałam, że to wiesz. Myślę, że wiedziałeś. Oboje to wiedzieliśmy.

Nie mylił się. Patrzy na niego z dziecięcą niewinnością, ale efekt jest zupełnie odwrotny. Pamięta, jak flirtował z nią w pubie. Czy to możliwe, że jest częściowo odpowiedzialny za ten... bajzel? Do rzeczy, Frankie. Do. Rzeczy.

– Naprawdę myślałem, że jadę wycenić łazienkę – mówi i bierze łyk piwa. Nagle bardzo chce mu się pić, myśli, żeby poprosić ją o szklankę wody. Odstawia piwo na stoli kawowy i postanawia, że nie wypije przy tej kobiecie żadnego alkoholu, bo ona staje się z każdą sekundą coraz bardziej niebezpieczna.

Natasha owija sobie kosmyk włosów wokół palca. Powoli wyciąga spod siebie nogi, stawia stopy na podłodze, potem prostuje i krzyżuje nogi, a wszystko to bez przerywania kontaktu wzrokowego. Co to miało być, odniesienie do Sharon Stone? Czy ma się przez to zastanawiać, czy ma na sobie majtki? Chce mu pokazać, że nie ma?

– Możliwe, że źle to wszystko zrozumiałam – mówi, ciągle tym miękkim głosem. – Ale myślałam, że mnie polubiłeś. Wtedy, w pubie. Rozmawialiśmy, kupiłam ci piwo. Coś nas do siebie ciągnęło, prawda? Prawda? Gdy podałam ci swój numer, myślałam, że zrozumiałeś. Bardzo cię przepraszam, jeśli wyciągnęłam pochopne wnioski. – Pije, odstawia butelkę, z powrotem podkula nogi. – Czy jestem dla ciebie odrażająca?

– *Co?*

– Czy ja cię obrzydzam?

– Nie. Oczywiście, że nie. Jesteś bardzo atrakcyjna, ale ja nie... Nic nie jest z tobą nie tak. Ja po prostu nie lubię cię w ten sposób.

Śmieje się.

– Nie lubisz mnie w ten sposób? Mogłabym przysiąc, że wtedy, w domu mojej przyjaciółki, bardzo mnie lubiłeś. – Rozgląda się dookoła. – Wiem, że to miejsce to nic wielkiego, ale żona wyrzuciła cię z domu, zgadza się? Nie za bardzo masz wybór.

– Cóż, to prawda, ale...

– Chodzi o to, że ja wiem, że chcesz mieć dzieci. A powiedziałeś, że nie możesz. Czy byłoby tak źle, gdybyśmy spróbowali?

Potrzebuje chwili, żeby ją zrozumieć. I wtedy to do niego dociera.

– *Z tobą?* Miałbym być z tobą?

– Dlaczego nie? Jestem miła. Mam ładne ciało.

– Ładne... Co? Czekaj, dokąd zmierza ta rozmowa? Przyszedłem tu, żeby ci powiedzieć, żebyś trzymała się z daleka ode mnie i Jane. A te zdjęcia możesz wrzucić, gdzie ci się tylko podoba. Nie obchodzi mnie to. Chwilowy skandal nic dla mnie nie znaczy.

Marszczy brwi, widocznie nie dociera do niej, co właśnie powiedział.

– Ale Frankie, moglibyśmy być rodziną. Mogę ci to dać. Ja nie żartuję, a przecież ona nie może.

– Co do cholery? – Wstaje tak szybko, że kręci mu się w głowie. Przez jedną okropną chwilę czuje, że mógłby ją uderzyć, że to robi. Pięści ma zaciśnięte, ścięgnięta na jego rękach napinają się. Patrzy na niego, jej spokojny wyraz twarzy zupełnie nie pasuje do słów, które dopiero co wyszły z jej ust i wprawiły go w osłupienie.

– Nie musimy tu mieszkać – mówi ze śmiechem, wznosi ręce do góry. – Mógłbyś spłacić żonę, a wtedy kupilibyśmy sobie jakiś fajny domek. Wiem, że chcesz mieć rodzinę. I uważam, że razem możemy ją stworzyć.

– Nie, nie możemy! Nie chcę... nie tak. Poza tym nie mam żadnych pieniędzy. Wszystko zabrałaś.

– Och, weź! Masz dom w Londynie! Widziałeś obecne stawki? Szeregowce w stylu wiktoriańskim w Wimbham chodzą teraz za milion. A sam twój zegarek wart jest kilka tysięcy. Nikt nie nosi takiego zegarka, jeśli nie jest bogaty. Poza tym jeździsz range roverem evoque, na Boga.

– Nie jeżdżę... Dlaczego ty... – milknie. Tej nocy, gdy ją poznał, pamięta, że podziwiała jego zegarek, zegarek, który winił za poznanie jej, za wpakowanie go w tej bajzel, nie zdając sobie nawet sprawy, jakie to jest prawdziwe. Tu od początku chodziło o zegarek, nie jego. Zegarek i samochód. Bo tamtej nocy odwoził chłopaków samochodem Simona. Musiała widzieć, jak wsiada za kierownicę, dodała dwa do dwóch i wyszło jej pięć.

– To nie jest mój samochód – mówi. – To samochód mojego kumpla.

Mina jej rzednie – po raz pierwszy jej mina jest szczerą. Wyraża dogłębny szok.

– A zegarek kupiłem tylko dlatego, że wygrałem pieniądze w zdrapce.

– *Co?*

– Popatrz na mnie! Czy ja ci wyglądam na bogatego? Ledwie wiązę koniec z końcem.

– Ale przecież masz dom?

– Mieszkam w domu, tak. Ale tkwimy po uszy w hipotecę! Nie sądzę, że kiedykolwiek ją spłacimy.

Rumieni się. Jej twarz nabiera hardości.

– Oszukałeś mnie.

– *Co? Oczywiście, że cię nie oszukałem. O co ci chodzi?*

Mruży oczy, otwiera usta i zaraz je zamyka, krzywi się.

– Wiem, że nie jesteś żadnym prezesem, ale sprawiłeś, że uwierzyłam, że nieźle sobie radzisz – mówi powoli, jakby rozpracowywała zagadkę. – *Oszukałeś* mnie. Powiedziałeś, że prowadzisz własną firmę, a ja myślałam... A potem ty zobaczyłeś dom przyjaciółki i pomyślałeś, że *ja* jestem dziana, więc nakłoniłeś mnie do seksu – co jest napaścią seksualną, skoro już o tym rozmawiamy – a teraz nie chcesz płacić, bo cię nie stać? A ja zostanę sama z dzieckiem na wychowaniu, bo ty nie chcesz wziąć za nie odpowiedzialności? Och. – Dotyka twarzy. – O Boże. Więc nawet gdy wrzucę te zdjęcia do sieci...

– Już ci powiedziałem, możesz z nimi zrobić, cokolwiek zechcesz. – Serce mu łomocze. Nie ma pojęcia, kim jest ta kobieta, ale przeraża go do szpiku kości. – Rób, co chcesz. Nie obchodzi mnie to. Nie jestem w stanie dać ci pieniędzy, których nie mam. Jeśli chcesz podzielić się tymi zdjęciami z całym wszechświatem, droga wolna. Już i tak odebrałaś mi wszystko, dosłownie wszystko.

Natasha zaczyna płakać. Szczerze, sam też jest bliski łez.

– Nigdy nie chciałam tego zrobić – mówi. – Ja tylko próbuję przetrwać. Nie masz pojęcia, skąd pochodzę, co musiałam robić. A ty zdajesz się być fajnym facetem. Jesteś inny, wiesz? Porządny. Wiem, że powiedziałam, że nie jesteś, ale nie mówiłam poważnie, tylko się na tobie wyżywałam. – Pociąga nosem i przyciska do niego wierzch dłoni.

– Posłuchaj – mówi Frankie z narastającą paniką. – Możemy spróbować to jakoś ogarnąć, okej? Jeśli dziecko jest moje, tak jak twierdzisz, może uda nam się umówić na miesięczne wsparcie finansowe. Nie wiem, ile dokładnie, ale

możemy się dogadać, a ja co miesiąc będę przelewał kwotę na twoje konto, okej? Ja po prostu nie mogę być tego częścią. Kocham Jane. Ona jest całym moim światem.

Ku jego zaskoczeniu Natasha kiwa głową.

– Tysiąc miesięcznie – mówi przez łyży.

– Nie stać mnie na tyle.

Nie reaguje, zachowuje się, jakby go nie słyszała.

– Jeśli ona nie przyjmie cię z powrotem, może moglibyśmy spróbować... To by się mogło udać, prawda?

Ignoruje ją – to jakieś szaleństwo.

– Muszę mieć dowód na to, że jestem ojcem, okej? Zrobimy test DNA. Nie będzie testu, nie będzie kasy, okej?

– Okej. – Jest posłuszna jak owieczka. Niemal jest mu jej szkoda. Ponownie rozgląda się dookoła. Tamten wielki dom nie należy do niej. Tamten koleś nie jest jej mężem. Jest splukana, myśli. Nie ma ani grosza.

– Wszystko okej? – pyta.

Kiwa głową.

– A co z tobą? Masz gdzie przenocować?

Kręci głową.

– Prześpię się w vanie.

– Nie bądź śmieszny. Możesz spać tutaj. – Unosi rękę. – Na kanapie. Nie martw się, niczego nie będę próbować. Możesz się tu przespać. Jeśli... zamówisz jedzenie. – Wzrusza ramionami, uśmiecha się zadziornie.

Kręci głową i uśmiecha się wbrew sobie. Ta dziewczyna jest niemożliwa.

– W porządku. Ale tylko dzisiaj.

Nie ma żadnej dodatkowej pościeli, więc gdy go zostawia, okrywa się swoim płaszczem i zamyka oczy, a pod jego powiekami pojawia się obraz Natashy jedzącej podwójną pepperoni, jakby nie jadła od tygodni. Słyszy ją na górze, jak myje zęby i mruczy coś do siebie. Najbardziej na świecie chce zadzwonić do Jane, ale wie, że na razie musi dać jej spokój. Lepiej poczekać, aż Natasha zrobi test. Dzięki temu będzie wiedział, z czym się mierzy. Jest wykończony, chce spać, ale jakaś jego część się boi. Natasha zdawała się spokojna, gdy mówiła dobranoc, ale on nie ma pojęcia, do czego jest zdolna ta kobieta, i teraz zastanawia się nawet, czy nie iść jednak spać w vanie.

Dochodzi druga, a on dalej nie śpi, ciągle to rozważa. Zakrada się na górę, żeby się wysikać, a potem zbiera na odwagę i zagląda do sypialni. Natasha śpi,

oddech ma miarowy. Stawia jedną stopę w skąpanym w półmroku pokoju. Kobieta leży na plecach, usta ma rozchylone. W srebrnym świetle latarni jej rzęsy są cienkie i jasne. Wygląda jak dziecko i przez chwilę zastanawia się, co jej się stało, że była zdolna szantażować człowieka, którego ledwie zna. Powiedziała mu tyle kłamstw, że przez ostatnie kilka godzin znajdował wyjście z sytuacji tylko po to, by przypomnieć sobie, że sytuacja w rzeczywistości wygląda zupełnie inaczej. Wcześniej myślał, żeby może wrócić do jej byłego i z nim porozmawiać, tyle że były okazał się nie być jej byłym, lecz mężem jej przyjaciółki. Powiedziała, że opiekowała się domem – zastanawia go, czy to w ogóle prawda. Czy jej przyjaciółka wiedziała, że Natasha korzysta z jej domu? Czy Natasha w ogóle zna osobę, która tam mieszka? Jeśli nie, to jak dostała się do środka?

Wraca na dół. Znajduje w lodówce mleko, a po powąchaniu go, żeby sprawdzić, czy jest dobre, pije prosto z kartonu. W szafkach nie ma nic, chlebak też jest pusty. Jedynym jedzeniem w domu są leżące w kartonie i twardniejące końcówki od pizzy. Nie jadł nic wcześniej, nie był w stanie. Teraz jednak jego żołądek dopomina się o pożywienie. Zjada końcówki, cieszy się, że nikt go nie widzi, i wraca na kanapę.

Mniej zmartwiony po tym, jak widział ją śpiącą, stara się zdrzemnąć. Jest tak wyczerpany, że nie mija dużo czasu, gdy sen ciągnie go w swoje objęcia, aż budzi go światło poranka wpadające z zewnątrz i ciężar na biodrach. Zimne powietrze na piersi. Otwiera szeroko oczy.

– Co jest, do diabła?

Siedzi na nim. Jego koszula jest rozpięta. Natasha rozpina mu rozporek, twarz ma skupioną. Włosy ma czarne, ale oczy mniejsze, ich tęczówki są ciemne. Wygląda i nie wygląda jak ona. Efekt jest przerażający.

– Złaż ze mnie! – Popycha ją z całej siły. Natasha upada na bok, głowa niemal trafia w stół kawowy.

Piszczycy, przykłada rękę do głowy. Jedna jej noga wciąż spoczywa na jego kolanach. Uwalnia się, ląduje całym ciałem na brudnym dywanie.

– Boże! – krzyczy. – Mogłeś mnie zabić.

On ma rozpięty rozporek. Ona siedzi na podłodze i płacze.

– Ja tylko chcę być z tobą rodziną! – krzyczy. – Dlaczego musisz być dla mnie taki niemiły?

Zrywa się z miejsca i biegnie do drzwi. W korytarzu grzebie po kieszeniach, szukając kluczyków, aż je znajduje. Otwiera frontowe drzwi, zdyszany. Za plecami słyszy swoje imię.

– Zmienisz zdanie, Franku Reece, słyszysz mnie? Nie możesz mi tego robić!
Nikt nie robi mi czegoś takiego! Mogłabym dać ci wszystko!

[3] Joe Clegg i Joke Leg brzmią niemal tak samo. Ang. *Joke* – żart, *leg* – noga.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Jane

Budzi ją wibrowanie telefonu, który leży na szafce nocnej. Gdy go podnosi, na ekranie widzi, że dzwoni FRANKS. Widzi też, że jest za piętnaście szósta. Spała godzinę. W normalnej sytuacji mogłaby się na niego wściec za obudzenie jej. Co dziwne, w tym nowym świecie, do którego ją wepchnął, nie jest aż tak zła.

Odbiera.

– Frankie.

– Jane. – Płacze.

– Czego chcesz?

– Przepraszam – mówi płaczliwym głosem. – Tak bardzo cię kocham.

– Nie wątpię – odpowiada. Nienawidzi ostrego tonu swojego głosu, ale nic nie potrafi na to poradzić.

– Możemy porozmawiać? Chcę z tobą po prostu porozmawiać. Tak bardzo cię przepraszam. Ja tu cierpię.

Cierpisz w luksusowym pałacu swojej kochanki, biedaczysko.

– Oczywiście, nie mam co do tego wątpliwości. Ale jeśli chciałeś ze mną porozmawiać, powinieneś być pomyśleć o tym, zanim zostałeś u niej na noc, wiesz? Jestem naprawdę rozczarowana.

– To nie było tak. Nie po to tam poszedłem. Nie rozum...

Rozłącza się, wyłącza telefon. Nienawidzi swojej komórki. Nienawidzi obrączki, którą nosi na palcu. Nienawidzi każdej rzeczy, którą kiedyś kojarzyła z miłością. Nienawidzi miłości. Nienawidzi tego, jak podatny na zranienie staje się przez nią człowiek.

Wybuch płaczem. Wstaje, bierze prysznic, jedzie do pracy.

Bo praca to wszystko, co jej zostało: nadgodziny, kawy latte, cappuccino, babycino, herbaty miętowe, czerwone, napary z czarnej porzeczki, krojona szynka zapiekana w miodzie, croissanty z dojrzałym cheddarem, organiczne wegańskie brownie, cholerne przysmaki francuskie, pieprzone ciasto duńskie. Klienci. Uśmiechy. Boże, niemające końca uśmiechy. Pod tym uśmiechem jest

tak odrętwiała, że gdy około piętnastej przechodzi na drugą stronę ulicy do Starbucksa, by zapytać menadżerkę, Sandrę, czy mają na zbyciu rolkę papieru do kasy, i widzi Sophie oraz Lexie z ich identycznymi brzuskami, pochylone nad latte, nie czuje nawet bólu. Po prostu się zatrzymuje, chwilowo sparaliżowana widokiem. Włosy Sophie są bardziej błyszczące, zakręcone od nasady i rozjaśnione karmelowymi pasemkami. Usta ma pulchne i lśniące, brwi grube i ciemne. Jej policzki rumienia się niczym jabłka w październiku. Czerwona jedwabna koszula unosi się na jej ciężowym brzuchu, a z butów na koturnie wystają pomalowane na ten sam odcień czerwieni paznokcie.

– Cześć – tylko tyle Jane jest w stanie z siebie wyrzucić, gdy stoi tam i szczerzy się jak idiotka, nawet jak już dociera do niej, jak głupio musi wyglądać, i jest świadoma spojrzeń posyłanych przez kobiety. Jakby myślały, że zwariowała. Otrząsa się i wychodzi z kawiarni. Wtedy dociera do niej pierwsza spójna myśl, która przeszywa jej mózg i wprawia w szok: Sophie i Lexie wyglądają identycznie.

Tego samego dnia, wieczorem, włącza telefon. Ma osiem nieodczytanych wiadomości od Frankiego, wszystkie o tym, jak bardzo ją przeprasza, że ją kocha i prosi o rozmowę.

Jej kciuk zawisa nad ekranem. Musi zebrać sobie wszystkie siły, by zignorować pragnienie, aby poprosić go o powrót do domu. Nie. Jeszcze nie, możliwe, że nigdy. Nie odpowiada. Zamiast tego namierza go i widzi, że jest w Clapham. Czyli pracuje. Haruje, żeby zarobić na opłacenie szantażystki. Przynajmniej nie siedzi w domu tej krowy.

Wstaje, sięga po kluczyki do vespy. Chce rozmawiać? Jane może rozmawiać. Może rozmawiać z każdym. Ale nie z nim.

Do instagramowego domu Natashy zbliża się po dziewiętnastej. Gdy dociera do podjazdu, waha się. Konfrontacja. Unikała jej od dnia, gdy opuściła dom, a jednak przez ostatnie miesiące robiła tylko to. Najpierw z Sophią, potem z Frankiem, teraz z tą Natashą.

Ale jest gotowa. Rękawy ma podwinięte. No to jazda.

Idzie przez podjazd, mija wymuskane czarne auto. Żałuje, że się nie ogarnęła. Nie upiększyła. Jane jest kobietą przeciętnej urody z krótkimi sterczącymi włosami, sporymi udami i brzuchem, który czasami przypomina owsiany muffin. Jest kobietą, która nosi błyszczące topy i szminkę, której nie widać na ustach. Gdyby chciała rywalizować z Natashą, potrzebowałaby czegoś więcej niż woda, dezodorant i odrobina wosku do włosów.

Przyciska dzwonek, słyszy, jak rozlega się w głębi tej wielkiej posiadłości. Serce bije jej szybciej. Wdycha, licząc do czterech, czeka, wydycha, licząc do pięciu. Wdech, wstrzymać, wydech.

Za szkłem widzi cień. Drzwi się otwierają.

– Och – mówi.

To mężczyzna. Przystojny mężczyzna w materiałowych spodniach i białej koszuli rozpiętej pod szyją. W jednej z czarnych skarpet ma małą dziurę na palcu, co z jakiegoś powodu sprawia, że Jane się rumieni.

– Mogę pani jakoś pomóc?

– Przepraszam – mówi, robiąc krok w tył, przeklinając łyzy, które pojawiły się w jej oczach znikąd. – Szukam Natashy. – Pociera twarz rękami. Nie przemyślała tego, nie pomyślała, że Natasha może mieć męża.

Może to sobie wyobraża, ale twarz mężczyzny się napina.

– Obawiam się, że nikt taki tu nie mieszka.

– Rozumiem. Bardzo przepraszam, że przeszkodziłam. Przepraszam, po prostu... – Łzy płyną szybko, za szybko, by je wytrzeć. To za dużo. Ten mężczyzna nie ma nawet butów na nogach, a ona widzi dziurę w jego skarpetce. Przyszła do jego domu. Płacze pod jego drzwiami. Co tu się dzieje, do cholery.

– Nic się nie stało – mówi łagodnie. Ale trzyma jedną rękę na drzwiach. Jane widzi, że bardzo chce je zamknąć.

– Przepraszam za zakłócenie wieczoru – mówi, zbierając się w sobie, i przyciska ręce do policzków. – Musi pan myśleć, że jestem obłąkana. Już stąd idę. Jeszcze raz przepraszam. I proszę zignorować łyzy, to... Cóż, nawet nie wiem, skąd się wzięły. To ta kobieta. Ta kobieta, Natasha, ona...

Drzwi otwierają się trochę szerzej. Mężczyzna opuszcza rękę.

– Proszę nie przepraszać. Czy mogę zapytać, dlaczego myślała pani, że mieszka tu ktoś imieniem Natasha? Chodzi o to, że nie jest pani pierwszą osobą, która o to pyta.

Wypuszcza oddech.

– Śledziłam... Mój mąż tu wczoraj przyjechał. To bardzo długa historia, ale śledziłam go. Gdy tu dotarłam, jego van stał na podjeździe, ale on już był w środku.

Spodziewa się, że pożyczycy jej powodzenia i odeśle, że bardzo uprzejmie powie jej, żeby stąd zniknęła. On jednak mówi:

– Pani mąż nie wszedł do środka. Jeśli myślimy o tej samej osobie. Wczoraj pojawił się tu człowiek, który pytał o tę Natashę. To... – Marszczy brwi.

– Szantażowała go – wyznaje Jane. – Jednonocna przygoda. Powiedział, że stało się to tu, w tym domu. Zrobiła zdjęcia, gdy oni... wie pan.

Gdy widzi, jak nieznacznie kręci głową, skóra na jej głowie zaczyna mrowić.

Mężczyzna przeczesuje włosy palcami i drapie się po karku, co bardziej przypomina wyrobiony gest niż potrzebę podrapania swędzącego miejsca.

– Myślę... – mówi powoli. – Możliwe, że wiem, kim jest Natasha.

– Naprawdę? – Jane pociąga mocno nosem. Wyciera go wierzchem dłoni. I tak nie może już wypaść przy nim gorzej.

Mężczyzna kiwa głową.

– Mam na imię Gareth – przedstawia się. – Chyba powinna pani wejść.

Salon jest potężny. Gareth ją zostawia, mówi, że idzie po żonę.

Coś w tym pomieszczeniu wydaje się znajome. Może widziała go w *House Beautiful*. Może to stamtąd rozpoznała ogród. Normalnie nie przegląda tych czasopism, raczej robi to okazjonalnie, gdy w kawiarni nie ma klientów, a ona marzy o wyremontowaniu domu. Jezu, ale fajnie jest mieć w jednym pokoju miejsce na fortepian *i* stół jadalniany, *i* dwa narożniki. Czy to tutaj był Frankie? *Z nią?* Boże, czy Natasha to żona Garetha?

Ale nie, ona tu nie mieszka. Gareth tak powiedział.

W takim razie co Frankie tutaj robił, jeśli nie zna tego faceta, a on nie mieszka z Natashą? I jeśli Frankie wczoraj tu nie spał, to gdzie?

Czuje szarpnięcie w piersi. Widziała samochód na podjeździe. Widziała zapalone w domu światła i tulącą się w oknie parę. Wysunęła pochopne wnioski. Frankie tu przyjechał, ale nie wszedł do środka, tylko porozmawiał z tym mężczyzną i odszedł. Jane trzymała się przecież z daleka, nie przeszła nawet przez ulicę. Możliwe, że gdy ona stała tam zapłakana, Frankie siedział w vanie albo rozmawiał z Garethem.

– Usiądź, proszę. – Mężczyzna wrócił do salonu, ale stoi w drzwiach.

Jane siada. Gareth pyta ją, czy chce coś do picia, a ona odpowiada, że z chęcią napije się wody.

– Za chwilę wracam. – Opuszcza potężne pomieszczenie.

Znowu rozgląda się dookoła, zaczyna czuć strach. Nie ma żadnej gwarancji na to, że ten Gareth mówi prawdę. A teraz ona siedzi w jego salonie, zastanawiając się, jak się wydostać. Za kilka sekund może się tu pojawić Natasha. Ona może być jego współniczką, to ich sylwetki mogła widzieć wczoraj w oknie.

– Obawiam się, że mam tylko niegazowaną. – Gareth wraca. Niesie małą tackę ze szklanką wody, miseczką z lodem i malutkim talerzykiem, mniejszym

nawet niż spodek od filiżanki, na którym położył dwa plasterki cytryny. To jest szklanka wody, ale podana zupełnie inaczej.

– Lodu? Cytryny?

– Poproszę z lodem – mówi słabo. – Ale bez cytryny.

Stawia tackę na stoliku kawowym, wrzuca do wody dwie kostki lodu i mówi, żeby dorzuciła więcej, jeśli woli zimniejszą. Widzi, że założył szare klapki Birkenstock, i z jakiegoś powodu czuje się przez to lepiej. Mordercy nie noszą eleganckich kłapek, prawda?

Nie, ale szantażyści mogą.

Och, na Boga, Jane. Uspokój się.

– Dobry wieczór. – Do salonu wchodzi szczupła, elegancka kobieta, w rękach niesie dwa kieliszki wina. Ma na sobie prześwitującą granatową bluzkę z dekoltem w łódkę, idealnie podkreślającym jej kościste, opalone obojczyki. Nogi ma tak długie i szczupłe, że pasują jej obcisłe dżinsy – wyglądają jak zupełnie inne ubranie, coś eleganckiego, wyrafinowanego i wygodnego.

– Cześć. – Głos więźnie Jane w gardle. – Przepraszam za najście.

Kobieta uśmiecha się lekko i kręci głową.

– Nic się nie stało.

– To moja żona, Diana – mówi Gareth i dodaje: – Jest psychoterapeutką.

– Cześć – powtarza Jane. Jest pod wrażeniem, czuje zawstydzienie, nerwy ciągle ma napięte. – Jestem Jane.

– Przepraszam, tak – mówi Gareth. – Jane. Wybacz.

Jest mniej opanowany, niż myślała Jane. Mniej opanowany, niż gdy otworzył jej drzwi. Z kolei jego żona jest spokojna jak tafla jeziora podczas bezwietrznego dnia.

Para siada, niemal jednocześnie, znajdują się blisko niej – w mowie ich ciała nie ma nic, co wzbudzałoby poczucie zagrożenia, może poza tą gładką fasadą, która kojarzy jej się ze złoczyńcami z Bonda. Oboje biorą łyk wina bez pośpiechu i potrzeby, by cokolwiek mówić. Robią to niemal w tym samym momencie, a potem synchronicznie odstawiają kieliszki na czarny stół kawowy.

– Czyli twierdzisz, że możesz znać tę Nataszę? – pyta Jane, bo chce to mieć jak najszybciej za sobą i stąd wyjść.

Gareth potakuje. Zerka krótko na swoją żonę, która ledwie zauważalnie kiwa głową, uśmiechając się przy tym łagodnie.

– Może opowiesz nam, dlaczego jej szukasz? – proponuje Gareth, splatając dłonie na kolanach.

Jane przeciąga rękami po udach.

– Okej. Więc. Mój mąż, Frankie, mężczyzna, który tu wczoraj był, od jakiegoś czasu dziwnie się zachowywał, tylko że ja chyba nie do końca zwracałam na to uwagę...

Opowiada im o wszystkim: coraz silniejsze zmęczenie Frankiego, utrata wagi, aura cierpienia, która w pełni dociera do niej dopiero teraz, gdy o tym mówi. Jej oczy zachodzą łzami. Kontynuuje, przechodzi do szantażu – przekazanych tysiącach funtów. Mówi o zdjęciach, groźbie ich opublikowania.

– Mój mąż ma firmę – mówi. – Nie powiedział mi tego, ale może pomyślał, że to też straci, że wiele osób nie będzie chciało korzystać z jego usług. Powiedział, że zasugerowała, że nie mógł się od niej oderwać. To była tylko sugestia, ale obawiam się, że w ten niebezpośredni sposób groziła mu, że gdzieś z tym pójdzie. Powinnam była zauważyć, że ma jakieś problemy, ale zajmowało mnie... coś innego. Mogłabym powiedzieć, że nie chciałam go obciążać, rzecz w tym, że bardzo rzadko się z nim widywałam. Myślałam, że zarabiał pieniądze na naszą podróż, żeby zaoszczędzić, ale wygląda na to, że po prostu chciał jak najszybciej odrobić to, co wyciągnął z konta oszczędnościowego. Albo mnie w ten sposób unikał. Nie był w stanie na mnie patrzeć. Zdradził mnie w najbardziej parszywy sposób. To nie był nawet romans. Tylko... okazja. Jak skorzystanie z promocji. Jak... jak jakiś banalny... Przepraszam, przestaję mówić z sensem, ale teraz... Chodzi mi o to, że nienawidzę tego, co mi zrobił, jednak coś mi tu nie pasuje. I choć jestem na niego wściekła, chcę wierzyć, że to był błąd. Ona mówi, że jest z nim w ciąży i musi jej płacić, w przeciwnym razie wrzuci zdjęcia do sieci. I nie jestem w stanie znieść tego, że jest szantażowany.

– Patrzy na Garetha i Dianę. I znowu na Garetha, który kiwa co chwilę głową.

– No, i to tyle – dodaje, rozkładając ręce.

Gareth patrz na swoją żonę, jakby szukał wsparcia. Czy coś.

– Widziałaś ją? – pyta. – Nataszę.

Jane kręci głową.

– Nie.

– Czy twój mąż opisał jej wygląd?

Wzrusza ramionami.

– Tak, ale wiesz, jacy są faceci. Przepraszam. Bez urazy. Frankie nie przywiązuje dużej uwagi do wizualnej części życia. Powiedział, że jest mniej więcej mojego wzrostu, ma ciemne włosy i jasne oczy. Chyba niebieskie. Prawie nic do mnie wtedy nie docierało. Byłam wściekła, wiecie? Ciągle jestem. Och! – Pstryka palcami. – Powiedział, że była wyrafinowana. A w języku Frankiego

może to oznaczać wszystko od *Love Island* po *Made in Chelsea*, ale wyobrażam sobie, że jest niesamowicie zadbana, wystrojona. Nie tak jak... – *Nie tak jak ja*, chciała powiedzieć.

Gareth i Diana wymieniają trzecie porozumiewawcze spojrzenie. Diana mruczy coś, czego Jane nie słyszy, ale zaczyna się od „To możliwe...” i kończy słowem „włosy”. Korci ją, żeby poprosić ich, żeby włączyli ją do rozmowy, ale powstrzymuje się. Jeśli coś wiedzą, chce to usłyszeć.

Gareth odwraca się od żony i skupia wzrok na Jane.

– Dziękuję – mówi, głos ma schrypnięty od emocji, których ona nie jest w stanie nazwać. – Myślę, że możemy znać tę... Natashę. Jesteś pewna, że nie napijesz się czegoś mocniejszego?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Jane

– To było kilka miesięcy temu – zaczyna Gareth. Jane siedzi wygodnie z kubkiem mocnej i słodkiej herbaty, która w jakiś sposób pomaga jej się nie trząść. – Osiem – mówi. – Jakoś osiem miesięcy temu. Miałem spotkanie z kobietą, która twierdziła, że potrzebuje architekta. – Mruga, dotyka klatki piersiowej opuszkami palców. – Jestem architektem i wyszedłem akurat z kumplem na drinka w Richmond. Ta kobieta wpadła na mnie i rozlała wino na moją koszulę. Na szczęście tylko białe wino, bo ta koszula naprawdę była świetna. – Śmieje się krótko. – Przeprosiła i nalegała, że odkupi mi to wino. Próbowałem odmówić, ale bardzo naciskała. Nie wiem, jak zeszliśmy na ten temat, ale musiała zapytać, czym się zajmuję, a wtedy powiedziała, że ma imię Katrina i chce odnowić wielki dom w stylu georgiańskim w Wimbledon. Zapytała, czy mam wizytówkę. Oczywiście przekazałem namiar na siebie, a jakoś tydzień później umówiliśmy się na spotkanie.

– Gdy tam przyjechałem, była... cóż, nie miała na sobie za wiele. Przeprosiła i powiedziała, że się mnie nie spodziewała. Że pomyliła daty. Myślała, że przychodzę następnego dnia. Odpowiedziałem, że nic się nie stało, że w takim razie wrócę jutro, ale ona nalegała, żebym wszedł, powiedziała, że to nie problem, że szybko pokaże mi, co trzeba zrobić, a potem przekaże mężowi wszystkie szczegóły. – Przerzywa, zbiera się w sobie. – No i wszedłem. Zaproponowała mi lampkę białego wina, a ja się zgodziłem. Była bardzo uprzejma, rozmowna i zdawała się próbować zrobić z tego niezobowiązujące spotkanie, co się zdarza. Czasami klienci chcą dowiedzieć się, jaką osobą jesteś, chcą się przekonać, czy dobrze wam się będzie współpracować: poczucie humoru, gust, czy jesteś po ślubie, czy masz dzieci i jesteś osobą profesjonalną, bo to oczywiście jest bardzo ważne. Przynajmniej dla niektórych klientów... Rozmawialiśmy swobodnie. Powiedziała, że jej mąż jest chirurgiem i często pracuje do późna, dlatego jeszcze go nie ma w domu. Coś mi tu nie grało, ale albo to zignorowałem, albo pomyślałem dopiero później. Po. Dołała mi wina, a ja pamiętam, że podniosłem kieliszek tak, żeby nie mogła nalać za dużo. Lała

go jak wodę, a kieliszki były naprawdę duże i to powinno było zwrócić moją uwagę. Coś mi... nie pasowało, jak to określiłaś wcześniej. – Zaczyna mówić szybciej, oddech mu się rwie. – W sumie pamiętam, że myślałem o kieliszkach, bo to były kieliszki do czerwonego wina. Zaskoczyło mnie to, bo była bardzo elegancka, jak ktoś, kto wie, jakich kieliszków używa się do jakiego wina. – Mówi tak szybko, że jego słowa zaczynają się ze sobą zlewać. – Przepraszam. Nie jestem snobem, nie obchodzą mnie takie rzeczy, po prostu... to było coś jak fałsz w melodii. Nie chciałem za dużo pić: planowałem wrócić ze spotkania uberem, jednak chciałem pozostać skupiony, ze względu na pracę.

Żona Gretha dotyka w milczeniu jego przedramienia, po czym zabiera dłoń. Wygląda, jakby pod wpływem jej dotyku zebrał się w sobie i zrozumiał, że mówi za dużo, że schodzi z tematu.

Wzdycha.

– Zacząłem czuć, że coś nie do końca jest w porządku. Mam na myśli wtedy. Nie byłem w stanie określić, co to jest, ale nagle zacząłem się czuć bardzo pijany, i mam tu na myśli *bardzo*, biorąc pod uwagę, że wypilem półtora kieliszka. Cały czas piję białe wino, więc moja tolerancja na nie jest naprawdę spora. A potem... – Przerywa, nieznacznie odchyła głowę i przymyka oczy, jakby patrzył na wspomnienie przez obiektyw. – A potem ona zaczęła prowadzić mnie na górę, żeby pokazać, jakich zmian chce dokonać. Powiedziała, że chodzi o balkon w głównej sypialni. – Kręci głową i zaciska powieki. Po chwili otwiera oczy. – Teraz rozumiem, że to tak samo, jakby poprosiła ogrodnika o to, żeby podziwiać kwiaty przez okno sypialni, ale... W każdym razie okno otwierało się na rozbudowany stropodach i myślała o tym, żeby wstawić tam francuskie okna, dzięki czemu mogłaby na niego wychodzić, i potrzebowała mojej opinii. Chciała wiedzieć, czy będą mogli wykorzystać to rozwiązanie i ile osób na raz utrzyma taka konstrukcja. Przepraszam, nie musisz tego wszystkie wiedzieć, po prostu próbuję... Chyba nawet teraz staram się usprawiedliwić to, dlaczego...

Diana znowu dotyka jego ramienia, a on znowu milknie, bierze głęboki oddech, uśmiecha się, mimo że drżą mu wargi. Jane czuje narastający niepokój. Osiem miesięcy, wyrozumiała żona, a on wciąż nie jest w stanie o tym rozmawiać... Coraz mocniej przeczuwa, co tam się mogło wydarzyć.

– Lubiła się opalać – kontynuuje Gareth. – Chyba wtedy, gdy to powiedziała, zacząłem naprawdę czuć, że coś jest nie tak. Chyba poniosło mnie z piciem, pewnie z nerwów. Wiem to, bo pamiętam, że mój kieliszek był pusty. Pamiętam, że zabrała go ode mnie. Nie sądzę, żebym był wtedy w stanie dodać

dwa do dwóch, ale tak, gdy powiedziała o opalaniu, w tym było coś zbyt... flirciarskiego. Sposób, w jaki to powiedziała, przeciągający się kontakt wzrokowy, a potem... Chyba usiadłem na łóżku, tak sędzę. Kręciło mi się w głowie. Byłem *bardzo* zmęczony – cóż, czułem się naprawdę bardzo nietrzeźwy. A wtedy...

Bierze głęboki wdech, wypuszcza powietrze z płuc. Sięga po wino, pije, odstawia kieliszek na stolik kawowy. Patrzy na swoją żonę, która łapie go za rękę. Właśnie w ten sposób kontynuuje, trzymając się za rękę z żoną, siedząc naprzeciwko Jane, z wyczuwalną niechęcią w głosie.

– Wtedy ona... chodzi o to, że gdy się obudziłem, ona była... na mnie. Była naga i... – Porusza wolną dłonią, zerka przez sekundę na Jane, po czym spuszcza wzrok na klapki, jakby się wstydził. Jane chce mu jakoś pomóc, ale w ogóle nie zna tego człowieka, dlatego siedzi nieruchomo, jej ciało z każdym słowem zalewa coraz silniejsza fala gorąca. Gareth nie musi nic mówić. Wszyscy wiedzą, co miał na myśli. – To wszystko, co pamiętam – mówi. Nie jest w stanie wypowiedzieć tego jednego słowa. – Pamiętam błysk, może dwa albo trzy białe błyski. Później dowiedziałem się, czym one są. A potem obudziłem się obok niej. Byłem nagi. Ona też była naga. Był środek nocy. Leżeliśmy w jej łóżku. – Podnosi wzrok, po jego twarzy widać ulgę, że udało mu się wszystko powiedzieć. Prawie wszystko. – Przepraszam – kontynuuje. – Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek będę musiał o tym rozmawiać, ale jeśli to jest ta sama kobieta... Gdy się obudziłem, byłem ciągle zamroczony, ale uciekłem stamtąd tak szybko, jak to możliwe. Zabawne. – Śmieje się z przymusem. – Przepraszałem ją. Latałem po pokoju i zbierałem swoje rzeczy, bez przerwy powtarzając „przepraszam”. I wtedy stała się agresywna. Krzyczała, wyklinała, rzucała we mnie przedmiotami. To było... obrzydliwe, jak jakaś scena z... To... – Wyrzuca rękę w powietrze.

– Już w porządku – mówi cicho jego żona, a on się uspokaja.

– Tak mi przykro – mówi Jane. – Chyba zaczynam rozumieć. Myślę, że to samo stało się z Frankiem, z tym że... Byłam taka wściekła. Nie sądziłam, że coś takiego może przydarzyć się mężczyźnie.

– Może – mówi Diana. – I zdarza.

– Gdyby Diana nie pracowała jako psychoterapeutka – wtrąca Gareth. – Gdyby nie porozmawiała ze znajomym po fachu, możliwe, że nigdy nie poznałbym prawdy. Nawet teraz mam problem, żeby w to uwierzyć. Ale Diana mi pomogła. Pomaga mi z poczuciem winy. Z poczuciem, że to ja zawiniłem. Ze

wspomnieniami. – Patrzy na swoją żonę z taką miłością, że Jane musi odwrócić wzrok.

– Cudem jest to, że Gareth miał odwagę, żeby mi powiedzieć – mówi Diana. – Na początku byłam zła, tak samo jak ty, ale coś przestało się zgadzać. Znam ludzi, których partnerzy i partnerki dopuścili się zdrady, którzy mówili, że nigdy się tego nie spodziewali albo że mają wrażenie, jakby w ogóle nie znali swojej drugiej połówki, ale w tym przypadku było inaczej. Dlatego porozmawiałam w zaufaniu z przyjacielem, dzięki Bogu. To nie jest moja specjalizacja, ale on miał już do czynienia z podobną sprawą, jego klientem był chłopak, który wypił za dużo, by być w stanie wyrazić świadomą zgodę. Biorąc pod uwagę to, jaką ilość wina wypił Gareth, doszliśmy do wniosku, że do wina coś dodano, choć tego nigdy nie zdołamy udowodnić. Ale miał naprawdę silny zespół stresu pourazowego. Bardzo chorował, musiał wziąć wolne. Z twojego opisu wynika, że to samo może się dziać z twoim mężem.

– Ale jak kobieta może to zrobić? – pyta Jane.

– Po prostu dosypała mu coś do alkoholu – powtarza Diana. – To takie proste. Diana odpowiedziała jej bezpośrednio. Ale Jane nie chodziło o stronę techniczną, jednak zanim może to sprostować, odzywa się Gareth.

– Powinienem być iść na policję. Ale ja... po prostu nie mogłem. A potem, gdy dostałem zdjęcia...

Jane otwiera szeroko usta.

– Tobie też wysłała zdjęcia?

– Właśnie dlatego pomyślałem, że to może być ta sama osoba. Gdy powiedziałaś o zdjęciach. – Kiwa głową, usta ma zaciśnięte. – Gdy je dostałem, pomyślałem: to koniec. Moje życie jest skończone. Moja kariera, małżeństwo, przyszłość. Wszystko. I wiedziałem, albo myślałem, że wiem, przynajmniej wtedy, że to moja wina. Nie była kobietą w moim typie, ale była bardzo atrakcyjna, a ja... Diana bardzo mi pomogła... Część mnie poczuła się mile polectana. Musiałem jej jakoś *odpowiedzieć*. I zrobiłem to. Myślę, że dlatego miałem z tym taki problem. Myślałem, że ją zwodziłem. Oczywiście *wiem*, że jestem winien temu, że wykorzystałem, w kontekście zawodowym, na swoją korzyść to, że zdawała się mną zainteresowana. Trochę flirtu nie zaszkodzi, pomyślałem. A to oznaczało, że musiałem się... zgodzić, tak? Ale nie zrobiłem tego. Nie wyraziłem zgody. Diana pomogła mi to zrozumieć. A wtedy zaczęły wracać wspomnienia: kieliszek wina, ona zdejmująca moje ciuchy, siedząca na mnie... tak. Białe błyski, czyli moment, w którym robiła zdjęcia.

Jane orientuje się, że przykłada ręce do policzków, które wręcz płoną.

– Zażądała pieniędzy – kontynuuje, jego głos odzyskuje moc, jakby najgorsze miał za sobą. – Powiedziała, że jeśli jej zapłacę, da mi spokój. Poprosiła o dużo, dziesięć tysięcy. Zapłaciłem, ale ona nie dawała mi spokoju. Znowu poprosiła o zapłatę, kilka tysięcy. Powiedziała, że nie stać jej na czynsz, bo jest tak załamana tym, co się stało, że nie może pracować. Powiedziała, że ją wykorzystałem. Zmusiłem. Musiała wziąć wolne. Zacząłem się martwić, że mnie pozwie, oskarży. Wtedy... Gdy po raz trzeci zażądała pieniędzy, nie mogłem tego dłużej ciągnąć. Wiedziałem, że nie dam rady spłacać kredytu hipotecznego, nie sięgając po pieniądze z konta oszczędnościowego. I oczywiście okłamywałem Dianę, co było... cóż, to było okropne. Dlatego jej powiedziałem. – Podnosi palec wskazujący. – Nie dlatego, że jestem szczerzy, odważny czy co tam jeszcze. Po prostu wiedziałem, że wystarczy, żeby zajrzała na nasze konto, a zacznie się zastanawiać, co się dzieje. – Zerka na swoją żonę, a potem z powrotem na Jane. – Jestem niemal stuprocentowo pewny, że ta kobieta, jakkolwiek ma na imię, już to robiła, ale ja jestem tym szczęściarzem, który ożenił się z psychoterapeutką. To Diana powiedziała, że zostałem wykorzystany, i to ona poleciła mi specjalistę. Otrzymałem pomoc. Gdybym się nie przyznał, nigdy bym tego nie zrozumiał. Tak samo jak ty myślałem, że to się nie może przydarzyć mężczyźnie.

Sięga po wino, odchyła się na oparcie i posyła jej słaby uśmiech. Przez chwilę siedzą w milczeniu. Jane myśli, że wszyscy siedzą w opadającym confetti słów, które osiadają na ich ramionach. Rozmyśla o tym, co powiedział Gareth, co to oznacza – dla niego, Diany, dla Frankiego, Jane, dla nich wszystkich. Co więcej – co to mówi o tej kobiecie, do czego jest zdolna, o tym, jak ohydny był jej czyn. Bo ofiarami są nie tylko mężczyźni, lecz każda kobieta, która została wykorzystana i nikt jej nie uwierzył.

– Wiem, że takie rzeczy zdarzają się naprawdę rzadko – mówi. – Ale co poza zdjęciami sprawia, że uważasz, że to ta sama osoba?

– To stało się tutaj – mówi Diana. – Przynajmniej na to wygląda.

– Oczywiście – odpowiada Jane. – Frankie powiedział, że to się stało tutaj.

– Co jest okropne samo w sobie. Tu musiało się stać, gdy byliśmy na wakacjach. – Diana wzdryga się z obrzydzeniem.

Myśli Jane pędzą jak szalone – puste kieliszki, porzucane ubrania, pościel. Zastanawia się, czy ta kobieta posprzątała. Czy odstawiła wszystko na miejsce? Jak dostała się do środka?

– Nie wiedzieliśmy o tym. – Diana wyrywa ją z zamyślenia. – Ale twój mąż wierzył, że Natasha tu mieszka.

– Musiała ukraść mi klucze – mówi powoli Gareth. – Gdy wróciłem wtedy do domu, nie mogłem ich znaleźć. – Odwraca się do żony. – Ty mnie wpuściłaś.

– Powiedziałeś, że zostawiłeś je w domu. – Diana patrzy na Jane. – Było późno. Wkurzyłam się, że mnie obudził, więc byłam raczej opryskliwa. Po prostu odwróciłam się na pięcie i wróciłam do łóżka.

Gareth kiwa głową.

– Dokładnie tak. Wtedy poczułem z tego powodu ulgę. A gdy następnego dnia nie mogłem znaleźć kluczy, zacząłem się martwić, ale dwa dni później odnalazłem je w szufladzie w kuchni, więc uznałem, że sprzątaczką je tam schowała. – Podnosi ręce, przetwarzając wszystkie informacje. – Musiała je ukraść i dorobić, a potem weszła tu i włożyła je do szuflady. Musiała to zrobić, zanim pojechalibyśmy na wakacje.

– Przecież mamy alarm – protestuje Diana.

– Tak, ale go nie używamy, prawda? Nie przykładamy się do tego.

Jane przygląda się ich prywatnej wymianie zdań, ich zmieniającym się minom i szarzejącej skórze, gdy składają wszystkie te informacje do kupy. Ona też nad tym rozmyśla. Cała trójka zaczyna rozmyślać, że ta kobieta musiała wejść do domu, gdy byli tam Gareth i Diana, prawdopodobnie pogrążeni we śnie.

W powietrzu czuć napięcie.

Diana zamyka oczy.

– Dobry Boże. Co za suka.

– Cholera – szepcze Jane. Znaczenie tego wszystkiego dociera do niej z pełną mocą, okropieństwo czynów tej bezimiennej kobiety i to, do czego jest zdolna.

Po co nazywać coś narzędziem do kopania, jeśli to szpadeł?

Cegła z doczepioną notatką: *Suka.*

Elegancka kobieta z zatrutym sercem. Kobieta, która byłaby w stanie dręczyć swojego chłopaka. *Poza tym, już za późno. Zapłaciłam rachunek...*

– Gareth – mówi. – Myślisz, że mógłbyś pokazać mi te zdjęcia?

Kręci głową.

– Przykro mi, spaliłem je. Nawet Diana ich nie widziała. Wiedziałem, że to bez sensu, że na pewno ma kopie, ale byłem zdesperowany. Zaczynałem tracić rozum.

Opuszcza ją nadzieja.

– Jak byś ją opisał?

– Średniego wzrostu, może ciut wyższa. Szczupła. Wysportowana. Zadbaną. Ubrana w drogie, ale proste rzeczy, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ciemne włosy. Niebieskie oczy.

Kolor włosów da się zmienić. Może używać peruki. Oczy wyglądają inaczej w zależności od kąta padania światła.

Nie. Bez względu na to, jak bardzo chce dodać dwa do dwóch, to nie Lexie. Owszem, jest wysportowana, ale też wysoka, w dodatku w jej ubraniach nie ma nic prostego. A oczy ma zielone, a czasami piwne, w zależności od światła. Ale na pewno nie niebieskie. Jane to wie, bo przecież ta kobieta wpatrywała się w nią z wyrazem czystej nienawiści wymalowanym na twarzy. Opis Garetha pasuje do tego, co powiedział Frankie, ale nie do obrazu Lexie, który ma w głowie.

Dziękuję im i wstaje. Wymieniają uściski dłoni, co jest dziwne po tak prywatnej rozmowie. Stając w świetle padającym na ganek, macha im i schodzi na żwirowy podjazd. Gdy drzwi zaczynają się zamykać, coś przeskakuje jej w głowie. Instagram Lexie. Gareth nie może jej pokazać zdjęć, ale ona może mu pokazać to na Instagramie. Ta teoria jest bardzo naciągana, ale musi mieć pewność...

– Poczekajcie! – woła, sięgając po telefon.

Drzwi otwierają się ponownie, małżeństwo patrzy na nią pytająco.

– Możliwe, że mam zdjęcie. – Otwiera profil Lexie i zaczyna przewijać. Znajduje to z połową twarzy, zdjęcie pośladków, koktajle, okno w samolocie, kawy, koktajle, niebieskie niebo, nowoczesna kuchnia, kawa, paznokcie rąk, stóp...

– Moment – mówi. – Gdzieś muszę mieć jedno.

Koktajle, płatki róż w spa, muskularne ramię mężczyzny, który możliwe, że wcale nie jest Steve'em, kawa, kawa, koktajle...

– Jeszcze chwilę – mówi niemal gorączkowo, przewijając ekran. Gdzieś tam jest zdjęcie przedstawiające jej całą twarz. Wie, że tak... Ach, znalazła. – Mam.

– Odwraca telefon w stronę Garetha, pokazuje mu twarz Lexie Lane. – To ona?

Jego mina odpowiada jej na pytanie, zanim on jest w stanie wypowiedzieć chociaż słowo.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Jane

– To Katrina. – Gareth robi się niemal żółty pod swoją całoroczną opalenizną, a wokół jego oczu pojawiają się ciemne kręgi, jakby w ułamku sekundy dopadło go wyczerpanie.

– Jesteś pewny?

Bierze od niej telefon, drugą ręką zakrywa usta. Głową wykonuje te krótkie, szybkie kiwnięcia. Zastanawia się, czy to jego maniera, czy ma to jakiś związek z traumą, nad którą widocznie ciągle pracuje, traumą, do której musiał przez nią wrócić.

Diana spogląda zza jego ramienia, zafascynowana.

– To ona – powtarza, jakby chciał zapewnić samego siebie. – Natasha. Jakkolwiek ma na imię. Inny kolor włosów, inne oczy. Ale to jej twarz.

– Szkła kontaktowe – podpowiada Diana, kręcąc głową. – Ja pieprzę. Co do włosów – farba albo peruka. Chyba że ma siostrę?

– Nie sądzę – odpowiada Jane. – Znam ją jako Lexie Lane. Dręczyła mnie miesiącami, a ja nie miałam pojęcia dlaczego.

Dopada ją kolejna myśl, niemal zwala ją z nóg.

Patrzy Garethowi w oczy.

– Nigdy nie twierdziła, że jest z tobą w ciąży?

Kręci głową.

– Nie. Widocznie w tej kwestii miałem szczęście. Może to był jej cel, kto wie?

Sztuczny brzuch. Dobry Boże.

– Frankie też jej nie zapłodnił – mówi. – Nie, jeśli to jest Lexie. Ale powiedziała, że to zrobił. Chciała alimentów.

Wpatrują się w nią, zdezorientowani, ale ona się wycofuje, desperacko pragnąc do niego zadzwonić i powiedzieć, że jest szantażowany czymś, czego nie zrobił.

– Dz... Dzięki – duka. – Ja... Dam wam znać, czego się dowiem, okej?

Dojeżdża do końca ulicy, zjeżdża z niej, wyciąga telefon i pisze do Frankiego: *Wracaj do domu. Wracaj w tej chwili. Kocham Cię. J x*

Wiadomość jest o wiele prostsza niż myśli, które kłębią się w jej głowie. Kocha go, naprawdę go kocha i chce, żeby wrócił do domu. Bezwarunkowo wierzy w historię Garetha, a to, że nie ma w tym wszystkim dziecka, zdejmując z jej ramion ciężar. Czuje lekkość. Ale Frankie jest jej mężem i bardzo ciężko jest wyrzucić z głowy myśl, że był w ten sposób z tą kobietą, odepchnąć od siebie przerażenie tym, jak to się mogło potoczyć, oraz wściekłość i gorzki smak zdrady. Wiadomość musi na razie wystarczyć. Wykonanie telefonu byłoby zbyt skomplikowane. To jest najbezpieczniejszy sposób na to, by sprowadzić go do domu.

Jej komórka wibruje.

To znaczy dla mnie wszystko kocham Cię bardzo Cię kocham już jadę x

Ociera oczy opuszkami palców. Nie może teraz płakać, po prostu nie może. Nie ma czasu, poza tym musi jechać ostrożnie. Teraz musi pozostać żywa bardziej niż kiedykolwiek. Teraz ma wszystko, dla czego warto żyć. Ma całe życie, z dziećmi czy bez. Nie takie życie planowała, ale tego życia pragnie z intensywnością, która zapiera jej dech w piersi. Frankie wraca do domu, tam gdzie jest jego miejsce. Zawsze by mu wybaczyła; chyba wiedziała o tym od samego początku. Ale teraz już nie musi. Bo Frankie jej nie zdradził. Nie dał dziecka innej kobiecie. To, co mu się stało, jest gorsze od wszystkiego, co sobie wyobrażała. A to, co przydarzyło się jej, było z tym jakoś powiązane.

Oboje byli ofiarami Lexie Lane.

Gdy wraca do domu, Des zachowuje się równie nerwowo co ona, krąży po salonie, szczeka na człowieka przechodzącego koło domu. Za każdym razem, gdy słyszy na ulicy samochód, sprawdza okna, nawet jeśli dźwięk silnika jest wyższy i w ogóle nie brzmi jak van Frankiego. Ciągle rozmyśla o rozmowie, którą podsłuchiwała w apartamencie w Ritzu.

Nie żartuję sobie. Zgodziłeś się na to. Poza tym, już za późno. Zapłaciłam rachunek...

Gareth powiedział coś o tym, że podejrzewa, że robiła już coś takiego. Czy Steve był jedną z ofiar? Szantażowała kilku mężczyzn naraz? A może Steve, jak teraz podejrzewa, to Frankie?

Wiesz, to nie tylko moje dziecko. Nie miałeś problemu, żeby je ze mną zrobić.

Teraz, gdy o tym myśli, dobór słów jest dziwny. *Nie miałeś problemu, żeby je ze mną zrobić. Nie: Powiedzieliś, że też chcesz mieć dziecko. Nie: Myślałam, że*

oboje chcemy mieć rodzinę.

Imię Steve mogło być przecież losowe, tak zapisała to w komórce. Jane przypomina sobie, że kochanka Simona była zapisana w telefonie jako Phil. Hils, gdy znalazła erotyczne wiadomości, myślała, że jej mąż ma romans z facetem. Sytuacja się wyjaśniła, gdy zadzwoniła pod ten numer i usłyszała kobiecy głos. Imię Lexi, tak samo jak Steve, nic nie znaczą, zwłaszcza w tym kontekście. Czy Lexie w ogóle zwróciła się do niego imieniem Steve, gdy odebrała telefon w hotelu? Nie pamięta.

Nie tylko Simon używał fałszywych imion. Imiona facetów w telefonie matki nigdy nie były prawdziwe. Jane pamięta, że Donald nazywał się Bubuś. Nawet teraz robi jej się od tego przydomka niedobrze. Steve mógł być kimkolwiek.

W takim razie... Czy Frankie zapłacił za bociankowe?

Frankie powiedział, że Natasha poprosiła o cztery tysiące funtów i dopiero wtedy zażądała więcej. Już od Garetha wyciągnęła kilkanaście tysięcy, wystarczająco, by przez jakiś czas mieć za co żyć, choć na pewno nie w przypadku, gdy chce się prowadzić wystawne życie w Londynie. Jednak wnioskując po jej Instagramie, podróżuje po świecie. Miała też zdjęcie obok świetnego samochodu, prawda? Producent był oznaczony w poście, prawda? *Jaguar*, myśli Jane, *albo BMW*. Nie pamięta. Do tego te wszystkie kolacje w restauracjach, koktajle, które mogą kosztować piętnaście funtów za kieliszek, luksusowy dom... to wszystko kosztuje mnóstwo pieniędzy. Ale to są tylko rzeczy. One nie dają ci szczęścia, nie czynią cię nikim wyjątkowym, tego nie da się mieć w sercu. Życie Lexie to same rzeczy. Dla niej ludzie są przedmiotami. Przyjaciele to rzeczy. Mężczyźni są rzeczami. Dzieci też nimi są. Tylko rzeczy, rzeczy, rzeczy. Jej wielki luksusowy dom to...

W sumie, czy dom Garetha i Diane na pewno widziała w *House Beautiful*? Czy może...

Otwiera Instagram. Nie przyjrzała się uważnie temu profilowi, odkąd po raz pierwszy przeleciała pospiesznie przez jego zawartość. Niemal zapomniała o trollu, który napisał o okropnej kawie, twierdząc, że pochodzi z jej kawiarni, ale widzi w powiadomieniach jeszcze gorsze oznaczenia.

Nie ma na to czasu. Jeszcze raz wchodzi na profil Lexie, przewija zdjęcia, aż odnajduje te, których szukała: srebrna kula, ozdobne krzewy, salon wielkości wioski, narożnik, stół jadalniany zastawiony na dwanaście osób – cholera, musiała to zrobić, gdy była w ich domu – zdjęcie okna wychodzącego na ogród, *#zycpelniazycia*, *#superdekoracja*, *#szczesciara*.

– Cholera – szepcze.

Wiedziała, że skądś zna ich dom. W rzeczywistości wygląda inaczej, może to kwestia światła, inny kąt, ale tak, widzi tu te same lampy rzucające bursztynowe światło i cienie padające na budynek.

Przewija dalej. Lexie jest bardzo subtelna w swoim fałszu. Zdjęcia są rozrzucone na osi czasu, opisy dotyczą bardziej wykonanej pracy, niż mówią *patrzcie na mój dom*. Wszędzie oznaczeni są wysokiej klasy dostawcy: oświetlenie od @luminescence, kuliste dekoracje od @orb, drzwi od jakiegoś duńskiego producenta, drogie. Wchodzi w oznaczenia, a tam otwiera się świat domów projektantów, olbrzymich mebli, lokalizacji na wybrzeżu... w skrócie, świat bardzo bogatych. Tak, Lexie potrzebowałaby naprawdę dużo pieniędzy, żeby za to zapłacić...

Moment, nie. *Nie* potrzebowałaby tych pieniędzy. To nie jest jej życie! Nie potrzebuje tych pieniędzy, przynajmniej nie na to. To życie Garetha i Diany – dwójki ambitnych, ciężko pracujących i bezdzielnych osób. Jane podejrzewa, że ich życie nie toczy się na koncie na Instagramie, raczej nie mają czasu na udostępnianie postów.

Jak wygląda *prawdziwe* życie Lexie?

Co tak naprawdę do niej *należy*?

Okno samolotu, płatki róż w spa, nowoczesna kuchnia – to wszystko jest niesamowicie drogie, ale ile z tego jest prawdą?

Apartament w Ritzu...

Nigdy nie wspomniała o żadnej pracy. Jane myślała, że dostaje pieniądze od Steve'a, ale może żaden Steve nie istnieje, albo jest ich więcej niż jeden. Może Frankie to najnowszy ze Steve'ów? Mój Boże, to możliwe, żeby spędzać życie na robieniu ludziom czegoś takiego? Czy to możliwe, że to jest właśnie jej zawód? Jak ona patrzy na siebie w lustrze?

Jane zaczyna dyszeć. W jej głowie krążą liczby, kalkuluje, ile to wszystko może kosztować: zagraniczne wakacje, luksusowe samochody, ekskluzywne hotele... Nie ma o tym zielonego pojęcia. Nie wiedziała nawet, że torba Sophie to podróbka. A nawet gdyby wiedziała, nie miałaby pojęcia, jakiej firmy. CD to coś, na co zgrywa się muzykę. Zazartowała o tym wtedy z Sophie i obie się śmiały. Z kolei wzorek w szachownicę to Lunch z Vouchera.

Googluje hotel Ritz, znajduje apartament Green Park. Odbywa wirtualną podróż po pokojach – tak, to ten. Pamięta cukierkową sofę w paski, antyczne stoliki, szklany stolik kawowy, a także biało-niebieską sypialnię, gdzie skrywała się w cieniu, gdy Lexie dręczyła swojego „chłopaka”, stojąc przed lustrem w łazience.

Nie jest podana cena.

Frankie jeszcze nie przyjechał.

Zaczyna czuć niepokój. Ma nadzieję, że nie jedzie za szybko, spragniony, by się z nią spotkać, by mu wybaczyła. Powtarza sobie, że musi zachować spokój. Nie ma powodu do myślenia o katastrofach. Katastrofa już się dzieje i nazywa się Lexie Lane.

Och, ale czy na pewno? Czy właśnie tak się nazywa?

Odnajduje numer telefonu do Ritza i dzwoni. To zabawne, ale przybiera ton głosu sugerujący osobę z wyższych sfer i pyta, ile kosztuje wynajęcie apartamentu Green Park na podwieczorek. Dostaje odpowiedź, że ten apartament można wynająć najkrócej na całą dobę. Och, odpowiada, oczywiście. To żaden problem. Czy mogę prosić o informację, ile kosztuje wynajęcie apartamentu na dwadzieścia cztery godziny? Czeka i wie, że ta kobieta musiała się już domyślić, że nie jest bogata. Bogaci ludzie nie pytają o cenę. Jeśli musisz pytać, nie stać cię na to. A przynajmniej tak jej się wydaje. Bo nie ma zielonego pojęcia o życiu bogatych ludzi.

– Halo? – mówi kobieta z hotelu.

– Tak, ciągle przy telefonie.

– Cena za Green Park zaczyna się od czterech tysięcy funtów.

Walczy z całych sił, żeby się nie zakrztusić.

– Dziękuję – odpowiada. – A gdybym chciała zapewnić gościom poczęstunek – powiedzmy, że byłby to podwieczorek z szampanem – ile musiałabym zapłacić?

Recepcjonistka wzdycha, co jest raczej niemiłe.

– Jeśli byłoby to zamówienie naszego szampana, czyli Ritz Reserve, ten kosztuje sto funtów za butelkę. Jeśli chodzi o podwieczorek, pięćdziesiąt funtów od osoby.

– Dziękuję – mówi Jane. – Bardzo dziękuję, przekażę te informacje mojemu pracodawcy.

Rozłącza się. Ciągle myśli o tej żalostnej potrzebie, by zadzwonić i zapytać, gdy słyszy niski warkot silnika w dieslu.

– Frankie!

Des zrywa się, przestraszony, gdy wstaje i rzuca się do drzwi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Jane

Za drzwiami stoi Frankie, wygląda strasznie. A jednak przystojnie – zaskakuje ją, że jest w stanie pomyśleć o czymś tak powierzchownym. Ale to prawda. Stres sprawił, że stracił na wadze, przez co uwydatniły się jego kości policzkowe i zniknął brzusek piwny. Spodnie leżą na nim teraz jak na modelu.

– Och, kochanie – mówi i rozkłada przed nim ramiona.

On jednak odsuwa się od niej, unosząc rękę, a do niej dociera, że Frankie nie wie tego co ona. Zgodnie z posiadaną przez Frankiego wiedzą zdradził ją, będzie miał dziecko, którego nie chce, z kobietą, której nie kocha, choć jednocześnie pragnie dziecka ze swoją ukochaną.

To niedorzeczne.

– Franks. – Ciągle ma rozłożone ramiona. On stoi na dróźnie, przestraszony, zdezorientowany i wstrząśnięty.

– Nie zasługuję na powrót – mówi, drży mu dolna warga. – Nie zasługuję na ciebie.

Jane opuszcza jedną rękę, drugą wyciąga w jego stronę jak do dziecka.

– Wszystko jest okej, Franks. Przysięgam, że wszystko jest w porządku. Musisz dowiedzieć się paru rzeczy, ale nie mogę ci tego powiedzieć tutaj. Po prostu wejdź do środka, dobrze? Chodź. To twój dom. Chodź do domu, kochanie.

Patrzy na nią spod rzęs, oczy wciąż emanują zagubieniem i strachem. Teraz widzi, jak mocno walczy o to, by się nie rozplakać.

Jej serce pęcznieje z miłości, ściska się ze współczucia. Gdy on w to uwierzy, wtedy ona uwierzy jemu. Chęci to dobry początek.

– Franks – mówi. – Chodź, wejdź do środka.

Spuszcza głowę i rusza powoli w jej stronę. Gdy znajduje się na progu, staje, by spojrzeć jej w oczy, a ona znowu rozkłada przed nim ramiona, ale on tylko kręci głową.

– Nie myłem się, odkąd odszedłem.

– Gdzie wczoraj byłeś?

– U niej. – Unosi ręce w obronnym geście. – Nie w ten sposób. Przespałem się na jej kanapie. Pojechałem tam, żeby powiedzieć, że może zrobić z tymi zdjęciami, cokolwiek zechce, że nie dam się szantażować. Powiedziałem, że chcę testu na ojcostwo i że jeśli dziecko okaże się moje, to wtedy zrobię, co należy.

– Och, Franks – mówi Jane. – Nie ma żadnego dziecka.

Patrzy na nią, jakby wyrosła jej druga głowa.

– Co?

– Nigdy nie było. A teraz chodź do środka, zanim sama cię tam zaciągnę.

Niczym nieznajomi siadają na przeciwnych końcach kuchennego stołu. Jane pyta go, czy chce się napić, a on mówi, że tak, bardzo, że byłoby świetnie. Ale gdy sugeruje otwarcie butelki białego wina, unosi ręce i protestuje, mówi, że nie może pić białego wina, że chyba już nigdy go nie wypije. Jane zna powód, ale on o tym nie wie. Ma mu tyle do powiedzenia, mimo że to jest jego przeżycie, nie jej.

Znajduje dwie butelki piwa i mu pokazuje. Gdy kiwa głową, otwiera je.

– Nie wiem, jak to zrobić – mówi. – Przepraszam cię po tysiącokroć. Jak mogę to naprawić? Po prostu powiedz mi, co zrobić.

– Już ci mówię – odpowiada. – Siedź cicho i słuchaj, co ci mam do powiedzenia, okej? Ale zacznę od tego, że to, co się stało, to nie twoja wina. To nie jest twoja wina.

– Ale...

– Ćśś. Pij piwo.

Opowiada, jak śledziła go do luksusowego domu Natashy. To, jak widziała zaparkowanego vana i uznała, że jest z nią w środku.

– Nie wszedłem do środka – mówi. – Ona tam nie mieszka.

Jane unosi rękę.

– Musisz pozwolić mi mówić, okej? – Gdy kiwa głową, kontynuuje: – Teraz to wiem. Gdy tam dotarłam, musiałeś siedzieć w vanie. Może zbierałeś się na odwagę, by się z nią skonfrontować.

– Zadzwoiłem do niej, żeby zapytać, gdzie jest. Zrobiłem to zaraz po tym, jak się dowiedziałem, że tam nie mieszka. Wysłała mi swój adres i od razu tam pojechałem.

– Okej.

– Skąd wiesz, że nie jest w ciąży?

– Frankie!

– Przepraszam. Przepraszam, kontynuuj.

Opowiada. Tym razem Frankie wsłuchuje się i nie przerywa. Mija dużo czasu, zanim przekazuje mu wszystko, wprowadza go w szczegóły, ale najwięcej czasu zajmuje jej powiedzenie czegoś, co jemu będzie najtrudniej usłyszeć. Że został zgwałcony. Bo właśnie to mu się stało. *Gwałt* to kolejne słowo, które Lexie wniosła do ich życia, razem z *nienawiścią* i *suką*, dwoma słowami, których starali się za wszelką cenę unikać. To dwa narzędzia, z pomocą których Lexie Lane podkopała ich fundamenty i sprawiła, że poszli na dno.

Ale jeszcze nie powiedziała Frankiemu o Lexie. Na tę chwilę ciągle rozmawiają o Natashy.

Spodziewała się, że zobaczy jego ulgę, że jej mąż krzyknie: *Dzięki Bogu*, ale on tego nie robi. Twarz ma skrzywioną z zagubienia i po raz drugi tego wieczora walczy, by się nie rozplakać. W końcu jest w stanie mówić. A gdy słowa opuszczają jego usta, gdy opisuje jej to, co ona właśnie powiedziała, czuje, że opowiada tę historię samemu sobie, i że to początek drogi do zrozumienia, co mu się stało.

– Nie byłem w stanie zrozumieć, jak znaleźliśmy się razem w łóżku – mówi. – I te przebłyski. Wracały częściej niż rzadziej. I to ciągle uczucie strachu, jakbym miał zwymiotować, cały czas. I jeszcze wstyd, Boże. Cały czas myślałem o tym, co nam zrobiłem.

– Nie zrobiłeś tego. Zostałeś wykorzystany seksualnie.

– Jak to w ogóle możliwe? – szepcze.

– Nie wiem. Ale jest. Podejrzewam, że ty i Gareth nie jesteście jej jedynymi ofiarami. Myślę, że ona w ten sposób zarabia na życie. Kantuje, naciąga. Choć tego nie jestem pewna.

– Dobrze. – Frankie zeskrobał etykietę z butelki, lepki papier leży porozwalany na stole. – Skąd wiesz, że nie jest w ciąży?

Jane bierze głęboki oddech.

– Pamiętasz, jak opowiedziałam ci o tej nowej przyjaciółce Sophie? Lexie? Pamiętasz przyjęcie urodzinowe Kath? Cóż... To nie były jej urodziny. Okłamałam cię, przepraszam. Lexie też była w ciąży. Byłam wtedy na bociankowym Sophie i Lexie. Nie powiedziałam ci tego, bo biorąc pod uwagę ciążę Sophie, trochę mnie to przytłoczyło. Podwójny cios, wiesz? Cały czas pracowałeś i gdy tak teraz o tym myślę, powinnam była wyczuć, że coś jest nie tak. Powinnam była wiedzieć, że chodzi nie tylko o pracę.

Frankie kręci głową.

– Nie miałaś jak tego wiedzieć.

– Normalnie bym wiedziała. Nie widzisz tego? Byłam tak zaabsorbowana tymi dziecięcymi przepychankami, że nie widziałam, co się z tobą dzieje. Przestałam na ciebie patrzeć. Tak dokładnie, jak kiedyś.

Gdy kiwa głową, niezdolny do tego, by coś z siebie wykrztusić, kontynuuje:

– Nie powiedziałam ci, że ta Lexie oznajmiła, że jest w ciąży, i w ramach kampanii, by kupić moją najlepszą przyjaciółkę, jednocześnie oczerniając mnie w jej oczach, zorganizowała i opłaciła wielkie, wystawne, totalnie przesadzone bociankowe w Ritzu. A ja sprawdziłam przed chwilą, ile to kosztowało, i wychodzi na to, że jakieś cztery tysiące. – Przygląda mu się uważnie i powtarza: – Cztery tysiące funtów.

– Czekaj – mówi, nagle zaalarmowany. – Więc to było bociankowe, a nie urodziny? I kosztowało cztery tysiące?

Kiwa głową.

– Cztery tysiące. W kwietniu wybrałeś z konta trzy tysiące, prawda? Lexie przekładała imprezę kilka razy, aż stanęło na dwudziestym szóstym kwietnia. Wtedy nie wiedziałam, ile to kosztowało, bo... cóż, nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że ktoś wydaje tyle pieniędzy na pokój w hotelu i jakieś kanapeczki. Ale potem podsłuchałam, jak krzyczy na swojego chłopaka i każe płacić. Brzmiało to tak, jakby go za coś karała, i nie byłam w stanie tego zrozumieć. Powiedziała nam, że ma na imię Steve, ale nie sądzę, żeby z nim rozmawiała. Prawda? Tamtego dnia...

Oczy Frankiego są szeroko otwarte i przekrwione.

– Tamtego popołudnia, gdy wyszłaś, zadzwoniłem do Natashy. Powiedziała, że potrzebuje pieniędzy na start, ale potem wysłała mi ten rachunek i powiedziała, że zdecydowała się wyprawić bociankowe, bo zasługuje na rozpieszczanie po tym, w co ją wpakowałem. Zadzwoniłem i błagałem, żeby tyle nie wydawała, ale oznajmiła, że jest za późno, bo impreza już trwa. Powiedziała, że chciała spędzić wyjątkowy dzień i że mogę dla niej zrobić chociaż tyle. To były całe nasze oszczędności, co do pensa, a ona tak po prostu...

– A to był dopiero początek.

– Tak. – Kręci gwałtownie głową. – Więc ta Lexie... to twoja koleżanka?

– Boże, nie. Żadna z niej moja koleżanka. To przyjaciółka Sophie. Lexie to Natasha.

– Lexie to Natasha? W sensie, ta sama osoba? O mój Boże. – Kręci głową, usta ma otwarte. – I... czekaj, chwilę. Skąd wiesz, że nie jest w ciąży?

– Bo widziałam jej sztuczny brzuch. Duży beżowy worek przyczepiony do jej brzucha.

– *Żartujesz.*

– Nie. Myślałam o tym setki razy. Myślałam, że może się mylę. Podejrzałam ją w łazience w jednej z sypialni. Weszłam tam przez przypadek, a ona stała wpatrzona w lustro i rozmawiała ze Steve'em, teraz wiem, że to byłeś ty. Podniosła koszulę i wtedy zobaczyłam sztuczny brzuch. Myślałam, że mnie nie widziała, ale mnie zauważyła. Zanim zdążyłam powiedzieć Sophie o brzuchu, ona już do niej dotarła i powiedziała, że to pas ciążyowy, taki wspierający. Zawsze była o krok przede mną. A jeśli kłamiesz w ten sposób, nie ma nic, co mogłoby cię powstrzymać, prawda? Jeśli nie zdradzisz prawdy przez pomyłkę, nie istnieją granice tego, co jesteś w stanie zrobić albo powiedzieć. Teraz już to wiemy, tak?

Frankie dotyka rękami czoła.

– Nie ogarniam. Natasha to Lexie. Jesteś pewna, że to ta sama osoba?

Kiwa głową.

– Pokazałam Garethowi jej Instagrama. Rozpoznał ją.

– Mogę zobaczyć?

Pokazuje mu profil, a on przewija zdjęcia. Widzi, jak otwiera szeroko oczy, gdy stara się dostrzec jej prawdziwą twarz na tych zdjęciach, gdzie nie widać jej całej, rysy są udoskonalone filtrami, a kolory intensywniejsze niż w rzeczywistości. W końcu odchyła się na krześle.

– To ona. Inne włosy i oczy. Ale to ona. Kurwa.

– Jedyne, czego nie mogłam rozpracować, to wzrost. Lexie jest wysoka, a ty powiedziałaś, że Natasha jest mojego wzrostu. Ale potem pomyślałam o butach i dotarło do mnie, że ja zawsze chodzę w płaskich, a ona wiecznie ma wysokie obcasy. Gdy przygotowywałam się na bociankowe, powiedziałaś: „Jesteś wysoka”, pamiętasz? Lexie zawsze nosiła obcasy. Gdy Sophie była w ciąży, unikała ich jak ognia – powiedziała, że boją od nich plecy. Może powinnam była dodać dwa do dwóch, ale z drugiej strony wszystkie kobiety są inne.

– Możesz to powtórzyć?

– Wszystkie kobiety są inne.

Frankie się uśmiecha.

– Jesteśmy ludźmi – mówi Jane. – Kobiety, mężczyźni, wszyscy jesteśmy ludźmi. Wiem, że to oczywiste, ale przez cały ten czas walczyłam z nazywaniem drugiej kobiety wrednym przezwiskiem, bo uważałam, że to brak siostrzeństwa z mojej strony. Myślałam sobie, że przecież jestem feministką. Nie łązę i nie obgaduję ani nie oceniam innych kobiet. Ale przecież facetów nazywamy bydlakami, jeśli nimi są. Więc gdy kobieta jest okropna, to jest okropna.

Szukanie dla niej wymówek jest... protekcyjne. Prawda? W sumie nie wiem. Wiem tylko, że powinnam była zwrócić uwagę na jej zachowanie już na samym początku. Nigdy przenigdy nie powinnam była dopuścić do tego, żeby wbiła swoje szpony w Sophie.

Frankie wzrusza ramionami.

– Sophie jest dorosła. Powiedziałaś jej, co się dzieje, prawda?

Jane kiwa głową. Choć to boli, jej mąż ma rację. Sophie wyrzuciła jej przyjaźń i całą ich historię jak starą gazetę. Jane została przyjęta, a potem wyrzucona – jak przedmiot.

– Jak się czujesz? – pyta męża, który przez cały ten czas był lojalny, który wierzył w każde jej słowo.

– Czuję, że kąpiel mogłaby pomóc.

Jane się uśmiecha.

– Może do ciebie dołączę.

Później leżą razem w łóżku. Frankie ją obejmuje, a ona czuje, jak jej skóra dotyka jego skóry. Są jednością, są swoim domem. Domem, który ta kobieta prawie zniszczyła. Oboje są uszkodzeni – on bardziej niż ona. Ale razem wydobreją.

Frankie wyciąga paczkę papierosów. Mówi, że kupił je z desperacji, gdy czekała go noc spędzona w vanie. Rozmyślają przez chwilę, po czym oboje się zgadzają, że zapalą po jednym, a resztę wyrzucą. Dlatego odpalają po papierosie i palą. Jane żartuje, że są niczym kochankowie z lat siedemdziesiątych, którzy palą w łóżku po najbardziej intensywnym seksie od lat. Seks to forma komunikacji – przynajmniej tym dla nich był. To była kontynuacja rozmowy, która zaczęła się tamtego dnia w jej obskurnym mieszkaniu z zatkanym prysznicem.

– Wiedziałem, że jesteś tą jedyną – mówi, gdy wspomina, jak się poznali.

Uderza go żartobliwie w ramię.

– Nie bądź sentymentalny, wiesz, że dostaję od tego wysypki.

Ale potajemnie czuje zachwyt, gdy Frankie o tym mówi, bo ona też wtedy to wiedziała. Był wszystkim tym, czym nie byli partnerzy matki. Żadnych wielkich gestów, bukietów czerwonych róż (poza jednym, który jej wręczył, gdy zgodziła się za niego wyjść). Jego szczodrość zawsze objawiała się w mniejszych gestach, bez przerwy: przynosił jej kawę i ciastka, spacerował z nią, słuchał jej, naprawdę jej wysłuchiwał. Jest jej przyjacielem. Najlepszym przyjacielem. Zdaje sobie sprawę, że fizyczna konwersacja, która dla nich też była komunikacją, zaczęła szwankować, gdy seks stał się tylko jednym: sposobem na

spłodzenie dziecka. I może przez to, że obie te formy komunikacji były ze sobą powiązane, gdy jedna z nich ustała, ta druga zaczęła kuleć, aż doszło do tego, że wszystko ucichło, zbladło, niemal się zatrzymało.

– Ciągle nie mogę zrozumieć jednego – mówi Frankie, głaszcząc ją po ramieniu. Jeszcze nie rozmawiali o tym, co zrobią od tej chwili, w którą stronę będą zmierzać.

– O co chodzi? – Zamyka oczy, czując jego idealny dotyk.

– Gdy poszedłem do jej mieszkania, było tragiczne, wyglądało jak ruina.

– Cóż, wszystkie te pieniądze są przecież na pokaz, prawda? Nie zdajesz sobie sprawy, jak dużo kobietę kosztuje bycie po prostu kobietą.

– Co masz na myśli?

Śmieje się.

– Nie masz pojęcia, ile rzeczy robią kobiety. Ty się golisz, myjesz, zakładasz fajną koszulę i wychodzisz, myśląc, że jesteś super. Tak robią faceci. Jak dorobisz się piwnego brzucha, klepiesz się po nim i mówisz coś w stylu „zapłaciłem za niego”, bo wiesz, że twoja kobieta nic z tym nie zrobi. Co do golenia, to temat rzeka. Włosy rosną wszędzie – nogi, pachy, ramiona. Gdy jesteś facetem, ich obecność nie przeszkadza.

– Nie każdemu.

– Okej, jasne, ale to wciąż jest mniejszość. Takich nazwałbyś pozerami, prawda? Ale kobieta nie musi być pozerką, żeby golić nogi. Tak samo pozerkami nie są kobiety, które podcinają i farbują włosy co sześć tygodni. Podstawowe metody pielęgnacji są dla kobiet jak podatki, Franks. Jak podatki.

– Ty tak dużo tego nie robisz.

– Golę się, ale nie farbuję włosów, bo mnie to po prostu nie obchodzi. I tak, to ty podcinasz mi włosy z tyłu, ale niektóre kobiety patrzą na mnie i myślą: *Powinna się bardziej starać. Albo: Dlaczego nie może być bardziej kobieca?* Ale wiem, że Kath farbuje włosy raz w miesiącu i to kosztuje fortunę. A Hils ma paznokcie akrylowe, bo swoje obgryza, i chyba używa samoopalacza przed wakacjami, bo krępuje się nosić bikini. A o nich nie można nawet powiedzieć, że są próżne. Bo nie są. I w ogóle nie ma co ich porównywać z Lexie. To nie ta liga. Jej rutyny pielęgnacyjne to koszt rzędu raty kredytu hipotecznego.

– Przecież nie musi tego robić. To jej wybór.

– Cóż, chociaż boli mnie, że muszę to powiedzieć, może czuje, że tego wyboru nie ma. Wiele kobiet robi to wszystko, by poczuć, że są wystarczające, wiesz? Młode kobiety ostrzykujące się botoksem przed trzydziestką, robiące piersi i tak dalej. A największą ironią w tym wszystkim jest to, że to takie

materialistyczne, a jednak kończą z niczym. Popatrz na Lexie. Tysiące wydane na włosy, szkła kontaktowe, rzęsy, makijaż, botoks – jestem niemal pewna, że przekonała Sophie, żeby poszła na zabieg. I całoroczna opalenizna. Nie oceniam, ani trochę – to kwestia wyboru, naprawdę, a wiele kobiet czerpie z tego radość. Chodzi o to, że jak to wszystko zliczysz, wychodzi spora suma. Zgadzałoby się to z tym, że mieszka w gównianym mieszkaniu. – Jane wzdycha. – To oczywiście nie usprawiedliwia jej czynów.

– Nie. Ale nadal pozostaje coś, co się nie zgadza.

– Och. – Śmieje się. – Mogłeś to powiedzieć, zanim się rozkręciłam ze swoją przemową.

Frankie też się śmieje, a potem ona oczywiście zaczyna płakać, bo skoro się śmieją, to oznacza, że nadal są sobą, mimo wszystkich tych wydarzeń. Gdy podaje mu powód swojego wzruszenia, on też się rozkleja.

– Przestań się mazać – mówi Jane.

– Ty zaczęłaś.

– To prawda. Powiedz to, co chciałeś mi powiedzieć. Co się nie zgadza?

– Chodzi o moment, w którym powiedziałem jej, że nie obchodzi mnie, co zrobi ze zdjęciami, i że będę płacił na dziecko, jeśli okaże się moje. Zastanawia mnie jej reakcja. Była... smutna. Jakby pieniądze wcale nie były tym, czego chce. Wydaje mi się, że chciała mnie, wiesz? Bo gdyby zniszczyła mnie w twoich oczach, a ja nie miałbym się gdzie podziać, poszedłbym do niej.

– Dlaczego miałyby to zrobić? Nie obraż się, ale gdyby chciała pieniędzy, to nie jesteś dziany.

– Wybrała mnie, bo zobaczyła zegarek, tak? I myślała, że samochód Simona jest mój. Ale, co najdziwniejsze, gdy dotarło do niej, że wcale nie jestem bogaty, nie kazała mi się wynosić. Ciągle chciała, żebym z nią został.

Włoski na karku Jane stają dęba.

– W jaki sposób?

Frankie podnosi jej dłoń i całuje knykcie.

– W taki, że przecież straciłem żonę, a ona jest ze mną w ciąży, więc równie dobrze mógłbym spróbować być z nią.

– Rozumiem. Myślisz, że powinniśmy zadzwonić na policję? – Czuje, jak Frankie się spina. W ciągu sekundy jego ciało robi się sztywne jak deska. – Frankie?

– Przepraszam, kochanie – mówi. – Nie mogę iść na policję. Ja... po prostu nie mogę.

Przypomina sobie, jak Gareth opowiadał swoją historię – minęły miesiące, a on wciąż ledwo się trzymał. A Frankie, gdy wcześniej powiedziała, co mu się tak naprawdę stało... Jego mina była wręcz nie do zniesienia.

– Rozumiem – mówi łagodnie. – Udawaj, że tego nie powiedziałam.

Rozluźnia się, wtula w nią.

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą muszę ci powiedzieć. Zaproponowała, że mogę przespać się na jej kanapie. Było mi z tym dziwnie, ale ona się uspokoiła, więc pomyślałem, że po prostu się tam skimnę, a rano coś wymyślę. Ona poszła na górę, a ja leżałem w salonie, przykryty płaszczem. Nie mogłem spać, więc zajrzałem do niej i zobaczyłem, że śpi głęboko, więc trochę mnie to uspokoiło i udało mi się zasnąć. Ale gdy się obudziłem, ona siedziała na mnie.

– *Na* tobie? – Czuje ukłucie zwątpienia. Okropnego zwątpienia. – W jaki sposób na tobie?

– Była ubrana w koszulę nocną – wiesz, taką skąpą – i siedziała na mnie okrakiem. Rozpinała mi spodnie – spałem w pełni ubrany, potrzebowałem po prostu gdzieś się przez kilka godzin przespać. Cóż, powinienem był zostać w vanie, teraz to wiem.

Czuje silną potrzebę, żeby mu przerwać, ale milczy, bo teraz rozumie – i jest to bardzo świeża wiedza – że za pierwszym razem też powinna była dać mu mówić.

– Powiedziałem, żeby ze mnie zlazła, ale ona zareagowała w stylu: weź, skoro już tu jesteś... Zepchnąłem ją z siebie, a ona się wściekła, zaczęła krzyczeć, tak jak tej pierwszej nocy. Wybiegłem stamtąd. To było okropne. Tylko że do tej pory to nie miało dla mnie sensu – dlaczego miałyby to zrobić, zwłaszcza że już wiedziała, że nie mam pieniędzy, tak? Po co miałyby to robić, skoro już była ze mną w ciąży? Ale skoro mówisz, że wcale w ciąży nie jest, to zaczynam myśleć, że może wcale nie chciała mnie. Bardziej niż pieniędzy czy mnie... może chciała mieć dziecko. Udawała, że jest w ciąży, żeby doprowadzić do tego, żebym naprawdę ją zapłodnił – czy to ma sens?

– Wow – mówi Jane. – A ja przez cały ten czas myślałam, że chodziło jej o mnie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Jane

– Natasho – mówi spokojnie Frankie z telefonem przyciśniętym do ucha. – Tu Frankie.

Jane ściska jego dłoń. Zapada chwila ciszy. Jane chciałaby usłyszeć Lexie po drugiej stronie słuchawki, ale panuje cisza. Przed nimi, na stole kuchennym, znajdują się resztki dwóch kaw Americano (Bolivian Java). Jane zaczyna proces pomagania Frankiemu małutkimi kroczkami.

– Wiem, co mi zrobiłaś – kontynuuje jej mąż. – Wiem, że dodałaś mi coś do wina. I wiem, że nie ma żadnego dziecka, okej? Wiem, że oszukałaś Garetha, wiem o wszystkim. Dzwonię tylko, żeby powiedzieć ci, że nie zamierzam wnieść oskarżenia...

Po drugiej stronie rozlega się wściekłe trajkotanie.

– Co? Jak to „za co”? – Puszcza dłoń Jane i dotyka swojego czoła. – Za szantażowanie, za udawanie kogoś innego, za... za to, co mi zrobiłaś.

Gwałt. Nie jest w stanie tego powiedzieć. Jane zastanawia się, czy kiedykolwiek wypowie te słowa. Po drugiej stronie wciąż słyszy wściekły jazgot. Jane głaszcze go po plecach, przypomina, by zachował spokój.

– Posłuchaj – mówi. – Wiem też o tym, co zrobiłaś mojej żonie, że dręczyłaś ją i oczerniałaś w oczach przyjaciół. Wiem o wszystkim, Lexie. Mówię tylko, że nic z tym nie zrobię, jeśli obiecasz, że zostawisz nas w spokoju, okej? To tyle. Tylko tego chcemy. Po prostu zostaw nas w spokoju.

Jane siedzi nieruchomo jak ofiara drapieżnika. Jej zmysły skupione są tylko na jednym. Nasłuchuje, chyba słyszy szlochy. Od dręczenia do bycia ofiarą. Zmiana jest natychmiastowa. Słyszy imię swojego męża, słowa *nie rób mi tego*, po których Frankie przerywa głośnym i stanowczym głosem:

– Żegnaj, Natasho. Katrino. Lexie. Czy jak tam masz na imię.

Telefon łąduje na blacie. Frankie ukrywa twarz w dłoniach. Chce mu powiedzieć, że powinni iść na policję, ale widocznie potrzebuje więcej czasu, widzi to bardzo wyraźnie. Z czasem spróbuje łagodnie go do tego nakłonić. Nie

wątpi, że po nim zjawiliby się inni mężczyźni. Gdy o tym myśli, znowu wraca do niej odstawiana przez Lexie szopka.

W którym momencie narzędzie do kopania staje się szpadlem?

W którym momencie używa się słowa *suka*?

Jane zostawia Frankiego w kuchni, wyciąga telefon i widzi wiadomość od Lexie na grupie na WhatsAppie. Czyta ją, wchodząc po schodach.

Cześć, dziewczyno. Mam przykre wieści :(Rano poroniłam. Ale teraz mogę przynajmniej pić, LOL! Do zobaczenia wkrótce!

Czuje, że szczęka opada jej niemal do samej podłogi, jakby wypadła za zawiasów.

– Że co, do cholery? – szepcze, siadając na łóżku. – Co to ma być?

Jej ton, wszystko w tej wiadomości jest takie złe – bardzo, bardzo złe. Nie tak się czujesz, gdy tracisz dziecko. Ten jeden pozytywny wynik zapłodnienia komórki jajowej, po którym szybko okazało się, że nic z tego nie będzie, sprawił, że Jane tygodniami nie była w stanie wyjść z łóżka. Poronienie musi być jeszcze bardziej traumatyczne. Wiadomość tej kobiety to obelga dla każdego, kto cierpiał utratę ciąży. Czy Lexie naprawdę myśli, że dadzą się tak nabrać? W co ona pogrywa, do cholery?

Zalewa ją czysta furia, rozpalając wnętrzności, paląc w gardło.

Nigdy nie byłaś w ciąży, Lexie, pisze. A teraz wypierdalaj z naszego życia, cholerna oszustko.

Wysłała wiadomość. Trzęsie się z wściekłości. Zaczyna płakać. Mijają sekundy, a ona zaczyna żałować, kręci głową, cmoka z dezaprobatą. Nie powinna była wysyłać tej wiadomości. Nie zrobiła tak, jak poradziła jej Carla. Nie zapanowała nad sobą. Nie zachowała klasy. Bo właśnie tak się dzieje, gdy ludzie pokroju Lexie sprowadzają cię do bycia kimś zbędnym, wrednym, agresywnym: okradają cię z twojej osobowości. Lexie taka właśnie jest. Gdy się uspokaja, Jane rozumie, że jej matka jest dokładnie taką samą osobą. Jej matka zasłużyła na to, by się na nią drzeć w supermarkecie, by rzucać jajkami w jej szyby, by wybić jej okno cegłą. I zasługiwała na przytwierdzoną do niej notatkę, na to słowo, którego Jane nie chce mówić. Zasłużyła na związane z tym słowem uczucie: nienawiść. Jane nie nienawidzi matki. Nie potrafi. Wie, że matka jej matki piła, dręczyła ją i umniejszała, że wyrzuciła ją z domu, gdy miała szesnaście lat, bo przyłapała ją z chłopakiem, ale Jane nie może brać odpowiedzialności za to, kim Victoria się stała, już nie. Nie może tego usprawiedliwiać. To samo tyczy się Lexie Lane. To nie Jane niszczy budowane

latami przyjaźnie. To nie Jane wykorzystuje seks, by usidlić mężczyzn i przy okazji zdradzić inne kobiety. To Lexi robi to wszystko.

Zerka na telefon i zastanawia się, czy może usunąć wiadomość, czy jest już za późno.

Wzdryga się, gdy wibruje jej telefon. SOPHIE BIEGACZKA. Czyli już za późno.

– Co to ma być, do cholery? – wrzeszczy Sophie, w jej głosie słychać łzy.

Jane czeka chwilę, by mieć pewność, że Sophie nie chce powiedzieć nic więcej.

– Sophie – mówi spokojnie.

– Co cię napadło, żeby pisać coś takiego? Ona dopiero co straciła dziecko, na Boga. Nie wiem nawet...

– Sophie. Sophie? Sophie! Czy możesz zamknąć... Czy możesz się w końcu ZAMKNAĆ?

Przynajmniej milknie. Jane słyszy przez słuchawkę jej oddech.

– Sophie, posłuchaj mnie. Lexie nie jest w ciąży. Nigdy nie była. Próbowałam ci powiedzieć, ale mi nie wierzyłaś. Próbowałam ci mówić, że mnie dręczy, ale w to też nie chciałaś wierzyć. Ciągle mieszała między nami, kłamała i... Próbowała uwieść Frankiego, szantażowała go. Ta kobieta doprowadziła nas oboje do choroby. Jestem bliska zadzwonienia na policję. Mówię ci to jako przyjaciółka, która zna cię od lat, która zawsze, ale to zawsze była dla ciebie dobra. Ta kobieta to oszustka. Nie było żadnego dziecka. Udawała, żeby wkupić się w twoje łaski. Robiła o wiele więcej. Twierdziła, że dziecko jest Frankiego, i... Boże, zrobiła tak wiele okropnych rzeczy, o których nie mogę ci powiedzieć. I nie, zanim cokolwiek powiesz, to nie ma nic wspólnego ze mną, więc nawet nie próbuj tego sugerować. To prawda. Czysta prawda. Nieważne, czy chcesz to przyjąć do wiadomości, czy nie. – Milknie, żałuje, że nie była bardziej zwięzła, jak w filmach.

– Jane. – Głos Sophie jest nienaturalnie spokojny, słychać, że maskuje tym furię. – Chcę, żebyś mnie wysłuchała, okej? Już się nie przyjaźnimy, rozumiesz? Nie możesz być w moim życiu. Jesteś toksyczna. Trzymaj się ode mnie z daleka.

– Soph? – Po drugiej stronie panuje cisza. Rozłączyła się.

Z łomoczącym sercem i płynącymi po twarzy łzami rozpoczyna połączenie wideo z Hils i Kath. Izolowanie ludzi, spotkania za zamkniętymi drzwiami – polityka, właśnie tym się to teraz stało, do tego doprowadziła ta kobieta. Po wszystkim, przez co przeszedł Frankie, powinna zadzwonić na policję, ale on na to nie pozwoli, a ona może jedynie dawać mu wsparcie i spróbować ocalić

przyjaźnie, które jeszcze jej zostały. Dzwoni do nich obu. Widzi ich twarze i automatycznie się uśmiecha.

– Cześć – mówi i widzi, że obie chodzą. Za nimi widzi wnętrza budynków: Hils jest w szkole, Kath w biurze. Cholera.

– Wszystko okej? – pyta Hils i staje, za nią są półki z książkami.

– Przepraszam, że dzwonię do was w trakcie pracy – mówi Jane. – Widziałyście grupę na WhatsAppie?

– Nie – odpowiadają jednocześnie.

Jeśli dobrze widzi, Kath weszła do toalety.

– Siedzę w schowku – informuje Jane, prawie niewidoczna w ciemności.

– Boże, bardzo was przepraszam. Ale muszę z wami jak najszybciej porozmawiać. Będę się streszczać...

– Chryste Panie – mruczy Hils, gdy Jane kończy opowiadać skróconą wersję tego, co robiła Lexie. – Dobra, wiedziałam, że ta dziewczyna to nic dobrego, ale nie miałam pojęcia. Myślałam, że po prostu jest, wiecie, młodsza. Trochę próżna i nudna, nie? I trochę przerażająca.

– Przerazająca, dokładnie tak – mówi Kath. – Ona przeraża mnie do szpiku kości. Ale ty? Biedna Jane. Nie wierzę, że ci to wszystko robiła. Dlaczego nam nie powiedziałaś?

– Nie chciałam rozwalić ekipy, wiecie? Tak długo się ze sobą przyjaźnimy i po prostu myślałam, że jeśli pokłócę się z Sophie, to was też stracę. Poza tym potrzebowałam trochę czasu, żeby uwierzyć, że to się naprawdę dzieje. Myślałam, że wyolbrzymiam. Ciągle zastanawiałam się, czy to moja wina.

– Ta kobieta jest obłąkana – mówi Hils. – Odpowiedziała na twoją wiadomość na WhatsAppie?

– Nie, ale Sophie do mnie zadzwoniła i powiedziała, że nie chce mnie w swoim życiu. Wygląda na to, że jestem toksyczna.

– Och – mruczy Hils. – W sumie nie ma nic, co mogłabyś w tej sprawie zrobić. Próbowalaś z nią rozmawiać. Próbowalaś nie rozwalić ekipy, ale wygląda na to, że kosztowało cię to zdrowie. I Frankiego.

– To w ogóle nie jest twoja wina – zapewnia Kath. – To nie twoja wina.

Jane wzdycha przeciągle.

– Okej, słuchajcie, jesteście w pracy. Porozmawiamy później, okej?

Kończy połączenie i wygląda przez okno w sypialni. Nastął nowy dzień. Powiedziała o wszystkim Kath i Hils, a te jej uwierzyły, tak samo jak Frankie,

tak jak jej szkolne przyjaciółki – prześladowanie, manipulacje, to co stało się Frankiemu i udawana ciąża. We wszystko uwierzyły.

A jednak nie czuje, że wygrała. Nie czuje nic poza osamotnieniem. Wie, że Hils i Kath nadal są jej przyjaciółkami i jest za to bardzo wdzięczna. Ale straciła wszystko inne, a tego nigdy nie odzyska. Tyle się pisze o rozstaniach w związkach, ale gdy chodzi o zakończenie przyjaźni nie ma nawet do czego sięgnąć, odnieść się, porównać. Żadnych poradników, nic. Nic dziwnego, że miała problem ze znalezieniem słów na to, co się dzieje, i żeby w ogóle to dostrzec. Do pewnego momentu sama sobie nie wierzyła.

Schodzi na dół, ale nie zastaje Frankiego w kuchni. Przez chwilę boi się, że poszedł do pracy, ale chwilę później znajduje go śpiącego na kanapie, z drzemającym u jego boku Desem. Gdy na niego patrzy, zaczyna płakać: za tym, co straciła, i z wdzięczności za wszystko, co ma. Pisze do Jude'a: *Możesz zostać do końca i zamknąć?*

Jasne. Żaden problem.

– Hej.

Budzi się. Frankie stoi koło łóżka.

– Przyniosłem ci herbatę – mówi. – I ciastko.

– Jesteś aniołem – mówi. – Dziękuję. Która jest godzina?

– Po siedemnastej.

– Boże! Spałam cały dzień!

– Ja też. Ale z nas lenie.

Stawia kubek na szafce nocnej i obchodzi łóżko, żeby wejść na nie od drugiej strony. Oboje opierają się o wezglowie, z herbatą i ciastkami w rękach. Jane i Frankie, dwoje...

Rozlega się niskie szcęknięcie, po którym Des wskakuje na łóżko, przez co prawie rozlewają herbatę.

– Dezzie! – Jane śmieje się, unosząc napój, dopóki Des nie obraca się dwa razy wokół własnej osi i nie układa w nogach łóżka. I tak sobie leżą we trójkę: ona, Frankie i Des.

– Chodźmy na kolację – mówi Frankie.

– Tak – odpowiada. – Zróbmy to.

– Nawet jeśli nas nie stać, to zachowajmy klasę, co?

Dwie godziny później są – jak to powiedział Frankie – wystrojeni jak szczury na otwarcie kanału, a to oznacza, że jej mąż ma na sobie jedną z dwóch eleganckich koszul, swoje najlepsze dzinsy i buty z Caterpillara, z kolei Jane

założyła skórzane czarne spodnie, które dorwała w Oxfam, wycięty top ze złotymi błyszczącymi elementami i jasnobrązowe botki na obcasie, o których zapomniała. Pomalowała trochę oczy, standardowo nałożyła szminkę, której nikt nie widzi, i spryskała się perfumami. Gotowe.

– Wow – mówi Frankie. – Seksownie wyglądasz.

– A jednak charakternie.

– W rzeczy samej. Ostra jak żyłeta.

Śmieje się.

– Nie do końca o to mi chodziło.

– Przepraszam. Muszę popracować nad gadką. Idziemy?

Wie, że oboje udają. Nie czują się silni ani nawet gotowi na wyjście. Ale to jest ich show – grają przed sobą, dla siebie i całego świata. W ten sposób wbijają szpilę Lexie Lane, gdziekolwiek ona teraz jest. Jane opowiada Frankiemu o złych opiniach na temat jej kawiarni, które pojawiły się na Instagramie, i o tym, że podejrzewa, że to dzieło Lexie. Zastanawia się, czy Lexie opuści grupę na WhatsAppie i zniknie z radaru, czy kiedykolwiek zostawi Sophie i znajdzie nową ofiarę, nad którą przejmie kontrolę. Może jej kampania, by zdobyć Sophie, stała się prawdziwą przyjaźnią i teraz stworzą swoją małą grupkę, zostawiając Jane, Kath i Hils we trójkę. Kto wie?

Właśnie wtedy, gdy opowiada o tym wszystkim Frankiemu, gdy przechodzą przez ulicę, Jane słyszy ryk silnika samochodu. Podnosi wzrok i widzi pędzącą na nich białe światła, słyszy, jak Frankie krzyczy jej imię, czuje mocne pchnięcie w plecy.

A potem zapada ciemność.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Szpital

Winda pika. Skrzydło Esher. Piętro siódme.

Drzwi rozsuwają się. Kuśtykam korytarzem. Na jego końcu pojawiają się dwie pielęgniarki. Idą szybko, pogrążone w rozmowie. Zatrzymuję się, uśmiecham, gdy na mnie zerkają, unoszę kulę, jakby nie były dla mnie, jakbym przyszła je tu komuś dać.

Uśmiechają się, kiwają głowami, odchodzą.

Oddział Canbury. Jest. Tam – na samym końcu, koło okna. Oczywiście, że podała panięskie nazwisko, Preston. Od razu powinnam była o tym pomyśleć, zanim zapytałam w recepcji; to coś totalnie w jej stylu. Wielka feministka, z obrzydliwymi krótkimi włosami i gównianymi ubraniami, kręcąca nosem na kobiety, które się starają. Jest tak zapatrzona w siebie, że w ogóle mnie nie poznaje, nawet nie kojarzy. Myśli, że jest lepsza od wszystkich z tą swoją kawiarnią, przyjaciółkami, kochanym mężem i dobrym życiem, ale ja wiem, jaka jest naprawdę. Wiem, że porzuciła swoją głupią matkę, nie oglądając się za siebie. Wiem, co ona i jej matka zrobiły mi i jak wpłynęły na moje życie. Więc tak, znam jej pierdolone panięskie nazwisko.

Kuśtykam w jej stronę. Pot leje się ze mnie strumieniami. Ból jest nie do zniesienia.

Odsuwam zasłonę.

Otwiera szeroko usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Jej oczy są pełne przerażenia.

Dobrze.

– Jane Preston – mówię. – Pamiętasz mnie?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Jane

Jane budzi się i od razu wie, że znajduje się w szpitalu – jasne światło, zapach, dziwny kąt, pod którym leży. Zamyka oczy, bo lampy są za mocne. I wtedy wszystko wraca do niej kawałek po kawałku: wieczór. Ona i Frankie, przechodzący przez ulicę, szczęśliwi i nieświadomi, na miłosnym haju. Samochód. Białe światła. Głos krzyczący jej imię. Popychający ją Frankie. Ryk silnika samochodu. Okropny huk. Boże. Frankie. Boże, proszę, niech on żyje.

Serce bije jej szybciej. Była sama, gdy ją przyjęli, siedziała na wózku. Po jej twarzy płynęła krew. Podnosi rękę, okazuje się, że nie może tego zrobić. Ma ją w gipsie i na temblaku, ułożoną na piersi. Podnosi drugą rękę, dotyka głowy. Bandaże. Wczoraj zadawali jej pytania. Podała im imiona, chyba, choć nie pamięta szczegółów rozmowy. Frankie był nieprzytomny. Na łóżku szpitalnym. Zabrali go gdzieś. Na to wspomnienie z jej ust wyrzywa się szloch. Jego widok: leżący, zraniony, po tym wszystkim, co przeżył. Boże, gdzie on jest? Czy żyje? Musi żyć. Nie może umrzeć, po prostu nie może. Pielęgniarka, która bandażowała jej głowę, powiedziała, że wszystko będzie dobrze – naprawdę to pamięta, czy wymyśla to, bo czuje pod palcami materiał okalający jej głowę?

Musiała stracić wtedy przytomność. Teraz, gdy się obudziła, wszystko ją boli. Zastanawia się, co jeszcze ma złamane. Boże, proszę, niech Frankiemu nic nie będzie. Gdyby coś mu się stało, gdyby... Nie, nie może o tym myśleć. Nic mu nie będzie. Nie może być gorzej, niż już jest. Musi myśleć pozytywnie. *Jane, myśl pozytywnie. Powtarzaj to sobie. Powtarzaj, że Frankiemu nic nie będzie.*

To, co się stało, nie było wypadkiem. Gdy ta myśl wpada do jej głowy, wie, że to prawda – ma jej kształt i wagę. Ten samochód nie jechał nieostrożnie. On jechał prosto na nich. Frankie – popchnął ją na chodnik. Uratował jej życie. Dźwięk tłuczonego szkła. Syreny. Pamięta, że została podniesiona, a w oczy zaświecono jej małą latarką.

Otwiera oczy. Jej oddech przyspiesza.

Kto prowadził samochód?

Szeleści kotara. Rozsunęła ją pielęgniarka. Pielęgniarka z sinym okiem i kulami w rękach. Coś jest nie tak. Zdaje się mieć problemy z utrzymaniem równowagi, kuleje, chwieje się, gdy zasuwa kotarę. Podchodzi do łóżka i uśmiecha się, ale ten uśmiech jest dziwny. Nie ma w nim nic miłego. Oczy ma małe, nos szeroki, czarne włosy cienkie i zniszczone.

– Jane Preston – mówi. – Pamiętasz mnie?

Czuje, jak zaciska się jej gardło. Ona nie... moment. Tak, pamięta. Jej włosy nie są karmelowe. Nie są grube i lśniące. Oczy ma mniejsze, nie wyróżniają się. Nie jest wysoka. Nos ma większy, spuchnięty. Boże, to ona. To ona.

– Lexie – szepcze, w jej żyłach płynie czyste przerażenie.

Próbuje usiąść, ale Lexie wspina się na łóżko, przerzuca przez nią nogę i siada na niej okrakiem. Usta ma wykrzywione, po jej twarzy leje się pot, kołnierzyk niebieskiego pielęgniarskiego kitla robi się coraz ciemniejszy. Siada prosto, ręce trzymając na kulach, które leżą na wysokości pasa Jane.

Jane chce otworzyć usta, żeby zawołać o pomoc, ale wydobywa się z nich zaledwie jęk. Szeroko otwarte oczy Lexie są przepelnione żądzą mordu. Wylewa się z nich nienawiść. Zielen, myśli Jane. Kolor zawiści. Ale czego kobieta taka jak Lexie mogłaby zazdrościć kobiecie pokroju Jane?

Lexie nachyla się nad nią, jej lepka i śmierdząca dłoń zasłania usta Jane, jej spojrzenie wypełnia się zachwytem. Jest szalona. Szalona, szalona, szalona.

– Pamiętasz mnie, prawda? – pyta.

Jane kiwa głową. Po jej twarzy spływają łzy.

– Jak przestaniesz stękać, to zabiorę rękę – mówi z groźbą w głosie. – Spróbuj krzyknąć, to cię wykończę. Wiesz, że to zrobię. – Grzebie w kieszeni niebieskiego stroju, wyjmując parę nożyczek. – To naprawdę cudowne, ile można tym działać, gdy działa się szybko. Dała mi je kochana pielęgniarka. Ale muszę przyznać, że jej wdzianko jest trochę ciasnawe. – Przyciska ciepłe ostrze nożyczek do szyi Jane.

Leży nieruchomo. Serce łomocze w piersi.

– Miałam problem, żeby cię znaleźć – mówi Lexie. – Powinnam była się domyślić, że zachowasz panińskie nazwisko – tak robią kobiety twojego pokroju, prawda? Żeby pokazać innym, że jesteście lepsze? A policja chodzi po szpitalu i szuka kobiety o imieniu Louise. Na pewno znaleźli w samochodzie moją torebkę, ale nie sądzę, żeby w szpitalu przebywała jakaś Louise, wiesz? A ja się bałam, że w systemie będą widniały dwie Jane Reece. Wtedy pomyślałam sobie: chwila, coś jest nie tak. A ty tu sobie jesteś jako Jane

Preston – chichocze. – Wiem, że tobie się wydaje, że mnie pamiętasz. Ale to nieprawda. Bo nie chodzi mi o Lexie, kochana. Mam na myśli Louise.

Jane wpatruje się w pełne obłędu zielone oczy, widzi tylko furję, szaleństwo. To imię nic jej nie mówi, kompletnie nic.

– Meadows Comp? – mówi Lexie.

Jane kiwa głową. Aż za dobrze pamięta to miejsce. Pukanie do drzwi gabinetu dyrektora. Zapach starego tytoniu, sterty papierów z pozaginаныmi rogami. Zrastające się nad oprawą okularów brwi. *Mama prosiła, żebym to przekazała.*

– Byłam kilka klas niżej – mówi Lexie, odchylając się nieznacznie, jakby się uspokoiła. – Pewnie nawet mnie nie dostrzegłaś, prawda? Byłaś jedną z fajnych dziewczyn. Jedną z tych mądrych.

Stara szkoła Jane, starzy przyjaciele, ci, od których została zabrana bez możliwości pożegnania. Lexie chodziła do tej szkoły. Jest częścią życia, które Jane prowadziła, zanim Donald skłonił je do przeprowadzki, by ratować *swoją* twarz.

– W ogóle mnie nie pamiętasz, co? – Lexie pyta z nutą groźby w głosie. – Louise Dawes? Coś gdzieś dzwoni? Może szkolny dzwonek? – Śmieje się.

Jane zamyka oczy. Po jej skroniach spływa więcej łez. Dawes. Boże. Donald Dawes. To córka Donalda. Nie ma innej możliwości.

– Już pamiętasz, widzę to na twojej twarzy. Tak, twoja mama *znała* mojego tatę. W biblijnym tego słowa znaczeniu. Pan Dawes? Dyrektor? Widzę, że już ogarniasz, kochana. To mój tata. Twoja mama nie mogła dać mu spokoju, co? Wiesz, że zdążyła przelecieć dwóch innych ojców z twojej klasy, zanim dobrała się do mojego? Wiedziałaś o tym? Czy wiedziałaś, że wysłała mu liścik, w którym napisała, że się zabije, jeśli nie zostawi mojej mamy?

Jane sapie. Liścik. Ten, który mu przekazała.

Lexie nie ma o tym pojęcia.

– Kto robi coś takiego? Kto grozi samobójstwem, by ukraść czyjś męża? Czyjś *tatę*? – Zmienia pozycję, krzywi się, widać, że musi jej być bardzo niewygodnie.

Jane chce wrzeszczeć, ale za bardzo się boi. Jeden zły ruch, a ta kobieta poderżnie jej gardło, za tą kotarą. Lexie dotarła do miejsca, w którym w ogóle nie obchodzi ją, co się z nią stanie. Kontrolę nad nią przejęło coś mrocznego, prymitywnego. W jej oczach, oczach, które wyglądają tak zwyczajnie, a nawet dziecinnie, gdy nie ozdabia ich makijaż, błyska coś jeszcze.

Ból.

– Pewnie nie wiesz, że moja mama nigdy się z tym nie pogodziła, co? – mówi niezobowiązującym tonem, jak podczas zwyczajnej rozmowy, jakby się zapoznawały. – Nie, nie masz o tym pojęcia. Ty i twoja mama zabrałyście mojego tatę i wypieprzyłyście stamtąd do innego miasta. Na pewno pomógł mój liścik. Wybacz, że nie skorzystałam z usług kuriera. Cegła była o wiele szybszym rozwiązaniem. Pamiętasz jajka? Któregoś dnia obrzuciłam nimi twój dom, żeby zabrać cię w małą podróż do przeszłości. Pamiętasz tę kobietę, która krzyczała na twoją mamę w supermarkecie?

Ta dziewczynka w mundurku szkolnym, która stała za matką. Była starsza... cóż, okazuje się, że wcale nie. Po prostu była wysoka jak na swój wiek. Lexie. Louise Dawes. Mała dziewczynka, która próbowała pocieszyć mamę, kobietę, której zostało jedynie wykrzykiwanie przezwisk w supermarkecie. Jane musiała ją rozpoznać, ale siedziało to w niej tak głęboko, że nie umiała do tego dosięgnąć. W przeciwnym razie dlaczego jej się to niedawno śniło? Dlaczego tak często myślała o Victorii i ostatecznie do niej pojechała?

– Pamiętam cię – szepcze.

– Mój Boże, naprawdę? – Lexie-Louise uśmiecha się. Wygląda... na zadowoloną. – Tamtego dnia chyba zapadłyśmy ci trochę w pamięć, hm? Zawsze coś. Wiesz, że moja mama się załamała? Wiesz? Nigdy nie piła więcej niż pół piwa, zanim tata zdecydował, że woli twoją mamę, a nie moją, że woli ciebie zamiast mnie. Zanim wybrał twoją rodzinę. – Zaczyna płakać. – Kurwa – szepcze, wycierając nos wolną ręką.

– Nas też zostawił – szepcze Jane.

– Co?

– Został tylko kilka lat. Moja mama... też piła. Dalej pije. Jest alkocho...

– Kłamiesz.

Jane kręci głową.

– Twój tata związał się z o wiele młodszą kobietą. Mieszka w Chester.

Louise zaciska usta w wąską linię.

– Kłamiesz. Przestań kłamać.

– Nie kłamię. Przysięgam. Wiem, jaka była moja mama. Wiem, co zrobiła. Bardzo mi przykro za wszystko, co cię spotkało, ale nie jestem nią. Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić. – Jeśli zdoła ją zagadać, ktoś na pewno zdąży przyjść.

– Jesteś zakłamaną krową. – Louise zastępuje nożyczki kulą, którą przyciska do szyi Jane. Nawet pod niewielkim naporem czuje, że ma ograniczony przepływ powietrza.

– Proszę – udaje jej się wydusić. – Nas też zostawił, przysięgam.

– Nie uda ci się wzbudzić we mnie współczucia – syczy Louise. – To nie moja wina. Nic z tego nie jest moją winą. Ja tylko chciałam dobrego życia, a ty ukradłaś mi tatę swoimi wielkimi brązowymi oczami, dobrymi ocenami i gładką gadką. Nie byłam ładna. Nie byłam jednym z tych fajnych dzieciaków. Nie byłam nawet bystra. Ale bycie dzieckiem dyrektora wcale nie jest łatwe, wiesz? Wszyscy myślą, że będziesz pupilką nauczycieli, więc musisz udowodnić, że jest inaczej, tak? Musisz choć trochę źle się zachowywać. Ja tylko to robiłam, źle się zachowywałam. Jeśli myślisz, że to jest trudne, dodaj do tego fakt, że twój tata posuwa jedną z mam. Czy masz pojęcie, przez co przez ciebie przesłam? Jak byłam dręczona? Jak chłopaki się nade mną pastwili? Jak dziewczyny mnie obgadywały? To, że nie zdałam żadnego egzaminu, nie oznacza... Musisz być naprawdę mądra, żeby osiągnąć to, co mnie się udało. Mam czterdzieści tysięcy obserwatorów. Dostaję prezenty. Darmowe rzeczy. Jestem w stanie sprawić, że mężczyźni robią wszystko, czego chcę. Nieważne, jaki to mężczyzna. Nawet twój poczciwy, wspaniały Frankie. Jak mogłabym to zrobić, gdyby nie myśleli, że jestem świetna, co? Sami się w to pakowali, wierzyli we wszystko, co widzieli.

Kula napiera mocniej. Jane kaszle, krztusi się. Ale Lexie nawet na nią nie patrzy.

– Moja mama umarła pięć lat temu – mówi. – Miała czterdzieści trzy lata. Nie piła, skoro już o tym rozmawiamy, więc tu się pomyliłaś, panno mądralińska. Środki przeciwbólowe, całe opakowania, aż w końcu przedawkowała i... to tyle.

– Tak mi przykro – chrypi, niemal charczy, walcząc o oddech. Louise patrzy jej głęboko w oczy, jakby starała się ją rozgryźć. Nawiązując kontakt wzrokowy, Jane usiłuje przesunąć palce w stronę przycisku połączonego z pokojem pielęgniarok.

– Nie zostawił nas – mówi ze smutkiem Louise. – On nas *porzucił*. Porzucił.

– Nas też porzucił – szepcze. Louise przerywa kontakt wzrokowy. Louise, która przestała dusić ją kulą, wygląda, jakby zapomniała, po co tu przyszła. – Moja mama nigdy nie była taka sama po odejściu mojego taty.

Gdy wypowiada te słowa, w jej głowie pojawia się wspomnienie: jej mama, szczęśliwa. Jane mogła mieć wtedy ledwie trzy lata, ale widzi mamę, jak tańczy po salonie w domu, w którym mieszkały, zanim tata odszedł. Leci piosenka *Fools Gold* zespołu The Stone Roses. Śmieje się. Jej tata... on jest poza zasięgiem. Jest cieniem. Ale mama tańczy dla niej, dla niego, jest szczęśliwa. Dlaczego Jane przypomina sobie o tym dopiero teraz? Wszystko, co

stało się potem, jest niewidoczne, jakby ktoś wylał na to czarny olej. Wcześniej jej mama była szczęśliwa. Przed porzuceniem.

Lexie nagle jakby się otrząsa i znowu dociska kulę do jej szyi.

– Nie próbuj kombinować.

Jane czuje, że się krztusi. Jej palce sięgają przycisku i mocno go naciskają.

– To on. Nie ja ani mama. To...

Nacisk znika. Louise odchyła się, jej twarz wykrzywia się w smutku. Wygląda jak dziecko, które przegrało wyścig. Nagle coś się zmienia i łypie na nią nienawistnie. Unosi ręce ponad głowę, nożyczki są szeroko rozwarte.

– Zabrałaś mi wszystko. Nienawidzę cię.

Rozlega się szelest, a kurtyna się rozsuwa. Wszystko spowalnia, przyspiesza. Dwóch sanitariuszy rzuca się do przodu i ściąga Louise z łóżka. Krzyczy z bólu, krzyczy, że boli ją noga, jej pieprzona noga. Złóżcie ze mnie, bydlaki.

Nożyczki spadają na podłogę. Louise też na niej leży. Jeden sanitariusz siada na niej i próbuje przyszpilić jej ręce, ten drugi woła ochronę, policję. Louis jęczy, wydaje z siebie prymitywny, smutny dźwięk, wali głową o podłogę. Szlocha – w jej płaczu jest sam ból. Jane też płacze. Płacze ze współczucia. Czuje, jakby patrzyła na zwierzę, któremu nie zostało nic poza wściekłością.

– Złóż ze mnie! Spierdalaj! – Krzyki są rzadsze, cichsze, ustępują. Jest wycieńczona. – Wiem, że przegrałam. – Płacze. – Zawsze przegrywam. Jestem dobrą osobą. To nie moja wina.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Jane

– Pani Preston?

Koło jej łóżka zjawia się umundurowana policjantka. Ma blond włosy i bladą cerę, policzki zaróżowione od ciepła na oddziale. Za oknem różowieje niebo.

– Tak – mówi Jane.

Uśmiechając się uprzejmie, policjantka zasłania kotarę.

– Czy mogę prosić, żeby zostawiła ją pani uchyloną? Dziękuję.

Kobieta kiwa głową.

– Oczywiście. Jak się pani ma? – Podchodzi do łóżka powoli, ostrożnie.

– Trochę zamoczona. Wstrząśnięta. Powiedzieli mi, że z Frankiem wszystko jest w porządku. To prawda, tak? – Pielęgniarka powiedziała jej to, gdy mieli cały ten chaos za sobą. Poinformowała, że ma złamaną nogę, ale nic nie zagraża jego życiu. Jane nie uwierzy w to, dopóki nie zobaczy go na własne oczy. Lexie została wyprowadzona w kajdankach. Nie, nie Lexie, Louise. Louise Dawes.

To się stało tego ranka. Ma wrażenie, jakby jednocześnie minęły tygodnie i sekundy.

– Z tego, co wiem, pani mąż jest już po operacji – mówi policjantka. – Jeśli się nie mylę, musieli poskręcać mu nogę, ale lekarz niedługo o wszystkim panią poinformuje. Nazywam się Dyer, jestem koordynatorką. Może pani do mnie mówić Nicky.

– Okej. Cześć, Nicky. Ja jestem Jane.

Nicky kiwa głową.

– Chciałam z tobą chwilę porozmawiać i dać znać, co się dzieje, choć nadal prowadzimy dochodzenie. Wcześniej zeznawałaś przed funkcjonariuszką Loft, zgadza się?

Jane kiwa głową.

– Kate, tak. Opowiedziałam jej, co się stało. Gdzie jest Louise Dawes?

– W areszcie śledczym. – Nicky otwiera szeroko oczy i kręci głową. – Co za historia. Aż włos się jeży na głowie.

– Znałam ją. Ale nie pamiętałam. Nie rozpoznałam jej. Nigdy nie... Znałam ją w szkole. A raczej wiedziałam o jej istnieniu. Była kilka klas niżej. Zabawne, zapamiętałam ją jako starszą. Chyba dlatego, że była wysoka. Przepraszam. Ciągle próbuję poukładać sobie to wszystko w głowie.

– Szantażowała twojego męża.

Jane kiwa głową.

– Tak. I dręczyła mnie. To się działo od kilku miesięcy, ale ani ja, ani mój mąż nie rozmawialiśmy ze sobą o tym, co się działo w naszym życiu. Myślałam, że robiła to z innych powodów, ale okazało się, że dopadła też Frankiego. – Milknie, bo dociera do niej, że zaczyna za szybko mówić. Kręci głową, czuje, jak do oczu napływają łzy. Dopada ją uczucie paniki i wie, że jeszcze długo się go nie pozbędzie. Na samą myśl o tej kobiecie czuje przeszywający strach, ale towarzyszą temu też inne uczucia – smutek, głęboki smutek. Współczucie.

– Twój mąż nie jest jej pierwszą ofiarą.

– Wiem. Rozmawiałam z Garethem. W Barnes. Ten architekt, wiecie o nim?

Nicky kiwa głową.

– Wysłaliśmy do jego domu funkcjonariusza, żeby spisał zeznania. Pani Dawes była zaskakująco otwarta. Okazuje się, że robi coś takiego od bardzo dawna. Jest poszukiwana w sprawie oszustw, nie wspominając o napaściach, groźbach, szantażowaniu. Dała nam całą listę swoich imion, kont na Facebooku, Instagramie i tak dalej. Mamy nadzieję, że skontaktuje się z nami więcej osób. Przed Garethem Hutchinsem był lekarz, doktor Brooker. Jest właścicielem domu, do którego zwabiła pana Hutchinsa pod pretekstem zatrudnienia architekta. A przed nim był pan Watson, dyrektor uczelni blisko Widnes. Mogłabym tak ciągnąć bez końca.

Jane zasłania usta, gdy zaczyna do niej docierać, jak długa jest lista przewinień Louise Dawes. Ona gwałciła mężczyzn, dziesiątki mężczyzn, a potem zwała swoje przestępstwa na nich. Robiąc to, dokładała kolejną cegiełkę do fałszywych oskarżeń rzucanych przez inne kobiety, a tym samym sprawiała, że prawdziwym ofiarom nikt nie chciał wierzyć.

– Mój Boże – mówi, kręcąc głową.

– Wiem – mruczy Nicky. – Dużo tego do przyswojenia. Używała rohypnolu, pewnie o nim słyszałaś, to znany lek. Odurzała nim mężczyzn, a potem wmawiała im, że uprawiali z nią seks, robiła zdjęcia i ich szantażowała: dla pieniędzy, by móc korzystać z ich domów, samochodów. Ten samochód, którym wjechała w pani męża, należy do pana Hutchinsa. Ukradła mu kluczyki. Tak, korzystała z samochodów, domków letnich i wszystkiego, co umożliwiało jej

kontynuowanie udawania, że jest zamożna. Twierdzi, że w przeszłości była bogata, ale wygląda na to, że kompulsywnie wydaje pieniądze. Lubi drogie życie.

– Boże.

– Opisuje siebie jako lifestyle’ową guru i influencerkę, choć jej mieszkanie wskazuje na coś zupełnie innego. Wręcz przeciwnego.

– Nie mogę tego pojąć.

– Całkowicie cię rozumiem. Informatycy sprawdzają jej Instagrama. Większość z tych zdjęć jest sfabrykowana.

– Ale to była ona, prawda? Wiem, że zmieniła wygląd, ale na zdjęciach to naprawdę była ona?

– Tak, cóż, z dużą ilością filtrów. Ale przyznała się, że pozowała z drinkami innych ludzi, chodziła do barów sama i po prostu rozmawiała z ludźmi, głównie mężczyznami, a oni kupowali jej drinki. Robiła sobie zdjęcia na podjazdach obcych ludzi, twierdziła, że ich samochody są jej. Zdjęcia z podróży samolotem zrobiła z wykorzystaniem deski sedesowej, uwierzyłabyś?

– *Deski sedesowej?*

Widząc reakcję Jane, Nicky pozwala sobie na śmiech.

– Twierdzi, że ustawiła deskę sedesową przed oknem i zrobiła zdjęcie połowy. Była dumna ze swojego pomysłu, tak to wyglądało. I muszę przyznać, że ja naprawdę myślałam, że to okno w samolocie. Robiła zdjęcia jedzenia w gazetach i oznaczała restauracje. Takie miejsca nie mają czasu, żeby sprawdzać wszystko, zgadza się?

– Pewnie tak. Ja bym nie sprawdzała, czy kawa jest moja, gdyby ktoś oznaczył moją kawiarnię. Byłabym po prostu wdzięczna za oznaczenie. – Chyba że kawa byłaby okropna. Chyba że ktoś próbowałby szkodzić twojemu biznesowi. Chyba że ta sama osoba odurzyła twojego męża, spała z nim, szantażowała go i próbowała zrobić w nieistniejące dziecko.

– Dokładnie. Tak samo robiła z producentami aut, hotelami, siłowniami, w sumie ze wszystkim. Ścinała róże z ogrodów różnych ludzi, rozsypywała płatki w wannie, na łóżku, udawała, że to spa albo hotel. Gazowany napój jabłkowy i proszę, mamy szampana. I tak dalej. Naprawdę pomysłowe.

– Dobry Boże.

– Och, a w pudełku po butach znaleźliśmy zdjęcia, którymi szantażowała mężczyzn. Są ich dziesiątki.

Jane zamyka oczy, nie wie, czy się śmiać, czy płakać. Cóż za sposób na życie. Nie ma w nim pewnie ani odrobiny *spokoju*.

– Pracujemy nad teorią, że to był długofalowy plan – mówi Nicky.

– Och, bo był. Bardzo systematycznie podeszła do uwiedzenia mojego męża i nastawiania przyjaciół przeciwko mnie.

– Chodzi mi o znacznie bardziej długofalowy plan. Uważamy, że od samego początku przygotowywała się właśnie do tego. Dlatego teraz tak otwarcie o tym mówi. Dla niej to ostatni etap.

– Ostatni etap?

Nicky zaciska usta i kiwa ponuro głową.

– Uważamy, że przez lata budowała to swoje imperium z zamiarem zniszczenia ciebie. Wydaje nam się, że w bardzo młodym wieku miała obsesję na twoim punkcie, a z tego rozwinęła się fiksacja. Podczas przesłuchania twoje imię padło pięćdziesiąt pięć razy.

– Przecież powiedziałaś, że miała mnóstwo ofiar.

– Ale tylko twojemu mężowi powiedziała, że jest z nim w ciąży. Powiedziała, że gdy był odurzony, wyznał, że nie możesz mieć dzieci, i że w tym zobaczyła swoją szansę. Wtedy sfabrykowała ciążę jako Lexie i jako Natasha, dopadając was oddzielnie. Ale jej celem zawsze byłaś ty. Tacy ludzie to stuprocentowi oportuniści. Jednak gdzieś po drodze coś musiało się w niej złamać, tak sędzę. Na pewno trudno jest gonić za czymś przez tak długi czas. I trudno zdecydować, co z tym zrobić, gdy już się to ma.

Jane czuje się ociążała. Louise Dawes, mała odtrącona dziewczynka, której życie zostało wywrócone do góry nogami. Upokorzona, dręczona w szkole, napędzana nienawiścią. Niedowartościowana. Porzucona, jak powiedziała, więcej niż raz. Jane wie, jakie to uczucie. Szczerze mówiąc, niewiele je dzieli, ale gdy Jane za wszelką cenę unikała wpisywania się w kobiece standardy piękna, które przyciągają takich dupków, z jakimi wiązała się jej matka, dla Louise Dawes atrakcyjność fizyczna była władzą. Jane przez to, że w dzieciństwie niemal bez przerwy czuła się zagrożona, jako dorosła osoba miała wręcz obsesję na punkcie bezpieczeństwa, za to Louise wybrała się w długą i ryzykowną podróż w pogoni za zemstą – bez przerwy karała mężczyzn za to, co zrobił jej ojciec, doskonaliła się w tej sztuce, szykowała się do ataku na Jane, by ta zapłaciła za to, że ukradła jej życie. Jednak mimo całej tej atrakcyjności, drogich rzeczy, mężczyzn i legionu obserwatorów, ta mała dziewczynka nigdy nie poczuła się wystarczająca. Nigdy nie zdołała poradzić sobie z wyrządzonymi szkodami, bo ostatecznie bardziej niż którąkolwiek ze swoich ofiar skrzywdziła samą siebie.

– Mój Boże – mruczy Jane. – Biedna kobieta.

– Cóż, można na to tak spojrzeć.

Po krótkiej chwili ciszy Jane mówi:

– Powiedziałaś, że *wmawiała* mężczyznom, że uprawiali z nią seks. Co miałaś przez to na myśli?

Nicky unosi brwi i ramiona, po czym opuszcza je z westchnieniem.

– Z wieloma z tych mężczyzn do niczego nie doszło. Na przykład w przypadku twojego męża nigdy nie doszło do penetracji.

– *Co?*

– Powiedziała, że za bardzo odpłynął. Tak się stało z wieloma jej ofiarami.

– Ale w takim razie jak...

Prawda już do niej dociera, a po twarzy Jane płyną łzy. Przeprasza policjantkę. To wszystko jest tak pełne kłamstw, że trudno połapać się, co jest prawdą. W przypadku Frankiego poczucie winy, zdjęcie i to, że Louise twierdziła, że jest z nim w ciąży, przyczyniły się do powstania sztucznej prawdy: jego niewierności. Louise pokazywała tylko dziewięćdziesiąt dziewięć procent obrazu, pozwalając ofierze dodać ten ostatni procent. Czy nie tak samo jest z jej Instagramem? Pokaż wystarczająco, by obserwujący dopisali resztę. Biedny, biedny Frankie. Jej biedne ofiary.

– Zostawię was – mówi Nicky, przekrzywiając głowę. Jedną ręką chwyta kotarę i rozsuwa ją do końca.

Na wózku, z wyciągniętą nogą, poskręcaną śrubami, które przywodzą jej na myśl Frankenstein, siedzi szczerzący się Frankie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Jane

– Frankie!

Frankie objężdża wózką jej łóżko. Oboje płaczą jak dzieci, tak bardzo, że przypomina sobie o uprzejmej policjantce dopiero, gdy wtula się w swojego męża i płacze w jego ramię, powtarzając *dzięki Bogu i ty żyjesz, ty żyjesz, ty żyjesz*. Gdy podnosi wzrok, by podziękować, Nicky już nie ma.

Mąż kładzie głowę na jej nogach.

– Już po wszystkim – mówi cicho.

– Tak. – Opowiada mu o wszystkim, czego dowiedziała się od policjantki. Gdy mówi, Frankie podnosi głowę i patrzy na nią z niedowierzaniem.

– W tym wszystkim chodziło o ciebie? Nie o dziecko?

– Sophie była ważna, ty byłeś ważny. Nawet dziecko było ważne. Ważne dlatego, że było to coś, co mogła mi odebrać, bo mogła mieć coś, czego pragnęłam. W tym wszystkim chodziło o zrujnowanie mnie za to, co ja i moja matka zrobiliśmy z jej rodziną.

– Niewiarygodne.

– I jeszcze jedna, ostatnia sprawa – dodaje, kiwając głową. – Ty i Natasha, Louise, nigdy tak naprawdę... nie zakończyliście tego spotkania pełnym zbliżeniem.

Frankie marszczy czoło.

– My nigdy...? Skąd to wiesz?

– Za bardzo odpłynęłaś. Zrobiła to wielu facetom. Cięża nie była jedyną fałszywą rzeczą. Zadziało się wystarczająco, żeby sprawić, że to wyglądało, jak byście... byli razem w ten sposób. Dodaj do tego inne spreparowane rzeczy i idzie uwierzyć w jej wersję wydarzeń. Widzimy koktajl w barze, zadbaną dłoń, a dodajemy całe to życie w bogactwie. Dodajemy radość, pewność siebie, kogoś, kto lata po świecie i ma cudowne życie.

– Widzimy deskę klozetową i myślimy, że to cholerne okno samolotu. – Frankie śmieje się, a Jane mu wtóruje.

– Dokładnie.

Zapada cisza. Frankie podnosi wzrok, ściska jej rękę.

– Kochanie – mówi. – Powiedzieli, że mogę pozostać niesprawny.

– W jaki sposób?

Jej mąż zamyka oczy, śmieje się pod nosem.

– Przepraszam – mówi, ściskając jego dłoń. – Wiem, o co ci chodzi. Powiedzieli mi o tym. I wiem, że to trudne, bardzo trudne, ale uporamy się z tym tak samo, jak ze wszystkim innym, tak? Razem.

Słyszy kasznięcie. Podnosi wzrok i widzi, że w nogach łóżka stoi zawstydzona Sophie. Ręce zaciska na swojej podróbce Christiana Diora.

– Cześć – mówi i macha lekko. Brzuszek ma większy. Z wyglądu zmieniła się tak bardzo, że jest niemal nie do poznania.

– Sophie. – Jane czuje nerwowe poruszenie w brzuchu.

Przechylając głowę w stronę Frankiego, Sophie mówi:

– Czy możemy porozmawiać na osobności?

– Cokolwiek masz do powiedzenia, możesz mówić przy moim mężu.

Kiwa głową raz, drugi, trzeci, ale wygląda na zszokowaną.

– Okej, cóż, chciałam zadzwonić do ciebie wczoraj, ale się bałam, i jeszcze to, co się stało, ale... Chodzi o to, że już wiem, jaka jest Lexie. – Milknie, prawie się śmieje, ale chyba na widok miny Jane szybko odzyskuje panowanie nad sobą. – Przepraszam, ja... Po naszej rozmowie byłam trochę wstrząśnięta tym, co powiedziałaś o Frankiem, więc sprawdziłam telefon Carla. Znalazłam tam wiadomość od niej, sprzed kilku dni. Napisała, że chłopak z nią zerwał i jest bardzo smutna, i że chyba nie powinna być sama, bo to nie jest dla niej bezpieczne. Zapytała, czy może do niej przyjechać. Carl się wypiera, ale chodzi o to, że odpisał jej, że już do niej jedzie. Napisał to dosłownie po chwili. Pamiętam, że tamtego wieczora kładłam Kyle'a do łóżka, a on powiedział, że jedzie po mleko. Rzecz w tym, że on nigdy nie jeździ po nic do sklepu. Nie pomaga w takich sprawach. A gdy wrócił kilka godzin później, powiedział, że spotkał Pete'a i poszli na szybkie piwo. Mleka nigdy nie przyniósł. W ogóle o tym na początku nie myślałam, dopiero po naszej rozmowie, wiesz? W każdym razie zadzwoniłam do Lex i zapytałam o to, a ona zaczęła się na mnie wydzierać, nazywać mnie nadętą, nadzianą suką. – Wzdycha. – Chcę po prostu powiedzieć, że teraz już wiem, jaka ona jest. I przepraszam.

Jane jej słucha. Patrzy na swoją dawną przyjaciółkę, która zachęcała do zwierzeń, w ciężkich chwilach oferowała pomocną dłoń, która zbiera ludzi.

– Przykro mi, że cię to spotkało – mówi Jane. – Ale próbowałam ci powiedzieć. Próbowałam z tobą rozmawiać, a ty mi nie wierzyłaś. Uwierzyłaś

dopiero teraz, gdy dotknęło to ciebie. Życzę ci wszystkiego dobrego, naprawdę, ale obawiam się, że już nie jesteśmy przyjaciółkami.

– Co? Co do diabła?

Jane wzdryga się na jej wybuch złości, zerka w stronę Frankiego. Ten kiwa pokrzepiająco głową. Przenosi wzrok z powrotem na swoją byłą przyjaciółkę, której usta są rozchylone w wyrazie niedowierzania.

– Nie możesz tego zrobić – mówi, zaczyna płakać. – Nie wierzę, że mi to robisz. Jestem w ciąży!

– Gratuluję – mówi Jane. – Naprawdę się z tego powodu cieszę. Do widzenia, Sophie.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Jane

Kobieta w kremowej koszuli i białym kitlu podchodzi do łóżka. Z jej szyi zwisa stetoskop. Ciemne rude włosy związane w luźnego koka, stylowe okulary z czarnymi oprawkami i twarz usiana jasnymi piegami.

– Jestem doktor Farnworth – mówi. – Jak się czujesz?

– Och, wie pani, złamana ręka, obolała głowa i do tego ogromna trauma, ale poza tym... – Jane zerka na Frankiego, który siedzi na wózku wyprostowany i robi wszystko, żeby nie wyglądać, jakby płakał. Minęła prawie godzina, odkąd Sophie wypadła stąd naburmuszona, a oni wciąż rozmyślają o ostatnich dwudziestu czterech godzinach, czując na przemian niedowierzanie i ulgę. – To mój mąż, Frank – dodaje. – Jest najlepszym facetem na całym świecie. Uratował mi życie.

Doktor Farhworth odwraca się do niego i kiwa głową.

– Oj tak, uratował pan. W sumie to dobrze, że jesteście tu razem, bo przyszły wyniki krwi i wygląda na to, że uratował pan więcej niż jedno życie. – Przenosi wzrok na Jane i uśmiecha się.

Jane odrywa wzrok od pani doktor i zerka na Frankiego. Wraca spojrzeniem do kobiety.

– Co ma pani na myśli?

– Miałaś ostatnio mdłości? Czulaś się wzdęta? – Cały czas się uśmiecha.

– Owszem, ale proszę się tym nie przejmować, to nic poważnego. Mam menopauzę. W sensie, przedwczesną menopauzę.

– Ach. – Pani doktor sprawdza trzymane w rękach papiery. – Przepraszam, nie... ale tak, masz rację, objawy menopauzy obejmują nudności i zmęczenie. Wybacz, nie zauważyłam tego. Tylko że te objawy nie są wywołane menopauzą.

– Zerka na Frankiego, wraca spojrzeniem do Jane. – Jesteś w ciąży. Piąty, może szósty tydzień.

– Co? – Jane zaczyna mrowić skóra na głowie, oddech ugrzązł jej w gardle i choć nie do końca rozumie, co ta kobieta, ta cudowna kobieta, ta *anielica*

powiedziała, na jej ustach zaczyna pojawiać się uśmiech. – Co? – pyta ponownie, choć zaczyna to do niej docierać.

Patrzy na Frankiego, którego twarz wyraża wielkie zdumienie.

– Rozumiem, że to dobre wieści – mówi rozpromieniona pani doktor. – Gratuluję.

EPILOG

Jest ciepłe sierpniowe popołudnie. Nie to, żeby zimno było dla Jane problemem. Brzuszek bez przerwy ją grzeje, przez co w śpiworze jest jej za ciepło, a chodzenie dwa razy w nocy do toalety na polu kempingowym jest upierdliwe. Ale nie narzeka.

Słońce znika za horyzontem Pembrokeshire. Owce spacerują po polu za ogrodzeniem, a znad grilla unosi się zapach organicznych kiełbasek, które Frankie przygotowuje na kolację. Des pociąga nosem i siada, skupiony, niczym najgrzeczniejszy pies na świecie, który zasłużył na wielką nagrodę, na przykład wcześniej wspomnianą kiełbaszkę. Na stole kempingowym stoi wielka miska z sałatką – również przygotowaną przez jej męża – ze szpinakiem i granatem, bo te zawierają żelazo, antyoksydanty oraz witaminę E, a to wszystko jest dobre dla dziecka. Dla siebie otworzył butelkę rzemieślniczego piwa, a dla niej wodę gazowaną.

– Bardzo proszę. – Na lśniącą od tłuszczu kiełbaszkę w bułce nakłada karmelizowaną cebulę. – Z keczupem?

– Poproszę. I musztardą.

– Ale że razem? Ohyda.

– To nie ja. To małeństwo lubi ostre jedzenie, jak tata.

– Czyżby?

Frankie wręcza jej hot doga, po czym podnosi niewidzialną piłkę i rzuca ją Desowi. To świetny rzut, ale pies siedzi w miejscu niczym posąg przed wielką rezydencją. On się nigdzie nie wybiera; istnieje zbyt wielkie prawdopodobieństwo, że na ziemię spadnie jakieś jedzenie. Jane zastanawia się, czy to nie przypadkiem Des ich przez cały ten czas wrabiał, a gdy ona albo Frankie schylali się po powietrze, myślał sobie: *Idioci*.

Frankie podaje mu psi przysmak, a ten dumny, że coś dostał, drepcze dotąd, aż napina się jego długa smycz, i układa się na trawie, żeby go zjeść. Trzyma go elegancko między łapami. I tak, w tej kojącej ciszy, cała ich trójka – wkrótce czwórka – je kolację i patrzy, jak jasnożółte niebo zmienia barwę na różową, a potem niebieską. Jest pochmurno. Czeka ich kolejna ciepła noc.

– Takiego widoku nie da się kupić – mówi Frankie.

- To dobrze – odpowiada Jane. – Nie mamy pieniędzy.
- Pustka w skarbonce.
- Pustka w skarbonce. Nie ma ani funta.

Uśmiechają się do siebie czule. Ich podłogi są podrapane jak diabli, ściany pozdzierane, meble każde z innego kompletu. To wszystko nigdy nie miało dla nich znaczenia, ale teraz nie liczy się jeszcze bardziej. Louise Dawes niemal zniszczyła im życie, napędzana pragnieniem zemsty wycelowanej w złą osobę oraz chęcią zysku. Ale ich życie nigdy nie składało się z rzeczy materialnych. Ono zostało stworzone właśnie z tego: widoku, psa i spokoju płynącego z bycia u boku drugiego człowieka.

I przyjaciół. Jane wciąż spotyka się z Kath i Hils, które co tydzień odwiedzają ją w kawiarni, a w piątki często spotykają się w swoich domach, ewentualnie wychodzą do restauracji, żeby zjeść coś innego. Kath poprosiła Jane, żeby została opiekunką prawną Scarlett oraz Joego, w razie gdyby coś stało się jej albo Pete’owi. Zgodziła się bez chwili zastanowienia, podpisała papiery. Wie, że obie kobiety będą nalegać na jej powrót do Runner Beans, gdy już urodzi. Powiedziały, że dadzą jej na to maksymalnie sześć miesięcy.

W trakcie jedzenia wysłała na WhatsAppie do swojej matki zdjęcie zachodu słońca z podpisem: *Szczęśliwi biwakowicze*. Victora, kobieta, którą teraz pamięta, choć słabo, z czasów poprzedzających odejście jej ojca. Matka opowiedziała jej w końcu o dniu, gdy wróciła z pracy i znalazła list, w którym napisał jej, że wyjeżdża do Irlandii, z Sandrą, jej najlepszą przyjaciółką. Jane o tym nie wiedziała. Była za mała, żeby mieć świadomość tego, co się dzieje. Gdy zaczęła dorastać, matka stała się Victoriatorem. Było to okrutne przezwisko nadane jej przez Jane i jej szkolne przyjaciółki, które w wieku piętnastu lat nie miały pojęcia, czym życie może obarczyć w człowieka, i nie wiedziały, co to przebaczenie. Wie, że nigdy nie będzie z matką blisko, ale gniew jest męczący, a Jane pracuje nad przebaczeniem. Dla siebie, dla dziecka, dla którego musi być silna.

Jeśli chodzi o Sophie, Jane ją widuje. Uśmiecha się i mówi cześć, ale Sophie zawsze odwraca wzrok i idzie dalej. Ma do tego prawo. To już nie jest zmartwienie Jane. Ciągłe brakuje jej tego, jak umiały się razem śmiać, piątkowych spotkań w pubie, szybkich kaw, wspólnego biegania. Ale to nie Jane igrała z tak ważnymi rzeczami jak zgrana ekipa lojalnych przyjaciółek, które były razem w dobrych i złych chwilach, bez względu na to, jak wyglądały, co posiadały i ile miały pieniędzy, które nie oczekiwały niczego w zamian. Wszystkie odczuwają tę stratę i naprawdę chciałyby móc wrócić do czasów,

zanim Lexie Lane weszła do Starego Niedźwiedzia i zamówiła dużego sipsmitha z tonikiem. Ale to się nie stanie.

To, co ma teraz, jest cichsze. Ale w życiu czeka ją jeszcze tyle różnych rzeczy, takich prawdziwych.

To jej wystarczy. To więcej, niż potrzebuje.

LIST OD S.E. LYNES

Bardzo dziękuję za czas poświęcony na przeczytanie *Prawdziwych przyjaciółek*. Naprawdę mam nadzieję, że książka się wam spodobała, że znaleźliście w niej coś, co mogliście porównać ze swoimi doświadczeniami i że dała wam do myślenia. Jeśli chcecie dostawać informacje o wydawanych przeze mnie nowościach, z pomocą poniższego linka możecie zapisać się do newslettera. Wasz adres mailowy nigdy nie zostanie udostępniony i w każdej chwili możecie zrezygnować z subskrypcji.

www.bookouture.com/se-lynes

Dzień albo dwa przed pisaniem tego listu zobaczyłam reklamę nowego albumu Jamesa Blake'a: *Friends That Break Your Heart*. Myślę, że właśnie o tym jest ta książka. Chciałam przedstawić historię o sercu złamanym wskutek rozpadu bliskiej relacji nieromantycznej. Jane powiedziała: „Tyle się pisze o rozstaniach w związkach, ale gdy chodzi o zakończenie przyjaźni, nie ma nawet do czego sięgnąć, odnieść się, porównać. Żadnych poradników, nic”.

Wyzwaniem było zagłębienie się w to, co sprawia, że małostkowa agresja ze strony kogoś, kogo uważa się za przyjaciela, jest tak ciężka do zniesienia. Wiemy, że są gorsze rzeczy, więc dlaczego tak bardzo to na nas wpływa? Jest jeszcze wyzwanie związane z zachowaniem – w imię spokoju i z szacunku dla wspólnie spędzonych w przeszłości chwil – wobec kogoś, kto źle nas traktuje. Przychodzi taki moment, że pozostanie lojalnym jest niemożliwe bez niszczenia samego siebie. Mam nadzieję, że czytelnicy będą w stanie porównać to ze swoimi doświadczeniami.

Dla mnie historia Jane jest opowieścią o dojrzewaniu i akceptacji. By zaakceptować swoje dzieciństwo, musi w pewien sposób dojrzeć. Musi zmądrzeć i odnaleźć swój głos. To, co stało się z jej matką, gdy była mała, uczyniło ją idealną ofiarą dla Lexie/Louise i żeby umieć się sprzeciwić Lexie, prześladowczyni, ale też nielojalności Sophie, Jane dorasta. Dochodzi do utraty niewinności, ale dzięki temu jest silniejsza, bo kolejna rzecz, której musi stawić czoła, to bezdzielne życie. To okropne doświadczenie zdrady staje się dla niej

objawieniem: jej życie jest wystarczające, ona, Frankie i to, co mają, również. Ważne dla mnie było, by Jane zaczęła pracować nad wybaczeniem, zwłaszcza matce, bo życzę jej spokojnego i szczęśliwego życia, nieobarczonego mrokiem gniewu czy nienawiści. Choć dla niektórych jej ciąża może być mocno naciągana, wszystkie aspekty jej choroby i przejść mają źródło w badaniach naukowych. Napaść seksualna, której ofiarą był Frankie, została zainspirowana prawdziwymi historiami z internetowego forum. W świecie fikcji wyobrażam sobie, że będzie częścią postępowania przeciwko Louise Dawes. To, czy jest w stanie przedstawić dowód tego, czego doświadczył, i znaleźć sposób na zostawienie tego za sobą, pozostawiam waszej wyobraźni.

W *Prawdziwych przyjaciółkach* poruszam temat materializmu, który można znaleźć w niektórych relacjach. To, że potrafią polegać głównie na transakcjach, że ludzie, których kochamy, mogą stać się rzeczami, o czym mówiła zresztą Jane. Czy nosisz odpowiednią sukienkę? Czy masz dobry samochód? Dom? Czy martwisz się, że twoi przyjaciele lubiliby cię mniej, gdyby tego wszystkiego nie było? Jeśli tak właśnie myślisz, co zdarza się raczej nam wszystkim, warto się temu przyjrzeć. W idealnym świecie przyjaciele powinni lubić albo kochać bez osądzania, bez wymagań. Ale gdyby świat był idealny, autorzy nie mieliby o czym pisać.

Kolejnym tematem, którego dotyka ta książka, jest prześladowanie wśród dorosłych. Przybiera ono różne formy i tak jak powiedział Frankie, może dziać się wszędzie – w drużynach sportowych, w pracy, w grupach przyjaciół. Rozpoznanie tego może być ciężkie. Bardzo trudno jest to zaakceptować. Ta książka zadedykowana jest każdemu, kto w dorosłym życiu był gnębiony: twoje uczucia są ważne, prawdziwe, mają znaczenie. Ty też masz znaczenie. W internecie są strony, na których można znaleźć pomoc, np. Very Well Mind (<https://www.verywellmind.com/how-to-dealwith-adult-bullying-5187158>).

Zrozumienie tego, co się dzieje, może dodać sił.

Jeśli chcecie podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami albo zadać mi pytania, z chęcią porozmawiam przez moje konto na Twitterze, Instagramie albo poprzez autorski profil na Facebooku, dlatego piszcie. Jeśli spodobała wam się książka, doceniłabym poświęcenie chwili na napisane opinii. Wystarczy linijka albo dwie, byłabym niesamowicie wdzięczna!

Moja kolejna książka już powstaje – nie mogę zdradzić nic na jej temat, ale mam nadzieję, że ją też zechcecie przeczytać.

Wszystkiego dobrego

Susie

facebook.com/susie-lynes

twitter.com/selynesauthor

instagram.com/susielynes

PODZIĘKOWANIA

Na początek dziękuję Ruth Tross, której rady uratowały mnie przed zawstydzeniem i sprawiły, że wyglądam na lepszą w pisaniu, niż w rzeczywistości jestem. Dziękuję mojej agentce, Veronique Baxter, która powiedziała o *Prawdziwych przyjaciółkach*: „Ta książka to wszystko, na co miałam nadzieję, a nawet więcej”.

Dziękuję mojej mamie, Catherine Ball, która zawsze jest moją pierwszą czytelniczką i która przekonała mnie, że książka nadaje się do publicznej konsumpcji.

Dziękuję niezmiennie wspianiałemu zespołowi Bookouture, zwłaszcza Noelle Holten oraz Kim Nash, wybitnemu marketingowemu duetowi, a także wszystkim autorom Bookouture, którzy są najlepszymi współpracownikami, o jakich można marzyć.

Wyrazy wdzięczności należą się także Tracy Fenton oraz całemu zespołowi – Helen, Boyce’owi, Claire Mawdesley, Juliet Butler, Charliemu Pearsonowi, Charliemu Fentonowi, Kel Mason, Laurel Stewart – z facebookowego The Book Club. Podziękowania składam też Wendy Clarke oraz grupie z The Fiction Cafe, Anne Cater z Book Connectors, Markowi Fearnowi z Bookmark oraz Ianowi Grantowi z klubu książkowego Stay-at-Home. Dziękuję wszystkim internetowym klubom książkowym oraz ludziom, którzy do nich dołączają, by dzielić się swoją miłością do książek. Jeśli kogokolwiek pominęłam, przepraszam – napiszcie do mnie, a ja dopilnuję, by w kolejnej książce o was wspomnieć.

Wielkie podziękowania dla czytelników takich jak Sharon Bairden, Teresa Nikolic, Philippa McKenna, Karen Royle-Cross, Ellen Devonport, Frances Pearson, Jodi Rilot, CeeCee, Bridget McCann, Karen Aristocleus, Audrey Cowie, Donna Young, Mary Petit, Donna Moran, Ophelia Sings (kimkolwiek jesteś, twoje oceny doprowadziły mnie do łez), Gail Shaw, Lizzie Patience, Fiona McCormick, Alison Lysons, Dee Grocock, Sam Johnson i wielu innych, których tu nie wymieniłam. Dziękuję. Czytam każdą opinię, zarówno te dobre, jak i złe. Jeśli nie widzicie tu swojego imienia, dajcie znać.

Chciałam też podziękować niesamowitym bloggerom, którym nikt nie płaci, a bardzo ciężko pracują, żeby pisać o książkach i autorach, których lubią. Wyrazy wdzięczności dla następujących bloggerów, których wymienię po pseudonimach z bloga (w razie gdybyście chcieli przeczytać ich recenzje): Chapter in my Life, By The Letter Book Reviews, Ginger Book Geek, Shalini's Books and Reviews, Fictionophile, Book Mark!, Bibliophile Book Club, Anne Cater at Random Things Through my Letterbox, B for Book Review, Nicki's Book Blog, Fireies and Free Kicks, Bookinggoodread, My Chestnut Reading Tree, Donna's Book Blog, Emma's Biblio Treasures, Suidi's Book Reviews, Books from Dusk till Dawn, Audio Killed the Bookmark, Compulsive Readers, LoopyLouLaura, Once Upon a Time Book Blog, Literature Chick, Jan's Book Buzz and Giascribes. Powtórzę raz jeszcze: jeśli kogoś tu nie uwzględniłam, napiszcie mi o tym.

Dziękuję niesamowicie wspierającej społeczności pisarskiej – wiecie, o kim mówię, ale jest was za dużo do wymienienia, choć Nicola Rayner i Emma Curtis nie były nigdzie wspomniane z imienia, dlatego teraz je wymieniam.

Zbliżając się ku końcowi, dziękuję mojemu tacie, Stephenowi Ballowi, który nie czyta, ale dla mnie robi wyjątek

SPIIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI
EPILOG
LIST OD S.E. LYNES
PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Baby Shower*

Copyright © S.E. Lynes, 2022
Copyright for the Polish edition © 2023 by Grupa Wydawnicza Filia

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Magdalena Russocka / Trevillion Images

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska
Korekta: Agnieszka Czapczyk, Kinga Józwiak
Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-538-3

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia Sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl